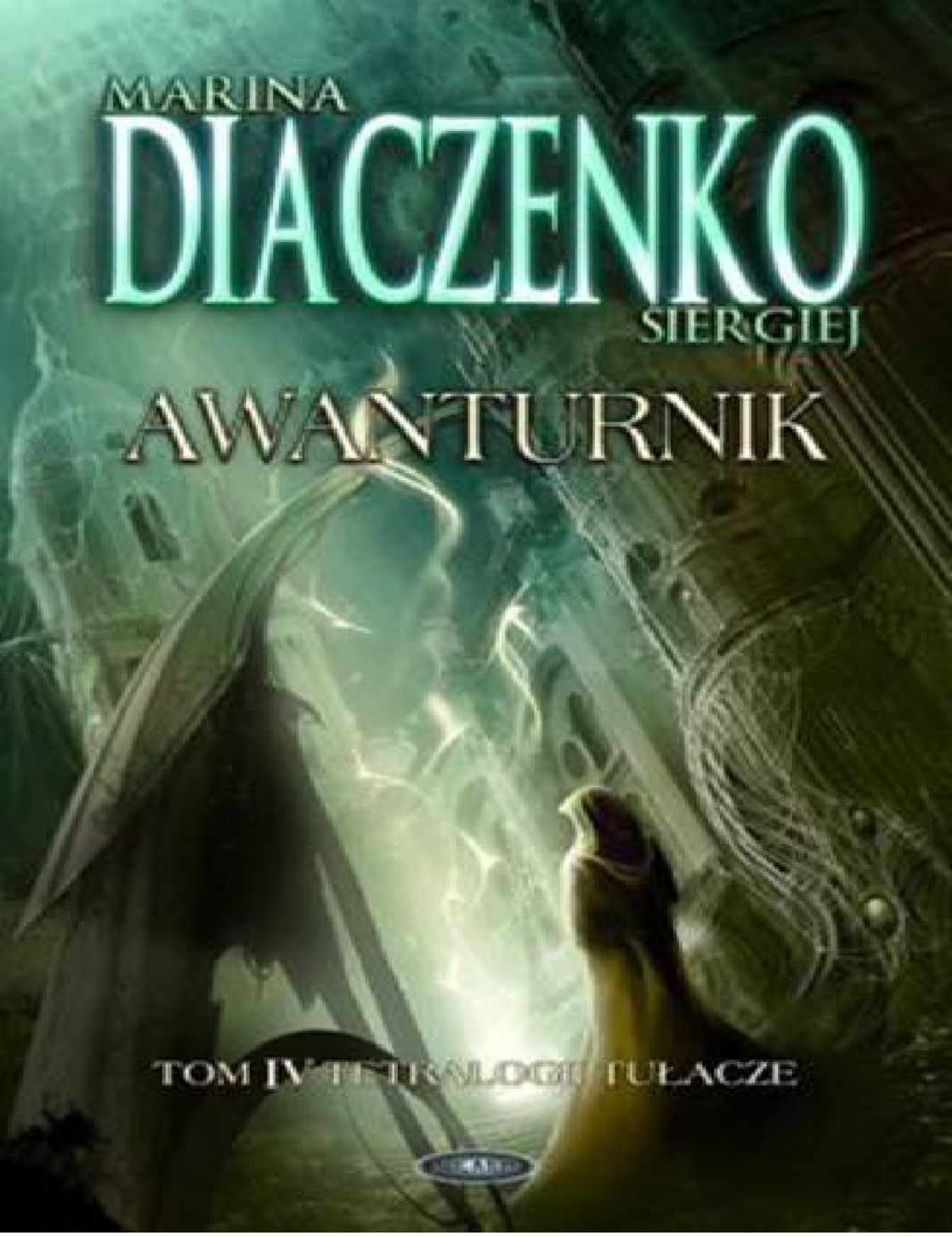
MARINA
DIACZENKO
SIERGIEJ
AWANTURNIK
TOM IV TETRALOGII TUŁACZE

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Młody, przystojny Retano szczyci się pochodzeniem od wielkiego maga Damira, a choć jego arystokratyczny ród mocno zubożał, on sam jest czarującym… łajdakiem. Oszustem i naciągaczem, któremu został rok życia. Obciążony magicznym wyrokiem szuka ratunku u potężnego czarodzieja. Ten zgadza się mu pomóc pod pewnym warunkiem. Młodzian musi zdobyć serce Alany z rodu Sollów i pojąć ją za żonę. Początkowo zadanie nie wydaje się trudne, lecz z dnia na dzień piętrzą się problemy. Nic nie jest takim, jakim się wydaje. Rodzina Luara Solla, Ostatniego Wieszczbiarza, skrywa wiele mrocznych sekretów, a i sam czarodziej wydaje się oszukiwać niefortunnego amanta… Niemądrego awanturnika, który będzie musiał zapłacić za swoje winy. W brawurowym, zaskakującym finale cyklu "Tułacze" nastąpi zamknięcie wszystkich wątków i wyjaśnienie wszystkich zagadek.

- Marina Diaczenko, Siergiej Diaczenko
  -
  - Prolog
  - Rozdział pierwszy
  - Rozdział drugi
  - Rozdział trzeci
  - Rozdział czwarty
  - Rozdział piąty
  - Rozdział szósty
  - Rozdział siódmy
  - Rozdział ósmy
  - Rozdział dziewiąty
  - Rozdział dziesiąty
  - Rozdział jedenasty
  - Rozdział dwunasty
  - Rozdział trzynasty
  - Rozdział czternasty
  - Rozdział piętnasty
  - Rozdział szesnasty
  - Rozdział siedemnasty
  - Epilog
  - Marina i Siergiej Diaczenko

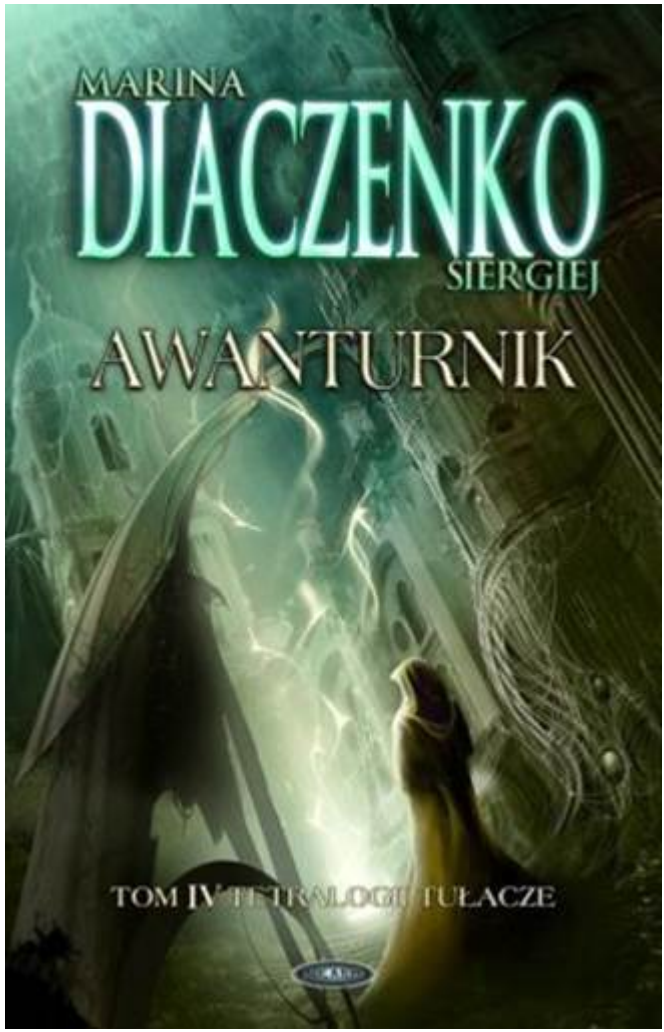
MARINA
DIACZENKO
SIERGIEJ
AWANTURNIK
TOM IV TETRALOGII TUŁACZE

Marina Diaczenko, Siergiej Diaczenko

Awanturnik

Tyt. oryginału: Авантюрист
Tom 4 cyklu Tułacze
Przełożył Witold Jabłoński

Prolog

Zamarzał.

W zagubionej wśród śniegów chatynce nie płonął nawet najmniejszy ognik. W miejscu kominka ciemniał świeży kamienny mur.

Siedział, naciągnąwszy na uszy futrzaną czapkę i czekał na wschód słońca.

Maleńkie okienko jaśniało tłustą warstwą mgiełki, jego zamarzającym oddechem.

Wycie wiatru w bezużytecznym kominie. Odległe wycie wilków.

Był sam pośrodku śnieżnej pustyni, białego lasu, zziębniętego świata. Był samotny, było mu zimno i marzył, by się ogrzać.

W końcu biały księżycowy promień zawitał w okienku. Zimowe kształty nabrały kształtu i wymiaru. Podczas gdy księżyc unosił się wyżej, lodowy krajobraz ożywał i zmieniał się.

Pajęczyna niezliczonych linii. Barwne wstęgi, grube jak żmije. Białe konary martwych drzew. Biała sierść nieistniejących zwierząt. Ciężkie od śniegu kłosy.

Zmrużył sztywniejące z zimna powieki. Dźwięki: dalekie głosy. Cienie…

Twarze. Gęsta trawa. Topór spadający na pusty pieniek. Szemrzący tłum, strużka piasku, osypująca się ze schodków, złoty blask…

Pochylił się do przodu.

Złota płytka z wymyślnym wycięciem. Żółty metal, pokryty licznymi warstwami mocy, podobny do śnieżnej kuli, oblepiającej się kolejnymi warstwami albo kawałka chleba, pokrytego masłem, serem i wędliną…

Złota płytka rozrastająca się do rozmiarów ogromnych drzwi. Wycięcie okazuje się wysokim otworem, w którym zastygła ludzka postać.

Sine niemowlę w kolebce. Goły dzieciak z trzema pępowinami zamiast jednej.

Trzy twarze, jedna starsza, druga młodsza, a trzecia zamazana, jakby pokryta piachem. Trzy kobiety.

Trzy nici. Trzy korzenie. Trzy drogi.

Pochylił się do przodu.

Księżyc zgasł, zakryty wędrującą chmurą. Zniknął taniec cieni na szkle. Naciągając głębiej futrzaną czapkę, odchylił się na oparcie fotela, bezsilnie przymykając powieki.

Jeśli nawet nie wie, gdzie szukać, dzisiaj po raz pierwszy zobaczył przedmiot swych poszukiwań…

Za brudnymi szybkami ośnieżony las żył swoim życiem, a wśród nagich pni miotało się echo zimowego wycia wilków. Potem pojawił się inny dźwięk, niegłośny i spokojny, który jednak był w tym momencie niemożliwy i przerażający.

Ktoś zapukał w okienko z drugiej strony.

Wzdrygnął się. Na białym, nieprzezroczystym szkle legł jakiś cień.

Zabłąkany podróżny? W środku nocy? Pośrodku lasu? Tutaj?…

– Słyszysz mnie?

Głos nie był zziębnięty, znużony ani wystraszony.

– Jesteś pewien, że jest tego warte? Że tego potrzebujesz? Przez warstwę szronu powoli przenikały zarysy twarzy.

Z zewnątrz zaglądał złym, badawczym spojrzeniem zasuszony starzec.

– Jesteś pewien, że trzeba to zrobić?…

– Nie masz nade mną władzy, Tułaczu – odpowiedział głucho człowiek w futrzanej czapce.

– Jesteś pewien?…

Władał nim strach albo jakieś inne uczucie, lecz namacał w ciemności drewnianą pałkę i niewielkim zamachem opuścił ją na oszronioną szybę.

Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. Lodowaty wiatr uderzył w twarz. Za oknem była noc, stał las i wszędzie leżał nienaruszony śnieg, biały kobierzec, od dawna nie zbrukany ludzkimi stopami.

Ściągnął z głowy czapkę, odkrywając gładką, bezwłosą czaszkę. Starannie otarł z czoła zimny pot.

Wiatr cisnął garścią śniegu w rozbite okno. Zamarzał. Nieznośnie. Nieludzko.

Rozdział pierwszy

Surowe ściany cuchnęły zatęchła wilgocią i kaganek strażnika migotał gdzieś wysoko, kiedy on – strażnik nie kaganek – oznajmił z odcieniem triumfu:

– Niewinni mogą być spokojni o siebie, skoro Sędzia potwierdzi ich niewinność! Winni pocierpią srodze, gdy Sędzia zajrzy w głąb ich dusz i niezwłocznie ukarze!

Słowa były wyuczone, a głos tak silny, choć przepity, że nawet tu, na dnie kamiennego lochu, zdawało mi się, że wyczuwam nieświeży zapach rozwartej gęby.

– Odprawi się sąd! – oznajmił znacząco strażnik. Postał chwilę, napawając się naszymi zadartymi w górę twarzami. Potem zazgrzytały zawiasy, zaskrzypiał kołowrót i żelazny dach zatrzasnął się nad sądowym aresztem, niczym pokrywa kotła.

– Wielkie nieba, zmiłujcie się – zajęczał w mroku złodziejaszek. – Oj, więcej już nie tknę palcem cudzego grosika, tylko się ulitujcie…

Inni milczeli.

Milczał jednooki rozbójnik, pojmany w lesie wiele miesięcy temu, który doczekał się procesu po pól roku. Milczał staruszek, przyzwoity z wyglądu i słodki jak miód, oskarżony, między innymi, o gwałt i zabójstwo młodej służącej. Jedyna kobieta w celi także milczała. Dotychczas nie dowiedziałem się, za co wrzucili ją do tej jamy.

– Ratujcie, wielkie nieba… więcej nie będę – szlochał złodziejaszek.

Oczy przywykały powoli do ciemności. Starzec stukał miarowo, usiłując wydobyć iskrę z krzesiwa. Rozbójnik sapał. W piwnicy zalegał gęsty zaduch, jak smoła w wiadrze, ciężki i nieruchomy. Pomyślałem, że prędko utonę w tych aromatach: wilgoć, zgnilizna, śmierdzący zbój, mieszanka dawno niemytego ciała niewiasty i jej tanich perfum…

Odory ściekały, ścieląc się na kamiennej posadzce. Wodząc dłonią po murze, znalazłem oddalony kąt. Nie zamierzając siadać, przylgnąłem do mokrej ściany.

– Są tutaj świece! – oznajmił radośnie staruszek. – Przyklejone ogarki… Sprawdź, panie, czy w tamtym kącie też są?

„Panie" bez wątpienia odnosiło się do mnie.

– Hardzi są – oświadczyła oschle kobieta. – Z nami, czernią, nie gadają… Jak przyjdzie Sędzia, to zrzednie im mina!

Złodziejaszek zajęczał głośniej. Ktoś, być może zbójnik, zadał sobie trud dania mu kuksańca pod żebro. Szloch urwał się momentalnie.

– Ugryź się w język – doradził łagodnie kobiecie zbójnik.

– Myślisz, że ciebie to nie dotyczy?

– Jestem niewinna – odparła z godnością. – Nie mam się czego bać…

– Ściągnąłem na targu sakiewkę – przyznał się tragicznym szeptem rzezimieszek. – Gęś skradłem w tym tygodniu i sprzedałem… Zerwałem złoty łańcuszek grubasowi…

Zapłonęły świece, jedna za drugą. Od razu zrobiło się ciaśniej, jak gdyby mętnie połyskujące ściany przesunęły się o krok do środka. Żelazny strop, przykrywka kotła, obniżył się, jakby miał zaraz spaść nam na głowy.

– Skoro żeś niewinna – rzekł zbójca, przymykając jedyne, czarne oko – czemu pod Sąd podpadłaś?

– Tym łotrom byle człowieka złapać – odparła łachmaniarka w średnim wieku, wzruszając ramionami z godnością.

– Sędzia to rozpatrzy.

– Rozpatrzy – powtórzył zbójca ze złowieszczym uśmieszkiem.

Złodziejaszek załkał, znów wyliczając swoje przewiny:

– W zeszłym roku… dwa worki z wozu… i na targu znowu sakiewki… kupcowi i mamuśce…

Był chudy i długonosy, miał może szesnaście lat. Raz wszedłszy na drogę samooskarżania, nie mógł się już powstrzymać. Jego pamięć coraz bardziej się pogłębiała, aż sięgnęła dzieciństwa. Za chwilę powie o tym, jak ukradł młodszej siostrze landrynkę, kiedy miał pięć lat…

– Proszę państwa – rzekł, pokasłując, starzec – być może powiem w złą godzinę, ale myślę, że… Sąd jest tylko widmem. Sędzia naprawdę nie może…

– Siedziałbyś cicho.

W głosie rozbójnika słychać było odrazę.

– Wpadłeś, to siedź cicho…

Staruszek wydął uparcie bezbarwne wargi.

– Rozmawiałem, proszę państwa, ze strażnikami. Najgorszy łajdak okaże się rozmowny, jeśli masz do niego podejście. Panowie strażnicy przyznali, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat ani razu nie zdarzyło się, żeby coś podobnego stało się w tym więzieniu. Każdy, kto wszedł tutaj z wieczora, wychodził rano żywy i zdrowiuteńki i mógł iść, dokąd chciał… To znaczy, zdarzyło się kiedyś, pięć lat temu, że ktoś dostał ze strachu zawału, ale zawału można dostać wszędzie, jeśli ktoś jest strachliwy…

– Doczekał siwych włosów – rzekła pogardliwie niewiasta – świece umie zapalić, ale nic nie wie o Sędzi…

I zacięła się. W pierwszej chwili myślałem, że rozbójnik spojrzał na nią dziko, ale jednak nie, tamten patrzył w podłogę, a mimo tego kobieta zamilkła, jakby się zakrztusiła, a zapach jej perfum jakby osłabł. A może tak mi się zdawało?

Parszywy los. Czy ten staruszek rzeczywiście kogoś zadusił?

Staruszek złowił moje spojrzenie i położył dłoń na sercu.

– Młody panie, jako przyzwoity człowiek, niewinnie posądzony… Czy widma mogą mieszać się do ludzkich spraw? To znaczy mogą przepowiadać przyszłość i tym podobne, lecz praworządność to już, jak sądzę, dzieło człowieka…

– Zmarnowałeś dziewkę, tak czy nie? – ponuro zainteresował się zbójnik. – Jeżeli nie, to inna sprawa… ale, jeśli tak…

Staruszek uniósł brwi z oburzeniem, a jakby tego jeszcze było mało, klasnął w dłonie i pokręcił głową, całym swoim jestestwem okazując, jak niedorzeczne są podobne pomówienia. Kobieta uśmiechnęła się złowieszczo.

– Skoro jesteś niewinny… czemu się trzęsiesz?

– Nie z panią rozmawiam – odparł urażony starzec. Wydawało mu się, że rozmawia ze mną. Mylił się, gdyż wcale nie zamierzałem z nim gadać.

Byłem zmęczony. Areszt ze śmierdzącymi materacami… Nie życzyłem sobie się na nich kłaść. Spałem na gołej ławie, a pozostali aresztanci nie znali większej przyjemności, jak złapać wędrującą wesz i wrzucić mi za koszulę. Wydawało im się zabawne, że boję się wszy…

A przecież minął zaledwie tydzień. Tylko pomyśleć, że mogli mnie pojmać dwa miesiące temu i posiedziałbym jeszcze kilka w oczekiwaniu na Noc Sądu, jak choćby ten rozbójnik i zaprzyjaźniłbym się z tutejszymi wszami, które wędrowałyby po mnie całymi korowodami…

Całe szczęście, że w sądowym lochu nie ma sienników.

Powiadają, że nie da rady uciec z wieży. Most zwodzony jest gęsto obsadzony strażą, a w fosie pływają takie paskudne stwory, że długo byś w niej nie popływał…

Parszywy los.

– Paniczu – rzekł stary z porozumiewawczym uśmiechem – przyzwoitego człeka wszystko to powinno strasznie dręczyć. Mnie na przykład męczą wilgoć i smród. W gruncie rzeczy mamy jednak niesamowite szczęście. Jutro będziemy już wolni, jak ptaki.

– A Sędzia? – jęknął złodziejaszek.

Starzec uśmiechnął się krzywo. Był to pogardliwy uśmiech człowieka, który wie więcej od innych.

– Rano nas wypuszczą.

Wychudła starcza dłoń spoczęła na karku chłopaka.

– Nie płacz, mały. I bez tego jest smutno.

Kobieta prychnęła. Zbój milczał.

W całej wieży było cicho, jakby strażnicy na murach chodzili na palcach, w butach obwiązanych szmatami. W strażnicy przy moście spoglądali po sobie, osłaniając dłońmi światła lamp. Tss… Noc Sądu.

Nie wytrzymałem i siadłem na kamiennej podłodze z

podwiniętymi nogami, wsparty plecami o ścianę.

Byle szybciej. Wszystko jedno, co ma być, byle tylko szybciej zakończyła się procedura… Oczywiście, jeśli o północy otworzy się w murze tajne przejście i wynurzy się stamtąd przebrany za widmo naczelnik straży… To by było zabawnie, ale mało prawdopodobne. Nie ma tak dobrze.

W celi robiło się coraz zimniej. Przycichły złodziejaszek przysunął się do staruszka, z drugiej strony próbowała tego samego kobieta. Chociaż głośno obwieszczała swą niewinność, trzęsła się coraz mocniej, nie tylko z zimna. Rozbójnik na razie trzymał się z boku, lecz robił się coraz bardziej ponury. Co pewien czas omiatał celę wzrokiem, spotykając się z moim spojrzeniem.

Zbójca nie dowierzał dobrodusznym zapewnieniom staruszka. Miał na sumieniu takie czyny, że nie tylko Sędzia, ale zwykły wiejski starosta bez gadania posłałby go na szubienicę.

– Lepiej, żeby od razu wzięli.

Drgnąłem na dźwięk jego głosu. Okazało się, że jednocześnie myśleliśmy o tym samym.

– Lepiej, żeby od razu wzięli – powtórzył uparcie, patrząc obok mnie – i osądzili… od razu za wszystko…

Westchnął. Od jego oddechu zakołysały się płomyki świec. Złodziejaszek znowu zaszlochał, kobieta poruszyła ustami, w oczach starca błysnął niepokój i zaraz znikł, zastąpiony cierpliwym uśmiechem.

– Nikt nie wie o tobie tyle, ile ty sam wiesz. I co z tego? Nie osądzasz się? Żyjesz dalej?

Zacisnąłem palce. W kamiennym kotle było chłodno. Bardzo chłodno.

Nazywam się Retanaar Rekotars. Tydzień temu rzuciłem to miano prosto w oczy tych, co mnie aresztowali. Wymieniłem je jeszcze raz w kancelarii sądowej. Wydawało mi się, że to wystarczy i dlatego od tamtej chwili milczałem. Nie otwierałem ust. Ostatni przebłysk honoru rodu Rekotarsów…

Moje miano niczego nie powiedziało miejscowym prostakom. Nic a nic. Obojętnie przejrzeli moje papiery. Kiedy wprawne palce przebierały Certyfikat, miałem wrażenie, że obmacują mnie samego.

Jak to? Wielki Mag Damir, od którego wywodzi się słynny ród Rekotarsów? Jak to? Baron Jimenez? Zakrętasy na starym pergaminie… Biedni strażnicy ledwie umieli czytać.

Milczałem w odpowiedzi na głupie oskarżenia. I kiedy wrzucili mnie do celi z zawszonymi włóczęgami. I kiedy mnie prowadzili na Sąd. A teraz, w chłodzie i oczekiwaniu tej nocy, wydało mi się, że jeśli nie rozwiążę języka, słowa kipiące we mnie znajdą sobie inne ujście. W najlepszym przypadku wyskoczą uszami.

– Jak to jest? – zapytałem nieswoim, ochrypłym głosem. – Komu Sędzia ogłasza wyrok? Skazanym? Żeby, jak myślę, biegli swobodnie do kąta i szeptali mu na ucho sentencję?

Nikogo nie zdziwiła moja nagła gadatliwość. Rozbójnik wcisnął głowę w ramiona. Ten pokorny gest w żaden sposób nie pasował do jego mocno zbudowanej sylwetki, jedynego oka i czarnej brody.

– Sędzia jest zarazem katem – rzekła kobieta, rozglądając się nerwowo, podobnie, jak czynił to dotychczas zbójca.

– Jak osądzi, tak będzie, to pewne… Na mnie donieśli, że tego kupca otrułam. Nie trułam go, udaru dostał, tylko jego pieniążki zebrałam.

Przygryzła wargę i powtórzyła gest zbója: wcisnęła głowę w ramiona. Przyłapałem się na przykrej chęci, aby zrobić to samo.

– A pana o co oskarżają, paniczu?

Proste i życzliwe pytanie. Nim przebrzmiało, poczułem, że podbródek drga mimowolnie. Staruszek zmieszał się.

– No… Nie chciałem…

– Sędzia zaraz się zorientuje, że jestem niewinna – szybko wtrąciła niewiasta. – Nie jestem winna jego śmierci! Nie! Nie!

– Nie pleć – doradził łagodnie staruszek. – Są dowody, że go trułaś? Znaleźli przy tobie trutkę? A może w brzuchu nieboszczyka? A może ktoś widział, jak mu zadałaś jadu?

Kobieta pokręciła głową.

– Dowody! – powtórzył stary, wznosząc długi, cienki palec. – Skoro nie ma dowodów…

– Dureń! – ochryple zaszeptał zbójca. – Sędzia… On…

Kobieta otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale nie zrobiła tego. Wszyscy zamilkli jak na komendę. Cisza zaległa celę. Płomyki świec jakiś czas stały nieruchomo. Poczułem zimno wędrujące po skórze.

Zdawało się, że w górze szczęknęła zasuwa. Strażnik?

Żelazna pokrywa pozostała nieruchoma. Coraz trudniej było oddychać. Zamorzą nas tutaj jak szczury i może na tym właśnie polega sprawiedliwość Nocy Sądu?!

– Cicho – szepnął rozbójnik, choć wszyscy i tak wstrzymali oddech. – Cicho…

Tuż obok mej twarzy wędrowała po kamieniach szara stonoga z przezroczystym brzuchem.

Płomienie świec zadrżały. Nie zakołysały się mocno, jak od silnego podmuchu, lecz płynnie, giętko, jak denne wodorosty. Zdążyłem zauważyć, jak rozbójnik zmienił się na twarzy, jak wydłużyła się umorusana fizjonomia złodziejaszka, jak baba wyciągnęła dłonie, jakby się chciała osłonić przed lecącym z góry kamieniem. Wszyscy bez wahania garnęli się do staruszka, szukając u niego pomocy i pociechy. Nikt nie chciał siedzieć wsparty o kamienie,

zimne jak płyty nagrobne…

Świeczki zgasły. Zresztą i tak były już niepotrzebne.

Stał pośrodku celi. W pierwszej chwili wydało mi się, że jest bezcielesny, przez fałdy jego szaty przeświturje przeciwległa ściana, a krótkie nogi wiszą nad ziemią. Być może było tak przez moment, lecz sekundę później stał już mocno na rozstawionych nogach w grubych, chłopskich trzewikach i był tak samo realny, jak ja, rozbójnik, złodziejaszek, czy stonoga na murze.

Ostrożnie poszukałem oczami tajnego przejścia. W mlecznobiałym świetle, upodobniającym celę do kamiennego skopka, ściany zdawały się wciąż nieruchome i nieprzystępne. Żadnej szczeliny. Żadnej szpary, w którą duch mógłby wsunąć widmowy klucz…

Czyżby rzeczywiście był widmem?!

Nie wydawał się stary. Maleńką główkę pokrywała ciężka, szarawa peruka, wątłe ciało tonęło w głębokich fałdach sędziowskiej togi, wielkie buciory zdawały się ciężarkami, kotwicami na cienkich, czarnych, pajęczych nóżkach. Nie wydawał się również straszny ani majestatyczny, a przecież nawet odprawiający sąd wiejski starosta stara się wydawać bardziej imponujący i mądrzejszy niż zwykle…

– Witajcie, moi państwo.

Dźwięk jego głosu sprawił, że cały spłynąłem zimnym potem.

Nie cierpię zgrzytu żelaza na szkle. Nienawidzę cichego trzasku rwącej się pajęczyny. Głos Sędziego zawierał w sobie wszystkie tego rodzaju dźwięki w taki sposób, że miałem ochotę zatkać uszy.

Złodziejaszek skurczył się na kamiennej posadzce, ze wszystkich sił zaciskając dłonie na brzuchu. Kobieta czknęła. Staruszek siedział nieruchomo i spokojnie, jakby był u siebie. Rozbójnik przywarł do jego kolana, przez co ogólny obraz przedstawiał się gorzej, jak na ludowym drzeworycie, ukazującym dość fałszywie żywot dobrego pustelnika…

– No cóż…

Sędzia rozejrzał się, jakby szukał wygodniejszego miejsca, potem wsparł się plecami o ścianę i splótł palce dłoni na piersi.

– Stąd dobrze widzę wszystkich.

Miał małą, ciemną twarzyczkę, z gładko ogolonym podbródkiem i długim, haczykowatym nosem. Pasma siwej peruki niesfornie opadały na czoło, spod nich zaś błyskały oczka, przypominające czarne główki od szpilek.

– Każdego z obecnych przywiodła tutaj osobista przewina. No cóż, zacznijmy.

– Wysłuchaj, panie! – powiedziała błagalnie niewiasta. – Wszystko opowiem… ja nie…

– Nie będę słuchał.

Pod jego kłującym spojrzeniem język więźniarki posłusznie

skołowaciał. Szukając wsparcia, wczepiła się palcami w odzież staruszka, który zresztą nie wydawał się już tak dostojny. Twarz miał pobladłą, a w emanującej od Sędziego mlecznej poświacie, wydawała się wręcz trupioblada.

Grzałem ścianę swymi plecami, nijak nie mogąc jej rozgrzać, jakbym miał za sobą taflę lodu, od której prędzej zamarznę, niż ona się stopi pod mym wpływem. Czekałem, na swoją kolej w dumnym osamotnieniu, jak przystało na potomka rodu Rekotarsów, czując zarazem, jak okropna jest samotność w takiej chwili…

Urocze słowo: „zacznijmy". Tak mówi cyrulik, pochylający się z kleszczami, by wyrwać komuś ząb albo lekarz, ostrzący lancet przed operacją, albo nauczyciel, zamierzający się rózgą…

Zacznijmy, powiedział Sędzia.

Nazywam się Retanaar Rekotars. W mym rodzie byli wielmoże i magowie. Certyfikat, który przechowuję w swoim podróżnym kuferku, był wydany mojemu pradziadkowi z męskiej linii przez pradziadka z linii żeńskiej w podzięce za wybawienie od straszliwego smoka, które to wybawienie jaśnie wielmożny baron Jimenez zawdzięczał Magowi z Magów, Damirowi, któremu przez jakiś czas usługiwał nawet sam Lart Legiar…

W dzieciństwie rozciąłem sobie dłoń, by zobaczyć płynącą w moich żyłach błękitną krew.

Teraz siedzę w kucki w kącie brudnej, cuchnącej celi, a pewien Sędzia, który wyszedł ze ściany, chce wydobyć ze mnie przewinienia. Szczególnie, bez wątpienia, to ostatnie, za które rozradowani miejscy strażnicy dopadli mnie na głównym trakcie, wywlekli z dyliżansu i zaciągnęli do tego przeklętego więzienia.

– Nie będę słuchał – powtórzył powoli Sędzia. – Nie ma o czym rozmawiać, bo i tak powiedzieliście już dosyć i zrobiliście, trzeba przyznać, niemało. Co do ciebie, kobieto, oskarżenie o morderstwo nie ma podstaw. Nie zabiłaś człowieka, który miesiąc temu zmarł w twoim łóżku.

Wszyscy obecni w celi, z wyjątkiem Sędziego, wciągnęli ze świstem powietrze. Potem staruszek zakaszlał, złodziejaszek zaskomlał, rozbójnik zasyczał przez zęby, a kobieta zamarła z szeroko otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami, oszalałymi ze szczęścia. Milcząc, coraz bardziej czerwieniała na policzkach. Nie śmiała nawet odetchnąć.

– Ostatecznie jednak – podjął Sędzia skrzypiącym, lekko ironicznym tonem – popełniłaś szereg wykroczeń: ograbiłaś nieboszczyka, kupczyłaś ciałem. Wiedz, że od dzisiejszej nocy objęcia mężczyzny będą ci przynosić cierpienie. Jeśli zechcesz wrócić do swego procederu, on sam stanie się twoją karą. Rzekłem, a ty słyszałaś, Tiso zwana Materacem. To wszystko.

Kobieta wyglądała, jakby zapomniała oddychać. Jej twarz z czerwonej zrobiła się purpurowa, w końcu sina. Nikt nie domyślił się, by ją trzepnąć w kark, by wykrztusiła Wyrok tkwiący kością w jej gardle.

Nikt nawet na nią nie spojrzał. Wszyscy, w tym ja, myśleli tylko o sobie.

Sędzia zmienił pozę. Ciężkie buty głucho stuknęły o posadzkę. W fałdach togi na chwilkę błysnął masywny zloty łańcuch i natychmiast znikł pod aksamitem.

– Kto chce być następny?

Sędzia uśmiechał się otwarcie. Maleńka główka zakołysała się, peruka ostatecznie zjechała na czoło. Poprawił ją niedbałym gestem, jakby poprawiał czapkę.

– Może ty, Kliwi Młynarczyku?

Złodziejaszek drgnął. Poderwał się, opadł na kolana i podpełzł na kamieniach bliżej sędziowskich trzewików. Zawył żałosną śpiewkę:

– Ja… a… przyzna… kradł…

Utalentowany chłopaczek. Mógłby zarabiać na życie wiązankami popularnych piosenek.

– Kradłeś – potwierdził beznamiętnie Sędzia. – Doigrasz się kiedyś stryczka. A zresztą, nie. Odtąd cudze pieniądze będą cię parzyć jak ogień. Jeśli cię kiedyś powieszą, to za coś innego… Rzekłem, a ty słyszałeś, Kliwi. To wszystko.

W celi znów zrobiło się cicho. Poszukałem oczami stonogi, ale już jej nie było.

– Teraz ty.

Sędzia znowu przestąpił z nogi na nogę, zatrzymując spojrzenie na rozbójniku. Do jakże żałosnego położenia można doprowadzić barczystego, silnego mężczyznę. Kto to widział, żeby leśny zbój kurczył się ze strachu jak mała sierotka.

Sędzia milczał chwilę. Dość długo studiował wykrzywioną zbójecką fizjonomię, w końcu oświadczył w zadumie:

– Dziwnym jesteś człowiekiem, Aharze, zwany Ropuchem. Każda twoja zbrodnia ma liczne okoliczności łagodzące. Sporo ludzi jednak ubiłeś, więc musisz być ukarany.

Po celi przebiegło zdławione westchnienie.

– Poszukiwałeś swej drogi i cierpiałeś…

Zadumany Sędzia odsunął kosmyk peruki z ramienia na plecy.

– Żałowałeś za grzechy… Dlatego dostaniesz jeszcze miesiąc życia przed kaźnią. Rzekłem, a ty słyszałeś, Ropuchu. To wszystko.

Rozbójnik bezwiednie uniósł dłoń ku opasce zakrywającej pusty oczodół. I tak już pozostał, w pozie człowieka oślepionego jasnym światłem.

Sędzia znowu poprawił perukę, choć nie wydawało się to

potrzebne. Przesunął po kamieniach posadzki noskiem ciężkiego trzewika, westchnął głęboko i jego kłujące oczka spoczęły na mnie.

Do dziś nie wiem, czemu nie udławiłem się własnym językiem.

Ciemne oblicze Sędziego zmarszczyło się, jakby zjadł coś kwaśnego. Usta miał półotwarte, jakby zamierzał coś powiedzieć, lecz w tym momencie poczciwy staruszek zatrząsł się, jak w ataku padaczki. Wzrok Sędziego spełznął ze mnie jak stado robactwa. Przepłynął całą celę w stronę miejsca, gdzie jeszcze niedawno tulili się do siebie moi współwięźniowie. Teraz każde z nich żyło własnym życiem. Kobieta nadal próbowała wykrztusić duszące ją powietrze, złodziejaszek przewracał mokrymi oczami, nie wiedząc, śmiać się, czy płakać, zbój siedział na boku, zasłaniając nieistniejące oko przed światłem Nocy Sądu. Starzec pozostał sam. Jego twarz była bielsza niż wielka peruka Sędziego.

„Czy widma mogą mieszać się do ludzkich spraw?" Najwidoczniej miły staruszek miał się w końcu o tym przekonać. Sędzia zapomniał o mnie chwilowo, a jego oblicze pociemniało. Cienkie wargi zacisnęły się, pozostawiając cieniutką szczelinę.

– Nie okłamuj sam siebie, Koch. Nie zdołasz się wykręcić.

– Potwarz – odparł ledwie słyszalnie stary. – Potwarze i plotki, nie ma żadnych dowodów. Ona była rozpustna i chorowita, stąd pomówienie…

Sędzia uniósł szpiczasty podbródek. Nagle okazało się, że maleńka postać z wielką peruką rzuca cień od razu na cztery strony i wszyscy siedzimy w tym cieniu i wydało mi się, że białe pukle peruki zaraz zatkają mi usta, nie dając oddychać.

Kaszlnąłem. Wrażenie znikło. Sędzia stał jak poprzednio pod ścianą, niewysoki i czarny, na pajęczych nogach. Złowieszcza cisza celi została zakłócona tylko moim nieprzyzwoitym chrząknięciem. Akurat musiałem się wychylić w złą godzinę, gdy lepiej było zachować milczenie.

– Zapłacisz za to szybko i strasznie, Koch. Twoje serce przegniło, zepsucie stało się widoczne. Pisana ci bolesna śmierć w ciągu doby. Rzekłem, a ty słyszałeś, jubilerze. To wszystko.

– Potwarz – powtórzył z uporem starzec.

Kobieta cichutko zapiszczała, zakrywając usta dłońmi, złodziejaszek uciekł na czworakach jak najdalej od starego i schował się w kącie.

Wzrok Sędziego znowu przeczesał celę, tym razem w odwrotnym kierunku. Wiedziałem, dokąd zmierza. Kiedy dwie szpileczki wbiły się we mnie, znowu się zakrztusiłem.

Sędzia zaczekał uprzejmie, dopóki nie skończę kaszleć. Kołysał małą główką w monstrualnej peruce. Wydał mi się podobny do grzyba, rosnącego na wilgotnej piwnicznej ścianie.

– Retanaar Rekotars…

Drgnąłem. W ustach tego grzyba moje rodowe miano zabrzmiało dziwnie, jak wymyślna obelga.

– Jesteś w bagnie, Retano, po pas w błocie. Brodzisz także we krwi… Poborca podatkowy powiesił się w bramie. Ktoś powie: dobrze mu tak! Jego śmierć obciąża jednak ciebie, Retano. Tam, gdzie zwykły zbój po prostu podrzyna gardło, ty snujesz misterne sieci intryg. Żyć będziesz jeszcze rok. Po upływie tego terminu czeka cię kaźń. Rzekłem, a ty słyszałeś, Retanaarze Rekotars. To wszystko.

Zapamiętałem słowo w słowo całą jego niespieszną, beznamiętną przemowę, lecz w pierwszej chwili nie pojąłem jej sensu. Siedziałem pod oślizgłą ścianą, mrugając powiekami jak przedtem złodziejaszek i pytałem sam siebie ze zdumieniem: to o mnie chodzi? Na pewno o mnie?

Sędzia pomilczał chwilę, ogarnął powolnym spojrzeniem niedawnych podsądnych, obecnie skazanych. Miałem wrażenie, że czarne guziczki, błyszczące pod białymi puklami, zatrzymały się na mnie dłużej niż na innych.

A może każdemu z nas tak się wydawało?

W końcu odwrócił się do nas plecami. Czarna toga była miejscami przetarta i lśniła na ramionach.

Zrobił krok i wszedł w ścianę. Do ostatniej chwili myślałem, że jednak rozbije o nią głowę.

Stałoby się tak, gdyby nie był widmem. A może nic z tego nie rozumiałem.

Sędzia znikł, a wraz z nim zgasła mleczna poświata. Wróciła ciemność.

Rankiem – chociaż w podziemiu poranek ani wieczór wydają się nie istnieć – przyszli po nas. Naczelnik więzienia wydawał się dumny z siebie i zadowolony, tak jakby to on potrafił przechodzić przez ściany i rozporządzać ludzkimi losami. Pierwszy strażnik, siwy i przysadzisty, patrzył chmurnie w podłogę, za to jego pomocnik, wesoły młokos, koniecznie chciał zadawać głupie pytania. Starszy zdzielił go kułakiem między łopatki i młodzik od razu pojął swoją niezręczność.

Na niebie królował poranek. Rozbójnik, chłonąc twarzą promienie słońca, zadyszał gwałtownie i opadł na ręce strażników. Złodziejaszek chichotał głupawo. Czułem jak mi miękną kolana i nie miałem ochoty oglądać się na idących z tyłu staruszka z kobietą. Most opadł z ogłuszającym zgrzytaniem. Poprowadzili nas ponad fosą, nad ciemną wodą, w której pływały bierwiona. Przyjrzawszy się uważniej, spostrzegłem, że rzekome kawały drewna spoglądają na nas zgłodniałymi oczami. A może tak mi się tylko zdawało. Czym prędzej odwróciłem wzrok.

Wyprowadzili nas za bramę i zostawili na środku drogi, w kurzu, cykaniu świerszczy, pod bezchmurnym niebem. Odprowadziliśmy strażników długim spojrzeniem, potem, nie porozumiewając się, usiedliśmy na trawie. Właściwie, tylko ja usiadłem, pozostali uczynili to zgodnie ze swymi charakterami: rozbójnik runął na ziemię, złodziejaszek skoczył, staruszek przysiadł ostrożnie, kobieta kucnęła.

Nikt się nie spieszył z odejściem, jak gdyby surowe mury aresztu sądowego do tej pory oddzielały nas od pola i drogi, od nieba i świerszczy, od możliwości pójścia dokąd się chce. Długi czas nikt nie otwierał gęby. Brakowało słów lub wszystko było jasne.

– Za krótkie ręce – wydusił w końcu głucho, z wysiłkiem staruszek.

– Dureń – odezwał się ponuro zbój. – Niby krótkie, ale dosięgną…

– Nic nam nie będzie – powiedział złodziejaszek, uśmiechnięty od ucha do ucha. – Wypuścili nas… wypuścili!

Kobieta milczała, nieszczęśliwa, niepotrzebna, z głęboko zapadniętymi oczyma. Zresztą, przy dziennym świetle okazała się trochę młodsza, niż sądziłem.

Jakiś strach trzymał nas razem? I czy to był strach?

Dlaczego, na przykład, otrzymawszy z powrotem swoje papiery, a nawet resztki swoich pieniędzy – większą część zabrali „na utrzymanie", czyli zawszone sienniki, jak sądzę! – dlaczego, odzyskawszy wolność, każdy nie poszedł swoją drogą, lecz zasiadł w tawernie ze swymi towarzyszami niedoli?

Sędzia rzekł, a myśmy słyszeli. Noc Sądu zbiła nas w zastraszone stadko, choć nie na długo. Nikt jednak nie chciał oddalić się jako pierwszy.

Najweselszy z nas był rzezimieszek, który przywykł do życia dniem dzisiejszym, wręcz obecną chwilą. Dopóki było strasznie, to się trząsł, kiedy skończył się lęk, chwytał życie pełnymi garściami. Rozbójnik też się weselił, hałaśliwie i histerycznie. Władnąca nim rano beznadzieja znikła w starciu z chmielową pociechą. Po dwóch kuflach jednooki postanowił porwać Sędziego i utopić go w kloace. Starzec nie pił. Siedział na skraju ławki, wspierając się delikatnie ostrym łokciem o stół i powtarzał jak katarynka w kółko to samo:

– Widma nie mają władzy nad ludźmi! Strachy na wróble! Widma nie mają władzy nad ludźmi! Strachy na… Widma nie mają władzy… Nie, nie, nie!…

Poczułem dłoń na ramieniu. Nozdrza drgnęły, rozpoznając słodką woń perfum.

– Pójdź ze mną, panie – oznajmiła kobieta – mam sprawę.

Obmyła się tymczasem przy studni i wydobyła z torby lepszą sukienkę. Mokre włosy ułożyła na kształt fryzury. Jej blada, zmęczona twarz wydawała się teraz całkiem miła. Tylko perfumy zdradzały, że

jest łajzą. Odrobinę zbyt mdłe. Odrobinkę.

Zakołysałem się, wstając od stołu. Skoro piję z rozbójnikiem i złodziejaszkiem przy wtórze starczego bełkotu, dlaczego nie miałbym przychylić ucha na prośbę czysto wymytej zdziry?

Usunęliśmy się do oddalonego kąta. Kobieta zmieszała się, nie wiedząc, jak do mnie się zwracać. Do szlachcica powinno się mówić „panie", jak jednak traktować arystokratę, który czasem ląduje w areszcie z wszami i wszelakim paskudztwem?

– Panie, ja… nie otrułam tego kupca, tamten dobrze powiedział, ale cała reszta… Nie pytam, panie, co nabroiłeś, że dał ci tylko rok życia…

Patrzyłem w jej okrągłe, błękitne, niewinne oczęta. Nie wrzasnąłem na całą oberżę: Zamknij się, idiotko, co ty bredzisz?!

Zadrżała pod mym spojrzeniem, mrugając nerwowo.

– To znaczy… Tamten jubiler na pewno zmarnował dziewczynę, ja to wiem. Twierdzi, że widma nie mają władzy nad ludźmi, lecz chciałabym to sprawdzić…

Zamilkła wyczekująco.

– Co sprawdzić? – spytałem tępo.

– Czy mają władzę – wyjaśniła cierpliwie. – Jeśli wyrok był tylko zwykłym straszakiem, jak on majaczy, jeżeli strażnicy są głupi… Trzeba to sprawdzić.

Znów wyczekująco zamilkła, zaglądając mi w oczy.

Rozbójnik wył jakąś pieśń, przymykając jedyne oko. Pozostali goście kryli się po kątach, dobrze wiedząc, że właśnie tutaj zapijają przeżyty strach „przestępcy, których wypuścili z więzienia sądowego". Zebrało się sporo ciekawskich, lecz nie byli głupcami i nikt nie zamierzał zbliżać się do pijanego zbója.

Potrząsnąłem głową.

Gdzieś się podziała moja wrodzona bystrość. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, w jaki sposób niewiasta zamierza sprawdzić rzetelność naszych wyroków.

Co tam Sędzia oznajmił biedaczce? „Objęcia mężczyzny będą ci przynosić cierpienie"?

Uśmiechnęła się z przymusem, jakby przepraszająco.

– Niech pan sobie nie wyobraża niczego specjalnego. Chcę tylko sprawdzić. Trzeba wiedzieć, ile prawdy w tym, co mówi tamten o władzy widm. Kiedyś mówiła mi babka nieboszczka…

Znowu zamilkła. Wydekoltowana suknia niemal wystawiała na widok cały biust, niezbyt cienka talia ściśnięta była bezlitośnie gorsetem, biodra pod strojną spódnicą zdawały się krągłe jak gruszka.

Moje oceniające spojrzenie zostało przyjęte jako oznaka zgody. Kobieta wygięła się śmielej, równocześnie rumieniąc się niby wstydliwie.

– Pan jest naprawdę… przystojny. W życiu nie widziałam takiego amanta. Dogadałam się już z oberżystą w sprawie izby.

I jak tu się nie czuć mile połechtanym.

Zerknąłem smętnie na towarzyszy. Ale się trafiło towarzystwo potomkowi Rekotarsów: pijany zbójca, młody rzezimieszek oraz siwiuteńki gwałciciel i morderca. A prawdę powiedziawszy?… Dziwka jak dziwka. W zasadzie nawet dość apetyczna. Do tego nieszczęśliwa. Co zrobi, gdy się okaże, że wyrok Sędziego ma nad nią moc?

Zadrżałem. Wino pozwoliło mi zapomnieć przez chwilę o białej peruce i pajęczych nóżkach. W jednej chwili wszystko sobie przypomniałem: stonogę na ścianie, zwróconą ku mnie pouczającą tyradę, obwieszczony później wyrok, areszt sądowy. Jakiekolwiek zainteresowanie sekretami, jakie skrywała suknia ladacznicy, rozwiało się w proch.

– Dogadaj się całkiem z oberżystą – doradziłem, odwracając głowę – żeby nie płacić za izbę.

Nie oglądając się na nią, wróciłem na swoje miejsce za stołem obok zbója, co właśnie zarył mordą w sosie grzybowym, pijaniuteńkiego złodziejaszka i starego jubilera, który, plując żółcią i miarowo stukając palcem o blat, ciągle powtarzał swoje:

– Widma nie mają władzy nad ludźmi! Strachy na wróble! Widma nie mają władzy nad ludźmi! Strachy na… Widma nie mają władzy…

Nie okazała urazy. Widziałem przez mętną zasłonę wypitego wina, jak niewiasta łasi się kolejno do oberżysty, posługacza, a nawet do kucharczyka, wszyscy jednak dawali jej odmowną odpowiedź.

Nieraz już widzieli takich jak my, skazańców. Przez karczmę przewaliły się tłumy nędzników, ogłupiałych od nagle odzyskanej swobody.

Być może, spoglądający na nas bojaźliwie goście wiedzieli więcej od nas o wyrokach Sędziego i dlatego jedyna, wyperfumowana kobieta zupełnie nie miała wzięcia. Nawet u małego podkuchennego, któremu z pewnością nieczęsto zdarzał się taki uśmiech losu. Rozbójnik spał z głową na blacie, złodziejaszek ślinił się półprzytomnie, ja zachowałem nieprzystępną postawę. Pozostał jej tylko staruszek.

Na dłuższą chwilę straciłem świadomość, a kiedy się znowu ocknąłem, był już środek nocy. Czysto wymyta podłoga pachniała mokrym drewnem, zbój chrapał na ławie, poza tym tawerna była pusta, tylko na schodach wiodących na górę ku izbom do wynajęcia, dawały się słyszeć skradające się kroki. W ciemności błyskał ogarek świecy, rzucający cienie na ściany w takt owych kroków.

Wyprostowałem się z trudem. W głowie mi się kręciło, jak na karuzeli. Przeklęta karuzela…

Staruszek miał fart. Nie wypił ani kropelki, jakby się tego

spodziewał. Upił się pokusą i teraz kroczył ostrożnie, wdychając mdły zapach perfum. Skrzypnęły otwarte drzwi…

Przetarłem twarz dłońmi. Karuzela trochę przystopowała. Okropna noc. Wdychając dzisiaj kurz i zapach trawy, patrząc w słońce, wierzyłem, że moje życie zacznie się na nowo, zapomnę o wilgotnych murach, stonodze i wszach, zapomnę ostatni miesiąc.

„Jesteś w bagnie, Retano, po pas w błocie. Brodzisz także we krwi…”

Wielkie nieba, dlaczego na tym świecie rodzi się tylu głupców? Skoro na jarmark przyjeżdża poborca podatkowy, mógłby ktoś uważniej sprawdzić jego papiery! Chociaż pomrukiwali z niezadowoleniem, nikt tego nie zrobił, bojąc się mieć zatarg z władzami. Poborca brał tylko pieniądze, nie przyjmował w naturze. Interesowała go zawartość mieszków, nie koszyków. Czy zresztą tak strasznie ich grabił? Skoro rodowy majątek w ruinie, nie wyciśnie się zeń dochodów, jak nie wydoi kamienia, a w końcu potomek Rekotarsów musi żyć na poziomie, nieprawdaż?!

Uciekłem na dzień przed przyjazdem prawdziwego poborcy. Tamtego od razu obili, uznając za samozwańca. Podatki były wszak opłacone. Miejscowy władca przysłał oddział straży, by zaprowadzić porządek. Jarmark źle się skończył. Kogoś tam ponoć stratowali na śmierć…

Słyszałem później, że władca odebrał zapłatę za interwencję od nieszczęsnego poborcy. Ten zaś powiesił się w bramie. Wszystko opowiedzieli mi plotkarze. Musieli też na mnie donieść. Inaczej, jak wytłumaczyć, że zostałem schwytany na gościńcu dwa dni drogi od miejsca zdarzenia?

„Tam, gdzie zwykły zbój po prostu podrzyna gardło, ty snujesz misterne sieci intryg…”

Głupca nikt nie obwinia. Wszyscy mu współczują. Skoro jagnię zabłąka się w lesie, wina spada oczywiście na wilka. Jak pięknie to ujął Sędzia: „misterne sieci intryg". Jakby z książki wyczytał.

„Żyć będziesz jeszcze rok. Po upływie tego terminu czeka cię kaźń…”

Wzdrygnąłem się. Zaplątały mi się nogi. Na górze ktoś stąpał bosymi stopami. Bez wątpienia staruszek zbierał siły do przeprowadzenia eksperymentu. Czy wyrok Sędziego ma moc?

Może też są skończonymi durniami? Uważają, że jedna niemiła noc w towarzystwie cienkonogiego Sędziego będzie wystarczającą karą za rozpędzony jarmark i trupa wiszącego w bramie? Na piętrze zaraz zaskrzypi łóżko. Potem dziwka, wymęczona, ale szczęśliwa, zejdzie na dół i oznajmi ze śmiechem: stary miał rację we wszystkim! Widma nie mają władzy nad ludźmi, to tylko zwykłe straszenie.

Hm. A jeśli Sędzia wiedział o poborcy, to znaczy, że prawdą jest

wszystko, co mówił o jubilerze? Poczciwy starowina naprawdę zgwałcił i zamordował służącą?

Zrobiło mi się niedobrze. Wymyta podłoga zakołysała się w moich oczach, w głowie znów wirowała karuzela, miałem ochotę paść twarzą na stół i zasnąć bez pamięci…

Krzyk zakołysał płomykami świec. Kobiecy krzyk. Wycie śmiertelnie przerażonej. Jakby sznur od zasłony okręcił jej szyję i dusił.

Rozbójnik zamamrotał na ławie. Złodziejaszek przebudził się i rozejrzał bezmyślnie. W całym domu zaczęły trzaskać drzwi, z izby czeladnej wyskoczył wystraszony posługacz.

Tamta ciągle krzyczała. Bez ustanku.

Spróchniałe schodki nieomal załamały się pod nogami. Podskoczyłem do drzwi, za którymi kobieta zachłystywała się wyciem, wyłamałem je, poprawiając sztylet za pasem.

Izba była oświetlona jedną świeczką. Dziwka stała na łóżku, goła, jak nowo narodzona. Prawie dotykała czubkiem głowy sufitu. Wrzeszczała, przyciskając dłonie do nagich piersi. W pierwszej chwili wydało mi się, że w pokoju nie ma nikogo więcej, kobieta jednak patrzyła w dół, w kąt. Spodziewałem się zobaczyć w nim najgorsze rzeczy, choćby nawet wijący się jak wąż sznurek…

Wystarczyło podnieść wyżej świecę.

Leżał na wznak. Białka oczu błyskały czerwonawo. Wokół głowy rozlewała się czarna aureola krwi.

– A, a, a! – wyła niewiasta, zapominając o swej nagości i nie zwracając uwagi na tłumek, który wdarł się do izby za mną. – A, a! Głowa!

Pochyliłem się nad konającym. Okrwawione wargi starca drgały w udręce agonii, jakby chciał mi powiedzieć jeszcze coś ważnego, może ostatnią wolę. Dobrze wiedziałem, że już niczego nie powie. Zostały już tylko sekundy.

Wreszcie wyzionął ducha. Kobiecie za moimi plecami ostro kazano się zamknąć. Przysunąłem świecę do zastygłej twarzy tak blisko, że jeszcze mgnienie, a zaskwierczałaby siwa rozczochrana broda.

Staruszek był przybity do podłogi. Padł prosto na sterczący krzywo z deski długi, ostry gwóźdź.

Rano byłem już daleko.

Co mnie obchodziły tłumaczenia wystraszonego oberżysty, że umywalnik był przybity do podłogi, a potem go wynieśli, nie zauważając gwoździa?

Co mi do zapłakanej łajzy, która nie zdążyła niczego sprawdzić, skoro dziad, gramoląc się do łóżka, zaraz się poślizgnął i upadł? Karczmarz wszystko potrafił wyjaśnić, chociaż lękliwie wciskał głowę

w ramiona. To samo z dziwką, która pozwalała płynąć niewstrzymanie łzom i skapywać z podbródka na podłogę.

„Zapłacisz za to szybko i strasznie, Koch. Twoje serce przegniło, zepsucie stało się widoczne. Pisana ci bolesna śmierć w ciągu doby…”

Żegnaj, Koch. Żegnaj, morderco.

Dwadzieścia cztery godziny minęły.

Jeden dzień z trzystu sześćdziesięciu pięciu.

Słońce, wstające nad lasem, przypominało w moich oczach ogromny, wiszący nad światem zegar.

Rozdział drugi

Młoda kobieta siedziała na szerokim parapecie, obejmując kolana dłońmi. Dziewczęca poza do niej pasowała. Nie przejmując się, jak może być odebrana z zewnątrz jej niefrasobliwość, wyglądała przez okno, tam gdzie turkotały na bruku karety, nawoływali uliczni sprzedawcy, przechadzali się bogaci mieszczanie i biegały stadka umorusanych dzieciaków.

Po drugiej stronie szyby przysiadł na parapecie czarno-pomarańczowy motyl. Wydawało się, że ze skrzydełek spogląda dwoje czarnych, złych oczu.

– To „oczy maga" – powiedziała na głos, chociaż w pokoju nie było nikogo, kto mógłby usłyszeć i odpowiedzieć.

Motyl siedział jakiś czas, trzepocząc skrzydełkami, potem odleciał, niczym pomarańczowy ognik.

Wzdrygnęła się, jakby coś sobie przypomniała. Zeskoczyła z parapetu. Nieoczekiwanie drzwi otworzyły się przed nią, zanim zdążyła chwycić za klamkę. Do pokoju wtargnęła nieproszona dziewczynka, a raczej panienka, miała bowiem piętnaście lat i jej kształty powoli się zaokrąglały. Buzia jednak wciąż była wyzywająco podlotkowata, pryszczata, niemile arogancka.

– Byłaś w moim pokoju? – spytała panienka zamiast przywitania.

– Zaniosłam ci książki – odparła kobieta z wymuszonym spokojem.

– Prosiłam, żeby nie wchodzić do mej sypialni! – powiedziała dziewczyna, zwężając powieki do dwóch niebieskich szczelin. – Nikt, oprócz pokojówki!

– Uznaj, że jestem pokojówką – zareplikowała kobieta z kwaśnym uśmiechem. – Nie ruszałam twoich rzeczy.

Panienka zacisnęła usta. Kobieta ze smutkiem ją obserwowała. Znajome rysy ukochanego człowieka przeszły dziwną metamorfozę. Dziewczyna wydawała się karykaturą własnego ojca.

Kobieta westchnęła głęboko.

– Gdzie wczoraj byłaś, Alano? W „Północnej krowie"?

– Dlaczego miałabym nie być – parsknęła wyzywająco pannica.

– Ojciec prosił cię przecież…

Dziewczyna obróciła się na pięcie i poszła szybko na schody. Obejrzała się dopiero, gdy zeszła kilka stopni w dół.

– A ty, Tantalo? Spelunki, knajpy… Nigdy tam nie bywałaś?!

– Dziś rano ojciec zabronił odźwiernemu wypuszczać cię z domu – rzuciła smętnie kobieta w stronę dumnie oddalających się pleców.

Dziewczyna potknęła się. Znowu się odwróciła, mierząc rozmówczynię pociemniałymi oczami.

– Co?! To on… tak… Tym gorzej! Przekaż mu, że będzie gorzej!

Zbiegła na dół, zamiatając schodki krajem wygniecionej sukni.

Na dole otwarły się drzwi wejściowe. Lokaj pospieszył do przedpokoju, kłaniając się po drodze z głupawym, szerokim uśmiechem.

– Dobry wieczór, jaśnie panie! Wrócił pan?

Kobieta zdusiła w sobie chęć, by pobiec w ślad za lokajem. Poprawiła w lustrze fryzurę, uszczypnęła policzki, by nie wywoływać zaniepokojenia niezdrową bladością, i dopiero wtedy wyszła, czekając na szczycie schodów, aż białowłosy pan wkroczy na schodki, żółtawe, niczym klawisze fortepianu.

Był to swego rodzaju rytuał. Zawsze tu na niego czekała.

– Dobry wieczór, Tantalo.

– Dobry wieczór, Egercie…

Dobrze, że w wieczornym półmroku nie mógł zobaczyć dokładnie jej twarzy. Chorobliwie bladej twarzyczki z zapadłymi oczyma, czego nie mógł ukryć niewinny podstęp z podszczypywaniem policzków.

– Wszystko w porządku, Egercie?

Jej głos dźwięczał, jak zawsze, ciepłem i spokojem.

Skinął głową. Wzięła go pod ramię, próbując przywołać jakiś nic nieznaczący frazes, ale nic odpowiedniego nie przyszło jej do głowy. On także milczał. W owym milczeniu udali się do oddalonego pokoju, najbardziej przestronnej i jasnej sypialni.

Na stole płonęły świece w lichtarzu. W głębokim fotelu siedziała dama, której nikt nie ośmieliłby się nazwać starą. Czarne cienie kładły się na białej, wstrząsająco pięknej twarzyczce. Ciemne oczy patrzyły gdzieś w przestrzeń.

– Witaj, Tor – rzekł czule Egert.

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

Od trzech lat niczego innego nie robiła. Siedziała, wpatrując się w pustkę, a usłyszawszy znajomy głos, uśmiechała się i kiwała. Jej dusza wędrowała tak daleko, że nawet najbliżsi nie mogli do niej dotrzeć.

– Wszystko w porządku, Torio – dodała spokojnie Tantala. Poczuła, jak we wnętrzu zaciska się bolesny węzeł, ta jej część, która nie lubiła kłamać.

Dama w fotelu znów się uśmiechnęła i skinęła głową.

– Chodźmy – rzekł głucho Egert.

Skinęła po raz trzeci.

Tantala i Egert wyszli, zamykając ostrożnie drzwi za sobą. W korytarzu cierpliwie czekała opiekunka, strzegąca spokoju pani Torii. Przychodziła na noc, a rankiem zmieniała ją koleżanka, aby zabawiać panią pustymi rozmówkami i czytać jej książki, które jej nic a nic nie obchodzą…

– Co się stało? – spytał porywczo Egert, kiedy służąca zabrała ze

stołu niedokończoną kolację.

To, co widzą wszyscy, pomyślała smętnie Tantala.

– Alana?

– Zamknęła się w pokoju. Powiedziałam jej, że ty…

Zmarszczki na białym czole Egerta pogłębiły się.

– Myślałem o tym. Wiesz, miałem nadzieję, że ona… wyrośnie z tego. Tym bardziej po wyjeździe do Kawarrenu…

– Kawarren dobrze jej zrobił – mruknęła Tantala, wodząc palcem po wyszywanym obrusie.

– Trzeba było ją bić – stwierdził, wzruszając nerwowo ramionami. – Kiedy się to zaczęło. Trzeba było zmusić się…

– Bzdura – odparła melancholijnie. – Po prostu jesteś zmęczony… dzisiaj.

Egert splótł palce dłoni.

– Może znowu wywieźć ją do Kawarrenu? Tym razem na długo. Przeniósłbym się tam, gdyby nie Korpus…

– Kto jest ważniejszy dla ciebie: cudzy synowie, czy własna córka?

Ją samą zdziwiły słowa, które wyrwały się z ust nieproszone.

– Wybacz – cicho dodała. – Wydaje mi się, że przeprowadzka niczego by nie zmieniła.

Egert milczał.

– Wybacz – powtórzyła Tantala z niepokojem. – Mam już dosyć przekonywania ciebie, że nie ma w tym twojej winy. Alana…

– Tamte dni ją załamały – rzekł Egert, patrząc w blat stołu. – Czy jest w tym domu człowiek, wobec którego nie jestem winien, Tantalo?!

U góry trzasnęły drzwi. Dał się też słyszeć brzęk tłuczonych naczyń i po chwili do jadalni wbiegła wystraszona służąca. Widząc jej zakrwawioną twarz, Egert zerwał się od stołu.

– Co jest?!

– Panienka Alana – zaszlochała służąca – nie chce jeść kolacji i rzuca naczyniami…

Tantala poprawiła szal na ramionach gestem umęczonej staruszki.

Pośrodku podjazdu stała świnia.

Bez wątpienia, była to świńska królowa. Szare, plamiste cielsko zajmowało całą przestrzeń opuszczonego mostu od barierki do barierki, chociaż most nie był specjalnie wąski i w dawnych dobrych czasach swobodnie przejeżdżały po nim karety!

Świnia popatrzyła z niechęcią w moją stronę i odwróciła się. Jakim cudem miałaby mnie poznać, skoro kiedy ostatni raz odwiedziłem rodowe gniazdo, jej dziadek był jeszcze różowiutkim prosiakiem.

Cisza i upadek.

Gdyby tak wrogowie napadli na zamek… Oto on, bierzcie wszystko gołymi rękami. W fosie wyschła woda, a mechanizm zwodzonego mostu dawno całkiem zardzewiał.

Z drugiej strony, na co wrogom stara ruina, widmo dawnej chwały Rekotarsów?

– Spadaj – rzekłem do świni.

Nie zwróciła na mnie uwagi, tylko szare ucho drgnęło, płosząc muchę.

Dokąd wraca podróżnik, dokąd zawiodła go droga? Oczywiście do domu ojca. Nawet jeśli zamiast odźwiernego wita go szara świnia, zamiast przyjaciół zobojętniałe psy, a zamiast troskliwych rodziców rozleniwiony, półślepy sługa. Siedząc u kominka w salonie zarośniętym pajęczynami, nie mogłem sobie przypomnieć, dlaczego tak tutaj spieszyłem. Skąd wzięła się owa złudna nadzieja, że kiedy wrócę do domu, wszystko się zmieni jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Jak należało oczekiwać posiadłość nie przynosiła żadnych dochodów, a mizerna renta starczała tylko na wyżywienie domowników. Pierwszego wieczoru główny zarządzający Iter przyniósł mi, wzdychając, stertę zakurzonych ksiąg rozchodowych. Przewracając z obrzydzeniem gęsto zapisane strony, dałem sobie spokój z buchalterią. Nawet jeśli stary sługa trochę podkradał, miał do tego prawo.

Następnego dnia odkryłem kuferek ze swoimi rzeczami z dzieciństwa. Pośród zeszytów szkolnych znalazłem pomysłowo namalowany kalendarz. Zrobiłem go sam dwadzieścia lat temu pod kierunkiem nauczycieli. Na brzegu drewnianego koła wił się korowód cyferek, bliżej środka znajdowały się krzywo wypisane nazwy miesięcy i każdej z nich towarzyszyła odpowiednia ilustracja. W dzieciństwie lubiłem rysować. Pyzate słońce przebierało promykami niczym palcami, falowały brody wiatrów, z ciężkich chmur sypał się śnieg. Przysiadłem na krawędzi kufra, wspominając ten wieczór sprzed dwudziestu lat, kiedy wytrzeszczając oczy z wysiłku, pokrywałem lakierem gotowy obrazek.

Teraz trzymam w rękach własne życie. A właściwie, jego żałosny ostatek, skoro od ogłoszenia Wyroku minęły już dwa tygodnie, tak więc pozostało mi czternaście dni mniej z trzystu sześćdziesięciu pięciu.

Znalezioną w biurku igłą starannie zaznaczyłem dzień, od którego, zgodnie z wolą Sędziego, zaczął się ten najważniejszy okres w życiu.

Potem wezwałem Itera, przebrałem się w najlepsze rzeczy, przypasałem szpadę, jak przystało następcy Rekotarsów i udałem się do wsi.

Starosta wystraszył się w pierwszej chwili, zapewne sądził, biedaczek, że chcę od niego pieniędzy. Słowo „podatki" od jakiegoś czasu raniło moje uszy, dlatego też z miłym uśmiechem zdusiłem w zarodku nieprzyjemny temat. Starosta wyraźnie poweselał, lecz zaraz się speszył, dowiedziawszy się, czego potrzebuję. Potarł okrągłą łysinę i rzadką brew, potem odrzekł z wahaniem:

– Panie Retanaar, co do tego… Magów w ostatnich czasach namnożyło się jak szczurów. Gdzie się człek nie ruszy, w każdej wiosce czarownik. Sporo wśród nich oszustów, ale są też prawdziwi, jeśli pamięta pan, chutor w dole rzeki rok temu zalała powódź, nawałnica w środku lata. Wiem, czyja to sprawka, ale lepiej się nie narażać. Dawniej, gadali, bez magów było jeszcze ciężej, ale lepiej z takimi się nie zadawać! Mój synek z głupoty rozdrażnił takiego… i następnego dnia pośrodku dziedzińca jak nie łupnęło! Dziurę wypaliło, kurę zabiło, więc ja zaraz prezenty na furmankę i zawiozłem tej gadzinie. Szczerzył się, chichotał, podarki przyjął. Niech pamięta o mej szczodrości. Szczęściem tylko kura ucierpiała…

– Który to? – zainteresowałem się od niechcenia.

Starosta skrzywił się.

– Na jego imieniu można połamać język, jaśnie panie. Wydrapię je na tabliczce. Szczęściem potrafię pisać…

Zdziwiły mnie takie ostrożności. Starosta posłał chłopaka po deskę graficzną, długo się nad nią męczył, wspomagając się językiem, w końcu zademonstrował mi wypisane niezgrabnymi kulfonami nazwisko: „Czarno Tak Skoro".

– Na pewno prawidłowo napisane? – spytałem z powątpiewaniem. – Dziwaczne imię.

– Przecież to mag – odparł starosta, wzruszając ramionami.

Najwidoczniej uważał, że czarownikom właściwa jest każda ekscentryczność: od dziwnie brzmiącego miana po trzecie ucho na potylicy.

– Gdzie mieszka?

Starosta nawet nie ukrywał grymasu obrzydzenia.

W okolicy dogoniła mnie starucha, którą rozpoznałem. Była stara odkąd pamiętam, zawsze nosiła tę samą, ciemnoczerwoną spódnicę, miała obwisłe, pomarszczone policzki i czarniawy wąsik nad górną wargą. Była znachorką i zielarką, a wysługiwała się głównie niewiastom.

– Pa… paniczu… Nie idźcie do Czarnego, to łotr i ostatni bydlak, przysporzy wam biedy. Jeśli potrzebne panu jakieś ziele, ja mogę dać, a jeśli trzeba kogo pozbawić życia… to trudniej, ale także pomogę, a do Czarnego nie chodźcie, on nie ma ni krzty sumienia…

Staruszka wydawała się prawdziwie zatrwożona. Poczułem się zadraśnięty w swej dumie i hardy podbródek Rekotarsów sam z siebie

uniósł się do góry. Babina zmieszała się.

– Nie chciałam jaśnie pana obrazić…

Przysiadła w nieudolnej parodii dygnięcia, odwróciła się i szybko uciekła.

Dom był nowiuteńki, urządzony bogato i z niewątpliwym smakiem, lecz brakowało mu stylu, który nawet kompletną ruinę potrafi przeobrazić w rodową rezydencję. Siedziba pana Czarno Tak Skoro nie nawiązywała do przeszłości. Parę lat temu przegnał swego konkurenta i zagnieździł się na wzgórzu z całym swoim dobytkiem.

Długo musiałem wspinać się pod górę. Z pewnością kręta i niewygodna droga stworzona została ze względu na niemile widzianych gości. Zapewne Czarno i tak lata na ożogu…

Przed wejściem zatrzymałem się. Nie z powodu nieśmiałości, po prostu oddałem się nostalgii: według rodzinnej legendy na podobnym wzgórzu stał dom mego przodka, Wielkiego Maga Damira, który był surowy, lecz nie krzywdził niewinnych, przyjaźnił się z Wieszczbiarzami, a sam zbawca świata, Lart Legiar usługiwał mu jakiś czas…

Moje przybycie zostało zauważone. Siedząca na bramie czarna wrona zerknęła na mnie błyszczącym okiem i zakrakała, otwierając szeroko dziób.

– Kto ty?!

Mam pewną słabość: kiedy ktoś na mnie wrzeszczy, sam także zaczynam wrzeszczeć.

– Kto ty?! – powtórzyła jeszcze głośniej.

– Krowa na granicy! – odkrzyknąłem.

Ptaszysko zatrzepotało skrzydłami, próbując zachować równowagę.

Jakiś czas było całkiem cicho. Wrona patrzyła w bok, ignorując moją obecność. Wreszcie brama skrzypnęła. W rozszerzającym się otworze ukazała się najpierw dłoń z wąskimi paznokciami na długich palcach, a w ślad za nią gospodarz we własnej osobie. Nie było wątpliwości, że jest magiem, gdy raz się spojrzało w wąskie szpary skośnych, niemal szalonych oczu.

Od razu zauważyłem, że czarnoksiężnik jest łysy jak kolano. Na nagiej czaszce igrały wesoło promienie słońca.

– Pan Czarno Tak Skoro? – upewniłem się, składając ceremonialny ukłon.

Mag uniósł brew ze zdziwieniem. Jakąś chwilę spoglądaliśmy na siebie. Właściciel domu na wzgórzu był trochę ode mnie starszy. To nie wiek ogołocił mu czaszkę, lecz wyglansowała ją do połysku ostra brzytwa golibrody.

– Jak? – odpowiedział w końcu pytaniem.

– Chciałbym ujrzeć pana Czarno Tak Skoro – powtórzyłem

cierpliwie i wyraźnie. – Wskazano mi ten dom.

Długa twarz mego rozmówcy zmarszczyła się, jakby chciał się roześmiać. Źrenice skośnych oczu zbiegły się u podstawy nosa.

– Nazywam się: Czanotaks Oro. Co się tyczy czarnego, skorego i innych przezwisk, niech pan będzie łaskaw kopnąć w zadek swego informatora.

Bardzo nie lubię czuć się jak idiota. Zapewne to nieprzyjemne uczucie sprawiło, że przymknąłem oczy na niegrzeczność gospodarza.

– Proszę o wybaczenie – odparłem z najmilszym uśmiechem, na jaki było mnie stać. – Pozwoli pan, że się przedstawię, panie Czanotaks. Jestem prawnukiem Wielkiego Maga Damira. Być może słyszał pan, że w zamku nad jeziorem włada obecnie niejaki Retanaar Rekotars…

Jego spojrzenie pozostało nieprzeniknione, jak u ryby. Nie zniżył się do ukłonu, poprzestając na zdawkowym kiwnięciu. Całkiem, jakby dowiedział się, że wypasam owce na pobliskiej łące.

Stłumiłem rozdrażnienie. Najprościej byłoby obrazić się i odejść, ale nie byłaby to strata dla maga. Jajogłowy niczego ode mnie nie pragnął. Ja natomiast nie zwykłem rezygnować z proszonej kolacji u pięknej panny, tylko dlatego, że nie spodobała mi się gęba kucharza…

– Mam sprawę do pana czarodzieja – oznajmiłem, hardo patrząc w rybie oczy. – Nie cierpiącą zwłoki.

Oczekiwałem, że pracownia maga będzie pogrążona w półmroku, lecz musiałem osłonić dłonią oczy od słońca bijącego w okna. Trzy spore lustra odbijały słoneczne promienie, odbijając się jasnymi plamami na wysokim suficie, które trudno byłoby nazwać „zajączkami". Nie było w nich niczego wesołego, były to w najlepszym razie „słoneczne majaki", wielkie, krowiaste, niemiłe z wyglądu. Od spoglądania na nie od razu rozbolał mnie kark.

Mag zaoferował mi fotel, wygodny jak stołek przesłuchiwanego. Udawałem, że jest mi w nim wygodnie.

Dziesięć minut trwała rozmowa o niczym. Chwaliłem się starożytnością swego rodu, oglądając broń wiszącą na ścianach. Byłem przyzwyczajony do takiego zachowania, odwiedzając cudze rezydencje. Pan Czarno Tak Skoro (ciągle w myślach nazywałem go tym doklejonym przezwiskiem) nie używał zapewne tego oręża. O profesji gospodarza świadczyły wiszące tu i ówdzie pęki grubych nici, przypominające skołtunione, brudne włosy, którym nie miałem chęci się przypatrywać.

Czarno Tak Skoro siedział naprzeciwko za niewysokim biurkiem, wspierając łokcie o blat, a podbródek na splecionych palcach. Trochę za późno zorientowałem się, że siadał tak we wszystkich okolicznościach, jakby szyja była za słaba, by utrzymać ciężar nabitej myślami głowy. Skośne oczy przewiercały mnie na wskroś, jak

wcześniej bez wyrazu. Nie było w nich pytania, ciekawości ani nawet drwiny.

– Szanowny panie Czanotaks…

Westchnąłem, dochodząc do wniosku, że jeśli każde zdanie będzie mi przychodzić z takim trudem, rozmowa nie pójdzie gładko.

Miałem nadzieję uzyskać potrzebne mi wiadomości, nie ujawniając przy tym moich niefortunnych przygód. Interesowała mnie osoba Sędziego. Zamierzałem posłużyć się konkretną historyjką: pewna młoda dama o nieposzlakowanej dotychczas opinii, trafiła do celi sądowej po tym, jak własnymi rękami zamordowała męża zazdrośnika. Dostała wyrok w zawieszeniu. Miałem nadzieję wyjaśnić, czy któryś z żyjących obecnie magów zdołałby ulżyć nieco jej zbolałej duszy. Nie liczyłem zanadto na Czarnego. Wedle słów starosty, zdawał mi się raczej prowincjonalnym samochwałą niż prawdziwym czarownikiem.

Pora była rozpocząć opowieść, lecz jakoś mi się nie kleiła. Długo milczałem, może pięć minut, a może kwadrans. Wystarczająco dla gospodarza, by zacząć wypytywać niecodziennego gościa: z czym pan do mnie przyszedł?

Czarno Tak Skoro siedział nieruchomo, jak posąg, nie spuszczając ze mnie wzroku. Musiałem w końcu zacząć.

– Szanowny panie… Czanotaks. Przywiodła mnie tutaj konieczność rozmowy z kimś obeznanym w magii. Wie pan już, że ród mój wywodzi się od niezwykle potężnego i zasłużonego maga, ale ja sam ani ojciec nieboszczyk… niestety nie mieliśmy z tymi sprawami… styczności. Jak pan wie…

– Przejdźmy na ty – zaproponował cicho Czarno.

Trudno zbić mnie z tropu, lecz tym razem się zmieszałem, czego nie potrafiłem ukryć.

– Przejdźmy na ty – powtórzył Czarno, po raz pierwszy błyskając oczyma. – Nie ma co owijać w bawełnę. Mów wprost, o co chodzi.

Milczałem. Nie spodobało mi się, że rozmówca tak bezceremonialnie przejął inicjatywę, ciężko mi także było wyłożyć sprawę „wprost".

Czarno mocniej naparł podbródkiem na palce. Skośne oczy spoglądały teraz spode łba.

– Bez pracy nie ma kołaczy… Zamek w ruinie, rodowa fortuna stopniała… Przecież nie włóczysz się z nudów? Nie moja sprawa, czego szukałeś po świecie, ciekawe jednak, skąd się wziął cień stryczka na szyi. Nie wszyscy go widzą, ale ja tak. Mów jasno, Retano i nie opowiadaj bajek, które sam też potrafię zmyślić.

Skrzywiłem się. Odbite w lustrach światło raziło mnie zbyt mocno.

Mag nie przebierał w słowach. Retanaar Rekotars nigdy się nie

„włóczył", tylko podróżował incognito. To właściwe słowo, oddające charakter wędrówki z dala od języków plotkarzy.

Czarno obserwował, jak usiłuję dociec, kto i kiedy mnie zdemaskował. Od początku wiedział, że wszystkie moje gadki to lipa.

– Daj spokój, Retano. Nie zdołasz mnie okłamać. Jestem ci potrzebny, a ty mnie nie… Mów.

Mogłem w tej chwili wstać i odejść. Za pazuchą miałem jednak okrągły drewniany kalendarz. Początkowo wydaje się, że rok ma wiele dni, lecz w skali ludzkiego życia jest ich za mało, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę stracone dwa tygodnie. Zostałem.

Według mego rozeznania słońce już dawno powinno zachodzić, lecz zwierciadła ciągle łowiły gładką powierzchnią jaskrawe promienie. Kiedy po raz pierwszy w życiu miałem powiedzieć całą prawdę, język odmawiał mi posłuszeństwa. Lustra bezlitośnie obnażały rzeczywistość, odrzucając wszystkie dodatki. Nie zdołałem upiększyć opowieści ani jednym zmyślonym szczegółem. Jajogłowy mag bez trudu wyciągnął ze mnie wszystko, chociaż nie taki był mój plan.

– Tę część historii pominiemy – mówiłem z zamkniętymi oczami – jako nieistotną dla sprawy…

Czarno krzywił się w milczeniu. Nie mogąc się wyzbyć do końca dawnych nałogów, przemilczałem więzienne wszy i propozycję Tisy zwanej Materac, ostatecznie jednak moja opowieść była dość dokładna. Dobrnąłem wreszcie do końca, odczuwając coś na kształt ulgi.

Czarno Tak Skoro siedział jak poprzednio, napierając podbródkiem na splecione palce. Oczy stały się całkiem wąskie, jak wycięte w masce.

– Jeszcze raz, dokładnie. Co powiedział?

Westchnąłem, przypominając słowo po słowie mowę Sędziego.

– „Jesteś w bagnie, Retano – zacząłem z odrazą – po pas w błocie. Brodzisz także we krwi…" Resztę można pominąć, a zatem…

– Żadnych pominięć! – warknął Czarno. Słoneczne odblaski zatańczyły na gładkim czerepie. – Żadnych pominięć w tekście Wyroku, jasne?!

Zachwiałem się. Wszystko poszło nie tak, jak się spodziewałem, lecz skoro się powiedziało „A", trzeba także pamiętać o kolejnych literach alfabetu. Przyznając się lekarzowi do wstydliwej choroby, nie ma sensu później rumienić się i ukrywać objawy.

– „Poborca podatkowy – wydusiłem z siebie – powiesił się w bramie. Ktoś powie: dobrze mu tak! Jego śmierć obciąża jednak ciebie, Retano. Tam, gdzie zwykły zbój po prostu podrzyna gardło, ty snujesz misterne sieci intryg. Żyć będziesz jeszcze rok. Po upływie tego terminu czeka cię kaźń. Rzekłem, a ty słyszałeś, Retanaarze

Rekotars. To wszystko".

Jakąś minutę trwała cisza w jasno oświetlonym pokoju. Tamten patrzył gdzieś w bok, poruszając ustami i marszcząc czoło, jakby próbował rozwiązać w głowie trudne arytmetyczne zadanie.

– No i co? – nie wytrzymałem.

– Nic – odpowiedział z nieoczekiwaną beztroską. – Zapewne chciałbyś pozbyć się stojącego nad tobą widma Sędziego?

Zachłysnąłem się własnym oddechem. Zbyt lekko, zbyt swobodnie zabrzmiały te słowa.

– Nikt nie ma prawa mnie osądzać – odparłem w końcu głucho. – Sam w końcu za wszystko odpowiem…

Czarno skinął głową.

– Rozumiem. Chcesz, żebym zdjął z ciebie Wyrok?

– Możesz to zrobić? – nie wytrzymałem znowu.

Uśmiechnął się.

Jego dotychczas beznamiętne oblicze natychmiast się przeobraziło. Pojawiła się na nim nieskrywana satysfakcja, ciemne oczy rozszerzyły się, usta rozciągnęły od ucha do ucha.

– Mogę.

Milczeliśmy jakiś czas. Czarno patrzył na mnie jak syty kot na zastygłą w bezruchu myszkę, z rozleniwionym zadowoleniem i odcieniem ojcowskiej troski.

– Mogę to uczynić, Retano… Uważaj się za szczęściarza. Mnie się także powiodło. Sam rozumiesz, że takiej usługi nikt nie świadczy za darmo.

– Ile? – spytałem odruchowo.

Serce drżało z radości. To takie proste?!

Czarno rozchylił usta jeszcze szerzej, choć wydawało się to niemożliwe.

– Jaki praktyczny… Ani grosza. Odpracujesz.

Niełatwo było mi przełknąć ten twardy kawałek chleba.

– Szanowny panie – odpowiedziałem z urazą – niech ci służy pies. Tak się pan zwraca do ostatniego potomka Rekotarsów?!

– Co takiego powiedziałem? – zdziwił się.

Powstrzymałem się od riposty.

W pokoju znowu zapadła cisza. Plamy słońca wciąż zalegały na suficie jak namalowane. Jakby w tej zwierciadlanej komnacie czas zupełnie nie płynął.

– Dziwni z was ludzie – zamamrotał Czarno Tak Skoro, jakby zmartwiony Twarz mu spochmurniała, kąciki warg opuściły się w dół.

– No dobrze… Wiesz, ile cię to będzie kosztować?

– Zapłacę – zapewniłem dumnie.

Wtedy wymienił sumę.

Czas jakiś patrzyłem mu prosto w oczy z niemą udręką. Miałem

nadzieję, że się przesłyszałem.

– Ile?!

Powtórzył.

– Wszystko jasne – szepnąłem. – Niczego nie możesz, dlatego podbijasz cenę…

– Rzekłem, a ty słyszałeś – burknął Czarno znajomym do bólu tonem Sędziego. – To wszystko.

Oblizałem wargi. Przez sekundę miałem wrażenie, że czarownik jest nowym wcieleniem Sędziego.

Znów się uśmiechnął. Zwężone powieki na mgnienie się rozszerzyły i w tym momencie zrozumiałem, że nie jest Sędzią, lecz wcale nie żartuje. Pomyliłem się co do jego możliwości magicznych. Czanotaks Oro znał swoją cenę i wymienił właściwą.

Moją ceną było własne życie…

– Miej sumienie – jęknąłem ochryple. – Ja… nie mam tyle pieniędzy.

Uśmiechnął się krzywo.

– Pamiętasz pierwszą propozycję?

– Nie – zaprzeczyłem chłodno.

Wzruszył ramionami.

– Więc sprzedaj zamek. Może znajdzie się jakiś bogaty kupiec, reflektujący na twój rodowód…

– Mój rodowód?!

– Mało to głupich snobów pcha się do arystokracji?

Nie znalazłem odpowiedzi. Słońce biło w okna, odbite plamy zmusiły mnie do zmrużenia powiek. Poczułem, że mam zmęczone oczy, jakbym był senny.

– Zgaś to – wykrztusiłem, zasłaniając twarz dłońmi. – Dosyć tego…

Słońce natychmiast zgasło. W lustrach odbijał się tylko złotawy poblask zachodu, ja zaś niemal oślepłem. Nie tak łatwo przestawić się z jaskrawego blasku na półmrok. Widziałem tylko sylwetkę Czarnego. Prawdziwy mag (teraz już nie wątpiłem!) stał przy oknie, odwrócony do mnie plecami i wpatrywał się w ogród.

– Naprawdę możesz to zrobić? – zapytałem bezradnie.

Sylwetka w kwadracie okna wzruszyła kościstymi ramionami.

– Sędzia ma swoją moc, a ja swoją.

– Obniżysz cenę?

Odwrócił się. Naga czaszka błyszczała teraz matowo, odbijając łunę zachodzącego słońca.

– Nie. Nie chcesz mi służyć, zdobądź pieniądze albo rusz głową.

Milczałem.

– Myśl, Retanaarze Rekotars – rzekł oficjalnie Czanotaks Oro. – Pomyśl… wszystko w twoich rękach.

Przez okno wleciała wrona, zatoczyła krąg pod sufitem i triumfalnie napaskudziła mi na kolano.

Cały tydzień po spotkaniu z Czanotaksem Oro upłynął mi pod znakiem nieustającej wesołości. Szczerze chwaliłem siebie za pomysłowość, która pozwoliła znaleźć rozwiązanie w sytuacji pozornie bez wyjścia. Miałem teraz nowe zadanie, trudne, lecz nie beznadziejne: zdobyć w oznaczonym terminie sumę żądaną przez maga.

Cały tydzień przepijałem ostatnie pieniądze, hulając na wszelkie sposoby. Nawet w najdalszej wiosce wiedzieli, że „pan Retano wrócił do domu". Fundusze skończyły się i zaczął się kac. Wydobywszy na wierzch swój kalendarzyk, stwierdziłem z przerażeniem, że darowane mi życie skróciło się o kolejne siedem dni.

Myśl o sprzedaży zamku odrzucałem z góry jako zbyt cyniczną. Podobna brednia mogła się zaląc jedynie w jajowatej głowie chciwego Czarno Tak Skoro, jeśli chodziło o inne sposoby zdobycia pieniędzy, każdorazowo przychodziły mi do głowy rozbój na gościńcu i karciana szulerka. Dobrze wiedziałem, że pierwszy sposób byłby bezsensowny, drugi niebezpieczny i niegodny Rekotarsa. W miejsce radosnej beztroski pojawiła się wtedy głęboka troska. Kolejny raz żałowałem, że nie odziedziczyłem talentu magicznego po sławnym przodku.

Wiele dziesiątek lat wstecz Wielki Mag Damir, którego przystojne, nieco zmęczone lico spoglądało na mnie z trzech różnych portretów wiszących na spękanych ścianach, ten niezwykły człowiek pokonał strasznego smoka, pustoszącego włości barona Jimeneza. Historia nie wspomina, czy bestia żądała ofiary, skłonny byłem jednak przypuszczać, że byłoby to logiczne, skoro baron miał dwie urodziwe, dorastające córeczki, syn zaś był jeszcze zbyt mały, by siąść na koń i chwycić za broń.

Wtedy na zamku zjawił się Wielki Mag Damir wraz z wiernym sługą. Później wykonano ową grawiurę, przedstawiającą mego przodka, jak przebija bestię kopią.

Przybliżyłem płomień świecy.

Grawiura była wykonana pięknie i starannie. Widziałem dokładnie gniewne oblicze mego przodka i paszczę potwora, wykrzywioną niemal po ludzku strachem i złością. Rozpoznawałem też miejsce zdarzenia: południowy kraniec terenów myśliwskich, gdzie nie raz zdarzało mi się hasać, będąc podrostkiem. W owych czasach każdą wolną chwilę poświęcałem szermierce. Z obnażoną szpadą odgrywałem przed samym sobą Maga Damira i z powodu tych zabaw srodze ucierpiały gęste krzewy maliny.

Gdyby mój wielki przodek mógł mnie usłyszeć i przyjść z pomocą, czy musiałbym wtedy wchodzić w układy z panem Czarno Tak Skoro?!

Smukła świeca dopalała się. Jedyna w zrujnowanym,

opustoszałym zamczysku.

Zadrżałem.

Stary Iter dawno spał w swojej izdebce. Usłyszałem jednak całkiem wyraźnie kroki kogoś schodzącego w dół po schodach.

Nigdy nie byłem tchórzem.

Kroki zatrzymały się pod drzwiami gabinetu. Szelest, jakby ktoś przewracał kartki wielkiej księgi. Ciężkie westchnienie.

Cisza. Opanowałem dreszcz.

Nie ma nikogo za progiem. To wzdycha cały zamek.

Rozdział trzeci

– Pani Tantalo! Panienka Alana wcale się nie odzywa… Myślałam, że jeszcze śpi, ale minęła pora śniadania.

Służąca załamywała ręce. Trochę przesadzała, w jej głosie nie było odrobiny niepokoju o niesforną Alanę. Mówiła trochę sztucznie, co natychmiast wychwyciło ucho urodzonej aktorki. Wniknąwszy głębiej w sprawę, trudno było o to winić dziewczynę, która nie miała powodu roztkliwiać się nad osobą rzucającą naczyniami w twarz służącej.

Obok stała milcząca, mroczna jak cień, zgarbiona staruszka. Tantala zacisnęła zęby i położyła dłoń na jej kościstym ramieniu.

– Nie denerwuj się, nianio…

– Do mnie się też nie odzywa – odparła tamta skrzypiącym głosem. – Dawniej bywało… pomilczy trochę, a jak poproszę otworzy drzwi.

Tantala uniosła głowę, jednym spojrzeniem ucinając nieszczere lamenty młodej służącej i poszła w stronę sypialni Alany.

– Otworzysz natychmiast albo zawołam ojca.

Za drzwiami trwała cisza. Ani przytłumionego oddechu, ani skrzypnięcia podłogi. Pustka.

Tantala przygryzła wargę. Jej rozdrażnienie zamieniało się powoli w obawę.

– Alano… chcesz nas wszystkich wpędzić do grobu?

Cisza.

– Trzeba pójść po pana Solla – doradziła świszczącym szeptem służąca.

Tantala zastanawiała się. Wyobraziła sobie Egerta, jak się dowiaduje, że w zawartej od środka sypialni córki jest pusto i cicho, ani żywej duszy.

W korytarzu rozległ się tupot ciężkich trzewików. Sługa zatrzymał się, zadyszany, jak po długim biegu.

– Pani Tantalo… z okna panienki zwiesza się sznur… prawie do samej ziemi… Widziałem, jak dom obchodziłem!

Tantala przełknęła grudę śliny.

Najważniejsze, żeby nic się łajdaczce nie stało i nie trzeba włamywać się do pokoju, by zobaczyć… Co? Jak dotychczas w rodzinie Sollów nie było samobójców…

– Klow – zwróciła się do lokaja – wespnij się po sznurze i otwórz drzwi.

– Ja?! – podskoczył lokaj. – Ja, pani Tantalo… nie dosięgnę sznura, za wysoko. A zresztą zerwie się pode mną, jestem cięższy niż panienka.

Tantala parsknęła gniewnie.

– Jak właściwie panienka wyszła z domu? Brama były otwarta?

– Jak tak można! – obruszył się sługa. – Zamknąłem bramę na noc i psy spuściłem z łańcucha. Tylko, że pieski lubią pannę Alanę, a ten nasz płot… kpina, nie płot!

Dzika kocica, pomyślała ponuro Tantala.

Trzeba jednak będzie zawiadomić Egerta, oderwać od obowiązków w Korpusie i oznajmić, że jego córka, Alana, urocze piętnastoletnie dziewczę, wyszła z pokoju za pomocą sznura, przelazła przez płot i zaginęła bez wieści, krótko mówiąc: uciekła.

– Ojej – mruknęła ledwie słyszalnie stara niania, która dopiero teraz dokuśtykała na miejsce zdarzenia. – Oj, co my zrobimy…

– Ot co – oświadczyła Tantala, starając się zapanować nad głosem, by nie ujawnił kłębiących się w głowie myśli. – Po pierwsze: trzymać język za zębami. Po drugie… Klow, bądź tak dobry i przejdź się po karczmach. Zacznij od „Północnej krowy".

Pokojówka jęknęła. Tantala przeszyła ją wzrokiem.

– A ty, Dula, ani kroku z domu. Znam twój długi język.

Odeszła szybko, nie słuchając protestów dziewczyny. Wyszła z domu i okrążyła budynek. Próbowała dosięgnąć sznura, uplecionego z prześcieradeł, zwisającego z okna trzeciego piętra. Rozejrzała się, zrzuciła pantofle, podskoczyła. Za drugim razem udało się jej uchwycić węzeł na końcu. Podciągnęła się wyżej, chwytając zręczniej. Mimochodem podciągnęła spódnicę i odpychając się od ściany bosymi nogami, weszła na górę przez okno. Służący porozdziawiali gęby. Na szczęście ta strona domu osłonięta była od rojnej ulicy rozrośniętą topolą.

Przeskoczywszy parapet, uśmiechnęła się pogardliwie. Bystro omiotła wzrokiem panujący w sypialni bałagan i odsunęła zasuwkę, wpuszczając zapłakaną nianię.

Miała nikłą nadzieję, że dziewczynę uda się znaleźć zanim o wszystkim dowie się Egert.

Nie przyszło jej nawet do głowy, by zawiadomić o ucieczce córki panią Torię.

Było ich dwóch: jeden żylasty i krzepki, z daleka pobłyskujący klejnotami na bogatej opasce, drugi wysoki, w czarnym, szerokoskrzydłym kapeluszu, ocieniającym prawie całą twarz. Zdziwiłem się mimochodem, jak można chodzić w takim kapeluszu nie potykając się.

Przyszli na piechotę. Żaden mnie nie zauważył, spoczywającego od godziny w zaroślach przy ruczaju. Nie czyniłem tego z miłości do natury, po prostu słońce stało wysoko i ani ja, ani mój koń nie mieliśmy ochoty kontynuować podróży w upale.

Tym dziwniejsze się wydawało, że wśród takiego żaru dwóch

wytwornych ludzi postanowiło bić się na śmierć i życie. Prędko się przekonałem o powadze ich zamiarów. Żylasty zrzucił strojny kaftan, a wysoki odrzucił kapelusz i po chwili dwaj eleganci wydobyli szpady.

Podniosłem się na łokciu.

Żylasty był doświadczonym szermierzem. Na kościstej twarzy groźnie jeżyły się krótkie kasztanowate wąsiki. Szpada błyszczała w słońcu. Parę razy zdawało mi się, że czarno odziany nie sparuje ciosu, jednak tamtemu za każdym razem się to udawało i przechodził do kontrataku z szybkością zajadłej żmii. Siły walczących były wyrównane.

Zamarłem. Obawiałem się, żeby mój koń, pasący się opodal, nie wydał żadnego głosu. Moment nieuwagi oznaczałby śmierć dla któregoś z pojedynkujących się.

Nie wyglądało to na walkę „do pierwszej krwi". Miałem w tym względzie skromne doświadczenie, lecz chęci tamtych nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

Większą inicjatywę wykazywał żylasty. Jego przeciwnik miał przewagę w postaci dłuższych rąk, dlatego wąsaty, pozornie masywny i nieruchawy, podwoił szybkość ciosów. Był to fascynujący spektakl. Wysoki wykonywał precyzyjne cięcia, niższy bardziej polegał na swojej sile. Wysoki zadyszał się, lecz krążył, próbując obrócić przeciwnika twarzą ku słońcu. W pewnej chwili udało mu się to, lecz oślepiony wąsacz uderzył ze wszystkich sił, znajdując lukę w obronie.

Stali twarzą w twarz. Wysoki przyciskał dłonią ranę na prawym ramieniu. Wąsaty pobladł i wyszczerzył się szpetnie. Najwidoczniej nie zadowalał go taki obrót sprawy. Chciał zabić. To pragnienie można było wyraźnie wyczytać z kościstej fizjonomii.

Wysoki przerzucił szpadę do lewej ręki i skoczył do przodu. Żylasty odpowiedział serią ataków na prawą stronę przeciwnika, jakby chciał dokończyć zaczęte dzieło. Nie miał zamiaru walczyć pięknie. Za wszelką cenę pragnął zwyciężyć.

Jego zwycięstwo w zasadzie nie ulegało wątpliwości. Siła była po jego stronie, lecz nie była wystarczająca, jak się okazało w następnej sekundzie.

Trzeba mieć także szczęście.

W tym momencie moja kobyłka porzuciła strumyk i zaciekawiona odgłosami walki głośno zarżała.

Być może żylasty nie życzył sobie świadków, a jego rywala mniej obchodziła cudza obecność. Jak by nie było, niższy z walczących rozproszył się na chwilę.

Wysoki nie zmarnował tej szansy, korzystając z faktu, że lewa ręka była równie sprawna jak prawa.

Wąsacz odwrócił powoli głowę, być może dlatego, że nie było sensu już zważać na rywala. W jego boku tkwił spory kawał żelaza, a

na śnieżnej koszuli rozlewała się czerwona plama. Próbował odetchnąć, wtedy krew się zapieniła. Spoglądał jakiś czas karcąco w moją stronę, w końcu padł na zdeptaną trawę.

Na chwilkę mój wzrok spotkał się ze wzrokiem wysokiego.

Miał niezdrowo blade, ziemiste lico, jakby szerokie skrzydła kapelusza nigdy nie pozwalały musnąć promieniom słonecznym sinawych policzków.

Czekałem, co zrobi zwycięzca. Odwrócił się, podniósł swoją szpadę i wytarł ostrze kępką trawy. Oddalił się, nawet nie spojrzawszy na pokonanego.

Minęło parę minut. Z wahaniem opuściłem swą kryjówkę. Może żylasty jeszcze żyje, wmawiałem sobie bez przekonania. W każdym razie uznałem za nieetyczne odejść nie upewniwszy się o śmierci tamtego.

Przeszedłem strumień, starając się nie pośliznąć na mokrych kamieniach. Woda sięgała do kolan. Żylasty leżał na wznak z nieruchomo otwartymi, matowymi oczami. Za późno na ratunek.

– Nie! Zatrzymaj się! Nie!

Zadrżałem i obejrzałem się.

Między pniami drzew zamigotała barwna sukienka, niczym motyle skrzydła. Trochę nazbyt pstrokata, jak na mój gust. Jej policzki zaczerwieniły się od biegu, na szyi wystąpiły nerwowe wypieki, gdy jednak ujrzała leżącego bez życia, zalanego krwią pojedynkowicza, twarz zbielała jak chusta.

Co się mówi kobiecie w takiej sytuacji?

Przede wszystkim należało ją stąd zabrać albo przynajmniej zaproponować coś do picia.

Jej wargi drżały, lecz ciche słowa zagłuszał plusk strumienia. Na trzepoczących rzęsach, jak mi się zdawało, błyskały łzy.

Płacząca niewiasta w mojej obecności… Westchnąłem krótko.

– Pani, tak bywa w życiu…

– Wiedziałam – odpowiedziała szeptem – że on źle skończy.

Zatkało mnie na chwilę.

– Zazdrośnik – podjęła z goryczą, patrząc na martwe ciało. – Przeczuwałam, że się doigra, wcześniej, czy później. Zazdrość to śmiertelna choroba.

Stałem w wodzie po kolana. Marzły mi stopy. Dziewczyna oderwała w końcu wzrok od nieboszczyka i spojrzała na mnie. Oczy miała smutne, lecz całkiem suche.

– Nie osądzam pana – zapewniła, wzdychając. – Zapłacił za swoje wybryki… Mnie także działał na nerwy, przysięgam.

Oblizałem wargi.

Zawsze szybko dostosowywałem się do sytuacji. Także teraz, po trwającym sekundę zmieszaniu, rozsądek podpowiedział mi, że należy

czym prędzej wiać.

Niewiasta wciąż na mnie patrzyła. Mogła mieć około dwudziestu pięciu lat. Spod wymyślnej czapeczki wymykały się jasne kosmyki.

Jasnozielone oczy…

Stał przed nią w wodzie wysoki mężczyzna w czerni. Zwykle podróżowałem w czerni. Trudno po drodze o praczkę…

Zawsze wierzyłem w przeznaczenie. Zwłaszcza w swoje. Jaskrawa suknia damy, w której biegała po łące, iskrzyła się klejnotami. Jeszcze mocniej jarzyły się ogromne, szeroko rozstawione oczy.

– Będą pana ścigać – powiedziała ze smutkiem. – We włościach księcia Tristana pojedynki są zabronione pod karą śmierci.

Też mi nowina.

Nad wodą fruwała ważka. Cienkie czułki niemal dotykały cholewki mego buta.

Ciekawe, jaki był powód tej zazdrości, skoro dama nie znała drugiego kawalera?

Okrągły, drewniany kalendarzyk prześladował mnie nawet we śnie. Tarcza słoneczna, w nieuchwytny sposób przypominająca Czanotaksa Oro, szczerzyła się w uśmiechu i sypała promieniami, brodate wiatry huczały śmiechem, rozwierając nieforemne paszcze: I co, doigrałeś się?

Śniło mi się, że czasu ubywa jak wody i przesypuje się jak piasek.

Jej mąż był za życia bogatym i zazdrosnym arystokratą. Zazdrość zabrał ze sobą do grobu, prawdziwie arystokratycznego z wystroju, bogactwo zaś… bogactwo zostawił młodej wdowie o zielonych oczach.

Domyśliłem się tego wcześniej, zanim potwierdziłem swoje domysły w najbliższej wiosce.

Włościanie mówili dużo i z oburzeniem. Wszyscy wiedzieli, że jaśnie pana Dera zabito w pojedynku, a sam książę Tristan przyjechał złożyć kondolencje wdowie i zapytać, czy nie wie, kim był zabójca?

Nikt jednak nie wiedział. Człowiek w czarnym kapeluszu pojawił się znikąd i zniknął. Ja zaś straciłem ostatnie pieniądze, żeby odmienić strój na białą jedwabną koszulę i kamizelkę z ciemnoczerwonego zamszu.

Pani Der założyła żałobę. Na wieżyczkach zameczku ponuro powiewały czarne flagi. Wiercąc się na twardej pryczy w lichej przydrożnej gospodzie, wspominałem wystraszone zielone oczy i smukłą pierś w wycięciu kosztownej sukni. Bogata wdowa, podszeptywał zdrowy rozum, a niewielki karaluch na ścianie, który dopiero co wyszedł ze szpary, zgodnie ruszał wąsikami.

Nazywała się Ewelina. Jej majątek całkowicie wystarczyłby na wykupienie mego życia i jeszcze by zostało. Żyć potem wesoło w starym zamku Rekotarsów z zielonooką damą…

Karalucha wielce bawiły moje szalone pomysły. Wyglądał, jakby się śmiał.

Tak wyszło, że dwa miesiące później, uszczknięte z wyroku Sędziego, znalazłem się w łożu zielonookiej ślicznotki.

Prawdę mówiąc, posyłając Ewelinie pierwszy bukiet, nie za bardzo wierzyłem w sukces. Było to nieco ryzykowne: a gdyby tak wdówce się odwidziało i wydała mnie w łapy praworządnego księcia? W jej oczach byłem zabójcą męża i świadkiem jej przewinienia, skoro, widząc zbrodniarza, nie wydała go natychmiast władzom.

A gdyby mnie wydała?!

Tak więc, nie obiecując sobie zbyt wiele, wysłałem bukiet. Sprawa jednak tak szybko przyjęła fortunny dla mnie obrót, że musiałem sam trochę przyhamować i zadać sobie jedno ważne pytanie.

Czy wypada Retano Rekotarsowi zabiegać o kobietę z powodu jej pieniędzy?

W żadnym razie, odpowiedział rodowy honor.

Skoro chciałem osiągnąć najważniejszy cel, to znaczy wykupić się od wyroku Sędziego, powinienem nauczyć się starać o Ewelinę dla niej samej. Krótko mówiąc, zakochać się.

W moim życiu przeżywałem wielokrotnie coś takiego. Zakochiwałem się setki razy, zawsze oczywiście „do grobowej deski". Wydawało mi się, że nie ma niczego prostszego niż żywić gorące uczucia do osób płci przeciwnej. Tym razem jednak okazało się, że trudno mi pokochać na zawołanie, trudniej niż wywołać wzajemne uczucie u damy.

Jak by nie było, wspomniawszy na wcześniejsze, młodzieńcze doświadczenia, postanowiłem zakochać się w Ewelinie Der.

Zrobiłem to bardzo prosto: za każdym razem, gdy przeżywałem coś miłego, wspominałem swą zielonooką wybrankę i szeptałem jej imię. Mówiłem: „Ewelina", wdychając zapach pieczonego mięsa, wspominałem jej twarz, układając się wygodniej w skrzypiącym łóżku, a każdy zgrabny biuścik, obrysowany koronkowym dekoltem i podtrzymany gorsetem, kojarzyłem natychmiast z uroczą wdówką. Kilka dni później złapałem się na tym, że samo jej imię wywołuje rozkoszny trzepot serca, a zatem się zakochałem i mogę zacząć starać się o względy wdówki, nie wywołując konfliktu z wielce honorowym sumieniem.

Potem wszystko poszło prosto i szybko. Ewelina prędko pogodziła się z faktem, że zabójca jej męża okazał się naprawdę czarujący. Co prawda zakochiwać się w niej było mi coraz trudniej, gdy wspominałem jej nieboszczyka małżonka, zazdrosnego, żylastego wąsacza. Według mnie, niepocieszona wdowa trochę inaczej powinna odnosić się do zabójcy dopiero co ostygłego męża…

Tym niemniej minęło ledwie dwa miesiące od Nocy Sądu, gdy wspiąłem się po sznurowej drabince do okna sypialni mej bogdanki.

Wnętrze emanowało ostentacyjnym bogactwem. Na toaletce płonęło w lichtarzu pięć smukłych woskowych świec. W ich świetle sypialnia, pełna jedwabi, atłasów i aksamitów, gobelinów i pozłacanych cacuszek, przypominała mi trochę sklepowy magazyn albo jaskinię rozbójników. Nawet nocnik pod łóżkiem był z najdroższej, malowanej złotem porcelany. Ewelina spoczywała na miękkich poduszkach, a po bokach jej ciała spływały poły jedwabnego szlafroczka. Kokieteryjnie uniesiony rękaw obnażał białą, toczoną rączkę. Zaparło mi dech w piersi.

Piękna Ewelino! Co za kształty…

Ile mogła kosztować taka rezydencja? Do tego posiadłość? Trudno byłoby to wszystko zliczyć, jaką cenę bowiem mógłby osiągnąć na licytacji choćby ten porcelanowy nocniczek?…

Ewelina zmieniła pozę. Pod śnieżnobiałym jedwabiem błysnęły piersi, jak dwie ogromne krople złocistej żywicy. Wydało mi się nawet, że czuję ich żywiczną woń…

Z drugiej strony, któż zdołałby kupić to wszystko za jednym zamachem? Czy nie wywołałoby to niepotrzebnych plotek? A może książę Tristan zażądałby podatku od sprzedaży?

– Jaka pani piękna!

Kto to powiedział? Naprawdę zniżyłem się do takiego banału?! Mój głos zadźwięczał dosyć głucho, jakby nie rozlegał się w sypialni uroczej damy, lecz w stogu siana.

Ewelina uśmiechnęła się tajemniczo. Powinienem ją kochać, pomyślałem z obawą, inaczej wyjdę na kogoś wyrachowanego, niegodnego, na łowcę posagów. Natychmiast powinienem ją objąć!

Niepewnie stąpając po niezwykle miękkim dywanie, zbliżyłem się do półleżącej. Dostrzegłem teraz na białym jedwabiu kokieteryjną, czarną naszywkę. Znak żałoby po mężu.

A swoją drogą, jak długo można nosić żałobę? Czy zdążę się z nią ożenić w ciągu pozostałych dziesięciu miesięcy?

Jęknąłem w duchu. Padłem na kolana, omal nie zawadzając niechcący o nocnik. Ewelina wyciągnęła do mnie rękę, pachnącą nieznanymi perfumami. Ucałowałem różowawą dłoń, kąsając leciutko mały paluszek.

– Ach – rzekła – szalony… Odkąd się zjawiłeś, figlarzu Retano, nie potrafię niczego odmówić… oprzeć się twojej sile…

Zacząłem szybko oddychać. Walczyły we mnie dwie postacie: gorący kochanek i chłodny obserwator, a ich siły były wyrównane. Jeden drugiemu okropnie przeszkadzał.

– Jesteś dzisiaj taki milczący. Omdlewam… Kiedy tak patrzysz na mnie w milczeniu, Retano, moje serce ucieka do pięt. Straszysz mnie,

Retano… ale to słodki strach.

Kochanek zrzucił obserwatora z zajmowanej dotychczas pozycji. Dłonie samoczynnie legły na ramionach zielonookiej piękności. Ewelina zadrżała, półotwarte usta, a wówczas zimny intruz został ostatecznie pokonany.

– Retano…

– Miłości moja…

Jej wargi pachniały szczególnie odurzająco. Poczułem, że przeszkadza mi wszelka odzież.

– Retano…

Na chwilę zapomniałem, gdzie się znajduję. I o tym, kim jest dama, i o swych wątpliwościach. Ta chwila zmieniała me życie i właśnie w tej samej minucie rozległo się brutalne kołatanie do drzwi.

– Pani Der! Niech pani natychmiast otworzy!

Usta mej ślicznotki momentalnie zrobiły się zimne i obojętne. Delikatne paluszki zacisnęły się na moim przegubie.

– O nie! Retano! Szybko…

Drzwi nieomal wyleciały z zawiasów. Nie miałem już dokąd się spieszyć.

– Uciekaj, Rekotars… Wielkie nieba! Natychmiast… Rzuciła się do okna, spojrzała w dół, odskoczyła ze strachem i łzawo szepnęła:

– Pilnują… To ten bydlak, Krod.

Potem zwróciła się wprost do mnie z gniewem:

– Zgubiłeś mnie! Do łóżka!

Jej zachowanie tak kontrastowało z poprzednim, że mąciło mi się w głowie.

– Pod kołdrę – syczała dalej, tracąc resztki godności. – Nakryj głowę, żeby nie zobaczyli…

Tak, jak stałem, w rozpiętej koszuli i jednym bucie, wskoczyłem pod baldachim i zakopałem się w pościeli. Ewelina rzuciła mi przytomnie resztę garderoby.

– O co chodzi? – zapytała głośno, spokojnym, nieco sennym głosem.

Kołatanie ucichło.

– Proszę natychmiast otworzyć drzwi – zażądano triumfalnie z zewnątrz. – Do domu zakradł się złodziej!

Trudno było oddychać pod kołdrą. Nie takiej tu pragnąłem uciechy!

– Obudziliście mnie – oświadczyła niechętnie dama, gorączkowo starając się usunąć ostatnie ślady mej wizyty. – Z trudem zasnęłam. Dręczyły mnie koszmary, dlatego nie zgasiłam świec…

– Proszę natychmiast otworzyć!

Chętnie bym się dowiedział, cóż to za zuchwalec miał prawo wtrącać się tak bezceremonialnie, po chamsku w prywatne sprawy

mojej Eweliny.

Zazgrzytała odsuwana zasuwka. W całym pokoju rozległy się ciężkie kroki co najmniej pięciu ludzi. Miałem szpadę przy sobie, lecz wyciągając ją z pochwy, zdradziłbym swą obecność.

– O co chodzi, Krod? – zapytała Ewelina teraz już z oburzeniem. – Jakim prawem tak mnie traktujesz?

No właśnie, pomyślałem ponuro. Nie należało otwierać drzwi. Wyglądały solidnie, może by wytrzymały…

– Jest ze mną wykonawca ostatniej woli pani zmarłego męża wraz z notariuszem.

Sądząc po głosie, Krod mógł mieć powyżej pięćdziesiątki.

– Jako jedyny krewny nieboszczyka mam obowiązek dopilnować, żeby warunki testamentu były dokładnie spełnione.

Nastąpiła chwila ciszy. Poczułem ucisk w żołądku przy słowie „testament".

– Warunki? – spytała cicho Ewelina.

Ze wszystkich sił starała się zachować spokój, lecz zdradzało ją drżenie głosu. Pierwszy raz usłyszała o tym, tak jak ja.

– Dawaj dokumenty! – rozkazał władczo gość.

Usłyszałem szelest papieru.

– Nie mówiłeś mi o tym, Krod – oznajmiła dama zmienionym głosem.

Wykonawca testamentu wydał dziwny dźwięk, przypominający chichot albo kichnięcie. Znowu szelest papieru.

– Proszę – obwieścił triumfalnie testator. – Według testamentu cały majątek pana Reggi Dera, dom i posiadłość, otrzymuje w spadku jego żona, pani Ewelina Der „jeżeli w ciągu dziesięciu lat od śmierci męża zachowa cześć i nie wstąpi w nowy związek małżeński oraz nie narazi na szwank pamięci męża. Gdyby zdarzył się taki fakt, cały majątek pana Reggi Dera przejdzie na własność jego kuzyna, pana Taggi Kroda oraz na jego dzieci i wnuki, jeśli takowe mieć będzie…"

Leżałem w kobiecej, jedwabnej pościeli, pod ciężką kołdrą i było mi przykro. Cienki strumyczek powietrza, z trudem przesączający się przez górę pierza, nie pachniał już upajającymi perfumami, lecz stosem, na którym spłonął los nieszczęsnego Retano Rekotarsa.

Skoro książę Tristan zakazał pojedynków, może nałożył także specjalne prawo na lowelasów?

Milczenie przedłużało się.

– Przeklęty zazdrośnik – szepnęła Ewelina. – Niegodziwiec!

– Szukajcie – rozkazał komuś z zadowoleniem Taggi Krod.

Cudownie, pomyślałem z czarnym humorem. Godnego znalazłeś następcę w swoim kuzynie, martwy zazdrośniku!

– Szukajcie! – krzyknęła histerycznie Ewelina. – Szukajcie wszędzie! Chcecie poniżyć kobietę, więc poniżajcie ją do końca, jak

czynił nieboszczyk mąż, nie bacząc na moją skromność! Na mą cnotę! Na mój spokój w końcu. Szukajcie!

– Tak, szukajcie! – przytaknął Krod, zwracając się do tych, których zmieszały widać gorzkie wymówki damy.

Drzwi szafy zaskrzypiały. Smutno zadźwięczały flakony w toaletce. Ktoś pochylił się tuż obok mnie i zajrzał pod łóżko.

– Szukajcie! – wołała dalej Ewelina z płaczem.

Chwilę potem poczułem jej ciało na swoim brzuchu. Z zewnątrz wyglądało to na pewno bardzo wzruszająco: nieszczęśliwa pani upadła, płacząc, na poduszki.

Jeszcze nie przechodziłem w życiu takiej próby charakteru!

Leżałem w łóżku z przepiękną kobietą, a jej ciało, okryte jedynie jedwabnym szlafroczkiem, drgało od płaczu i całym ciężarem wciskało mnie w materac. Oddzielająca nas kołdra była całkiem zbędna, lecz po pokoju ciężko stąpali poszukiwacze, zaglądając do każdej szpary, by znaleźć niewidzialnego kochanka, czyli mnie.

– Szukajcie! – powtarzała dama z wściekłością.

– Nikogo nie ma – zameldował nieśmiało jakiś młody głos.

Usłyszałem, jak Krod przemierzył cały pokój i otworzył okno.

– Hej! – zawołał do kogoś na dole. – Nikogo nie było?

Odpowiedź była niewyraźna, lecz niewątpliwie zaprzeczała, jakoby ktoś wyskakiwał oknem.

– Szukajcie – łkała Ewelina. – Od tej chwili, Krod, wyrzekam się ciebie… Precz mi z oczu! Możesz ryć tunel pod moją sypialnią, jak podły szczur…

Ktoś z obecnych gwizdnął z cicha, ktoś inny, może testator, zasapał nerwowo. Ja zaś powoli dusiłem się, pozbawiony powietrza, przygnieciony wspaniałym wdowim ciałem.

– Wynoście się stąd – nakazała dama ze znużeniem. – Dzisiejszej nocy dowiedziałam się całej prawdy o mężczyznach. Może się pan nie obawiać, panie testatorze. Do końca życia nie dopuszczę do siebie żadnego z tych podłych, nędznych, mściwych, zazdrosnych, głupich, nachalnych, bezwstydnych, okrutnych, sprzedajnych, niegodziwych łotrów!

Czułem się coraz gorzej. Każde słowo Eweliny wbijało gwóźdź do mej trumny, widocznie miałem nieczyste sumienie. Co najmniej połowa tych epitetów pasowała i do mnie.

– Eee… – zamruczał ktoś, może notariusz.

Do sapania testatora dołączyło sapanie pozostałych i jakiś czas tylko to dało się słyszeć, oprócz szlochu Eweliny.

Zrobiłem małą dziurkę w pościeli i zaczerpnąłem powietrza. Jeśli sprawa rozejdzie się po kościach, rzekłem do siebie, przyznam się szczerze Ewelinie do wszystkiego. Opowiem jej o Sędzim, o Czarno Tak Skoro, niech mnie osądzi i nawet spoliczkuje…

– Wyjdźcie – powtórzyła szeptem dama. – Zostawcie mnie, proszę, w spokoju. Nie powiększajcie swej hańby…

– A! – wrzasnął Krod tak radośnie, że momentalnie pokryłem się cały potem. – Co to jest? – spytał strasznym głosem. – Co, pytam?!

– Gdzie?

Ewelina wsparła się na łokciu, który wbił mi się boleśnie w żebra.

– Oślepliście? Nie widzicie?! Klamra od męskiego pasa!

– Gdzie? – powtórzyła ze zdziwieniem Ewelina.

– Tutaj!

– To znaczy?

– Tu!

Ewelina usiadła na łóżku, to znaczy na mnie. Natychmiast zrobiło się więcej powietrza i światła. Pięć świec w kandelabrze świeciło jasno jak południowe słońce.

– Tu!!!

Ten, kto zerwał ze mnie kołdrę, był krępy, ale barczysty. Prawe oko świdrowało mnie z ponurym triumfem, lewe natomiast kierowało się w inną stronę. Mgliście wspomniałem, że spotkałem tego zezowatego pięknisia w wiejskiej karczmie, gdzie pił bardzo dużo…

Moja szpada leżała z drugiej strony łoża wraz z pasem i pochwą. Pozostali czterej mężczyźni, w tym dwóch dobrze zbudowanych młodzików, patrzyli na mnie z radosnym zdumieniem. Spełzłem z poduszek i przysunąłem się do ściany, poprawiając machinalnie na sobie resztę odzieży.

– Kto to? – zagrzmiał Krod, zwracając się do pobladłej jak chusta Eweliny. – Kto to jest, droga wdówko? Cóż to za człowiek leżał w twej pościeli, podczas gdy bredziłaś o głupich zazdrośnikach.

– Ach! – krzyknęła dama, celując we mnie palcem i odskakując z takim lękiem, jakby ujrzała upiora. – Ach! To on…!

– Jasne, że on – zgodnie przytaknął testator. – Widać, że on, nie ona…

– To on zabił Reggi! – piszczała Ewelina, aż dzwoniło w uszach. – Zabójca mojego męża! Widziałam go przy strumieniu! Szukają go straże księcia! Łapcie go, chciał mnie zamordować!

Zamieszanie nie trwało dłużej niż kilka sekund, ale mnie wystarczyło.

Wystarczyło, by przeskoczyć łoże, chwycić spoczywającą w pochwie szpadę i odtrącić nią na bok Kroda, przeskoczyć podstawioną nogę testatora, obalić jednego z chłopaków i wyskoczyć przez otwarte okno, ryzykując złamanie karku.

Los się do mnie uśmiechnął. Spadłem na coś miękkiego. To coś jęknęło i przysiadło, pociągając mnie na ziemię, na której legło. Zdołałem poderwać się do biegu. Zagrodził mi drogę paskudny lokaj z wielką drewnianą pałką.

Zadał cios. Uskoczyłem. Zamachnął się drugi raz, a wtedy schyliłem się i zaatakowałem bykiem, pozbawiając biedaka tchu i dalszego zainteresowania moją osobą.

Wściekle ujadał pies spuszczony ze smyczy, lecz zdążyłem się wspiąć na mur. Miałem nadzieję, że mój koń nadal był tam, gdzie go zostawiłem. I nie zawiodłem się.

Rozdział czwarty

Każdy miejski strażnik wiedział, kogo ma wypatrywać na ulicach, co sprawiało problem wszystkim dziewczętom wyglądającym na piętnaście lat. Wartownicy przy głównej bramie przysięgali, że w ciągu ostatnich dwóch dni żadna podobna dziewczyna nie opuściła miasta. Tantala krzywiła się ponuro, wysłuchując owych zapewnień. Alana miała dość sprytu, by wydostać się niepostrzeżenie. Być może zrobiła to natychmiast po ucieczce…

Tantala dość długo łudziła się, że uciekinierka szybko się odnajdzie w jakiejś knajpie. Ucieczka była przecież odpowiedzią na ograniczenie swobody i próbą ukarania ojca, toteż w grę wchodziły najgorsze przybytki. Niestety, prędko się okazało, że sprawa jest znacznie poważniejsza.

Razem z uciekinierką zniknęła część jej rzeczy i wszystkie ozdoby, otrzymane od matki. Panienka nie zamierzała robić przedstawienia ze swej ucieczki. Najwidoczniej ktoś na nią oczekiwał po tamtej stronie muru.

Ta myśl dręczyła Tantalę. Kto mógł czekać na głupiutką bogatą pannę za drzwiami ojcowskiego domu? Można było snuć różne przypuszczenia. Wolała nie omawiać ich z Egertem, który i tak wszystko pojmował. Cienie wokół jego oczu wciąż się pogłębiały.

Wysłano trzech gońców do okolicznych miast. Każdy, kto doprowadziłby do domu zaginioną Alanę Soll, otrzymałby sowitą nagrodę. Zatrzymywano rozmaite włóczęgi, w tym dziesięcioletnią smarkulę i wiekową babinę. Pojawiły się liczne świadectwa, że widziano Alanę tu i tam, często jednocześnie w oddalonych od siebie miejscach. Pułkownik Soll pojechał zobaczyć wyłowioną z rzeki topielicę. Wrócił z tak chmurnym obliczem, że Tantala przysięgła sobie wychłostać Alanę do krwi. Niech się tylko pojawi, a dostanie za swoje. Oby tylko wróciła żywa…

Piątego dnia od zniknięcia Alany pojawiły się wreszcie jakieś sensowne informacje. W gospodzie „Waleczny Trzmiel" przebywała jakiś czas trupa wędrownych komediantów. Ktoś widział w ich kompanii dziewczynkę podobną do córki Solla.

Grupa opuściła miasto wczesnym rankiem dokładnie tego dnia, gdy zniknęła Alana. Oberżysta, przyparty do muru, nie potrafił jednak powiedzieć, czy dziewczyna odjechała z aktorami. Wyjechali, gdy jeszcze było ciemno, na dwóch krytych wozach.

Godzinę po tym przesłuchaniu z miasta wyjechał niewielki konny oddział. Strażnicy spieszyli odnaleźć w pajęczynie dróg dwa malowane wozy, a w jednym z nich dorastającą pannicę.

Na czele pędził, bezlitośnie popędzając konia, pułkownik Egert

Soll.

Wszystkie moje zamiary wzięły w łeb i zmuszony byłem oprzytomnieć.

Zamiast bogatej wdówki mogłem położyć głowę pod topór, w dodatku za niepopełnioną zbrodnię. Uciekałem pięć dni, byle jak najdalej od władztwa księcia Tristana. Szóstego dnia klacz ledwie powłóczyła nogami i oboje padaliśmy ze znużenia.

Pożółkłe liście opadły z drzew, a na zżętych polach snuły się białe nitki babiego lata. Spoglądałem na to wszystko szeroko otwartymi oczyma: każdy spadający liść był ulatującą sekundą. Nieubłagany czas. Wędrowałem wraz z moją kobyłką wśród postępującej jesieni i być może była to ostatnia jesień w mym życiu.

Zadrżałem i wyciągnąłem zza pazuchy mój kalendarzyk.

Jesień… Dziecięca dłoń narysowała w tym miejscu pyzate chmury z wielkimi, okrągłymi, jakby krowimi oczami, z których strumieniami lały się deszcze. Co mam robić? Usiąść na ziemię i płakać?!

Trzeba będzie zbierać po trochu nieosiągalną sumę i znosić jak pszczoła do ula do swego zapuszczonego zamku, aby później pasiecznik mógł napełnić beczułki złocistym miodem.

– Poszła! – zawołałem i umęczona kobyła, smagnięta po wronim zadzie, pobiegła szybciej.

Padało całą noc.

Wilgoć wypełzała z podziemi, przenikała szczeliny, występując plamami na kamiennych murach. Do mrozów było jeszcze daleko. Nieprędko jeszcze szyby pokryją się szronem. Na zewnątrz leje deszcz, w środku unosi się para oddechu.

Zamarzał. Obejmował ramiona rękami, pocierał gładką potylicę i głęboko wzdychał. Zamarzał.

Trzy lustra w salonie zmętniały jak ślepe źrenice albo szyby zasnute mgłą, gęstą jak zsiadłe mleko lub roztopiony wosk.

Przetarł szmatką lustrzaną taflę. Postronnemu widzowi mogłoby się zdawać, że gospodarz wziął się za porządki i ścierał kurze.

Nie było jednak osób postronnych.

Potarł jeszcze parę razy. Cienka warstwa, oddzielająca jego dłoń od kłębiącego się w głębi oparu, zrobiła się jeszcze cieńsza. Mieniła się tęczowo, niczym bańka mydlana i po chwili pękła. Tafla rozlazła się, zwijając na brzegach, a wówczas szara masa wydostała się na wolność.

Mglista macka spłynęła na podłogę. Ciężkie kłęby zaczęły ścielić się po posadzce, wydając się patrzącemu z góry obłokami. Zamąconemu umysłowi wydało się, że frunie po niebie z szeroko rozpostartymi rękoma, nie widząc ziemi przez grubą warstwę chmur, chociaż na pewno tam była…

– Amulet – powiedział głucho.

Mglista zasłona rozchyliła się. Daleko w dole, na zielonym kobiercu błyszczała złota płytka ze skomplikowanym wycięciem. Wyciągnął rękę. Kurtyna chmur zamknęła się znowu.

Musnął dłonią gładkie czoło. Nie było lotu ani obłoków, tylko lustro napęczniałe jak poduszka i wylewające się z niego mgliste kłęby. Pokój pławił się i tonął we mgle.

Podniósł głowę.

Szary słup, wznoszący się niemal do sufitu. Niewyraźnie majacząca ludzka twarz. Młoda, lecz bardzo sroga. Złota iskra pobłyskująca pośrodku piersi.

Ostrożnie wciągnął powietrze. Mgła wypełniała płuca, utrudniając oddychanie.

W oparze jawiły się jeszcze trzy postacie. Trzy kobiety. Jedna mniejsza, druga większa, trzecia… Trzecia była rozmazana, chwiejna, pochylona ku ziemi.

Zmrużył powieki.

Łączące nici.

Wszystkie trzy były związane z posiadaczem złotej iskry. Nici przeznaczenia zdawały się tak mocne, że trudno było uwierzyć, iż stworzyła je mgła…

A zresztą, mglisty opar tworzy tylko cieniste odbicie.

Usłyszał mgliście trzy imiona i zdołał je zapamiętać.

Tracąc świadomość, uśmiechnął się z satysfakcją.

Teraz wiedział wszystko.

Wróciłem do rodowego zamku wilgotnym jesiennym wieczorem, ale nie byłem sam. Przyjechali ze mną rzeczoznawca, handlarz nieruchomości i napalony kupiec, ewentualny nabywca.

Cóż mi pozostawało?! Robiłem wszystko, co mogłem. Dawałem lekcje szermierki, grałem w kości, uczyłem dobrych manier młode panny, udawałem uczonego, kuglarza, czarownika i oberwańca, lecz nie przyniosło mi to wcale upragnionej góry pieniędzy.

Od Nocy Sądu minęły dwa miesiące i trzy tygodnie. Od mej wizyty u Czarno Tak Skoro równo sześćdziesiąt siedem dni.

Było mi wstyd. Czułem się bardzo źle, sprzedając zamek, lecz było to jedyne rozwiązanie, jakie mi przyszło do głowy.

Sługa Iter, którego poinformowałem oschle o naszym położeniu, rozdziawił usta, rozłożył ręce i tak już pozostał.

Cała trójka przechadzała się po rezydencji, oglądając gospodarskim okiem komnatę za komnatą, wytrzeszczając oczy na kolekcję rodzinnych portretów, nie przepuszczając żadnej szpary ani kącika. Miałem wrażenie, jakby obmacywali mnie samego. Zacisnąwszy zęby, cierpiałem w milczeniu.

Kupiec był z tych, któremu dla pełni szczęścia brakowało tylko pochwalenia się arystokratyczną parantelą. Łaził po zamku,

uśmiechając się błogo i chmurząc na przemian, chwilami cmokając z zachwytu. Zamek mu się podobał, jednak jako doświadczony negocjator potrafił doskonale ukrywać swoje prawdziwe odczucia.

– Budowla wymaga remontu – oświadczył smutno rzeczoznawca.

– Była już o tym mowa – potwierdziłem ponuro. – Remont to wasza sprawa. Zamek stał setki lat, mieszkał tu ród barona Jimeneza, a potem potomkowie Maga z Magów Damira. On sam także tu mieszkał. Mury są mocne, fosy głębokie, przetrzymają każde oblężenie…

– Woda wyschła – westchnął rzeczoznawca z taką rozpaczą, jakby chodziło o czyjąś wyschłą krew.

– Właśnie – zainteresował się niespokojnie kupiec – czy most zwodzony można znów uruchomić?

Wzruszyłem ramionami. Poczułem silne pragnienie, by transakcja nie doszła do skutku. Żeby zamek nie przypadł im do gustu albo żebyśmy się nie dogadali co do ceny.

– Chcę za niego…

Wymieniłem sumę, jakiej zażądał Czanotaks Oro. Kupiec chrząknął, handlarz wzruszył ramionami, rzeczoznawca nerwowo pokręcił głową.

– Jaśnie pan żąda zbyt wiele. Zameczek nie jest tyle wart. Jest stary i okazały, lecz strasznie zapuszczony. Sam remont…

– Jak chcecie – odparłem z urazą. – Nie, to nie.

– Jaśnie pan znalazł się naturalnie w trudnej sytuacji? – ostrożnie zasugerował kupiec. – Inaczej pan by nie…

– Moja sytuacja to moja sprawa – odrzekłem, zadzierając dumnie podbródek Rekotarsów. – Ocenianie starożytnego zamku na podstawie zardzewiałych zawiasów…

Zadzierałem nosa najwyżej jak się dało.

– Młody człowieku – rzekł z westchnieniem rzeczoznawca. – Zachodnia wieża całkiem się rozpadła. To raz. Zwodzony most nie działa. To dwa. Dach lewego skrzydła przecieka i nie przetrzyma porządnej ulewy, a stan kominków…

– W okolicznym lesie – przerwałem, unosząc palec – Mag z Magów Damir pokonał strasznego smoka, czego świadkiem był baron Jimenez. Potwierdza to specjalny Certyfikat. Za tymi murami ukrywały się setki ludzi przed wrogami i Morem. To miejsce dawało nadzieję wielu pokoleniom…

– Może by jaśnie pan trochę opuścił – rzekł zadumany kupiec, gładząc brodę tak ostrożnie, jakby zaraz się miała odkleić.

Zaciąłem się. Nie wypadało, by potomek Maga z Magów zachwalał swój zamek jak uliczny sprzedawca. Ale przecież właśnie się targowaliśmy!

– Mam nadzieję – rzekł z cicha kupiec – że mogę zobaczyć wyżej

wymieniony Certyfikat i inne dokumenty?

Zacisnąłem szczęki. Trzymając nerwy na wodzy, przyniosłem moje relikwie, a nawet pozwoliłem kupcowi wziąć je do rąk. Kiedy jednak zbliżył się rzeczoznawca, bez namysłu go zatrzymałem.

Kupiec studiował pilnie papiery. Widać było, że nieraz miał do czynienia z dokumentami. Patrzyłem z drżeniem serca, jak obcy człowiek ocenia rzetelność mej rodowej relikwii.

– Mag z Magów Damir – mamrotał kupiec. – Hm… Zapłacę.

Jego towarzysze wlepili w niego zdumione, radosne oczy.

– Zapłacę, jeśli pan trochę ustąpi…

Suma wymieniona przez kupca była tylko niewiele niższa od tej, jakiej żądał ode mnie Czarno Tak Skoro. Rzeczoznawca chrząknął. Kupiec był gotów wyraźnie przepłacić. A ja myślałem, że wszyscy są skąpcami…

Bądź uczciwy wobec siebie, podpowiadał mi zdrowy rozsądek. Gdybyś nie miał zamiaru sprzedać siedziby, po jakie licho sprowadzałbyś ową trójkę? Po to zniosłeś upokarzającą procedurę, by na koniec wpaść w histerię i odmówić, rezygnując z upragnionej gotówki? Nie sprzedajesz honoru, tylko starą ruderę. I nie dla kaprysu, lecz aby ratować życie.

Serce ściskał bolesny skurcz, ignorując podszepty rozumu.

– Jeszcze się waha – warknął pod nosem handlarz nieruchomości, z trudem skrywając zadowolenie. Liczył na wysoką prowizję.

– Ręka w rękę? – zapytał kupiec, widząc, że jestem skłonny do zgody.

Podniosłem oczy. Z portretu spoglądał na mnie Wielki Mag Damir. Nie było w jego spojrzeniu oskarżenia ani innego osądu. Pomyślałem, że portrecista był marny.

– Ręka w rękę? – powtórzył kupiec.

Wciągnąłem głęboko powietrze.

– Ręka…

Płomienie w kominku strzeliły w górę. Wznosiły się skręconym słupem, tworząc ognistą trąbę, gotową wydostać się poza kratkę. Zimny wiatr rozhulał się po pustej komnacie. Za naszymi plecami zabrzmiał przeciągły jęk.

Kupiec, rzeczoznawca i handlarz nieruchomości rozejrzeli się ze strachem. Ja zaś siedziałem nieruchomo, ponieważ to, co ujrzałem, oni zobaczyli mgnienie później.

Pod wysokim, okratowanym oknem zjawił się przygarbiony, niewysoki człek około pięćdziesiątki. Nawet ktoś nieobznajomiony z naturą widziadeł nie przypisałby go do świata żywych. Sprawiał wrażenie głęboko oburzonego. Oczy widma zdawały się jednak martwe, jak oczy ślepca.

– A! A! A!

Handlowcy przywarli do siebie. Widmo ostatni raz spojrzało mi w oczy, machnęło ręką, jakby mówiąc „a niech tam", cofnęło się w ciemny kąt i tam rozpłynęło w powietrzu.

Pomyślałem mimochodem, że widmowy Sędzia miał inne zwyczaje.

Grobowa cisza trwała kilka minut, po czym kupiec sapnął: „Uff!", handlarz głośno się wysmarkał, a rzeczoznawca wzruszył ramionami.

– Widzi jaśnie pan… nie należało ukrywać, że zamek jest nawiedzony.

– Nie ukrywałem – odgryzłem się nieco ochrypłym głosem.

– Chce pan powiedzieć, że widział go już wcześniej? – rzeczowo zainteresował się handlarz nieruchomości.

– Owszem – burknąłem rozdrażniony.

– Nawiedzenie różnie wpływa na cenę – wymamrotał w zadumie rzeczoznawca. – Czasem ją zbija, czasem, przeciwnie, podnosi… Jak pan sądzi? – zwrócił się do kupca.

Twarz kupca była biała jak papier. Policzki, przed chwilą krągłe i rumiane, obwisły jak puste mieszki.

– To jest myśl – ożywił się handlarz. – Gdyby zdecydował się pan zapłacić więcej… w końcu nie każdy zamek ma swego ducha…

– Nie chcę go kupować – rzekł głucho kupiec.

Rzeczoznawca i handlarz spojrzeli po sobie.

– Widzi pan – rzekł gładko rzeczoznawca – nie da się kupić zamku bez ducha…

– Nie chcę go kupować! – powtórzył kupiec, wstając. – Wcale nie chcę mieć tego zamku!

Czyżbym usłyszał złośliwy chichot w kominie?

Goście odeszli, przodem wstrząśnięty kupiec, za nim, jak wierne cienie, rzeczoznawca i handlowiec. Chwilę siedziałem w ciemnej komnacie, potem zszedłem do podziemi napić się powalającej nalewki. Ległem po niej jak martwy.

Komedianci jechali szybko. Kolorowe wozy miały przed sobą daleką drogę. Z drugiej strony nie sposób było ukryć takiej kawalkady przejeżdżając przez wioski. Tak, jakby ukryć płonący ogień wśród ciemnej nocy. Wszyscy, którzy choć raz zobaczyli pomalowane wehikuły, bez wahania wskazywali kierunek dalszej jazdy. Niewielki oddział dowodzony przez Egerta Solla nie zatrzymywał się.

Dogonili ich przed wieczorem. Wozy jechały pod górę, zachodzące słońce wyzłacało ich roztrzęsione ścianki. Komedianci spoglądali z lękiem na pędzącą co koń wyskoczy grupę zbrojnych. Szef teatrzyku został brutalnie chwycony za kołnierz i przyciągnięty do zagniewanego oblicza Solla.

– Gdzie…?!

Podkomendni pułkownika przetrząsali tymczasem wnętrza wozów

i zaglądali w twarze wystraszonych kobiet. Szef trupy oblizał spieczone wargi.

– Kogo… pan łaskaw… szukać?

Nie było mowy o pomyłce. Dokładnie ten właśnie teatrzyk gościł dwa tygodnie w „Walecznym Trzmielu". I właśnie ten aktorzyna z okrągłą twarzą zwiódł głupiutką Alanę.

Egert odwrócił się ku podwładnym.

– No i co?!

Strażnicy rozłożyli bezradnie ręce. Dziewczyny nigdzie nie było.

– Gdzie ona jest? – rzucił Soll w twarz przestraszonemu szefowi.

– Odeszła – oznajmiła płaczliwie kobieta o pełnych kształtach i oczach spłoszonej łani. – Szanowny panie, proszę zrozumieć, nie daliśmy sobie z nią rady. Na początku ją odpędzaliśmy, ale uparła się i przyczepiła do nas jak rzep. Niebo świadkiem! Potem, w Zgliszczach, już się jej znudziło nasze towarzystwo. Nie chcieliśmy jej puścić samej… Trudno ją było zatrzymać, narowista jak klacz, jaśnie panie… Uciekła. Niczym nie zawiniliśmy… Szukajcie jej w Zgliszczach, panie…

Osada Zgliszcza pozostała daleko z tyłu, co najmniej o dzień drogi. Soll obejrzał się. Aktorzy przestępowali z nogi na nogę, wszyscy zmieszani i zalęknieni.

Pułkownik z trudem zdławił w sobie chętkę, by chlasnąć pejczem pierwszego z brzegu. Bez słowa zawrócił konia i odjechał z powrotem.

Dlatego nie widział spojrzeń, jakie komedianci wymienili za jego plecami.

Zegar wybił dziewiątą, kiedy tawerna zaczęła ostatecznie pustoszeć. Rozbawieni biesiadnicy jeden za drugim opuszczali świetlicę, kończyły się zaciekawione spojrzenia, milkły głośne rozmowy. Na stołach pozostały niedopite kufle. Przejęty starosta wciąż jeszcze przemawiał, lecz przechodzący obok wyrostek wziął go za ramię i wskazał oczami coś za moimi plecami. Starosta podążył za tym spojrzeniem i potok jego wymowy gwałtownie się zatrzymał.

– Proszę wybaczyć. Zapomniałem… mały interesik… zdrowia życzę jaśnie panu Retanaarowi. Żegnam…

Gospoda przypominała opuszczoną w panice wioskę. Nigdzie żywej duszy. Starosta pospiesznie poturlał się w stronę drzwi, zdoławszy w końcu odwrócić ciężką, jakby ołowianą głowę.

W kącie za moimi plecami siedział Czanotaks Oro we własnej osobie. Wsparty łokciami o stół, wspierając podbródek na splecionych palcach, naga czaszka błyszczała jaskrawo.

Szkoda, że bywalcy uciekli. Dlatego nikt oprócz oberżysty nie zobaczył, jak dumnym gestem, godnym Rekotarsa, odpowiedziałem na przenikliwe spojrzenie znajomego maga. Gestem pana na włościach, w których pałęta się jakiś tam czarownik…

– Witaj, Retano – powiedział Czarno Tak Skoro, nie podnosząc się z krzesła. – Masz pieniądze?

W tej sytuacji mogłem odpowiedzieć z drugiego końca pustej izby albo wstać i podejść do tego osobnika jak grzeczny młodzik.

– Zawiadomię cię, gdy dostanę – odparłem zimno.

Odwróciłem się, dając do zrozumienia, że rozmowa skończona. Czyżby jednak czarnoksiężnik odwiedził gospodę tylko po to, by napić się wina?

– Mam do ciebie sprawę, Retano – rzekł głośno za moimi plecami. – Porozmawiamy?

Moje serce zamarło na chwilkę.

Nie chodziło o to, że byłem załamany ani, że się poddałem. Nie załamuję się ani nie poddaję tak łatwo. Do terminu wyznaczonego przez Sędziego pozostało jeszcze dziewięć miesięcy i byłem pewien, że tymczasem coś wymyślę. Niepowodzenie zawsze jednak osłabia człowieka, a ostatnio miałem ich sporo. Oto dlaczego zaproszenie ze strony pana Czarno wywołało przykry dreszcz.

„Odsłużysz…”

Na pewno chce wrócić do poprzedniej rozmowy. Co więcej, wyznaczając astronomiczną cenę za moje wyzwolenie, wiedział od początku, że do niej wrócimy.

Jakiś czas pracowałem nad tym, by ukryć miotające mną uczucia. Czarno Tak Skoro czekał, nie odrywając podbródka od splecionych palców i nie spuszczając ze mnie ironicznego spojrzenia.

– Porozmawiamy – powiedziałem w końcu. – Tutaj?

Ostatnie pytanie miało oznaczać, że nie obawiam się cudzych uszu. Oczywiście, w rzeczywistości bardzo się bałem, ale nie zamierzałem okazywać tego owemu łajdakowi. Pewny siebie mag wiedział doskonale, że blefuję. Jego cienkie wargi rozciągnęły się w jadowitym uśmiechu.

– Nie bój się, nie tutaj. Rozmowa będzie długa… u mnie.

Bardzo szybko okazało się, że po zmroku w wielkim domu Czanotaksa nie pali się żadne światło, choćby jedna świeczka. Pierwszy raz potknąłem się na samym progu. Czarno Tak Skoro bez wysiłku, jak gdyby nigdy nic, otworzył drzwi wcale ich nie dotykając, zagłębił się w korytarz i wszedł na górę po schodach. Widział w ciemnościach, ponownie demonstrując swą moc i wyższość nad śmiertelnikami. Brnąłem za nim, co chwila się potykając, obijając, ocierając łokciami o ściany, jakby dom na życzenie gospodarza ciągle podstawiał mi nogę.

– Tutaj.

Słaby ruch powietrza uświadomił mi, że otwarły się przede mną drzwi.

– Zapaliłbyś chociaż świecę – powiedziałem gniewnie – zamiast

częstować gościa tanimi efektami…

Oczekiwałem, że się obrazi i odpowie kąśliwą ironią, lecz po krótkiej chwili Czarno odezwał się całkiem pojednawczo:

– Wybacz, ale nie ma tu świec ani kominków. Nie lubię ognia.

Odsunąłem ciężką kotarę, wpuszczając do środka słabą poświatę przepołowionego księżyca. Otoczenie nabrało kształtów: biurko, dwa fotele, matowy odblask na gładkim czerepie Czarno Tak Skoro i mnóstwo ksiąg na ciągnących się wzdłuż ścian półkach. Niczego zbędnego. Żadnych dekoracji typowych dla magicznej pracowni.

– Siadaj – rzekł, wskazując jeden z foteli.

Usiadłem bez problemów. Fotel był pomyślany dla wygody siedzącego, a nie dla kpin z gościa.

Było to już drugie spotkanie w owym domu. Pierwsze odbyło się w jarzącym blasku, drugie w ciemności.

– A zimą? – spytałem machinalnie. – Jak można żyć zimą bez ognia?

– Zimno – odparł Czarno znowu po chwili.

Wyczułem w jego słowach jakiś przymus, jakby pytanie było dlań niewygodne. Cały dom pogrążony był w ciszy i mroku. Nawet mysz nie zachrobotała.

– Nie masz służących?

Wyczuwałem swój brak taktu, ale nie mogłem się powstrzymać.

– Nie.

Ciekawe, co jada bez ognia? Surowe mięso?

Na chwilę poczułem strach. A może jest kanibalem, który zwabił mnie do swego domostwa na odludziu, gdzie nikt nie usłyszy moich krzyków…

– Nie bój się – rzekł spokojnie mag.

Strach rozpłynął się pod żarem obrazy.

– Zwariowałeś? Kto tu się boi?!

– Nie krzycz – poprosił znużony.

Usiadł na drugim fotelu naprzeciwko, wsparł łokcie na kolanach i opuścił podbródek na splecione dłonie. Nie widziałem jego twarzy, tylko poblask na czerepie, jakby w pokoju znajdował się drugi księżyc.

– Ile masz jeszcze czasu, Retano? Dziewięć miesięcy i trzy dni?

Uśmiechnąłem się krzywo. Nie podobało mi się, że tak dobrze pamięta termin. „Ile masz jeszcze czasu"… Tak pyta się śmiertelnie chorych.

– Dziewięć miesięcy – powtórzył mag w zadumie. – Będziesz się jeszcze szamotać?

To pytanie nie spodobało mi się jeszcze bardziej. A zwłaszcza ton, jakim zostało zadane. Słowo „szamotać" oznaczało niepotrzebne, bezsensowne, a przede wszystkim beznadziejne działania.

– Szukałeś innych magów, Retano?

Zacisnąłem zęby. Pytanie było zadane niedbale, zawierało jednak jakiś podtekst.

– Dlaczego miałbym tego nie robić? – odparłem, siląc się na spokój. – Nie składałem obietnicy, że zwrócę się tylko do ciebie. Po prostu pierwszy się nawinąłeś…

Chciałem pokazać zarozumialcowi, gdzie jego miejsce i skłonić, by wypełnił zlecenie. A także ukryć niepewność. Rzeczywiście, poszukiwałem innych, bardziej użytecznych lub mniej wyrachowanych. Okazało się, że plotka, jakoby każdy chutor miał swego czarodzieja, była kompletnie fałszywa. Magów nie było wcale tak wielu, jak mówiono. Jeszcze mniej naprawdę potężnych. Straciłem dwa tygodnie, żeby odszukać pewnego potężnego czarownika, którego wskazały mi, niezależnie od siebie, dwie wsiowe wiedźmy. Jakież było moje rozczarowanie, gdy okazało się, że ów mag mieszka w dobrach Rekotarsów i nazywa się Czono Takskoro, czy jakoś podobnie…

– Dziewięć miesięcy – powiedziałem z uśmieszkiem. – Można przez ten czas donosić ciążę…

– Przestań się okłamywać – przerwał mi, wzdychając. – Żaden dzieciak nie rodzi się ot tak. Pierwszy się nawinąłem, bo oprócz mnie nikt ci nie pomoże. Nikt.

Zapadła cisza. Kompletna: żadnego cykania świerszcza, nocnego wietrzyku ani mysich pazurków. Martwa.

– No i co teraz? – zapytałem z wysiłkiem.

– Mogę ci pomóc.

– Dlatego mnie wezwałeś? Żebym podbudowywał twoją próżność? – Milczał, więc dodałem rozdrażniony: – Lepiej stań przed lustrem i powtarzaj sobie: jestem najpotężniejszym czarodziejem… a mnie zostaw w spokoju. Potrzeba mi czasu, żeby zdobyć dla ciebie tę potworną sumę.

Chciałem dodać jeszcze: „żebyś się nimi udławił", lecz powstrzymałem się w ostatniej chwili. Nie jesteśmy przekupkami.

– Nie potrzebuję pieniędzy – oznajmił.

Skrzywiłem się. Wiedziałem, czego mu trzeba.

– Nie potrzebuję pieniędzy – powtórzył ze smutkiem. – I tak mam wszystko, co można kupić za złoto. Chociaż granica między „możliwym do kupienia" a „nieosiągalnym" jest tak trudno uchwytna.

Wciąż nie widziałem jego twarzy.

– Nie jestem próżny, jak ci się zdaje, Retano. Wszystko na tym świecie ma swoją cenę. Nawet to, czego nie można kupić. Nie masz racji, nie lubię „tanich efektów".

Poczułem się niezręcznie. W głosie tamtego nie brzmiał żaden nacisk, raczej znużona i pełna godności uraza.

Strasznie obraźliwi są ci magowie, pomyślałem ze zdumieniem. Czyżby tylko mi się wydawało, że jest niewzruszony i zimny jak głaz?

Czy może chciałem go za takiego uważać?

– Zapewne nie mam racji – odrzekłem pojednawczo. Milczeliśmy jakiś czas.

Ciekawe jak sobie daje radę w ogóle bez ognia? Nigdy nie grzejąc się u kominka? Nie siedząc przy ognisku?

Całkiem samotnie, bez jednego sługi. Tylko w towarzystwie wrony.

– Nie chciałem cię urazić – wymamrotałem usprawiedliwiająco.

Jego oczy błysnęły w ciemności jakby ironicznie.

– Pomogę ci, Retano… ale ty też mi pomożesz. Nie chodzi o służbę, niezręcznie się wtedy wyraziłem, dlatego wszystko poszło nie tak. Usługa za usługę. To się chyba nie sprzeciwia twoim zasadom?

Spuściłem oczy. W ostatnim pytaniu słychać było jawne szyderstwo.

– W pewnym mieście – podjął gładko – mieszka pewna szacowna rodzina i chciałbym, żebyś się w nią wżenił.

– Tylko tyle? – zapytałem po chwili.

Mrugnął sowim okiem. Nie zdziwiłbym się, gdyby w tej chwili zahuczał jak puszczyk.

– Dziwni z was ludzie – mruknął pod nosem. – Co wypada, a co nie wypada potomkowi Rekotarsów. Sam przecież chciałeś się żenić z bogatą wdową…

Zadrżałem.

– Może potrzebujesz czasu do namysłu? – zainteresował się troskliwie. – Dzień, dwa, może cały tydzień? Zostało ci przecież jeszcze dziewięć miesięcy.

– Po co ci to? – głucho spytałem. – Na co ci taka usługa?

– To proste.

Pochylił się, nie zdejmując brody ze splecionych palców.

– Zażądasz jako posagu księgę napisaną przez dziadka tej panny i zatytułowaną O magach. Naturalnie chodzi o kopię, nie oryginał. Zawieziesz do swego zamku, który na szczęście ciągle jest twój. Panna dla ciebie, księga dla mnie zamiast zapłaty. A zamiast dziewięciu miesięcy cała wieczność. Długie życie, prawie nieśmiertelność…

– Jesteś magiem, cóż to za problem dla ciebie zdobyć jakąś książkę?

Wstał, zręcznie jak kot. Nagle okazało się, że stoi u okna. Czarna sylwetka na ciemnym tle z matowo błyszczącą czaszką.

– To już nie twoja sprawa, Retano. Zrobisz to, czy nie? A może nadal będziesz gonił za pieniędzmi? Albo szukał innych magów, żeby znów do mnie wrócić przed upływem terminu z oczami pełnymi przerażenia?

Położyłem dłoń na piersi. Nie po to jednak, by komasować słabo bijące serce, lecz dotknąć drewniany kalendarzyk za pazuchą, w

którym każdy upływający dzień zaznaczony jest wyraźną kreską.

– Na długie życie przyda się żona – oświadczył sentencjonalnie Czarno.

Zobaczyłem, że się szczerzy dwoma rzędami błyszczących, zdrowych zębów.

Następnego dnia wyruszyłem w podróż. Nieprzespana noc odzywała się bólem w potylicy. Nie chciałem jednak zwlekać. Odeśpię gdzieś po drodze.

Podrygiwał w takt końskich ruchów mój pustawy podróżny kuferek. Zamek Rekotarsów, którego omal nie sprzedałem, spoglądał za mną karcąco. Jedynymi jego mieszkańcami stali się znowu stareńki, zgarbiony Iter i niewysoka zjawa z wytrzeszczonymi oczami, nie wiadomo czyj duch, skoro w moim rodzie wszyscy byli raczej dobrze zbudowani i nie mieli kłopotu ze wzrokiem…

Odjeżdżałem z lekkim sercem.

Długie życie. Prawie nieśmiertelne.

Rozdział piąty

Nie miałem wcześniej do czynienia z magami. Zapewnienia Czarno, że będzie wspierać mnie po drodze, przyjąłem z niedowierzaniem. Jednak dni mijały, a moja kobyłka wcale się nie męczyła, przeciwnie, zdawała się nabierać siły i młodnieć w oczach, pogodę miałem wspaniałą, przydrożne zaś gospody nadarzały się w porę, czyste i bez pluskiew. Powoli się przyzwyczajałem. Podróż z magiczną pomocą sprawiała wrażenie miłej przejażdżki, toteż, kiedy w połowie drogi spadł deszcz, poczułem się niemal urażony.

Czyżby Czarno zapomniał, jakie tutaj są drogi? A może uważa, że moja klacz umie pływać w rozmiękłej glinie?

Schroniłem się szybko w najbliższej gospodzie. Następnego dnia jednak oberżysta podniósł cenę, kucharka podała nieświeże mięso, a z twardego materaca wylazły tabuny insektów. Widocznie mag postanowił odpłacić mi za uprzednią opiekę. Klnąc na czym świat stoi, spędziwszy bezsenną noc i napoiwszy błękitną krwią setki owadów, wyjechałem o świcie. Deszcz nieco zelżał.

Ruszyłem pewnie w stronę, gdzie zgodnie z uzyskanymi po drodze informacjami znajdował się cel mej podróży. Wtedy ulewa znowu się wzmogła, do tego stopnia, że wraz z kobyłką zamieniliśmy się w dwa mokre, ubłocone straszydła. Przekląłem zdradzieckiego maga i zawróciłem konia. Chmury natychmiast rozbiegły się po niebie, jak karaluchy z nadejściem poranka.

Zacząłem podejrzewać najgorsze. Przypomniałem sobie w owej chwili o podarowanym mi przez czarodzieja zamszowym woreczku. Miałem w nim przywieźć z powrotem posag mojej małżonki, owiniętą niby w futerale księgę O magach. Miękkie boki woreczka wyszywane były czarnymi koralikami, bez specjalnego wzoru. Mój sekretny towarzysz nakazał mi od czasu do czasu spoglądać na wyszycie, co też czyniłem w pierwszych dniach, lecz potem zapomniałem, bo w końcu nie jestem damą, ceniącą ładne hafty…

Przeklęty sojusznik przypominał o sobie w ten sposób.

Pośrodku pustego pola przeszukałem kuferek, by znaleźć ową rzecz. Woreczek leżał na samym dnie, wepchnięty w kącik, choć doskonale pamiętałem, że kładłem go na wierzchu. Połyskiwał paciorkami. Tam, gdzie wcześniej znajdował się tylko zbiór czarnych kropek, widniało teraz wyszyte wyraźnie oko. Od razu poznałem, czyje: wąskie, natarczywie patrzące, szalone. Przysiągłbym, że wcześniej go nie było.

Staliśmy na pustej drodze, ja i klacz. W dali majaczyła wioska z koszmarną gospodą. Wokół królowała jesień, drzewa straciły liście, pola zmieniły się w ścierniska, trakt był pełen głębokich kałuż.

Wionęło chłodnym wiatrem i dzięki niemu zdołałem otrząsnąć się z lęku, jaki sprawiło pierwsze zetknięcie z czarodziejską mocą Czanotaksa.

Znak kazał mi zmienić kierunek. Z niewiadomych przyczyn Czarno Tak Skoro zmienił plany i zmuszony byłem udać się w stronę niedwuznacznie wskazaną poprzez zmianę pogody.

Kto powiedział, że ten świat byłby nudny bez magów? Byłem igraszką w jego rękach, chorągiewka na wietrze…

Poprawiłem się w siodle i kazałem kobyle jechać tam, gdzie niebo było błękitne. W ślad za uciekającym słońcem. Zgrzytając zębami, jechałem tam, gdzie życzył sobie nieprzenikniony umysł czarodzieja.

Dogoniłem ich następnego dnia.

Wypasione konie ciągnęły dwa wozy, których boki – wozów, oczywiście – pomalowane były w wizerunki rozradowanych lic, czaszek, kart wróżebnych, błyskawic i innych omenów. Komedianci nie wyglądali najlepiej. Zmęczeni wlekli się pieszo za wozami, nie chcąc dodatkowo obciążać koni. Było ich sześcioro: trzech mężczyzn, urodziwa niewiasta w porządnej sukni, młoda, zezowata garbuska i piętnastoletnia panienka w postrzępionej sukience nie swojego rozmiaru, dziwnie skulona i utykająca na obie nogi.

Dogoniłem ich na długim wzniesieniu. Odczułem na sobie sześć czujnych spojrzeń. Szef grupy, niewysoki, z okrągłą twarzą i krzaczastymi brwiami, spoglądał na mnie ponuro i wrogo, jego dwaj towarzysze obojętnie, piękność uśmiechała się machinalnie, garbuska mrugała wielokrotnie, a dzieweczka…

Spojrzała na mnie dwa razy. Pierwszy raz krótko, na jedno mgnienie. Przy okazji zauważyłem siniec pod jednym okiem. Później, wyprzedzając powoli wlokącą się trupę, złowiłem drugie spojrzenie i zrobiło mi się gorąco.

Błagała. Nie rozumiałem, o co, lecz jej spojrzenie było rozpaczliwe, jakby tonęła i nie mogła krzyczeć.

Zatrzymałem konia i zapytałem przyjaźnie:

– Dokąd wędrujecie, drodzy komedianci?

Szef nachmurzył się jeszcze bardziej, dwaj młodsi zagapili się ze zdziwieniem, piękność uśmiechnęła się szerzej, garbuska westchnęła. Dziewczyna patrzyła w kurz drogi pod nogami.

– Uwielbiam teatr – podjąłem łaskawie.

– Niech pan przyjdzie na przedstawienie – równie łaskawie zaprosiła niewiasta. – Okażcie swoje uwielbienie, kiedy dotrzemy na jarmark. Wtedy zagramy…

– A daleko ten jarmark? – zainteresowałem się żywo.

– Tam.

Kobieta wykonała nieokreślony gest ręką. Mężczyźni spojrzeli po sobie. Jeden z nich był zdrowo wyglądającym młodzikiem o twarzy

wiejskiego głupka, drugi miał ewidentnie przymieszkę szlachetnej krwi, zapewne jakiś bastard, wypędzony z zamku rozpustnego tatki.

Zerknąłem na dziewczynę.

Gdyby choć na chwilę podniosła oczy, gdyby powtórzyła swą niemą prośbę, kto wie, jak skończyłoby się to spotkanie na trakcie.

Nadal patrzyła w ziemię. Zawahałem się.

Przeróżne kłopoty mogą spotkać młodą osóbkę, która przystała do komediantów. Zwłaszcza, jeśli ma białe dłonie, cienki palce i jasne potargane włosy, znające lepsze czasy. Kto wie, czy nie dzieli losu tego młodego bękarta, urodzona do lepszego życia, lecz skazana przez los na tułaczkę w kolorowym wozie, smagana zimnym, jesiennym wiatrem…

– Przyjdę obejrzeć – obiecałem solennie. Rozluźniłem wodze i pogalopowałem przodem.

Egert wrócił mroczny jak gradowa chmura, ze spękanymi na wietrze wargami, zmęczony i postarzały. Miał nadzieję, że Tantala wybiegnie mu na spotkanie, krzycząc na całą ulicę, że Alana wróciła już dawno do domu. Nadzieja zgasła, gdy tylko ujrzał jej twarz. Mimo wszystko jednak zapytał:

– Nic?

– Nic.

Było zimno. We wnętrzach szalały przeciągi. Stara niania od tygodnia obłożnie chorowała.

Egert przeszukał wieś Zgliszcza i okoliczne chutory. Bez skutku.

W kominku trzaskał ogień. Tantala siedziała tam przygarbiona, niepodobna do siebie. Na jej twarzy odbijał się miedziany poblask płomieni. Egert wspomniał ze smutkiem inny kominek i ogień, inną kobietę, ciepłe morze, w którego falach pierwszy raz dotknął swej przyszłej pięknej żony, Torii.

– Trzeba powiedzieć Torii – mruknęła cicho Tantala.

Egert skinął głową, nie patrząc.

Jarmark istotnie odbywał się całkiem niedaleko. Na trakcie zrobiło się tłoczno od okolicznych, odświętnie odzianych wieśniaków. Szczególnie wstrząsnęła mną pewna młoda chłopka, zasiadająca na piramidzie worków. Ryzykowała upadek, gdyż furmanka co rusz trafiała kołem w rozmaite wyboje. Młódka, jakby nigdy nic, podrygiwała w kwiecistej spódnicy, wystawiając na widok publiczny nowe, żółte jak dynie, błyszczące tłuszczem buciki. Wysoko zadzierała nosek, spoglądając na wszystkich z góry. Widocznie zdawało się jej, że buciki przyćmiewają blaskiem cały jarmark, a nawet słońce.

Targ trwał już od paru dni. Wokół zatłoczonego placu zdążyły się utworzyć góry odpadków. Bezpańskie psy usiłowały wyżerać karmę dla miejskich kotów, które, choć dobrze utrzymane, także starały się wtykać pyszczki w sterty śmieci. Skrzywiłem się. Mój nos był bardzo

wrażliwy na odór nieprzebranej ciżby.

Powinienem był jechać dalej, lecz w końcu placu znajdowała się solidnie wyglądająca, zbudowana z kamienia oberża i moja swędząca skóra zapragnęła gorącej wody, miękkiej pościeli i spokojnego noclegu.

Zostałem.

Noc zepsuły mi psy, które urządziły pod mym oknem najpierw głośną orgię, potem jeszcze głośniejszą walkę. Rankiem, płacąc za pokój, wyłudziłem pięć monet zniżki na pokrycie strat moralnych. Oberżysta był oburzony, lecz wystarczyło jedno moje spojrzenie, by się powstrzymał od kłótni. Niech lepiej pilnuje własnych i cudzych psów.

Niezbyt wypoczęty, ale za to zadowolony z siebie, wybierałem się w dalszą drogę. Zamierzałem przy okazji objechać plac boczną drogą. Nie zdołałem jednak wprowadzić swego zamiaru w czyn. Na trzecim zaułku od placu targowego dosłyszałem odgłosy głucho dudniącego bębna i pisk fujarki.

– Komedianci! Komedianci!

Cwany malec ściągnął bułkę z koszyka zażywnej wielbicielki sztuki teatralnej.

– Komedianci! Będą komedianci!

Namyślałem się jakiś czas. W końcu zwyciężyła ciekawość. Nie schodząc z konia, pokrzykując z pańska na gapiów, wróciłem na plac w to miejsce, gdzie z daleka pstrzyły się kolorowe wozy.

Komedianci walili się wzajemnie po łbach szmacianymi maczugami. Ten, którego uznałem za bastarda, tańczył jak marionetka, z nieruchomą twarzą kukły. Garbuska cieniutko piszczała, rozśmieszając publikę, a ślicznotka przechadzała się dumnie z piersiami sterczącymi jak przód okrętu. Dziewczyny nigdzie nie było.

Moja klacz nie zamierzała stać spokojnie, drażniły ją ciżba i pisk fujarki. Nie wiedziałem czemu jeszcze nie odjechałem. Uspokajałem niedbale kobyłę i czekałem. Nie wiedząc na co.

Dzieciak z twarzą wioskowego głupka przeszedł się wokół z glinianą miseczką. Datki nie były skąpe, ale też nie rewelacyjne. Widziałem, jak szef teatru zsypał garstkę monet do trzosu u pasa.

Gdzie do diabła ukryli dziewczynę?!

Zeskoczyłem z siodła. Tłum rozpierzchnął się, ustępując mi z drogi, nawet nie musiałem się rozpychać łokciami. Zdążyłem w ciągu minuty uwiązać konia do drewnianego schodka jednego z wozów.

Była tutaj.

Moje oczy potrzebowały chwili, by przywyknąć do półmroku, dlatego w pierwszym momencie sądziłem, że na dziurawej podłodze leży jakiś worek. Nagle tłumok drgnął i błysnął w ciemności białkami oczu. Zobaczyłem leżącą na boku dziewczynę ze związanymi dłońmi

za plecami i zakneblowanymi ustami.

Nawet się nie zdziwiłem. Tak jakby w każdym wozie komediantów znajdowało się związanych ludzi, niczym ofiarę dla leśnych zbójców.

– Ciekawe widowisko – powiedziałem bardziej do siebie, niż do dziewczyny.

Ledwie słyszalnie wciągnęła powietrze.

Na zewnątrz zaśmiewały się rozradowane tłumy.

Publiczność, która pragnęła tego dnia nacieszyć się przedstawieniem, otrzymała znacznie ciekawsze widowisko. Zrobiła się awantura. Dziwne znalezisko wywołało reakcję: bezładne, lecz silne ciosy atakującej mnie trójki. Postanowiłem zagrać pod publiczkę: jęczałem, krzyczałem, krzywiłem twarz, tak więc znaczna część widzów mogła uznać to za element spektaklu.

Tylko jeden moment był naprawdę niebezpieczny, kiedy ślicznotka zaszła mnie od tylu i walnęła czymś ciężkim po głowie. Starałem się nie stracić przytomności, lecz ból był bardzo silny, deski pod nogami stanęły dęba i nagle okazało się, że leżę na brzuchu. Wiejski głupek zdążył kopnąć mnie dwa razy w żebra, a po chwili zobaczyłem nóż w dłoni bastarda.

Przeturlałem się, jak zdołałem na deskach zalanych krwią. Bastard atakował delikatnie, tak, aby z zewnątrz wyglądało wszystko na moje nagłe omdlenie. Chwyciłem rękę z nożem i wystawiłem na widok publiczny, potem dosięgłem nogą brzucha bękarta. Publika w tym momencie połapała się, że występ zamienił się w prawdziwe mordobicie i zaczęła reagować różnie: matki zabierały dzieci, uliczne łobuzy dopingowały na zmianę mnie i komediantów, najbardziej wystraszeni wzywali straże.

Komedianci woleli nie mieć do czynienia ze strażą. Nagle okazało się, że zostałem sam na scence. Nie usłyszałem braw, dostrzegłem za to w tylnych rzędach pobłyskujące hełmy miejscowych stróżów porządku. Głowa bolała niemiłosiernie. Moja klaczka, cześć jej i chwała, nie zerwała się z uwięzi i nie wpadła w panikę, mogłem zatem wrzucić na jej grzbiet dziewczynę i ujść strażnikom. Wyobrażam sobie, co opowiadali o mnie komedianci.

Chociaż, kto wierzy komediantom.

W dzieciństwie nasłuchałem się opowieści o dzielnych rycerzach, ratujących księżniczki. Zazwyczaj jednak uwalniali je od smoków, nie od aktorów, gdyż byłaby to nie tragedia, lecz farsa. Księżniczka zniewolona przez szajkę złowrogich pajaców!

Oczywiście w tych starych opowieściach nigdy nie mówiło się o powrotnej drodze wybawiciela i wybawionej. Trzeba przecież taką wieźć na swym siodle, czymś nakarmić, załatwić jakiś nocleg, a wreszcie pocieszyć, bo, jak się okazało, komedianci potrafili być gorsi

niż kanibale!

Księżniczka początkowo też zachowywała się dziwnie. Nie płakała na mej piersi i nie opowiadała swojej smutnej historii.

Nie obiecywała złotych gór, jakimi nagrodzi mnie zatroskany ojczulek, nawet nie wymieniła swego imienia. Oznajmiła tylko przez zaciśnięte zęby, dokąd mam ją odwieźć. To wszystko. Poirytowany, z guzem na ciemieniu i siniakami na całym ciele, wiozłem ją w stronę domu rodzinnego.

W połowie drogi doznałem olśnienia. Zrozumiałem kogo i dokąd wiozę. Czarno Tak Skoro nie bez powodu zlał mnie jesiennym deszczem, wskazując właściwy kierunek. Nie zdarzają się takie przypadki. Mag prowadził mnie za rękę, a dziewczyna z powodu której oberwałem po łbie, jest prawie na pewno tą samą, którą przeznaczył mi na małżonkę.

Pierwszy raz mój los spoczywał w cudzych rękach. Poczułem się jak marionetka, za której sznurki pociągał Czarno Tak Skoro. Nie było to przyjemne odczucie.

Jakby wyczuwając zmianę w moim nastroju, Alana w końcu się otworzyła. Otępienie, władające nią od chwili pamiętnej bójki na scenie, spłynęło z niej, odsłaniając z trudem powstrzymywaną histerię.

Nazywała się Alana Soll. Uciekła z domu, żeby wędrować z komediantami. Na początku nowi przyjaciele traktowali ją dobrze, im bardziej jednak oddalali się od jej domu, podczas gdy panienka z dobrej rodziny zamieniała się w bezdomną włóczęgę, świat wokół niej także się zmienił. Aktorzy uznali, że jest jedną z nich, ona zaś nie mogła dowieść, że jest inaczej. Kiedy pierwszy raz spróbowała ucieczki, zaczął się koszmar…

Wątpię, by wcześniej wiedziała, czym jest „skrucha". Była w szoku i nie potrafiła ocenić swoich postępków. Po prostu nie przyszło jej to do głowy. Ja natomiast – teraz już nie tylko szlachetny wybawca, ale także jej przyszły mąż! – byłem zmuszony zacisnąć zęby i znosić jej histerię, by wyjaśnić rzeczy dla mnie istotne.

Bili ją. Kazali wykonywać najczarniejszą robotę i wyśmiewali ją. Zamykali, wiązali, nie puszczali nawet na krok, źle karmili. Wiele razy poili jakimś nasennym świństwem i zamykali w skrzyni pod kupą łachów. Zrozumiała z fragmentów rozmów, że jest poszukiwana i komedianci się boją. W rozpaczy spróbowała ponownej ucieczki i odtąd była stale prowadzona na sznurku.

Starałem się dowiedzieć jak najwięcej. Obawiałem się, że gdy do końca oprzytomnieje, przestanie być taka szczera. Jak najdelikatniej zadałem pytanie, które w innych okolicznościach nie przeszłoby mi przez usta. Po jej reakcji przekonałem się, że nie, obeszło się bez gwałtu.

To znaczy, była nakłaniana do bliższej zażyłości i to niejeden raz,

przez wszystkich pod rząd, z wyjątkiem garbuski. W końcu szef trupy dał swojej bandzie do zrozumienia, że pragnie mieć dziewczynę tylko dla siebie. Pewnej nocy, tuż przed moim zjawieniem, przystąpił na poważnie do dzieła. Wściekła i zrozpaczona Alana zamieniła się w drapieżną kotkę. Łajdak wstydził się wzywać pomocy, zbił więc dziewczynę niemal na śmierć.

Potem nastąpiło spotkanie na drodze. Komedianci zaniepokoili się, bardzo nie spodobała się im moja ciekawość. Alana przeżyła noc w strachu i oczekiwaniu. Następnego dnia, kiedy znów ją związali jak dzikie zwierzę, pojawiłem się niczym grom z jasnego nieba.

W tym momencie opowieści niemal wybaczyłem magowi rolę władcy marionetek. Co z tego, że uratowanie Alany nastąpiło zgodnie z magiczną wolą? A gdybym jej nie odbił? Strach pomyśleć, jak wyglądałyby jej dalsze losy. Żadnej, nawet najbardziej rozpieszczonej pannie nie życzyłbym takiej życiowej lekcji.

Płynęły z niej strumienie słów i łez. Wiedziałem, że nie kłamie. Jednocześnie cieszyłem się i smuciłem: cieszyłem, że udało się jej uniknąć ponurego losu, a smuciłem, że aktorzy zdołali uciec. Zresztą… byłem bliski tego, by zawrócić konia i rzucić się w pogoń. Nie byłbym Rekotarsem, gdybym ich nie dogonił. Dognał i…

Zdusiłem ideę w zarodku. Należało przede wszystkim uspokoić panienkę. Nie bez trudu zmieniając temat, dowiedziałem się sporo ciekawych rzeczy.

Jej dziadek był wielkim magiem. Ojciec to legendarny pułkownik Soll, o którym kiedyś słyszałem. Jej starszy brat zaginął dziesięć lat temu. Gdy tylko zaczynała o nim mówić, zacinała się i płakała od nowa.

Aby jej łzy osuszyć, opowiedziałem o Magu z Magów Damirze, o smoku, pustoszącym okolice zamku Jimenezów, o kopii przebijającej potwora i w ogóle o dawnych czasach, gdy smoków było w bród, ale dobrych czarodziejów niewielu. Wszyscy wiedzą, że bohaterskiego czynu zabicia bestii Damir dokonał nieodpłatnie i bezinteresownie. Piękna córka Jimeneza oddała mu swą rękę z własnej woli, idąc za głosem serca.

Alana szybko zapomniała o płaczu i słuchała z szeroko otwartą buzią. Na korytarzu gospody rugali służbę, pod oknem miauczały koty, gdzieś dalej ktoś walił młotem o stal, lecz w naszym małym pokoiku było cicho, na kominku płonął ogień, a szczuplutka dziewczynka błyskała oczyma, wyglądając jak trzynastolatka. Miałbym się żenić z dzieckiem?!

Wciąż była nieznośnym dzieckiem. Jej ucieczka z domu wiele o niej mówiła.

Miała być moją żoną. Nieodwracalność tego faktu dręczyła mnie jak ból zęba.

Drzwi otworzył ponury sługa. Oczy nieokreślonej barwy zatrzymały się na mej twarzy i stały się jeszcze bardziej chmurne. Zaraz jednak zaokrągliły się jak spodki, gdy dojrzały za moimi plecami stropioną Alanę.

– Och… Pani! Pani Tantalo! Tutaj!

Lokaj krzyczał, trzymając się za serce. Alana mocno ujęła mnie za łokieć. Wychodziło na to, że będę musiał chronić ją przed gniewem domowników i słusznie należącym się laniem.

Wyskoczyła skądś rumiana pokojówka i też zakrzyknęła, machając łapami jak kura skrzydłami. Cały dom trząsł się od krzyków, kiedy z góry schodów sfrunęła kobieta w ciemnej sukni z wyrazistą, nieszczególnie ładną, lecz interesującą twarzą.

Pierwsze spojrzenie padło na mnie, drugie na Alanę i było takie, że dziewczyna aż się zjeżyła. Ciekawa osoba, trzeba przyznać. Furia, nie kobieta. Siostra?

– Witaj, Tantalo – powiedziała ochryple Alana, nie puszczając mej ręki. – To jest pan Retanaar Rekotars.

– Bardzo mi miło – oświadczyła dama spokojnie, jakby nieznośna dziewczyna w każdy wtorek sprowadzała do domu nieznajomego mężczyznę. I dodała, zwracając się do służby – Klow, biegnij po pana Egerta. Diula przygotuj gorącą wodę… A pan Rekotars…

Aż się wzdrygnąłem, słysząc jak dziwnym tonem wymówiła moje nazwisko.

– Będzie uprzejmy wejść.

Uznałem za swój obowiązek opowiedzieć perypetie Alany w taki sposób, by nie było powodu jej karać. Było to bardzo ważne, gdyż głupiutka panienka zacięła się dumnie i nie zamierzała niczego wyjaśniać. Ciekawa była ta jej duma. Cały czas odwracałem głowę w oczekiwaniu, że za chwilę nadejdzie z dalszych pokojów matka dziewczyny, zapłakana i gotowa wszystko wybaczyć. Nie wyszła jednak na spotkanie zbłąkanej córeczki. Nie zamierzałem o to pytać, choć byłem tym faktem nieco zmieszany. Byłaby to jednak z mej strony niewczesna ciekawość.

Zjawił się potem mój przyszły teść.

Gdy ujrzałem sylwetkę w półotwartych drzwiach, odniosłem w pierwszej chwili wrażenie, że pan Soll jest wciąż młody. Kiedy już stanęliśmy oko w oko i przyjrzałem się z bliska, zrozumiałem swoją pomyłkę. Ojciec Alany był całkiem siwy, a niegdyś przystojne oblicze pokryte było siecią głębokich, gorzkich zmarszczek. Doszedłem zatem do wniosku, że pułkownik jest stary i znowu musiałem zmienić zdanie, gdy zobaczyłem, jak wbiega po schodach, przesadzając po dwa stopnie. Lokaj, który nadbiegł za nim, ciężko dyszał, wciąż trzymając się za serce. Soll zachował równy, spokojny oddech.

Alana zadarła nosa.

W tym momencie sam miałem ochotę jej przyłożyć.

Po tym, co się zdarzyło i co przeżyła rodzina, demonstrować taką pychę?!

Pułkownik podskoczył do córki z takim wyrazem twarzy, że nie zdziwiłbym się, gdyby wymierzył jej siarczysty policzek. Zamiast tego po prostu ją objął i przytulił. Dziewczyna natychmiast odtajała, jak śnieg na słońcu. Naturalną koleją rzeczy pojawiły się łzy i klasyczne w tej sytuacji słowa.

Westchnąłem głęboko. Potraktowali ją po ludzku i chyba obejdzie się bez dyscypliny. A jeśli będzie lanie, to na spokojnie.

Wiedząc, że sceny rodzinne powinny się odbywać bez świadków, zaszyłem się po cichu w ciemnym kącie. Tam znalazła mnie zapłakana staruszka i zaczęła całować po rękach.

– Niech pana błogosławią Niebiosa… że uratował pan naszą panienkę…

Staruszka okazała się nianią Alany.

Dom Sollów trwał w rozgorączkowaniu do późnej nocy. Kiedy wybiła północ, ocalona panna spoczęła na miękkich poduszkach, a w salonie odbyła się krótka narada.

Pułkownik był niewątpliwie znakomitym dowódcą. W samym jego głosie dawało znać o sobie poczucie władzy, jakkolwiek przemawiał niegłośno i z uśmiechem. Kobieta o imieniu Tantala raczej milczała, czułem jednak na sobie jej badawcze spojrzenie.

Opowiedziałem im tyle, ile powinni byli wiedzieć: o tym, jak opuściłem rodowy zamek, pragnąc podróżować i jak spotkałem podejrzanych komediantów. Guz na ciemieniu wciąż przypominał się tępym bólem, toteż powiedziałem wszystko, co myślałem o aktorach, o ich rozwiązłym życiu w malowanych budach, nieprzyzwoitych spektaklach i o kłamstwie, w jakim egzystują całe życie.

– Nie będę powtarzał plotek – kontynuowałem z pogardliwym uśmiechem – że komedianci porywają dzieci i wychowują je na żebraków lub zajmują się handlem żywym towarem. Chociaż, muszę przyznać, że po historii z Alaną, gotów jestem uwierzyć we wszystko. Ludzkie odpadki, tułające się bez domu i żyjące z tak niecnego procederu, zdolne są do wszystkiego…

Słuchali mnie uważnie: Soll z nieprzeniknionym obliczem, Tantala z dziwnym wyrazem twarzy, którego nie umiałem rozgryźć.

– Pan Rekotars zrobił dla naszej rodziny tak wiele, że nie wiemy, jak mu za to dziękować – oświadczył pułkownik, gdy zakończyłem opowieść. – Może nam pan podpowie, jak się możemy odwdzięczyć?

Dyplomatycznie nie wspomniał o pieniądzach. Być może nikogo by nie zdziwiło, gdyby dzielny rycerz Rekotars poprosił pokornie o parę złotych tysiączków na pokrycie wydatków.

Czarno Tak Skoro na moim miejscu nie mrugnąłby nawet

powieką. Wszystko na tym świecie kosztuje, nawet to, czego nie można kupić. Wspomnienie maga okazało się bardziej niemiłe, niż się spodziewałem. Ostatecznie to, czego miałem zażądać od tych ludzi, nie da się wymienić na brzęczącą monetę…

Wahałem się jakiś czas. Powiedzieć teraz? Dopóki są uszczęśliwieni i gotowi zgodzić na wszystko?

Czy rzeczywiście na wszystko? Patrząc na pułkownika, trudno było uznać, że nie potrafi odmówić. Do tego jeszcze Tantala… Dlaczego mi się tak przygląda?!

Rozparłem się w fotelu.

– Drodzy państwo. Zrobiłem to, gdyż nie mogłem inaczej postąpić i gdyby na miejscu Alany była jakaś biedna sierota…

Zaciąłem się chwilowo, ponieważ zabrzmiało to zbyt patetycznie i wkraczałem na niebezpieczny grunt.

– Szkoda czasu na roztrząsanie tego, co uczyniłem. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Jedyne, o co ośmielałbym się prosić – podjąłem z czarującym uśmiechem, nie bacząc na świdrujące spojrzenie Tantali – to nocleg. Jest już późno, a nie znam tego miasta ani tutejszych gospód.

– Pański pokój jest od dawna przygotowany – oznajmił Soll z lekkim zdziwieniem.

Skłoniłem się wdzięcznie.

Pani Torii nikt nie opowiedział o perypetiach jej córki. Rankiem Alana znalazła w sobie dość sił, by odwiedzić pokój matki i powstrzymać się przy tym od łez. Toria w żadnym wypadku nie powinna była widzieć płaczu, gdyż wpadała od tego w głęboką depresję, przestawała jeść i uśmiechać się. Każdy odwiedzający panią domu zobowiązany był zachować spokój.

Alana wspominała ze smutkiem czas, gdy jej matka, lekka jak motyl, bawiła się z nią w berka na łące obok podmiejskiej rezydencji. Pamiętała, jak dłonie Torii jednym muśnięciem zdejmowały ból od upadku. Jak za niezwykle piękną kobietą oglądali się przechodnie. Córka pamiętała więcej, niż jej ojciec, lecz owego dnia powstrzymała łzy i nałożyła na twarz maskę spokoju.

– Dzień dobry, mamo…

Toria Soll uśmiechnęła się i skinęła głową. Alana wyszła i za drzwiami przywarła na kilka sekund czołem do futryny.

– Mówią ptaszkowi: nie wylatuj z gniazda, na dworze koty biegają – mamrotała niania, jakby sama do siebie. – Ale nie… szu, szu… poleciał…

W połowie drogi do salonu dziewczyna spotkała Retanaara.

Czy jej brat, Luar, był rzeczywiście tak podobny do tego człeka, jak sobie fantazjowała? Przecież doskonale pamiętała, że Luar był jasnowłosy i jasnooki, oczy zaś Retano były tak czarne, że prawie nie

widać było źrenic. W owej zatrważającej czerni pobłyskiwały ironiczne promyki.

Alana westchnęła przeciągle.

Pamiętała, że Luar był niesamowicie wysoki. Miała jednak wtedy tylko pięć lat i była tak malutka przy dorosłym bracie. Teraz sama wyrosła, lecz Retano wydaje się jej ogromny jak pałacowy filar.

Więc wymyśliła ich podobieństwo?

Może dlatego, że pamiętała ciepło i spokój bijące od starszego brata, a także szczenięcą ufność, z jaką obejmowała go za szyję. Może czuje do tego mężczyzny coś podobnego? Przecież szlochała na jego piersi, bez wstydu i zmieszania, tak jak nigdy nie odważyłaby się płakać na przykład w objęciach ojca.

– Dzień dobry, księżniczko.

Rekotars był poważny, lecz ironiczne ogniki błyszczały żywiej niż zwykle.

Zrobiła ku niemu krok jak zaczarowana i wyciągnęła dłoń.

– Dzień dobry.

– Pan Rekotars zamierza coś nam oznajmić – usłyszała oschłą uwagę za plecami.

Wzdrygnęła się.

– Życzy pan sobie, oczywiście, by Alana również w tym uczestniczyła?

Tantala uśmiechała się grzecznie, lecz Alana, znając ją od lat, widziała ukrytą pod tym drwinę. Zjeżyła się, ponieważ nikt nie potrafił dorównać byłej aktorce w wyśmiewaniu innych. Jeśli zechce kpić z Retano, Alana wyrwie jej kudły. Człowiek, który ją uratował i walczył dla niej, człowiek z iskierkami w oczach nie zasługiwał na krzywe spojrzenia!

Czuła się niemal urażona. Jej wybawcy nie okazuje się należnej czci. Tantala niegodna mu czyścić buty! Wielkiemu człowiekowi!

– Czemu stoimy?

Tantala wciąż uśmiechała się zimno.

– Pan Egert czeka w salonie.

Alana dumnie skinęła głową. Miała ochotę wziąć swego wybawcę pod ramię naturalnym gestem, jak starego przyjaciela. Powstrzymała się jednak w ostatniej chwili.

Obawiała się, że sparzy dłoń, dotykając jego gorącego ramienia.

Całą noc śniły się Tantali wozy komediantów. Puste, na wzgórzu smaganym wiatrem, który zagłuszał wołanie. Ci, którzy dawniej zamieszkiwali pod płóciennymi budami, dawno odeszli, lecz kobiecie błądzącej między wrośniętymi w ziemię kołami, majaczyły się chwilami dźwięki lutni, donośny chłopięcy krzyk i bas rozkazujący czym prędzej rozstawiać kulisy.

Na ziemi leżały puste chomąta. Walała się miseczka na datki, lecz

zamiast monet spoczywał w niej pęk trawy. Wiatr szarpał dziurawymi płachtami zetlałych kostiumów, targał lokami wyleniałych peruk. Z nieba mżył rzadki deszczyk, pokrywał rosą ronda kapeluszy. Papierowa głowa całkiem rozmokła, przypominając główkę kapusty.

Zbudziła się o świcie. Wyskoczyła ze snu jak z lepkiej mazi. Długo obmywała się zimną wodą, później równie długo rozczesywała przed lustrem włosy, dostrzegając ze zdziwieniem pierwsze oznaki siwizny. Wielkie nieba, skończywszy trzydziestkę będzie już całkiem siwa i będą się jej kłaniać z szacunkiem na ulicy, jak jakiejś bogatej staruszce.

Zaśmiała się sucho, patrząc w oczy swemu odbiciu.

Drogo zapłaciła za historię z Alaną. I jak podpowiadała intuicja, zapłaci jeszcze więcej. Człowiek z błyszczącymi czarnymi włosami był wczoraj nie bez powodu tak fałszywy i wygadany. Skrywał jakąś tajemnicę, jakieś sekretne pragnienie. Wydawał się Tantali coraz bardziej podobny do… Wreszcie skojarzyła! Był aktorem, odgrywającym z talentem rolę napisaną dla niego.

Urodzona aktorka, spędzająca najlepsze lata swego życia na scence wędrownego teatrzyku, nie była w stanie zaufać amatorowi, który popisywał się swoją grą w prawdziwym życiu.

Nie pierwszy raz śniła o pustych wozach. Następny dzień zawsze okazywał się nieudany. Tantala zwykle czekała do wieczora z opuszczonymi rękami. Dzisiaj nie mogła sobie pozwolić na zaniechanie. W domu zagnieździł się czarnowłosy przystojniak, a głupiutka Alana patrzyła w niego jak w obraz, myśląc przy tym, że potrafi to ukryć. A Egert… Egert był taki szczęśliwy, że znów nie mógł zasnąć. Nie spał już czort wie jak długo. Będzie niczym pijany we mgle i odpowie z radością „tak" czarnowłosemu…

Temu wybawcy Alany z błyszczącymi oczami. Nie widać po nim, że jest hochsztaplerem i naciągaczem. Tantala wiedziała jednak, że trzeba ufać przeczuciu.

Może zraziły ją jego wypowiedzi o komediantach? Bzdura.

W salonie Sollów, tak obszernym, że można by w nim było urządzać bale i pojedynki, przyciągał mój wzrok przede wszystkim piasek przesypujący się w klepsydrze.

Bardzo interesująca rzecz. Długo można było podziwiać brązowe figurki na podstawce. Żółty piasek przywodził na myśl nagrzaną słońcem plażę. Bezmyślnie ująłem specjalną rączkę i odwróciłem zwężający się pośrodku korpus. Z góry popłynęła niteczka piasku, tak cienka, że prawie niewidoczna…

Patrzyłem na spadający piasek, czując jak włosy stają mi dęba na głowie.

Nie ma niczego bardziej okrutnego niż czas. Nie widzisz go ani nie odczuwasz. Wydaje się niewidzialny i dlatego nagłe odczucie jego

istnienia spada jak grom z jasnego nieba. Możesz mieć magiczną moc, zbudować pałac i podbić serca setek pięknych dam, spróbuj jednak cofnąć osypujący się piasek!

Moje życie uciekało. Podobnie jak innych, lecz u nich powoli i niezauważalnie, gdyż mieli przed sobą jeszcze całe góry piasku, ja zaś miałem policzone wszystkie ziarenka…

– Drodzy państwo… chociaż przyczyną naszego spotkania było nieszczęście… jestem jednak niezmiernie rad. Ród Sollów…

Odruchowo powiodłem wzrokiem po ścianach, jakby poszukując galerii rodowych portretów.

– Słynny ród, którego następczynią jest panna Alana. Jestem szczęśliwy, że mogłem jej pomóc. I chociaż, powtarzam, gotów byłbym uczynić to dla każdej sieroty w opałach, sam los przywiódł mnie do jedynej spadkobierczyni Sollów.

„I Czanotaks Oro" – dodałem w myśli. Czy mi się zdawało, że moi słuchacze posmutnieli? Szczególnie ta dziwna osoba o charakterystycznej twarzy i jeszcze dziwniejszym imieniu, Tantala? Powiedziałem coś nie tak? A może Alana nie jest jedyną spadkobierczynią?

Ach, tak. Zapewne pomyśleli o jej zaginionym bracie. Muszę ostrożniej dobierać słowa…

Zerknąłem na Alanę i zaraz się uspokoiłem.

Biedna dziewczyna. Nie potrafi ukryć swego zadurzenia ani go odpowiednio wyrazić. Siedzi nastroszona jak sowa, zaczerwieniona po czubki uszu i nie spuszcza ze mnie oczu. Większość panienek w jej wieku dawno już posiadło sztukę kokieterii.

– Prawdę mówiąc – rzekłem skromnie – mój ród Rekotarsów nie ustępuje rodowi Sollów. Korzenie mych przodków giną w pomroce dziejów, lecz za głównego protoplastę uważany jest Mag z Magów Damir…

Zrobiłem efektowną pauzę. Alana wciągnęła głośno powietrze.

– Miał pan w rodzie magów? – zdziwił się Soll.

Tantala milczała. Ciekawe, że do tej pory nie dowiedziałem się, kim jest dla Alany. Może macochą? I mogę się przez nią srodze rozczarować w kwestii spadku?

– W moim rodzie – odparłem, posyłając czarujący uśmiech Alanie – był nie zwykły mag, lecz Mag z magów Damir. Pierwszym jego dziełem na ziemiach przyszłego teścia było pokonanie strasznego smoka. Istnieją na ten temat odpowiednie świadectwa, grawiury i dokumenty. Jeden z nich, Certyfikat, wożę zawsze ze sobą. Kto wie, co może się zdarzyć?

– Zdarzyć z czym? – zapytała Tantala.

Miała dziwny wyraz twarzy. Jakby się chciała rozpłakać.

– Biorę pod uwagę, że rodowy zamek Rekotarsów… Znowu

zrobiłem pauzę.

– Może pewnego dnia spłonąć. Nie chciałbym, żeby Certyfikat świadczący o męstwie mego przodka, spłonął wraz z nim…

Alana miała półrozwarte usta. Zerknąłem znów. Wyglądała przepięknie. Jak głupiutki podlotek.

– Tantalo – zwrócił się Soll do kobiety – lepiej ode mnie znasz historie o dawnych magach. Zapewne, studiując księgę, zetknęłaś się z imieniem pana Damira?

Poczułem się niemile dotknięty. Co to znaczyło: „studiując księgę"? Czy nie chodziło o tę samą, której tak pożądał łotr Czarno?

Nie myślałem o tym wcześniej. Ostatecznie, skoro to poważne dzieło, imię Damira powinno pojawiać się na co drugiej stronie…

Zdobyłem się na uśmiech.

– O jakiej księdze mowa? Odpowiedzieli jednocześnie.

– Moim teściem był dziekan Łujan – oznajmił Soll.

– O księdze maga Łujana, dziadka Alany – wyjaśniła Tantala.

Odwróciła się w stronę Solla.

– Przecież także ją czytałeś, Egercie.

– Nie pamiętam wszystkiego – odparł ze skruchą pułkownik, wzruszając ramionami.

Tak. Najwyższy czas przypomnieć mu o dziełach Wielkiego Damira.

Nabrałem powietrza w płuca i zacząłem opowieść.

Alana słuchała nie po raz pierwszy, a jednak w trakcie mej opowieści, jej oczy robiły się coraz większe. Rozprawiałem o wspaniałej podróży, jaką odbywał mój przodek, o jego wielkich czynach po drodze, a także, iż usługiwał mu w owym czasie szeroko znany Lart Legiar, który także stał się później wielkim magiem. Coś tam było też o jakimś złym duchu, który chciał wejść przez nie zamknięte drzwi… Słowa płynęły potoczyście, jakbym widział wszystko na własne oczy.

Soll słuchał z uwagą. Tantala garbiła się, zagłębiając w fotelu, jakby nagle źle się poczuła. Jakby powstrzymywała kichnięcie. Trochę mi jej zachowanie przeszkadzało. Niech sobie kicha na zdrowie albo wyjdzie za drzwi i użyje chusteczki do nosa…

– I powtarzam z dumą: taki właśnie był mój przodek, Wielki Mag Damir.

Nastała chwila ciszy. Dosyć znów efektowna, lecz trochę przydługa, jak na mój gust.

– Gratuluję – rzekł ostrożnie Soll. – Takim przodkiem może się pochlubić nie każdy… hm… arystokrata.

– Mój ród godzien jest związać się z rodem Sollów! – stwierdziłem z przekonaniem. – Jego pradawną, lecz wciąż żywą tradycją jest pojąć za żonę uratowaną z opresji pannę. Dlatego mam honor prosić pana,

pułkowniku Soll, o rękę pańskiej córki, młodej Alany!

Kątem oka widziałem szeroko otwarte usta panienki. Kąciki ust rozszerzyły się od ucha do ucha, toteż szybko zakryła je dłonią. Jak widać, nie nauczyła się jeszcze panować nad uczuciami.

Soll patrzył mi prosto w oczy. Tak długo, że zdążyłem skonstatować, że owe piękne, szaroniebieskie oczy musiały uwieść niejedną damę. Oczywiście dawno temu, za młodu.

W tym momencie Tantala wybuchła śmiechem.

Nie potrzebowała chusteczki, gdyż nie miała kataru. Parszywy los! Ze łzami w oczach zwijała się ze śmiechu, prawie się nim dławiła. Nie patrzyła na mnie, lecz miałem wrażenie, jakbym dostał w twarz zimnym, mokrym ręcznikiem.

– Tantalo? – spytał zdziwiony Soll.

Otarła łzy.

– Muszę wyjść… Wody…

To nie był śmiech histeryczny. Raczej wesoły. Tak śmieją się widzowie, oglądając zabawną farsę.

– Powiedziałem coś śmiesznego? – zasyczałem nieswoim głosem.

– Nie, co też pan…

Spojrzała wprost na mnie. Na dnie jej oczu czaiła się jawna drwina.

– Nic takiego, to mi się zdarza…

Gdyby była mężczyzną, wymierzyłbym jej policzek i wyzwał na pojedynek.

– Wielki Mag Damir – wykrztusiła w końcu, z trudem powstrzymując chichot – wspomniany jest w historii magów tylko dwa razy. Pierwszy raz, kiedy Lart Legiar połamał na jego grzbiecie magiczną różdżkę za obiad nie podany na czas… I drugi, gdy tenże Legiar wybrał się w podróż w towarzystwie przebranego sługi. Przebranego za swego pana. Stąd zapewne wzięły się pańskie informacje.

Nie zdążyłem zareagować. W ciągu paru sekund Alana przemierzyła salon długim susem i wczepiła się we włosy bluźnierczyni.

Rozdział szósty

Tawerna zwała się „Pod Ryjówką". Była to już chyba czwarta lub piąta karczma na mojej drodze. Nie byłem pijany, tylko w głowie odzywały się ciche, lodowate dzwoneczki, a świat przed oczami wypełniony był detalami: drobne kamyki, szczeliny w spękanym drewnie, zapodziany grosik pod stołem, mucha poszukująca nieczystości…

Wierzyłem jako dziecko, że krew Maga z Magów Damira odezwie się we mnie i w końcu objawię czarodziejskie umiejętności. Czas pokazał, że nadzieja była próżna. Nigdy nie żałowałem tego tak bardzo, jak owego deszczowego wieczoru, rozciągającego się brudną płachtą między knajpami.

Gdybym był magiem… Czy stałbym się igraszką Czarno Tak Skoro? Czy wplątałbym się w małżeńską aferę? Czas ucieka sekunda po sekundzie i aby ratować swoje życie zmuszony byłem zrobić z siebie głupca. Miałem ich wszystkich dosyć: Solla, Alany i starej histeryczki Tantali!

Żadna z odwiedzonych wcześniej tawern mi się nie spodobała. Dopiero ta nie wywoływała we mnie odrazy. Zasiadłem za ciężkim stołem i zażądałem wina.

Zachowałem dobry wygląd, skoro pospieszył obsłużyć mnie sam właściciel. Patrząc jak ten dość młody jeszcze, żylasty człek napełniał mą szklanicę, zamamrotałem od niechcenia:

– Przyjacielu, czy znajdę w tym mieście maga? Takiego prawdziwego, a nie szarlatana?

„Ryjówka" była piąta, może jednak szósta z kolei.

Oberżysta starannie postawił dzban na pociemniałym ze starości blacie. Był chyba niewzruszony z natury, a może co drugi gość o to go wypytywał.

– Wie pan co, szanowny panie. Ci dzisiejsi, to żadni magowie. Dawno temu, kiedy mój tatuś był jeszcze młodzikiem, w mieście był jeden czarownik pracujący na uniwersytecie, dziekan Łujan…

Uśmiechnął się, jakby wspominał coś przyjemnego.

– Był także inny człowiek, bez rodziny, bez nazwiska, którego zwali Tułaczem. Przy tamtym stole…

Wskazał ciemny kąt, zakryty parawanem.

– Siadywał tam co roku w Dzień Wszelkiej Radości. Pamiętam go z dzieciństwa. Był prawdziwym magiem i pułkownik Soll spotykał się z nim tutaj za każdym razem. Ojciec zabronił mi o tym gadać, bo dostałbym pasem. Od dawna się tu jednak Tułacz nie zjawiał. Chyba już dziesięć lat. Tatko żył jeszcze…

Być może poczciwy oberżysta obdarzony był zdolnością widzenia

wielu rzeczy, jak ja. A może po prostu poczuł do mnie sympatię, skoro wizyty w czterech tawernach uczyniły moją twarz tak urzekającą. Nie pokazałem po sobie wrażenia, jakie zrobiło na mnie nazwisko Soll.

W końcu do naszej rozmowy dołączyli inni tutejsi bywalcy. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko kiwać głową i słuchać, a także od czasu do czasu gryźć się w język.

Popełniłem gruby błąd, wdzierając się zwycięsko do domu Sollów, nie zebrawszy najpierw informacji o tej rodzinie. Dostałem za to nauczkę. Tantala, w obecności której tak źle wyrażałem się o komediantach, była przed laty wędrowną aktorką. Zapewne dlatego postanowiła się na mnie zemścić, może głupio, lecz wystarczająco boleśnie.

Kto jednak mógł przewidzieć, że w porządnym domu mieszka pod bokiem prawdziwej damy była komediantka? Słomiana wdowa, była narzeczona owego tajemniczego Luara, który zaginął dziesięć lat temu, przy czym wszyscy wierzą, że nie zginął gdzieś przypadkowo, lecz stanął na straży u jakichś Wrót…

Dziesięć lat bez przerwy. Nawet strach na wróble tyle by nie wystał.

Skąd mam wytrzasnąć kolejnego maga?! Kto mnie wyzwoli od wyroku Sędziego, abym mógł posiać do diabła pana Czarno z jego intrygami?

– Tak, oczywiście – odpowiedziałem machinalnie.

– A swoją drogą, ten pan Łujan, o którym tyle słyszałem, podobno pisał też jakieś książki?

Rozmowa się ożywiła. Wszyscy obecni znali Łujana. Ku memu niezadowoleniu, wspominali jego imię z niesłychanym respektem. Był mądry, sprawiedliwy, powstrzymał Czarny Mór. Wielkie nieba, w swym życiu spotkałem co najmniej pół setki szarlatanów, z których każdy przysięgał, że powstrzymał zarazę. Dziwne, że ktoś jeszcze gdzieś na to umierał…

– Napisał tylko jedno dzieło – odparł pryszczaty mieszczanin w ciemnym, porządnym kaftanie. – Jedno, lecz bardzo cenne. Mówią, że jest w nim zawarta prawda o wszystkich magach, wszystko, jak było, aż strach czytać, powiadają… Ja sam kiepsko znam litery, ale mam krewniaka na uniwersytecie, studenta. Dali mu poczytać, nową kopię zrobili, tak…

Westchnąłem. Jeśli Tantala nie skłamała, to księga nieszczęsnego Łujana jest od początku do końca wydumana. Jakże miałbym wierzyć dalej w mój Certyfikat, gdyby zawierała prawdę? Skoro jednak jestem na świecie, to kto ożenił się z moją prababką? Jakiś nieuchwytny duch?

– A pani Toria już od trzech lat nie wychodzi z domu – opowiadał tym razem inny mieszczuch ze znakiem cechowym aptekarzy,

wytatuowanym między wielkim a wskazującym palcem lewej dłoni. – Mówią, że chora… Inni gadają: rozum postradała!

Zadrżałem. Matka Alany?!

Wola łajdaka Czarno złączyła mnie z niezłą rodzinką. Do czego mu potrzebna ta kłamliwa książeczka?! Na co mi ta rozpuszczona pannica?!

Czas ucieka, sekunda za sekundą.

Kto mi pomoże wyrwać się z łap Sędziego?

– Nie będę z tobą rozmawiać! Nie będę z tobą rozmawiać!…

Tantala odwróciła się. Żal było patrzeć na Alanę.

Z równym powodzeniem można by było próbować zatrzymać kamień staczający się ze szczytu. Kiedy się rozpędzi, leci coraz szybciej i nic go już nie powstrzyma.

Nie powstrzymasz także gwałtownej ulewy.

Panienka z zaczerwienioną twarzą wrzeszczy i bryzga śliną. Zrobi wszystko po swojemu, choćbyś walił pałką po głowie. Choćby ojciec całkiem przez nią osiwiał, pannica zrobi swoje. Nie włada sobą i pędzi jak toczący się kamień.

Tamten nieszczery typ. Pozer i zapewne kłamca, opowiadający wierutne bujdy, ale panienka mu wierzy, gdyż wbiła go sobie do głowy. Słowa Tantali są jak groch o ścianę.

– Dokąd się wybierasz, Alano?

– Nie twoja sprawa! Na spacer!

– Nie puszczę cię.

– Jakim prawem?! Kim dla mnie jesteś, komediantko?!

Tantala opadła na fotel. Miała nadzieję, że z tamtej strony wyglądało to naturalnie i nie runęła jak worek zrzucony z furmanki, czując, jak jej miękną kolana.

Czemu Egert zwalił tę rozmowę na barki biednej Tantali?

On także nie jest z żelaza. Ciągły opór tej nieznośnej dziewczyny każdego doprowadziłby do obłędu. Wystarczy, że Toria… W Korpusie Egert może zdziałać wiele dobrego ze swymi chłopakami. Szanują go tam. Jest zbyt silny na to, by upajać się poczuciem winy i tonąć w nim, jak w smole.

– Idź dokąd chcesz – usłyszała gdzieś jakby z boku swój spokojny, beznamiętny głos.

Kiedy na dole trzasnęły drzwi, rzekła do sługi:

– Idź za nią.

I powtórzyła w odpowiedzi na zdziwione spojrzenie, teraz z nutką rozdrażnienia:

– Idź za nią! Śledź ją.

Nie miała ochoty czekać na powrót Egerta. Nie miała siły odpowiadać na pytanie, gdzie jest Alana. Dlatego wyszła z domu, niemal pewna gdzie i z kim spędza czas była uciekinierka.

W pierwszej z brzegu gospodzie dowiedziała się, że przystojny młodzieniec z długim, szlacheckim nazwiskiem chciał się tutaj zatrzymać, lecz bezwstydny właściciel „Miedzianej Bramy" zwabił go do swojej pluskwiarni i teraz naiwny biedaczek będzie musiał nocować z myszami i insektami.

Tantala uśmiechnęła się krzywo, rzuciła pieniążek gadatliwemu słudze i poszła do „Miedzianej Bramy", gospody, z którą wiązały się jej dawne, słodko-gorzkie wspomnienia.

Nic prawie się nie zmieniło przez dziesięć lat. Przede wszystkim nie zmienił się miedziany szyld. Owszem, arystokratyczny przystojniak zatrzymał się tutaj, niestety, obecnie nie ma go w pokoju…

Zmierzchało. Po ulicach chodzili latarnicy.

Służący zdziwił się, słysząc kolejne pytanie. Zmarszczył brwi. Panienka? Jakaś przychodziła i wypytywała o panicza. Ech, pani Tantalo, jej liczko wydawało się znajome, czy to czasem nie była córka pana Solla? Urocza panienka, ale żeby tak uganiać się po knajpach za mężczyzną… Jakich knajpach? A kto to wie, ona go szukała, on zaś ruszył w rejs. Młoda krew, a do tego pieniądze.

Tantala zacisnęła zęby.

Prawdę mówiąc, mogła w tej chwili wrócić do domu. Ostatecznie prędzej, czy później poczciwy Klow wróci z opowieścią, gdzie nocowała zepsuta dziewka. Tantala była niemal pewna, że w mieście, gdzie wszyscy znają pułkownika, jego córce nie zagraża nic oprócz hańby. Kobieta wróciłaby, gdyby po powrocie nie trzeba było spowiadać się Egertowi i wyznać całą prawdę o Alanie.

Toteż nie wróciła. Podziękowała słudze i powoli ruszyła w obchód okolicznych knajpek.

W wielu miejscach ją poznawano i uprzedzając pytanie, informowano, że młoda osoba była tutaj jakiś czas temu. Szukała wysokiego mężczyzny z czarnymi, błyszczącymi włosami.

Także był tutaj, ale wcześniej. Właśnie wyszedł. Dokąd? Kto go tam wie, młodzi szlachcice bawią się, gdzie chcą.

W tawernie „Ukojenie" zwróciła jej uwagę kompania dziesięciu cudzoziemców w płóciennych kurtkach, jakie noszą marynarze, muskularnych i dobrze uzbrojonych. Tantala drgnęła mimowolnie, czując na sobie parę oceniających spojrzeń. Różnie na nią kiedyś patrzono, również jak na łakomy kąsek, nauczyła się więc odpowiadać aroganckim wzrokiem. A jednak zadrżała. Obcy dziwnie patrzyli. Jak jeszcze nigdy w jej życiu.

Z pewną ulgą upewniła się, że nie ma tutaj Alany, po czym odwróciła się i wyszła, zdążywszy przedtem zauważyć na szyi jednego z obcych talizman w kształcie ludzkiego oka. Odruchowo przyspieszyła kroku.

Zmierzch zgęstniał na tyle, że kiedy z drzwi jednej z tawern

wyskoczyła jej pod nogi jakaś postać, nie od razu poznała Klowa.

– Pani Tantale…

– Alana jest tutaj?

– Niech pani sama zobaczy!

Klow odwrócił się twarzą w stronę latarni. Tantala dostrzegła ze zgrozą na twarzy tamtego długie, ciemne zadrapania i zacieki zaschniętej krwi. Jakby dzielnego lokaja opadło stado rozwścieczonych kocic.

Klow zasłonił twarz dłonią.

– Jaśnie pani… Panienka mnie zauważyła i zrozumiała, że ja za nią… i… jaśnie pani… nigdy więcej takich poleceń!

– Gdzie ona jest? – zapytała sucho.

Klow zdenerwował się jeszcze bardziej.

– Uciekła mi… Niczego nie widziałem, krew mi oczy zalała… Zaszedłem do znajomej służącej, żeby mi choć gębę otarła…

Tantala odwróciła się i odeszła. Klow pobiegł za nią, posapując i nieśmiało chwytając połę jej płaszcza.

– Jaśnie pani… No co, ja niczemu nie winien… Co mogłem zrobić. Straciłem ją z oczu i co teraz…

Zatrzymała się pod szyldem „Miedzianej Bramy". Odwróciła się ku dyszącemu nad uchem słudze.

– Szukaj jej, gdzie zechcesz, wydobądź nawet spod ziemi. Ja zaczekam tutaj na szanownego narzeczonego i wtedy z nim porozmawiam. Odejdź.

Klow, trzymając się za policzek, zniknął w ciemności. Tantala była niemal pewna, że nie będzie dalej szukał. Posiedzi w jakiejś karczmie lub pod dachem u „znajomej służącej" i zaczeka na rozwój sytuacji.

Sytuacja zmieniła się diametralnie. Tantala nie zdążyła rozsiąść się na dobre w fotelu u wejścia do gospody, gdy drzwi się rozwarły i pojawił się w nich wysoki panicz o szlachetnej powierzchowności i jeszcze bardziej szlachetnym nazwisku.

Tantala miała przez chwilę nadzieję, że za jego plecami pojawi się dziewczęca postać. Nie doczekała się tego. Rekotars był sam, nie zauważył jej w pierwszym momencie, a może nie poznał od razu.

– Ach, pan Retano! – ucieszył się służący. – Ta pani pytała o pana…

Tantala milczała. O czym miała z nim gadać, skoro wrócił bez Alany? Zapowiadała się jałowa i niemiła dla obojga rozmowa. Pies trącał tutejszego sługę. Rekotars mógł w ogóle nie zauważyć siedzącej w fotelu kobiety.

Mężczyzna zatrzymał się. Zbliżył się z ceremonialnym ukłonem, zahaczając końcem szpady o ciężką kotarę. Był podpity. Czuły nosek Tantali wyczuł alkohol.

– Alana wyszła z domu – oznajmiła bez wstępów – jeśli to pana interesuje. Włóczy się po knajpach, szukając pana… jak na ironię. Jak widać, wcześniej, czy później, pojawi się tutaj. Jak się panu podoba takie zachowanie narzeczonej?

Rekotars nie odpowiadał. Być może jego oszołomiony winem umysł ciężko pracował.

– Chciałabym pana przeprosić – podjęła z suchym uśmiechem. – Nie chciałam obrazić pańskich uczuć ani przodków. Ostatecznie, to nie moja sprawa. Chcę, żeby Alana była szczęśliwa. W tym celu jednak przydałaby się jej twarda ręka.

– Pani przeprosiny zostały przyjęte – odrzekł głucho.

– Cieszę się – stwierdziła, przymykając oczy. – Ostatnie wydarzenia skłoniły mnie do przekonania, że małżeństwo nie byłoby dla Alany najgorszym wyjściem. Choćby dlatego, że przestałaby wtedy dręczyć swego ojca. Inna sprawa, że przyszły mąż, którego nikt nie zna w okolicy, lecz który zdążył oświadczyć o swym szlacheckim pochodzeniu… Rodzina narzeczonej powinna chyba lepiej poznać kandydata, czyż nie?

– Niewątpliwie.

Opary wina, w innych przypadkach zazwyczaj rozwiązujące języki, w wypadku Rekotarsa zadziałały odwrotnie, czyniąc go małomównym.

– Na początek – dodała, wstając – prosiłabym pana, by odnalazł swą zbiegłą narzeczoną i odprowadził do domu. Obawiam się, że nikt poza panem…

– Jaśnie pani!!!

Drzwi rozwarły się z trzaskiem. Sługa w kantorku zadrżał. Na progu stał Klow, a świeże zadrapania płonęły na bladej twarzy.

– Jaśnie pani… Alana… oni ją tam…

Tantala miała wrażenie, że z otwartych drzwi wionęło chłodem. Wręcz lodowatym.

– Co?

– Oni…

Klow wykonał nieokreślony gest, wyrażający chyba coś wielkiego i bardzo ciężkiego. Tantala jednak momentalnie odgadła, co chce przekazać. Rekotars niczego nie pojmował.

– Alana?! – zapytała nieswoim głosem.

– Zabrali ją – wydyszał lokaj. – Otumanili i zabrali… gdzieś…

Tantala chwyciła go za kołnierz kurty.

– Czyś ty zwariował?! Dokąd zabrali?

– Przypłynęli łodzią trzy dni temu – wtrącił cicho sługa zza kantorka. – Łódź jest na przystani…

Tantala poczuła zamęt w głowie. Dały o sobie znać udręka i napięcie ostatnich dni, a może zaczynała się starzeć. Kiedy

nieszczęścia spadają na człowieka czarną serią, trudno o rozsądek.

– Biegnij po strażników – szepnęła do lokaja. – W imieniu pułkownika Solla…

Recepcjonista skrzywił się z powątpiewaniem.

– Pod pułkownikiem Sollem strażnicy działali szybko, ale teraz rozpuścili się jak dziadowski bicz. Zanim ruszą zadki, tamci już dawno odpłyną…

Tantala oprzytomniała, gdy poczuła, jak silna męska dłoń bierze ją pod ramię i prowadzi do drzwi. W twarzy młodzieńca nie było śladu pijaństwa.

– Na co pani czeka?! Gdzie jest ta wasza przystań?!

Przystań była niewielka i błotnista. Zapewne nie zawijały tutaj bogate kupieckie okręty. Szeroka rzeka w pobliżu miasta w swym dolnym biegu przedzielona była progami, uniemożliwiającymi wielką żeglugę. Pływali tu tylko rybacy albo szaleńcy. Pierwsi nie zbliżali się do progów, drudzy próbowali pokonać je bez większych szkód.

W ciemności Tantala nieomal wpadła jedną nogą w dziurę w drewnianym molo. Ledwie zdołałem ją podtrzymać. Doprowadziła mnie do przystani, lecz teraz jej obecność stawała się niepożądana. Mówiąc wprost, przeszkadzała mi.

Na odległym cumowisku błyszczało światło i dochodził stamtąd gwar wielu głosów. Niemal całkiem wytrzeźwiałem. Woda mętnie połyskiwała, odbijając światła dwóch latarń na dziobie i rufie stateczku, który przy bliższym wejrzeniu okazał się dużą łodzią.

Skakali jak pchły. Tantala chwyciła mnie kurczowo za ramię. Wyrwałem je trochę zbyt brutalnie.

– Jest ich zbyt wielu – wymamrotała cicho była komediantka. – Zaczekajmy na straż…

Odepchnąłem ją ramieniem.

– Do tyłu…

Topór uderzył głucho w linę cumowniczą. Nie było czasu, jak widać, na rozplątywanie węzłów.

Skoczyłem.

Ciemność mi nie przeszkadzała. Wylądowałem pośrodku pokładu. Stateczek mocno się zakołysał, wydawał się przeciążony.

– Macie dość życia, śmierdziele?

Zwróciło się w moją stronę osiem paskudnych pysków. Parszywy los! W roztańczonym świetle latarń wydawało się, że mają zarośnięte zwierzęce mordy.

Kątem oka wyłowiłem ruch za plecami. Łajdak chciał zaatakować od tyłu i prawie mu się udało. Ciekawe komu ukradł ten bogato zdobiony kindżał. Tak piękny oręż nie po to wykuto, by zadawać nim cios w plecy…

Broń upadła na pokład. Sekundę wcześniej w szerokim,

eleganckim obrocie dosięgłem noskiem buta uzbrojoną dłoń. Wszystkie mięśnie zaprotestowały bólem i zakłuło mnie w boku. Sześć knajp pod rząd nie sprzyjało zachowaniu formy. Dzięki Niebiosom, że miałem do czynienia ze zwykłą bandycką hołotą, znającymi się tyle na walce, co głupiutka panienka…

A może się myliłem?!

Atakujący od tyłu cofnął się, kryjąc za cudzymi plecami.

Miałem teraz szpadę i kindżał. Łotry podchodziły wciąż bliżej i co gorsza, przemykali bokiem, koniecznie chcąc dosięgnąć mych pleców.

– Rąb liny! – warknął ktoś w ciemności niewyraźnie, jakby miał czymś zapchaną gębę. – A tego… za burtę!

Uderzenia topora wzmogły się. Chłopakom nie pozostawało nic innego, jak wykończyć mnie pośrodku rzeki, tak aby nawet nie udało się wyłowić zwłok ostatniego z Rekotarsów. W świetle padającym z rufy przyuważyłem tłustego młodzieńca z amuletem w kształcie ludzkiego oka na piersi. Oko błyskało bezmyślnie i obojętnie.

W potężnych pięściach marynarskiej hałastry zaświeciły krótkie ostrza, podobne do rybich łusek. Wokół mnie zawirował krąg…

Wszystko, co zjadłem i wypiłem tego dnia, teraz zapragnęło opuścić mój organizm, osłabiając reakcje i dławiąc oddech. Gdyby zobaczył mnie w tej chwili dawny fechmistrz, byłby szczerze zdumiony, że jeszcze żyję.

Kręciłem się jak fryga. Parowałem w taki sposób, żeby padający napastnicy pociągali za sobą swoich kamratów. Pierwszy trudny moment walki minął już i z pewnym opóźnieniem poczułem narastający szał bojowy.

Temu, który rąbał linę, nie udało się doprowadzić dzieła do końca. Wypchnąłem go za burtę ciałem kompana, który chwilę wcześniej godził we mnie nożem. Teraz miałem przeciw sobie tylko sześciu zbirów. Pomyślałem, że jeśli przetrzymam ten atak, mam szansę zwyciężyć.

W mą klingę uderzyła ciężko stal spragniona krwi. Napastnik odsłonił lewy bok, więc dźgnąłem weń kindżałem. Krąg nadal wirował. Zablokowałem jednym zamachem szpady trzy ciosy, wytrzymując uderzenia, chociaż w pierwszej chwili poczułem lęk, że nie zdzierżę…

Czwarte uderzenie poszło dołem. Zatrzymałem je ostrzem kindżału. W rozmazanym zamachu z mojej klingi spłynęła ciemna kropla. A może tylko mi się zdawało. Co mogłem zobaczyć w takim mroku i ścisku?

Uskoczyłem w bok, pozwalając rozjuszonym wrogom przelecieć koło mnie prosto na burtę. Ten, którego dosięgłem sztyletem, wił się na pokładzie. Herszt ze szklanym okiem na piersi nie zdążył otworzyć ust, by wydać kolejny rozkaz. Z walki odpadł jeszcze jeden, dostawszy

w ciemię rękojeścią, jego towarzysz cofnął się, pozostawiając mnie samotnym.

– Załatwię was wszystkich, kanalie! – wydyszałem, rozglądając się i wymachując zakrwawioną klingą. – Gdzie dziewczyna, łajdaki?!

Moich przeciwników wystarczyłoby, żeby przydusić mnie stosem swych ciał.

– Za burtę go, durnie, czego gęby rozdziawili?! – zaryczał ktoś za mymi plecami.

Obrzuciłem się w myślach najgorszymi obelgami. Po raz pierwszy w trakcie walki pomyślałem, że najwyższy czas, by pojawiły się straże.

Chłopaki były podobne do siebie jak krople wody. Krępi i mocno zbudowani. Chód rozkołysany. Rzucili się znów jednocześnie ze wszystkich stron, lecz nie spieszyło im się posmakować znowu mych ostrzy. Miałem sporo racji, równając tych żeglarzy z hołotą. Ich grubsze i cieńsze kości tak samo roztrzaskają się na pokładzie…

Stwierdziłem ze zdumieniem, że mieli teraz w dłoniach nie tylko noże. Wyciągnęli skądś niewielkie toporki, pałki, haki, łańcuchy.

Nie miałem zamiaru czekać, aż zewrą wokół mnie pierścień. Znowu się rozkręciłem, by nie mogli dosięgnąć mych pleców. Łańcuch zaplątał się wokół klingi szpady i pojawiło się realne niebezpieczeństwo, że pozostanę wobec tej bandy uzbrojony jedynie w kindżał.

Dobrze odgadłem ich zamiary. Jeszcze chwila i straciłbym szpadę, a także dostał w plecy.

Nie do końca zdążyłem się uchylić. No cóż, na ból przyjdzie czas.

Chłopaki dyszeli. Ich mniej zręczni towarzysze broczyli krwią na deskach pokładu i szale wciąż przechylały się na mą korzyść. Nikt z nich nie chciał być następny. Wyczułem za plecami ściankę przybudówki i wsparłem się o nią całym ciężarem. Przynajmniej byłem bezpieczny od tyłu. Także jednak uchodziła ze mnie krew.

Łódź pląsała niebezpiecznie, ocierając się burtą o krawędź przystani, światła latarń kołysały się coraz mocniej.

A jeśli nie ma tutaj dziewczyny?! Jeśli wrzucili ją do kanału i umiera tam w owej chwili? I krwawa bójka toczy się na próżno?

Kątem oka dostrzegłem gramolącą się na łódź Tantalę. Zgrzytnąłem zębami, przeklinając w myślach jej głupotę. Nie byłem teraz w stanie jej pomóc, gdy wyrósł przed nią marynarz z wyłupiastymi oczyma…

Nie widziałem, co się stało. Chwilę potem okazało się, że Tantala walnęła chłopaka w gębę ciężkim drewnianym chodakiem. Tamten zachwiał się, chwytając dłońmi powietrze. Damulka wywinęła się z zasięgu jego rąk i zniknęła z mego pola widzenia. Do licha, nie powinienem był zwlekać…

– Zarżnąć go! Zarżnąć!

Do tego przekleństwa, które zawstydziłby nawet starego wiarusa.

Dziwne, lecz udało mi się zareagować, choć z trudem. Odbity w locie nóż spadł na bok i sądząc po odgłosie, wbił się głęboko w drewno.

Przywierając do nadbudówki, straciłem mobilność. Opadłem także częściowo z sił, lecz zdołałem uskoczyć wzdłuż burty przed ostrzem topora, mającym rozrąbać mnie na pół.

Topór był wielki i ciężki, a półokrągłe ostrze wydawało się szeroko uśmiechniętą, szczerbatą gębą. Dłoń nim miotająca, obróciła go w powietrzu i wymierzyła prosto w mą twarz.

Przez mgnienie wydawało mi się, że nie zdołam uniknąć ciosu i wyszczerzone w uśmiechu usta odnajdą mnie, nawet gdyby przyszło im trzydzieści razy zmieniać trajektorię… Nawet jeśli wyskoczę za burtę… Nawet jeśli…

Cios!

Topór wbił się, lecz nie w moją czaszkę, ale w burtę poniżej poziomu wody. Kolejnym efektem walki był spora fontanna, tryskająca w tym miejscu.

– Przekleństwo! – ryknęło kilka głosów.

Nim zdążyłem się wyprostować, powietrze nad moją głową zadawał się ciągle przenikać świst ostrza, a moje nogi zalała ciężka fala. Podskoczyłem niezdarnie, czując w tym momencie na ramieniu silne potrójne drapnięcie.

Na szczęście mój osamotniony przeciwnik stracił chwilę potem równowagę i runął jak długi.

– Retano!!!

Czyj to głos?!

Woda zalewała pokład.

Ktoś się znów nadział na mą stal, lecz innych to nie powstrzymało. Smród niemytych ciał zwalił się na mnie, przebijając odór wody, dymu i krwi. Wyćwiczone ciało wciąż się jeszcze kręciło, ostrza wciąż parowały ciosy, lecz jeszcze chwila i zaryję nosem w deski pokładu, a moja krew złączy się z cieknącą po nim wodą…

– W imieniu miasta!

Ci, którzy chcieli mnie dobić, stanęli na moment, zmieszani. Poderwałem się. Nowe postacie zjawiły się na śliskiej od krwi scenie w tym samym momencie, kiedy groził mi nieuchronny, zdawało się, finał.

Rozpadło się wieko zamykającego się nad mą głową sarkofagu. Zdołałem podnieść się na jedno kolano. Kindżał i szpadę miałem ciągle przy sobie. Wciąż miałem też obie ręce, chociaż nie byłem pewien, czy w tej potyczce nie straciłem ucha lub pięty…

W bójkę wmieszała się jakaś bestia z ogromnym wiosłem, obracając nim, jak młyńskim kołem wciąż szybciej i szybciej.

Ktokolwiek z rzezimieszków znalazł się w zasięgu, odpełzał potem na czworakach lub pozostał leżący na pokładzie.

– Aresztuję was w imieniu miasta!

Z ciemnego kąta bezmyślnie błyskało zawieszone na łańcuszku szklane oko. W mgnieniu oka przypomniałem sobie, że nosił je herszt. Chwilę później oślepił mnie odblask światła latarni na ostrzu.

Głuche uderzenie.

Zobaczyłem trójkątny, ciężki kindżał wbity w rozszczepione pióro wiosła. Zza drzewca wychynęło blade, lecz wciąż jeszcze przystojne oblicze Egerta Solla.

– No, zobaczymy – zasyczał stłumiony głos z ciemnego kąta.

Z trudem trzymałem się na nogach. Tantala wiła się w uścisku oszalałego łotrzyka, tego samego, który niedawno dostał po gębie chodakiem. Ten obrazek nie dodał mi sił, lecz tylko przydał animuszu.

Strasznie wolno unosiłem kindżał.

Aktorki, nawet byłe, potrafią walczyć o swoje życie. Tantala zdołała wyciągnąć szpilę z włosów. Biedak chyba będzie musiał pożyczyć szklane oko od swego kapitana…

Młodziak miał szczęście. Tantala zamachnęła się i rozorała tamtemu policzek. Chłopak zawył. Kobieta zdołała się mu wyrwać, podczas gdy jej prześladowca upadł na burtę…

Żałowałem, że mam zbyt krótkie ręce, by sięgnąć przez cały pokład. Leć…

Młodzik zachrypiał, chwytając się za ramię, z którego sterczała rękojeść mego kindżału. Oswobodzona Tantala skoczyła w ciemność.

– Nie ruszać się! Straż miejska!

Tupot wielu nóg na starej przystani. Błyszczące kaski, kirysy… Rychło w czas!

Na pokładzie rozlała się struga światła. Tantala otwarła drzwiczki wiodące do środka nadbudówki.

Coś działo się wokół mnie. Kogoś łapali, ktoś skakał z burty… jak miło, gdy nikt nie zwraca na ciebie uwagi.

Powłócząc nogami dotarłem do półotwartych drzwi i zajrzałem do środka nad ramieniem Tantali.

Siano. Od dawna straciło zapach i kolor, nasiąkało teraz przybierającą wodą. Hamaki pod sufitem. W jednym z nich słodko spała dziewczyna około siedemnastu lat, bez spódnicy, tylko w koszuli sięgającej cienkich, szeroko rozstawionych kolan.

Przeniosłem wzrok dalej.

W kącie, na kupie szmat była jeszcze jedna. Trochę starsza, w jedwabnej sukni ulicznicy, z symbolem swej profesji wytatuowanym między wielkim i wskazującym palcem lewej dłoni.

Widziałem, jak drgnęła Tantala.

Pod samą ścianą leżała z głową w mokrym sianie spadkobierczyni

rodu Sollów. Tantala rzuciła się potykając i chwyciła przegub dziewczęcej ręki, by zbadać puls, pochyliła się nad trupiobladą twarzą.

Co do mnie, z daleka widziałem, że panienka jest w trupa zalana.

Obecny naczelnik straży drżał przed Egertem Sollem. Miał kiedyś zaszczyt służyć pod jego dowództwem i dobrze wiedział, czemu w mieście zwano go bohaterem. Surowo zakazał miejskiemu pisarzowi wspominać imienia Alany w protokole.

Połowa obcych z łodzi wylądowała w więzieniu, druga w więziennym szpitalu. Pan Retanaar Rekotars, draśnięty w ramię, zeznał, że zwabiło go na przystań wołanie o pomoc, krzyk młodej dziewczyny. Bandyci najwyraźniej trudnili się handlem żywym towarem, szczególnie sprzedażą dziewcząt do portowych burdeli. Pułkownik Soll podpisał raport jako świadek, nawet nie mrugnąwszy powieką. Pani Tantala, rozcierając zduszoną szyję, również złożyła zeznania. Naczelnik podziękował im za pomoc i doradził rozejść się.

Jakiś czas troje ludzi stało na ciemnej ulicy. Do świtu była co najmniej godzina, lecz zasnute chmurami niebo nie napawało nadzieją ujrzenia słońca. Zapowiadało się na deszcz.

– Nie wycofuje się pan ze swoich zamiarów, panie Rekotars? – spytała Tantala z dziwnym uśmieszkiem.

– Jestem skłonny uznać całe zdarzenie za nieszczęśliwy wypadek – odparł ledwie słyszalnie. – Wypadek, a nie… jakby to powiedzieć…

– Nie jak hańbę – dokończył spokojnie Egert. – Na próżno. To rzeczywiście jest hańba. Nie mogę zaręczyć, że jutro moja córka, kiedy dojdzie do siebie, nie wyskoczy znowu z czymś podobnym. Skoro świnkę ciągnie do błota, czy mamy osuszyć wszystkie miejskie kałuże?

– Egercie – szepnęła Tantala z wyrzutem.

– Szyja boli?

– Nie.

Tantala szybko opuściła ręce.

– Będziemy tak stać pośrodku ulicy? – spytał z uśmiechem Soll. – Panie Rekotars, może przestanie pan chować urazę i zechce odwiedzić nasz dom?

– Nieporozumienie dawno już wyjaśnione – oznajmił tamten, kiwając głową.

Na moment stracił równowagę.

Alana spala pod okiem niańki. Staruszka drzemała w fotelu, wzdychając co pewien czas tak mocno, że kołysał się od tego płomyk świecy.

Retanaar Rekotars stał pośrodku salonu, spoglądając uważnie na klepsydrę. Tantala już wcześniej zauważyła, że zegar piaskowy dziwnie przyciągał gościa, który wpatrywał się jak zahipnotyzowany w osypujące się drobiny piasku.

Młodzieniec był cały posiniaczony. Miał poranione ramię i bok, po którym ześliznął się czyjś kindżał, nie licząc innych zadrapań i okaleczeń. Załatana umiejętnie przez sługę kurtka wymagała uprania. Dawniej tak wytworny, teraz ledwie się trzymał na nogach. Ciekawa rzecz, iż w swej obecnej postaci znacznie bardziej podobał się Tantali.

Walka na łodzi nie szła w parze z jego pozerstwem i nieszczerością. Nie była też dowodem głupoty. Widząc, że łotry chcą odpłynąć, zrobił jedyne, co mogło uratować Alanę. Naturalnie, można było ścigać stateczek na rzece, tyle że zagrożeni przemytnicy mieli zwyczaj topić zakazany towar. Także żywy.

Tantala wzdrygnęła się.

Na tym przeklętym statku przystojniak Retano nie pozował ani nie kłamał. Naprawdę ryzykował życiem w obronie czci i honoru swojej panny. Tantala przestała wątpić, że młodzieniec kocha Alanę.

Chciała mu powiedzieć, że jest szlachetnym człowiekiem. W porę ugryzła się w język. Zabrzmiałoby to znów obraźliwie. Szlachectwo jest przecież dla niego jak druga skóra. „Jest pan szlachetny!" „Czyżby pani wątpiła?!"

A Egert! Tantala uśmiechnęła się posępnie, wspominając wiosło wirujące nad pokładem. Zadrżała, przypominając trójkątne ostrze wbite w drewno…

– Masz pewną specjalną cechę, Egercie. Zawsze zjawiasz się we właściwym czasie. Kiedy cię najbardziej potrzeba…

Soll zaśmiał się niewesoło. Retanaar oderwał się na chwilę od obserwacji ziarenek piasku i zerknął na tamtych podejrzliwie. Ciekawe, o czym pomyślał?

Tantala westchnęła.

– To przeznaczenie, Egercie.

Przez mgnienie jego oczy znów stały się napięte i pełne cierpienia.

– Tak sądzisz?

Teraz Retano zadrżał pod ich podwójnym, pytającym spojrzeniem.

– Ta biedna dziewczyna – zaczął powoli Egert – żyła spokojnie i szczęśliwie dopóki nie skończyła pięciu lat. W tym czasie nastąpiły wydarzenia, o których długo by opowiadać. Dowie się pan o nich z czasem. Rodzina się wtedy rozpadła. Potem starszy syn mój i Torii – dodał, dziwnie akcentując te słowa – odszedł z domu, stając się wielkim magiem i wieszczbiarzem. Powstrzymał nadejście złowieszczej Siły, którą tylko on mógł zatrzymać, tak jak dawni magowie. Luar odszedł od nas na zawsze…

Zamilkł na chwilę. Tantala patrzyła w bok z takim wyrazem twarzy, jakby opowieść jej nie dotyczyła.

– Matka Alany ciężko to zniosła – podjął Egert. – Nie zdołałem

wesprzeć jej w takiej chwili. Mała dziewczynka straciła ojca i brata, a jej matka znalazła się na granicy obłędu. Biedna Tor. Życie mogłoby być dla niej łaskawsze choć trochę. Rozumie pan, panie Rekotars, że takie przeżycia pozostawiają nie usuwalny ślad u pięcioletniej dziewczynki. To, co się dzieje obecnie z Alaną…

– Rozumiem – wtrącił pospiesznie Rekotars. Odkaszlnął, jakby spowiedź Solla stanęła mu kością w gardle.

– Nie zważając na to wszystko, byłbym rad, mogąc połączyć się z rodem Sollów i zapewnić Alanie dostatnie i szczęśliwe życie.

Tantala nie mogła dociec, na ile te słowa zostały wypowiedziane szczerze. Ceremonialne formuły zabrzmiały nieco pompatycznie…

Za oknami wstawał szary, pochmurny świt.

To już nie młokos, myślała Tantala, wpatrując się w urodziwe oblicze. Na pewno uganiają się za nim kobiety… w tym również bogate i wykwintne… Czyżby rzeczywiście rozmiłował się w Alanie do tego stopnia, że gotów był także zmierzyć się z jej nieznośnym charakterem?

Nie wierzę, zaskrzeczał zdrowy rozsądek.

Dlaczego Alana? Może istotnie pragnie skoligacić się z Sollami. Byłoby to wielkim zaszczytem dla niejednego chudopachołka. Tylko, że Rekotars na pewno nie jest chudopachołkiem.

Tantala się nachmurzyła.

– Chcę zadać pewne nietaktowne pytanie. Czy nie sprawia panu problemu, że po historii z komediantami i ostatniej ucieczce Alana może być oficjalnie uznana za zbezczeszczoną?

Soll drgnął. Poczuła jego karcące spojrzenie. Wybacz, Egercie. Lepiej nie przemilczać wstydliwie ważnych spraw.

Spotkała się wzrokiem z Rekotarsem i sama się zawstydziła. Ujrzała w oczach szalonego Retano taki wyrzut, że aż się odwróciła, zmieszana.

– Proszę wybaczyć…

– Fakt, iż zdarzyło się takie nieszczęście z Alaną, wskazuje tylko, że trzeba poświęcić jej więcej uwagi – oświadczył głucho. – Tak mi się wydaje… A państwu?

Tantala zarozumiała, że znowu nie kłamie. Co najmniej dziewięciu z dziesięciu dumnych szlachciców zaczęłoby się w tej sytuacji chyłkiem wycofywać.

– Raz jeszcze przepraszam – rzekła przytomnie. – Nie miałam zamiaru posądzać pana…

Zamilkła, tracąc wątek.

– Alana już wyraziła zgodę – rzekł, jakby w roztargnieniu, patrząc w nieokreśloną przestrzeń, Soll.

A jakżeby inaczej, myślała Tantala. Kogo, jak kogo, lecz Alanę nietrudno rozgryźć.

Może tamten łakomi się na majątek?

– Pora pomówić o posagu – zauważyła Tantala, starając się, by jej głos brzmiał beznamiętnie.

Rekotars uniósł głowę.

– Być może zaskoczę państwa. Moi przodkowie byli niezmiernie drażliwi w kwestii honoru.

Spojrzał nieco krzywo na Tantalę.

– Chciałbym otrzymać w charakterze posagu kopię słynnego dzieła Łujana, w którym zapisana jest historia magów na przestrzeni wielu stuleci, a także, jak wiadomo, wspomina się o mym przodku. Pragnę sam je przeczytać. Nie mówiąc już o tym, że skoro to relikwia rodzinna, panna Alana ma do niej prawo.

Rozdział siódmy

Miejscowe zwyczaje wymagały, by od zaręczyn do ślubu minęło co najmniej pół roku. Tradycja rodu Rekotarsów była jeszcze bardziej surowa: dziewięć miesięcy, by obopólne uczucie zdążyło dojrzeć, jak dziecię w matczynym łonie…

Czy mogłem przypuszczać, że jako ich potomek potraktuję tradycję jak śmieć?

Bójka z marynarzami uczyniła większy uszczerbek na moim zdrowiu, niż wcześniej sądziłem. Odchorowałem ją, jakby specjalnie po to, by Sollowie mieli okazję o mnie zadbać. Alana zachodziła do mnie trzy razy dziennie. Była czyściutka, skromna i grzeczna. Żaden moralista nigdy nie podejrzewałby tej cud dziewczyny, że włóczyła się wcześniej po karczmach, przeżywając niebezpieczne przygody. Sam siebie zapytywałem, przecierając zdumione oczy: naprawdę się to zdarzyło? Czy może się tylko zdawało?

Nic się nie zdawało, przypominały siniaki i rany. Minął tydzień. Ledwie wstałem z łoża boleści, poprosiłem przyszłego teścia o poważną rozmowę i jasno mu wykazałem, że nasz ślub z Alaną może bez problemu odbyć się najdalej za półtora miesiąca. Skoro następca Rekotarsów postanowił zerwać z rodzinną tradycją, czemu tego samego nie mieliby uczynić Sollowie?

Pan Egert nie zdołał odmówić przyszłemu zięciowi. Być może w obawie, że w ciągu pół roku Alana zdąży wdepnąć w kolejną kabałę. Taką panienkę równie trudno utrzymać w ręku jak rozżarzony węgielek…

Całkiem z siebie zadowolony, wróciłem do swego pokoju. Nie wiem, co mnie skłoniło, by otworzyć podróżny kuferek. Zamszowy futerał, przeznaczony na posag, znajdował się na samym wierzchu, chociaż pamiętałem, że wepchnąłem go na samo dno!

Paciorki naszyte na czarnym boku nie układały się tym razem w żaden obrazek. Zasępiłem się, zastanawiając, czy w skórzanym woreczku pomieści się gruby tom sławetnego dzieła O magach. Jakby pragnąc to sprawdzić, włożyłem dłoń do środka.

Zdążyłem odczuć miękką ciepłotę, kryjącą się w fałdach czarnego zamszu. Mgnienie później coś mnie mocno złapało zimną, kościstą łapą.

Nie krzyknąłem tylko dlatego, że całkiem osłupiałem. Na szczęście nikogo przy tym nie było. Ktoś mógłby bardzo się zdziwić, widząc, jak pan Rekotars z wybałuszonymi oczami trzęsie ręką zaplątaną w czarnym woreczku.

„Nie wrzeszcz".

– Puszczaj, bydlaku – powiedziałem szeptem, próbując opanować

dreszcze.

Obca ręka, zaciśnięta na mej dłoni w środku woreczka, zacisnęła się jeszcze mocniej. „Nie szarp się. Cicho".

Był to głos Czarno Tak Skoro. Dźwięczał tylko w mej głowie.

Ścisnąłem worek kolanami. Natężyłem się, próbując wyswobodzić dłoń. Musiało to wyglądać naprawdę komicznie. „Możesz się uspokoić i posłuchać?"

– Puszczaj!

„Skoro cię puszczę, niczego nie usłyszysz, bałwanie!"

Nazwał tak potomka Rekotarsów… Nie pora o tym myśleć. Czarno zapłaci mi za to, ale jeszcze nie teraz. Teraz trzeba się wziąć w garść.

W garść. Zabawny kalambur.

„Kiedy zatańczę na twym weselu, Retano?"

– Nie zapraszałem cię – burknąłem, oglądając się na drzwi.

Pokojówka gotowa pomyśleć, że zwariowałem i mówię sam do siebie.

„Zaprosisz. O pierwszym śniegu powinieneś wrócić do domu z dziewczyną i księgą. Pospiesz się".

– Mam w zapasie jeszcze osiem miesięcy! – powiedziałem gniewnie. – Nie poganiaj mnie!

Usłyszałem coś jakby chichot.

„Wystarczy ci osiem miesięcy życia? Przecież po zimie nadejdzie piękna wiosna, kiedy tak bardzo chce się żyć?"

Z pewnością poczuł, jak moja dłoń zwilgotniała w uścisku.

– Nie będę ci służył – rzekłem ochryple. – Znajdę kogoś innego.

„Szukaj".

Poczułem, że mam wolną dłoń. Zrzuciłem woreczek na podłogę i uniosłem rękę do oczu. Ujrzałem wyraźne odciski cudzych, cienkich palców.

Bardzo długo deptałem bezlitośnie i bezsensownie zamszowy futerał.

Następnego dnia miały się odbyć zaręczyny.

Patrzyłem na promieniejącą Alanę, odzianą z tej okazji we wspaniałą suknię, w której nie wyglądała już na podlotka. Spoglądałem na zadowolonego pana Egerta i uśmiechniętą ironicznie, lecz także usatysfakcjonowaną Tantalę, czując się przy tym łajdakiem, jakich mało.

Na uroczystość zaproszono parę rodzin, między innymi sędziego miejskiego, burmistrza i naczelnika straży. Wszyscy odnosili się z takim respektem do Sollów, że mój ukryty wstyd zamienił się w udrękę.

Wszyscy patrzyli na mnie jak na niepotrzebną przystawkę, jak na dziwoląga, szczęściarza i uzurpatora. Okazało się, że w mieście było

kilku wysoko urodzonych obdartusów, pragnących wżenić się w rodzinę gospodarzy.

Czułem także na sobie współczujące spojrzenia. Bez wątpienia figle Alany znane były od dawna całemu miastu.

Z trudem przetrzymawszy ten wieczór, nie tracąc smutnawej, lecz dostojnej miny, wymówiłem się w końcu bólem głowy i poszedłem do swego pokoju, by spędzić bezsenną noc. Przemyślawszy wszystko, oznajmiłem rano zdziwionym Sollom o swym odjeździe.

Rodowa tradycja, oświadczyłem prosto w chmurne oblicze Egerta. Czas między zaręczynami a weselem narzeczony powinien spędzić w podróży, by nabrać doświadczenia. Wrócę tak szybko, jak tylko pozwoli sytuacja.

Tantala coś tam zamruczała pod adresem tradycji. Puściłem to mimo uszu. Alana trzepotała mokrymi rzęsami. Czule ucałowałem jej ciepły policzek, wskoczyłem na konia i tyle mnie widzieli.

Kto szuka, ten znajdzie. Może jeszcze wrócę do tej biedaczki, lecz jako wolny człowiek, nie zaś niewolnik zaklęcia, a tym bardziej sługa podejrzanego chciwca Czarno Tak Skoro. Nie dla mnie bycie „podręcznym czarodzieja".

Od dziecka wszystkie jej uczucia były niezwykle silne. Udana zabawa czyniła ją pijaną ze szczęścia, każde, nawet drobne, niepowodzenie całkiem załamywało i zasnuwało niebo czarnymi chmurami.

Z wczesnego dzieciństwa pamiętała tylko brata.

Nie wiedząc, jak to się mogło stać, próbowała przypomnieć sobie matkę i ojca u kołyski. Wiedziała, że byli, lecz nie mogła ich odszukać w pamięci. Tak jakby wspomnienia o Luarze całkowicie wyparły wszystkie inne, jak zazdrosne pisklę kukułki, wyrzucające z gniazda rodzeństwo.

Pierwsze, co pamiętała ze świata bez Luara: koryto na dziedzińcu wiejskiej rezydencji, śmieszna zabawa z figą zamiast głowy, teatrzyk kukiełkowy…

Wydawało się jej, że teatr to jedyne spokojne miejsce w świecie bez Luara. Nawet przekonawszy się o czymś innym, z uporem dążyła w tę stronę. Ceną za to był koszmar kolorowych wozów, drogi umykającej sprzed oczu i silnych rąk, z których nie sposób się wyrwać.

Jeśli czegoś pragnęła, to zawsze do bólu. Mogła wpaść w depresję, jeśli przed obiadem odmawiali jej słodyczy. Kiedy niczego jej się nie chciało, pozostawało tylko leżeć w łóżku z twarzą w poduszce.

Sny o Luarze pojawiały się niezbyt często. Sny o Wyższej Istocie. Przebudziwszy się z takiego marzenia, Alana czuła się przez wiele dni szczęśliwa.

Stara niania poiła ją ziołami. Od dawna nie miała odwagi niczego zabraniać panience. Tantala przeciwnie i było to tym bardziej

obraźliwe, że jako przybrana siostra budziła skomplikowane, sprzeczne i zarazem pokrewne uczucia.

Tantala była wspomnieniem Luara. Była jak drzazga, pochodząca z czasów, kiedy starszy brat przepadł, a drogi rodziców się rozeszły. Była także dowodem, że można żyć dalej w świecie bez Luara.

Alana szanowała przyszywaną siostrę do chwili, kiedy okazało się, że młoda kobieta nie może być wiecznie słomianą wdową.

Alana miała wtedy dziesięć lat i wszystko już rozumiała. Ojciec oświadczył wówczas, że Tantala jest wolną osobą i całkowicie może rozporządzać swym życiem. A matka, wtedy jeszcze kontaktująca się ze światem, skinęła głową życzliwie i powiedziała, że życzy dziewczynie szczęścia. Tantala jako pierwsza przestała czekać na powrót Luara i Alana nie mogła jej tego wybaczyć.

Nawet później, kiedy Tantala wróciła…

Alana nie rozumiała, jak tak można. Będąc na miejscu tamtej, rzuciła by się do rzeki.

Nawiasem mówiąc, często nachodziły ją podobne myśli i pomysł z głęboką wodą wydawał jej się całkiem przyjemny. Głęboką ciszą i ukojeniem.

Lecz jak przyszło co do czego…

Ile razy tak się rzucała? Kiedy zbita po raz pierwszy ruszyła za malowanymi wozami pod strażą długich pałek i ostrych spojrzeń, nie rozumiejąc, że całe zło dzieje się przez nią?

Pojawienie się czarnowłosego mężczyzny ze szpadą wywróciło jej świat na nice. Po raz pierwszy w życiu sen o Luarze, Wyższej Istocie, zamienił się w sen o Retano Rekotarsie.

Spoglądając za odjeżdżającym narzeczonym, przyrzekła sobie czekać na niego cierpliwie.

Jak ślimak w skorupie. Jak ziarno w zamarzłej ziemi. Do wiosny.

Dom stał na bagnie.

Przewodnik zatrzymał się na rozstaju. Ścieżka rozdwajała się jak żmijowy język. Prawa połówka wiodła dalej w las i wydawała się mocno wydeptana, lewa skręcała w bok i prawie niknęła w trawie.

– Dalej nie pójdę – oznajmił szeptem przewodnik. – Stanie pan na skraju bagna. Jeśli gospodarz zechce pana przyjąć, wypuści błędne ogniki… takie, żeby się nie utopić. Chociaż zdarzało się, że niejednego zwiodły na głębinę. Tylko bąbelki zostały. Tak.

Przymknąłem powieki.

Zbrzydło mi już to wszystko. Czarownicy i czarownice, żaby, szczury, latające myszy… każdy wyłazi ze skóry, żeby człeka nastraszyć, a przewodnik zawsze zostawia cię w połowie drogi, mówiąc stanowczo: Dalej nie pójdę.

Chłopak dostał pieniążek, spróbował go zębami i odszedł zadowolony, co pewien czas oglądając się przez ramię. Spojrzałem na

kawałek nieba prześwitujący przez plątaninę gałęzi, splunąłem i poszedłem lewą ścieżką.

Bagno cuchnęło.

Śmierdziało jak trup. Pośrodku równej, zwodniczo gładkiej przestrzeni ciemniał niesamowity budynek na palach. Zatrzymałem się i demonstracyjnie zakryłem nos chusteczką wydobytą z kieszeni.

Jeśli tylko czarodziej mieszkający pośrodku trzęsawiska jest trochę obraźliwy, z pewnością powiedzie mnie w topiel…

– Dumny jesteś.

– Dumny, lecz do ciebie przyszedłem – zaoponowałem warkliwie.

Staruszek westchnął.

Był mały, zaniedbany i zarośnięty. Na szczęście, szukając maga, przyzwyczaiłem się nie zwracać uwagi na powierzchowność. Złowieszczy przystojniacy w czarnych pelerynach okazywali się szarlatanami, siwobrodzi mędrcy głupcami, jakich mało. Ten tutaj, choć drapał się nieustannie, miał oczy przenikliwe i lodowate.

– Ot, przyczepił się – stwierdził, przesuwając po mnie nieprzyjemnie ostrym spojrzeniem. – To jasne, że skoro się tak napierasz, wisi nad tobą…

Wzruszył ramionami. Przełknąłem ślinę.

Był to pierwszy mag po panu Czarno, który zorientował się, że coś nade mną „wisi". Pozostali oczekiwali, aż sam wyjawię im swoje problemy i od początku stawało się jasne, że tracę tylko czas.

– Wisi nad tobą – podjął stary, przymrużając powieki – coś jak brudny, zakurzony worek… albo jak wąż dusiciel na szyi. Nadejdzie czas, że pętla się zaciśnie.

– Zdejmij to ze mnie – zażądałem po prostu.

Staruszek zamknął oczy.

Powieki miał żółtawe, przezroczyste jak błony. Zdawało się, że patrzy dalej przez cienką skórkę.

– Zdjąłbym, tak… ale nie starczy mi mocy. Inny by ciebie mamił, żądał wysokiej zapłaty, a ja powiem ci prosto z mostu: to beznadziejna sprawa. Nie dam rady.

– Ktoś inny obiecywał to zrobić – odpowiedziałem, drżąc.

– Jak myślisz, okłamał mnie?

Starzec potarł zziębnięte, maleńkie dłonie.

– Nie wiem tego. Być może oszukał. Kto to sprawdzi.

– Mam umrzeć za pół roku – oświadczyłem gniewnie. – Może byś się wysilił?

Otworzył oczy. Przed chwilą były zielone, a teraz były żółte jak gęsty miód.

– Nie. Nie zdołam. Dawniej może tak…

– Powiedz mi więc, kto może to zrobić?

Starzec milczał.

Po ciemnej izbie fruwał błędny ognik, wychwytujący z półmroku pustą żelazną klatkę, mętne metalowe lustro, kawałek młyńskiego żarna, dziwnym trafem rzucony w kąt dziwnej chatki na palach.

Święto zakończyło się pozostawiając ziemię zaścieloną strzępkami serpentyn i brudnego konfetti. Ulubiony przez mieszczan Dzień Wszelkiej Radości. Dom rodu Sollów nie uczestniczył w ogólnym rozradowaniu. Nie był tradycyjnie umajony kwiatami ani lampionami. Pozostał ciemny i pusty. Służba miała wychodne już od południa. Milczący dom przeczekiwał szum rozbawionych tłumów.

Rankiem zaśmiecone ulice pokryła mgła. W szarym, wilgotnym oparze niknął szelest mioteł sprzątaczy. W stronę głównego placu kroczył wysoki, jasnowłosy mężczyzna. Właściwie częściowo już siwy.

Egert Soll nie miał się dokąd spieszyć. Dzień dzisiejszy, cichy, mglisty i pusty, podobał mu się znacznie bardziej, niż wczorajsze szaleństwo i ryk pijanej tłuszczy. Ćwiczenia w Korpusie zaczynały się dzisiaj godzinę później. Niewielka ulga, zważywszy, że większość mieszkańców będzie cały dzień odsypiać minioną noc…

Egert miał godzinę czasu na powolną przechadzkę.

Długo stał na garbatym mostku. Kanał był niedawno czyszczony i jego wody, dawniej cuchnące, pachniały teraz świeżością i mokrymi kamieniami. W dół płynęły zwiędłe liście. Dziesięć lat wcześniej, w taki sam mglisty poranek Egert stał na tym mostku razem z synem.

Jaki byłby teraz Luar, mając prawie trzydziestkę?

Egert wiele by oddał, by tamte dni wróciły.

Wydawało mu się, że gdyby był wtedy mądrzejszy, wszystko ułożyłoby się inaczej…

A zresztą tylko się okłamywał. Stojąc raz do roku na garbatym mostku, mógł sobie pozwolić na przyjemność samooszukiwania.

Wróciłem trzy dni przed wyznaczonym terminem ślubu. Osłabiony i przybity wędrówką, co, jak się obawiałem, było nazbyt widoczne. Tantala chyba myślała, że wcale nie wrócę. A może tak mi się zdawało?

W każdym razie, kiedy wołała Alanę, jej głos był całkiem radosny.

– Szybciej, dziewczyno! Wiesz, kto przyjechał?!

Przynajmniej panna się nie zawieruszyła. Nie uciekła do lasu, nie ukryła w kupieckim kufrze i nie przystała do rozbójników. To już coś.

Wyładniała nawet. Prawie zniknął dziewczęcy trądzik. A jednak moja narzeczona wciąż był jeszcze dzieckiem. Pocałowałem ją we wciąż tak samo ciepły policzek. Miałem wrażenie, że wcale nie wyjeżdżałem. Tylko wyszedłem na chwilę.

Mój pokój pozostał nietknięty. Na stole zostały niektóre zapomniane rzeczy, a wśród nich zamszowy woreczek, obszyty paciorkami. Służąca, jak się okazało, oczyściła go z kurzu, starła też ślady moich butów.

Zamknąłem za sobą drzwi i opadłem ciężko na fotel.

Długa zima. A potem wiosna, kiedy tak bardzo chce się żyć…

Rekotarsowie nigdy nikomu nie służyli. Mogłem komuś zrobić przysługę, lecz nie szło mi dokończenie dzieła. Wziąłem do ręki futerał, niemal z odrazą. Paciorkowe wyszycie nie układało się w żaden wzór…

Należało przeczytać książkę dziadka Alany. Jeśli chodziło o magów, być może sfałszowano w niej historię Damira, lecz inne opowieści mogły się okazać użyteczne.

Woreczek był w środku ciepły i pusty. Ostrożnie obmacałem wewnętrzne szwy. Zwykły worek. Kim są naprawdę magowie?

Rozległo się ciche stukanie do drzwi.

– Panie Rekotars… jaśnie pan Egert zaprasza na kolację. Dzisiaj podajemy mlecznego prosiaka, rybę w winie, dynię faszerowaną kliwiami, grzyby…

Muszę zapytać, co to są kliwie, pomyślałem odruchowo. W tym momencie poczułem lekkie dotknięcie na dłoni wciąż pozostającej w futerale.

– Tak! – krzyknąłem głośniej, niż powinienem. – Proszę powiedzieć panu Egertowi, że zaraz przyjdę!

Chłodna ręka po tamtej stronie materiału na moment znikła. Po chwili jednak znów zahaczyła paluszkiem o mój mały palec, niczym obietnica wiecznej przyjaźni.

„Szukałeś?"

– Okłamujesz mnie Czar… Czanotaksie. Nie możesz zmienić Wyroku!

„Naprawdę wątpisz w moją moc? A może po prostu chciałbyś odzyskać wolność za darmo?"

Milczałem. Ręka tamtego przyjacielsko ścisnęła mą dłoń.

„Nie zawracaj sobie tym głowy, Retano. Rób, co mówię. Niech to nie będzie służba… lecz rodzaj pomocy. Zabieraj księgę wraz z panną i wracaj".

Zacisnąłem zęby, powstrzymując cisnącą się na usta odpowiedź. Nie dlatego, żebym bardzo tego wszystkiego pragnął.

Przez grzeczność.

Zgodnie z dobrymi obyczajami wypadało odprowadzić do domu pana młodego nowo poślubioną pannę komuś z rodziny lub ostatecznie w towarzystwie zaufanego sługi. Soll wyjaśnił mi, że nie może nawet na jeden dzień zostawić chorej żony.

Od trzech lat pułkownik nie opuszczał miasta, odkąd pani Toria przestała wychodzić z pokoju. Tantala znalazła dziesiątki powodów, żeby nas nie odprowadzać, stara niania w ogóle nie miała sił na tak daleką podróż. W tej sytuacji, po krótkim wahaniu, zdecydowałem się jak najszybciej podjąć obowiązki męża i wypełnić je należycie.

Soll ofiarował nam karetę podróżną z Klowem na koźle. Chciał także wyprawić z nami pokojówkę, lecz odwiodłem go od tego. W moim zamku, oznajmiłem stanowczo, Alanie nie będzie zbywać na niczym, na opiece, miłości, czy służbie. Pułkownik zamierzał nam także przydzielić eskortę, czym poczułem się urażony Nie wiem, jak bywało w rodzinie Sollów, stwierdziłem chłodno, lecz w rodzie Rekotarsów mąż jest wystarczającą ochroną dla swej małżonki. W zupełności jej wystarczę. Wojny nikt nie zapowiadał, a zima jeszcze nie nadeszła.

Soll przygryzł wargę i zgodził się.

Nasz ślub był huczny i wspaniały. Całe miasto słało życzenia. Uwite z kwiatów herby Sollów i Rekotarsów zdobiły niemal wszystkie place. Piłem wino i przysięgałem Alanie wierność, aż ochrypłem. To znaczy, nie samej Alanie, a wszystkim, którzy akurat byli w pobliżu: burmistrzowi, naczelnikowi straży, sędziemu miejskiemu i wielu innym. Przysięgałem oddać za nią życie i zrobić wszystko, by była szczęśliwa.

Potem zapadłem w ciemną czeluść. Obudziłem się w łożu małżeńskim. Alana obok mnie słodko dyszała. Parszywy los! W żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć, czy zaszło coś między nami…

Potem trzęśliśmy się w karecie po przymarzniętych wybojach. Wielokrotnie gładziłem spoczywający wśród bagaży zamszowy futerał. Posag. Ciężki tom w skórzanym woreczku. Biografie magów pióra dziekana Łujana.

Młoda żona siedziała naprzeciwko. Karetę ogrzewał mały piecyk, lecz Alana szczelnie otulała się szalem, drżąc z zimna i milcząc. Nie wiedziałem, co oznacza owo milczenie. Obrazę? A może tylko zmieszanie podfruwajki, która ni z tego ni z owego stała się mężatką, wychodząc za niewątpliwie sympatycznego, lecz, spójrzmy prawdzie w oczy, prawie nieznajomego człowieka? Czy była milcząca z natury? U kobiety to dobra cecha, lecz chwilami bywa także męcząca…

Dobrze byłoby przypomnieć sobie, co się wydarzyło w noc poślubną. Czyżby pijany do utraty nieprzytomności mogłem obrazić kobietę?!

Spieszyłem się. Dni były coraz krótsze, gospody zmieniały się jedna za drugą. Z Alaną nocowaliśmy w oddzielnych sypialniach, niby dla jej wygody. W rzeczywistości w żaden sposób nie mogłem się zdecydować na działanie. Będąc jej prawnie zaślubionym małżonkiem, z jakiegoś powodu widziałem w niej tylko daleką krewną, którą kazano mi odstawić pod wskazany adres.

We wszystkich gospodach bez wyjątku trafiały się apetyczne pokojówki. Jak w dawnych, dobrych czasach, żadna nie potrafiła oprzeć się memu uśmiechowi. Powstrzymywałem się w ostatniej chwili. Służące dąsały się. Wygodniej byłoby zwalić całą winę na

zmęczenie i nie do końca zabliźnione rany, ale w głębi duszy dobrze wiedziałem, że powstrzymuje mnie mroczny wstyd, którego nie chciałbym specjalnie zgłębiać.

Zakochana Alana była tylko pionkiem w mojej grze. Dłużej tak być nie mogło. Jak najszybciej powinienem był wzbudzić w sobie małżeńskie uczucia, choćby po to, by mieć szacunek dla samego siebie. Niebiosa wiedzą, że się starałem. Próbowałem zobaczyć kobietę w naburmuszonym podlotku, upragnioną partnerkę, moją żonę. Niczego nie czułem. Nosiłem się tylko z fałszywym uśmiechem, przekonując sam siebie, że gdy wreszcie dotrzemy do domu i przyzwyczaimy się bardziej do siebie, uczucie w końcu się zjawi.

Alana milczała. Całowałem ją po bratersku w policzek i samotnie spędzałem czas.

Pewnego pięknego poranka… Gospoda była okropna, ze wszystkich szpar ciągnęło chłodem, nie wyspałem się i czułem fatalnie. Nie znalazłem żony w jej pokoju. Co więcej, łóżko było nietknięte.

Nie wpadłem od razu w panikę i dobrze zrobiłem, gdyż moja małżonka wkrótce się odnalazła. Na dole w opustoszałej jadalni dymiły płonące całą noc świece. W kącie zasiadała kompania hazardzistów: trzech tęgich mężczyzn i moja pani z przygryzioną wargą i wachlarzem kart w drżących dłoniach.

Opanowałem się. Zbliżyłem się z miną wyrażającą dobroduszną troskę.

– Moja droga, za pół godziny będzie widno. Kazałem lokajowi zaprzęgać… Jesteś gotowa?

Trzech karciarzy zerknęło z dziwnymi uśmieszkami. Alana jakiś czas oglądała karty, potem podniosła na mnie wzrok. Drgnąłem, bo w jej oczach był taki sam wyraz, jak podczas naszego pierwszego spotkania w asyście komediantów.

Pierwszą moją myślą było, że jakoś ją znieważyli. Z rosnącym gniewem uprzytomniłem sobie, że szpada została na górze. Powiodłem wzrokiem po twarzach wybladłych po bezsennej nocy.

Jednym z nich był dwudziestoletni młodzik z wypukłymi wargami i ostrymi, cynicznymi oczkami. Pozostali dwaj, nieco starsi, byli jego świtą.

– Co się stało, Alano? – zapytałem spokojnie, zastanawiając się mimochodem, jak najzręczniej wykopać taboret spod tyłka najbliższego karciarza.

– Przegrałam naszą karetę – odparła z westchnieniem żoneczka. – Karetę razem z końmi… I sto złotych monet. Z początku dobrze mi szło, ale później…

Rozejrzałem się szybko.

Niewiele brakowało, żebym, wytrzeszczając oczy, wrzasnął: „Co?!

Kompletna idiotka! Chyba zwariowałaś!" Chętnie bym to uczynił, lecz nie było czasu. Chłopak był mózgiem całej trójki i oczywiście szulerem. Wszystko zależało od tego, czy zdołam ujawnić jego szachrajstwo. Albo niepoczytalność Alany. Albo, dopóki sala pusta, przyprzeć go do muru…

Dwaj towarzysze młodzieńca, jakby odgadując moje zamiary, bliźniaczym gestem położyli prawice na rękojeściach ukrytej pod stołem broni.

– Pozwoli pan, że się przedstawię – powiedział młodzieniec z szerokim uśmiechem. – Kilt Warkronn, ze starszej linii Warkronnów, z północy. Być może za dużo sobie pozwoliłem, zawierając znajomość z małżonką bez pańskiej wiedzy, lecz jesteśmy w podróży, a wtedy etykieta jest…

– Szczególnie ważna – przerwałem mu oschle. – Zwłaszcza w podróży i dla szlachetnie urodzonych, do grona których pan się zapewne zalicza…

Obserwując badawczo ruchliwą twarz młodego człowieka, dodałem w myślach: nie wstyd ci, arystokrato, trudnić się szulerką?

Pan Warkronn nieco się zarumienił.

– Oczywiście, nie pozwoliliśmy sobie na nic niewłaściwego… z pańską żoną. Chętnie przyznaję, że jej żywa natura dała mi sporo powodów do zadowolenia…

Przeniosłem wzrok na Alanę. Żywa natura siedziała z głową wciśniętą w ramiona i bezmyślnie drapała paznokciem blat stołu.

Towarzysze Warkronna zgodnie pokiwali głowami. Jeden z nich, jasnowłosy i krępy, wyciągnął zza pazuchy zwitek papierów.

– Oto są weksle pani Alany Rekotars… Świadkiem zastawu był poczciwy oberżysta.

– Z początku wygrywałam – oświadczyła gniewnie młoda dama. – Wygrałam pięćset monet! Potem karta mi nie szła i nawet ty, Retano, nic byś nie poradził…

Warkronn starannie zbierał karty ze stołu. Miał minę dobrego papy: nie ma co się zniechęcać, fortuna kołem się toczy, na tym polega hazard, a w końcu dla Alany będzie to na pewno pamiętna noc…

Szkoda, że był arystokratą. Po pierwsze, było to tym bardziej upokarzające, a po drugie…

Od razu zrozumiałem, że się spóźniłem. Można by, naturalnie, zrobić z Alany wariatkę, wątpię jednak, czy to cokolwiek pomoże. Mogę oskarżyć Warkronna o nieuczciwą grę, tylko jak to udowodnić?

Alana milczała. Wyraz jej twarzy był jednocześnie nieszczęśliwy i wyzywający. Znałem go już: dumnie zadarty nosek, chłodne milczenie. A wszystkiemu winne, rzecz jasna, karty.

– W co graliście? – usłyszałem własny, spokojny głos.

Warkronn uśmiechnął się cierpko.

– W „Pięciogłów". Pani Alana lubi trudne gry. Zdobyłem się na uśmiech w odpowiedzi.

– Przyznam, że ja też… Prawie wam zazdroszczę. Alana przeżyła tak silne hazardowe emocje beze mnie… Uczyni mi pan zaszczyt, panie Warkronn, jeśli zgodzi się pan zagrać ze mną parę partyjek.

Jakiś czas patrzyliśmy na siebie. Młody szuler długo by nie wytrwał w swym fachu, gdyby się nie znał na ludziach. Domyślał się, że nie będę tak łatwą zdobyczą jak Alana.

– Musimy jechać dalej – zauważył jasnowłosy kurdupel. – I bez tego…

Warkronn uśmiechnął się jeszcze bardziej cierpko.

– Ależ, panie Rekotars… To pan uczyni mi zaszczyt kilkoma partyjkami. Niestety, nie mamy czasu na dłuższą grę…

Jadalnia powoli się zapełniała. Ziewający goście wychodzili ze swych pokojów i rozglądali się w poszukiwaniu śniadania.

Warkronn patrzył mi w oczy z nieskrywanym radosnym wyzwaniem. Szczeniak…

– Droga pani małżonko – zwróciłem się do Alany światowo – bądź tak dobra oddalić się do swego pokoju i wypocząć przed dalszą drogą. Być może będziemy musieli iść na piechotę.

Wielkie nieba, zadarła nos niemal do sufitu. Poszła na górę z miną wygnanej królowej.

Odprowadziłem ją wzrokiem, a potem zwróciłem się w stronę Warkronna, rozpakowującego nową talię kart. Zdjąłem z najmniejszego palca pierścionek, jedyną rzecz, jaka została mi po matce, drogocenne cacko z błękitnym, pięknie błyszczącym kamieniem.

„Pięciogłów" nigdy nie był moją ulubioną grą.

W pierwszym rozdaniu otrzymałem karty zwane „pustą klatką". Rzadka szansa wygranej, jeśli pamięta się o pewnym szczególe. W moim zestawie nie było czerwonej siódemki, zwanej „kluczykiem", co oznaczało, że przeciwnik mógł na poczet mojej „klatki" wziąć pięć do sześciu lew.

W uczciwej grze małe było prawdopodobieństwo takiego obrotu sprawy. Patrzyłem pilnie rywalowi na ręce, kiedy rozdawał karty i nie udało mi się przyłapać go na żadnym podejrzanym ruchu. Patrząc teraz, jak Warkronn pociera czubek nosa, byłem pewien, że wie, jakie mam karty.

Mówią, że są szulerzy, którzy widzą wszystko na wskroś. Moje plecy pokrył pot. Warkronn oznajmił od niechcenia, że licytuje „wielki bal". Kusiło mnie, by zalicytować „klatkę", ale zacisnąłem zęby i skinąłem głową, wyrażając zgodę. Tamten zagrał czysto, według zasad i jego towarzysz zaznaczył na małym liczydle mą pierwszą straconą lewę.

Alana wiedziała, z kim zasiąść do gry.

Przyszła kolej na moje wyjście. Przymknąłem powieki, próbując się skoncentrować.

Talia w moich dłoniach. Delikatny dotyk gładkich kart. Zniknęła jadalnia, zniknął stolik razem z szulerem i jego wspólnikami, pozostał tylko zestaw kolorowych obrazków. Na ich odwrotnej stronie wyobrażony był koń stający dęba.

Karty tylko wydawały się jednakowe. Każda karciana „koszulka" miała swoją niepowtarzalną osobliwość. Czułem się, jakby na skroniach zacisnęła się żelazna obręcz. Konie ożyły, błysnęły wytrzeszczonymi ślepiami. Ten, który niósł na sobie damę karo, miał białe znamię na zadzie, ten, który krył dziesiątkę pikową wydawał się lekko rozmazany, jakby istotnie był w ruchu…

– Proszę wychodzić, panie Rekotars!

W końcu sam zostanę szulerem.

Rzuciłem kartę.

Teraz już „koszulki" kart Warkronna przestały być dla mnie nieme. Nie przysparzało mi to radości, okazało się bowiem, że miał na ręku prawie pełną „polanę". Będę musiał z tym sobie poradzić!

Chwilę certoliliśmy się dla przyzwoitości, lecz skoro dałem mu wziąć lewę, uczynił to zgodnie z planem.

Szczęknęły maleńkie liczydła. Jak moje zęby.

Warkronn wyłożył kartę.

Łamałem sobie głowę, patrząc na „koszulki" jego kart, widząc w stających dęba rumakach konie naszej karety. Nie mogłem dojrzeć więcej niż trzy rumaki. Widocznie oczy były zmęczone.

Zalicytował „mały bal". Uparłem się i zalicytowałem „korowód". Chwilę się zastanowił, zerknął na mnie chytrze i ogłosił „pustą klatkę".

Nie miał argumentów przeciwko mojej „klatce".

Zaczął ostrożnie, rozciągając w uśmiechu i bez tego wielkie usta. Z udręką spoglądałem na moje karty i coraz bardziej obawiałem się, że jego „klatka" się zaraz zapełni.

Jest jeszcze możliwość odkryć naraz wszystkie karty. Do jego „klatki" wchodziło siedem, nie, osiem lew, gdyby tylko…

– Proszę wychodzić, panie Warkronn! – rzekłem, prawie przeczuwając triumf.

Wyszedł.

Tej karty nie powinno być. Doskonale pamiętałem, że już „chodziła".

– Co to za karta, panie Warkronn?

– Dziewiątka pik. Czyżby pan niedowidział?

– Pozwoli pan sprawdzić pańskie karty. Skrzywił się.

– Panie Rekotars… Rozumiem, że skoro się przegrywa, stajemy się nerwowi i podejrzliwi. Nie ma pan prawa mnie obrażać. Proszę

przejrzeć odrzucone karty…

Wskazał na kupkę lew.

– U siebie i u mnie. Myśli pan, że są dwie jednakowe? Pojąłem, że ma rację.

Jego „pusta klatka" zagrana została czysto, a skąd wziął potrzebną kartę, nie da się dociec. Chyba, że jest magiem…

A jeśli jest?! Pomniejszy czarownik, zarabiający na życie grą? Kto wie?

Gra w karty wydaje się poniżej godności maga. Lecz do niedawna trudnienie się szulerką było też hańbą dla każdego arystokraty…

Spojrzałem na swój przegrany pierścień.

– Jeszcze jedna partia, panie Rekotars? Czy wystarczy? Oczy Warkronna śmiały się. Zdołałem uśmiechnąć się w odpowiedzi.

– Jest pan interesującym przeciwnikiem… Dotykanie kart sprawiało mi ból, jakbym opuszki palców miał zdarte do żywego mięsa. Poznawałem je po dotyku: czerwone były cieplejsze, czarne chłodniejsze… Cięższe i lżejsze… Nieuchwytne cechy, pozwalające rozpoznać brzemię prawie czterdziestu prężących się do skoku wierzchowców. Wyłożyłem kartę.

Wiedziałem, że Warkronn nie ma pełnego „korowodu", chociaż zalicytował go, błyskając oczyma.

Ktoś przechodzący obok otarł się nieostrożnie o moje ramię. Dotyk ten zadziałał jak uderzenie.

Szum. Brzęk naczyń, gwar głosów, trzaskanie drzwiami… Za moimi plecami stoi sześciu gapiów. Zapach spalenizny, śmiech…

Wyskoczyłem ze świata kart, niczym korek z butelki. Wróciłem do prawdziwego życia. W samą porę. Gra w karty bowiem nie ogranicza się tylko do manewrowania namalowanymi figurkami.

Oto kupka „odrzutów". Długi, ostry łokieć niby niechcący trąca o wykorzystane karty, ledwie zauważalny ruch, jakby Warkronnowi było ciasno za stołem.

Mgnienie później w mej dłoni pojawił się kindżał i jego ostrze wbiło w blat stolika po drugiej stronie. Gapie niczego nie rozumieli. Wzdrygnęli się tylko, słysząc głuche uderzenie o drewno.

Uderzyłem na ślepo. Mogłem przebić rękę, lecz trafiłem w kartę i przyszpiliłem do stołu.

Życie w jadalni toczyło się swoim torem. Nad naszym stolikiem zawisła cisza. Gapie zaszeptali pomiędzy sobą. Ja i Warkronn patrzyliśmy sobie w oczy.

– Dobrze grasz – wysyczał w końcu, prawie nie poruszając wargami. – Widzisz „koszulki". Moglibyśmy działać razem.

Zacisnąłem usta, jakbym miał zamiar plunąć mu w gębę.

Krzyk: „Szuler!" mógł się skończyć tragicznie. Zarówno dla wskazanej osoby, jak i dla krzyczącego. Tłum chętny, by się

rozprawić, nie zawsze potrafi odróżnić złoczyńcę od ofiary.

Warkronn zerknął z ukosa na jasnowłosego druha, starając się nie stracić mnie z oczu.

– Oddaj.

Tamten się nadąsał. Chwilę wiercił się na taborecie, wreszcie podał mi pod stołem plik weksli podpisanych przez Alanę.

Cała trójka jednocześnie wstała od stołu. Jasnowłosy zabrał liczydło, Warkronn zgarnął karty.

– Dziękuję, panie Rekotars, za wspaniałą grę. Nie chodzi o wygraną, najważniejszy jest hazard. Proszę przyjąć wyrazy szacunku.

Cała trójka ruszyła ku drzwiom, odprowadzana zdumionymi spojrzeniami. Powoli, z wysiłkiem, starając się opanować zdenerwowanie, wyciągnąłem ostrze kindżału z blatu.

Karta była przebita dokładnie pośrodku.

Niemiłe wydarzenie z szulerem nie zepsuło moich stosunków z Alaną, wręcz przeciwnie, raczej nas do siebie zbliżyło. Kiedy słaniając się na nogach, z dziurawą kartą w kieszeni, wszedłem do jej pokoju, kiedy zła na cały świat i gotowa wywołać skandal, odwróciła się do mnie od zakurzonego okna, kiedy w milczeniu rzuciłem na nocny stolik jej weksle… Ta chwila była warta tego, by pokonać dziesięciu szulerów. A nawet tuzin.

Ruszyliśmy w dalszą drogę, znów milcząc, ale teraz wszystko było inaczej. Nie potrzebowaliśmy rozmowy. Alana okazywała mi tym milczeniem szacunek, gdy drzemałem wsparty na poduszkach karety. We śnie widziałem rodowy zamek, w którym gospodaruje cicha, skromna, kochająca aż po grób małżonka.

W zamszowym futerale nad moją głową drzemała księga O magach. Wciąż zbierałem się, by ją otworzyć w jakiejś gospodzie, lecz jak dotąd się nie odważyłem. Jeśli wyczytam w niej coś plamiącego pamięć Maga z Magów Damira, skomplikuje to nie tylko moje stosunki z Sollami, ale być może także z tym łotrem, Czarno Tak Skoro.

Chociaż, mówiąc prawdę, znacznie bardziej bałem się czarnego, zamszowego woreczka. Nie chciałem się do tego przed sobą przyznać, lecz ponowne wsadzenie ręki do środka wymagałoby całej mojej odwagi.

Pozostało już tylko parę dni drogi do moich włości. Rozpoznawałem znajome miejsca. Pogoda była rześka i chłodna, jak sopel lodu, śniegu było niewiele, jakby dla urozmaicenia pejzażu. Konie biegły lekko. Zima dopiero się zaczynała i czyniła krajobraz białym i świeżym jak wykrochmalony kołnierz. Cieszyłem się, obserwując uroki pierwszych przymrozków. Alana, widząc mój dobry nastrój, cieszyła się razem ze mną.

Mieliśmy jeszcze dwa postoje do zamku, gdy w jednej z przydrożnych gospód nastąpiło znamienne spotkanie.

Oberwaniec stał na zewnątrz u wejścia, zakutany w kobiecą chustę i żałosnym głosem proponował: „Usłużyć jaśnie państwu, chociaż konia wyczyścić, dziurę załatać, tylko za jednego miedziaka". Dziwiąc się w milczeniu, że właściciel oberży toleruje pod bokiem natarczywego smarkacza, minąłem go obojętnie, lecz w ostatniej chwili się obejrzałem.

Obdartus, zachęcony moim zainteresowaniem, zajęczał żywiej:

– Jaśnie panie, weźcie mnie na służbę, ja wszystko umiem i konia oporządzić, i dziurę załatać…

Nie wiedzieć czemu uważał, że latanie dziur jest główną potrzebą wszystkich panów.

Wyglądał marnie. Wychudł, oczy mu się zapadły. Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, wyglądał bardziej zdrowo.

– Mogę także zaśpiewać – mamrotał chłopaczek, spoglądając błagalnie. – Weźcie mnie na służbę, dobry panie, a nie poża…

Jego oczy zaokrągliły się. Rozpoznał mnie wreszcie.

– Witaj – powiedziałem uprzejmie – Kliwi, czy jak cię tam zwą…

Chude liczko zmarszczyło się boleśnie, jakby Kliwi Młynarczyk miał się zaraz rozpłakać.

– Kto to jest? – spytała zza moich pleców Alana.

Kliwi zaszlochał i wyciągnął przed siebie ręce, wnętrzem dłoni do góry.

Obie były pełne starych i świeżych oparzeń. Jakby Kliwi próbował wyciągać gołymi rękami kasztany z ognia.

Cudze pieniądze parzyły go żywym ogniem. Tak, jak głosił wyrok.

Niczego innego nie potrafił. Kiedy brał się do jakiejś uczciwej roboty, wychodziło mu to bokiem. Przepędzali go i bili. Z głodu znów zaczął kraść, okręcając dłonie szmatami, raz nawet kupił sobie skórzane rękawice. Nic nie pomagało. Za każdym razem, gdy jego dłoń dotknęła cudzej sakiewki, z trudem powstrzymywał krzyk bólu i nawet tydzień później nie mógł „załatwić, jak człowiek, naturalnej potrzeby". Ręce miał pokryte oparzelinami. Robotnik był z niego żaden i nikt go nie chciał zatrudnić. Nikomu nie był potrzebny. Zarabiał trochę żałosnymi śpiewami na jarmarkach, lecz ludziom niezbyt się podobały. Znowu go przeganiali, tym bardziej, że nie miał „pozwolenia na żebractwo".

Wszystko to wyznał mi, pochlipując, po tym, jak opłaciłem dla niego za dwa miedziaki nocleg w stodole. Był niebotycznie szczęśliwy. Ogrzał się i podjadł, uwierzył więc w uśmiech losu.

– A pamięta pan Ahara… – opowiadał z radosnym uśmiechem – którego zwali Ropuchem. Jednooki. Ten, co miał umrzeć za miesiąc. I po miesiącu go pochowali. Powiadają, że się utopił w zwykłej kałuży. Spadł z konia i się zachłysnął, a nawet trzeźwy był… Jakże to… utonąć w kałuży?!

Miałem wrażenie, jakby lodowata dłoń przesunęła się po mym karku.

– Tak było mu przeznaczone – rzekłem głucho. – Po miesiącu utopiłby się nawet w miednicy, bez dwóch zdań…

Kliwi posmutniał. Usta skrzywiły się gorzko.

– Przeznaczone… Choćbyś zdychał z głodu.

Popatrzył na swoje oparzone dłonie. Zamyśliłem się.

Choć nie było o czym dumać. Skoro los postawił na mej drodze Młynarczyka, widocznie miało to jakiś sens.

– Pojedziesz ze mną – oświadczyłem gładko.

Kliwi oderwał wzrok od swoich bąbli. Spojrzał mi w oczy, najpierw niedowierzająco, potem radośnie, wreszcie podejrzliwie.

– No tak… ale… kiedy pan ma umrzeć?

Cud chłopak. Miły i bezpośredni.

Najbardziej obawiałem się, że na zwodzonym moście przywita nas maciora.

Zdawało się, że to głupstwo, lecz całą noc przed dotarciem do celu śnił mi się ten okropny obrazek: młoda żona po raz pierwszy widzi zamek szlachetnego małżonka, na zawsze spuszczony zwodzony most, a pośrodku przejścia stoi monstrualna maciora, która nie ruszy się z miejsca bez mocnego kopniaka.

Zbudziłem się zlany zimnym potem.

Dotarliśmy do zamku w południe. Gdy tylko pokazały się szczyty wież nad drzewami, osiodłałem konia i pokłusowałem naprzód.

Świni nie było. Na pochyłych murach leżał śnieg. Biały kobierzec skrywał przed niepowołanym okiem pęknięcia i szczeliny, zmurszałość i zapuszczenie. Na wewnętrznym dziedzińcu trwała wieczna jesień, było wilgotno i błotniście, mocno cuchnęło nawozem.

– Iter! Iter!!!

Podczas gdy kareta przetoczyła się przez zwodzony most, zdążyli zaszlachtować maciorę. Po całym zamku miotały się najęte we wsi pokojówki i inne sługi. W brudnawej kuchni rozpalono ogień. Młody małżonek wyjechał na spotkanie żoneczce na białej jak śnieg klaczy.

Alana wyjrzała ostrożnie zza aksamitnej zasłonki. Za moimi plecami zamek czekał na ocenę. Rozchwiana ruina, siedlisko duchów…

Bałem się, że powie: i to ma być twierdza Rekotarsów?!

– Jak tu pięknie – powiedziała szeptem Alana.

Ze szczytu wzgórza wioska wyglądała jak malowanie: białe dachy i wznoszące się nad nimi sine smugi dymów. Dni robiły się coraz chłodniejsze, zapowiadając srogą zimę. We wszystkich chatach palono w piecach.

Tylko nad dachem domu na wzgórzu niebo było dziewiczo czyste i jasnobłękitne. Czanotaks Oro nie rozpalał ognia.

– Panie Retano, ja się magów boję, może zostanę tutaj?

Kliwi zgrzał się wchodzeniem pod górę i nadstawiał zaróżowione policzki pod hulający na szczycie wiatr.

– Nie można – odparłem oschle. – To dobry człowiek, nie masz się czego bać. Robię to z myślą o tobie, głuptasie!

Kłamałem. Myślałem tylko o sobie.

Furtka była otwarta. Podwórze było puste: ani psa, ani narąbanych drew, ani w ogóle żadnej oznaki życia. Czanotaks nie potrzebował drewna.

– Nikogo nie ma – oznajmił radośnie Kliwi. – Mag pewnie wyjechał.

Jakby w odpowiedzi na te słowa skrzypnęły przeraźliwie drzwi wejściowe. Spodziewałem się tego, a jednak drgnąłem.

– Wejdźcie – powiedział Czarno.

Był zakutany od stóp do głów w futrzaną szubę, lecz wyzywająco naga czaszka odbijała poblaski zimnego dnia. Czarne, nieco szalone oczy, patrzyły bez wyrazu. Mimo woli wspomniałem zimny uścisk we wnętrzu zamszowego woreczka.

Weszliśmy, przy czym musiałem wepchnąć Kliwiego siłą.

We wnętrzu ogromnego budynku było zimniej niż na zewnątrz. W znanej mi sali zwierciadlanej sufit pokryty był szronem, tafle luster zdobiły śnieżne kwiaty. Kliwi drżał coraz bardziej, jakby z zimna, chociaż policzki miał rozpalone, czerwone jak gil.

– Witaj z powrotem, Retano.

Czanotaks usiadł. We włochatej szubie przypominał leśnego stwora z dziecięcej baśni. Z wielkich rękawów wystawały cienkie, białe dłonie. Czarno Tak Skoro splótł palce i oparł się łokciami na kolanach, żeby wygodniej było umieścić na palcach podbródek.

– Miło cię widzieć – skłamałem z uśmiechem. – Spełniłem obietnicę.

Blade usta Czarno rozciągnęły się, jakby były z gumy. Ten uśmiech mówił wszystko.

– Mam nadzieję, że ty spełnisz swoją? – zapytałem z naciskiem.

Mag przymrużył bardziej wąskie szparki powiek.

– A dlaczego nie przyniosłeś ze sobą tej… rzeczy? Tak, jak się umawialiśmy?

Uśmiechnąłem się jeszcze szerzej.

– Nie wszystko od razu… Naturalnie, jest twoja. Jest jednak pewna zagwozdka… Powszechnie uważa się, że niemożliwa jest usługa, jaką mi obiecałeś.

Westchnąłem przeciągle, gdyż te słowa mogły być moim wyrokiem śmierci.

Twarz Czarno nawet nie drgnęła. Jakbym rozmawiał z posągiem.

– Chciałbym być pewien, że jesteś zdolny wypełnić obietnicę –

podjąłem twardo. – Mam do tego prawo jako twój… klient.

Kliwi, trzęsąc się milcząco w kącie, pociągnął nerwowo nosem. Czanotaks powoli przeniósł na niego spojrzenie. Chłopaczek kichnął ze strachu.

– Masz prawo – potwierdził mag obojętnie. – Prawdę mówiąc, od samego początku wiedziałem, czemu przywlokłeś tu ze sobą tego… Młynarczyka. Podejdź bliżej.

Ostatnie słowa odnosiły się do chłopaka. Kliwi drgnął i podszedł jak ciągnięty na niewidzialnym postronku.

Nie zwracając uwagi na nerwową czkawkę małego, mag wziął jego dłoń i obrócił wnętrzem do góry. Gwizdnął cicho.

– Tak… Przyszedłeś do mnie jakby z ultimatum, Retano. Pokaż, magu, co potrafisz, wtedy zdecyduję, czy będziemy kontynuować współpracę.

Otwarłem usta, jakby chcąc się sprzeciwić. Czarno pokręcił głową.

– Lepiej nic nie mów. Nie ma w tym niczego dziwnego. Zwykła sprawa… Można dać wiarę na słowo komuś, kto się mieni czarodziejem, że wyrok z ciebie zdjęty, ty zaś potem przeżyjesz pół roku w radosnej nadziei, aż tu nagle trach, nieszczęśliwy wypadek…

Przełknąłem ślinę.

– Tak – kontynuował, spoglądając w zadumie na Kliwiego. – Wiem, czego od ciebie żądam, a ty powinieneś poznać moje możliwości. Chłopcze, bądź tak dobry, podejdź do lustra i dmuchnij na nie.

Kliwi ruszał się jak marionetka. Wydął wargi i dmuchnął na mroźną pokrywę. Biała smużka pary momentalnie rozpuściła szron, lecz nie okrągło, jak należało oczekiwać, a tworząc jakiś nietypowy kształt, podobny raczej do grzyba.

– Dobrze.

Czanotaks znów opuścił podbródek na splecione palce.

– Wracaj do żony, Retano. Jutro zobaczysz z powrotem swego podopiecznego.

Chłopak zaczął się miotać. Gotów był do końca swoich dni lizać moje buty, byle tylko nie… Zwolniłem kroku, skinąłem mu na pożegnanie i wyszedłem. Na progu dogonił mnie rozpaczliwy krzyk byłego złodziejaszka:

– Panie Retano! Niech mnie pan nie zostawia! Zabierze ze sobą! Ja nie chcę!

W jego wyciu było niekłamane przerażenie, że moja prawa noga zawisła w powietrzu.

– Całkiem zgłupiałeś – ocenił beznamiętnie Czanotaks. – Nie wiesz nawet, chłopcze, jakie masz szczęście.

Odszedłem z ciężkim sercem.

W końcu wydałem żywe stworzenie na eksperymenty szalonego

alchemika.

Kliwi dotarł do zamku następnego ranka. Głodny, oszalały i kompletnie niczego nie rozumiejący, jego ostatnim wspomnieniem było puste, jakby wymarłe podwórze. Nie pamiętał mojej rozmowy z magiem ani tego, co działo się potem. Sam się sobie dziwił.

Trzeba powiedzieć, że tymczasem rozpoczęte z takim rozmachem urządzanie zamku powoli zamarło. Kończyły mi się pieniądze. Pomysł wielkiej uczty na cześć nowej pani trzeba było odłożyć na lepsze czasy. Na szczęście Alanie zamek podobał się bez względu na wszystko. Cieszyło ją zwiedzanie zakurzonych komnat, wdrapywanie na wieże i kontemplowanie pokrytej pajęczynami siedziby starego rodu. Mocno się obawiałem, że spotka w końcu miejscową zjawę. Choć właściwie nie było się czego bać. Nie mogłem sobie wyobrazić, w jaki sposób takie spotkanie mogłoby mojej żonie wydać się…

Ustanowił się między nami przyjacielski układ, nieco dziwny dla młodego małżeństwa. Tak jak wcześniej nie odwiedzałem jej sypialni, lecz miałem teraz nowy powód: nim pokosztuję małżeńskich rozkoszy, powinienem wyzwolić się z mocy Wyroku i zakończyć znajomość z Czanotaksem. Cały czas szukałem jakiegoś wyjaśnienia dla Alany. Rodowy zwyczaj, który zabraniał mężowi dotknąć żony podczas miodowego miesiąca. Mój język nie był w stanie wypowiedzieć podobnej bzdury. Alana przyjmowała moje odosobnienie na pozór spokojnie. Kto je tam wie, te zamężne piętnastki, może wystarcza im przyjacielskie poklepywanie po ramieniu…

Był jasny, zimny dzień. Kliwi poszedł do wioski. Wcześniej postarałem się o to, żeby nikt nas razem nie widział. Nie na rękę mi była podejrzana znajomość z Młynarczykiem.

Po pierwsze zajrzałem do karczmy. Nie pomyliłem się.

Kliwi tam był.

Wcześniej bez grosza przy duszy, zasiadał teraz za stołem uginającym się od jedzenia. Tłusty sos ściekał po chudych dłoniach. Chłopak zlizywał go z palców, cmokał i mlaskał, objawiając całym swym jestestwem absolutną błogość.

Bez trudu i bólu zdobył ciężką sakiewkę.

Przylgnąłem do ściany. Nogi zrobiły się miękkie, jakby przerażająca moc Czanotaksa Oro objawiła się przede mną w ogniu i dymie, otaczająca siedzącego na ławie Kliwiego i obserwująca go wąskim szalonym okiem.

Kliwi cieszył się życiem.

Z gospody, najedzony do syta, poszedł na bazar. Widziałem na własne oczy, jak wyciągnął monetę z kieszeni zaspanego szewca. Wciąż nurkując w gęstym tłumie, wynurzał się coraz bardziej szczęśliwy, pijany bez wina, zacierając ręce.

Po trzech dniach szalonych kradzieży, złapali go w pobliskim

miasteczku. Dowiedziałem się o tym od Itera, ten zaś od dostawcy żywności. Według jego relacji, przyłapali na gorącym uczynku jakiegoś chłopaczka. Rewizja sporo dała. Ci, którzy w ciągu ostatnich dwóch dni stracili swoje trzosy, zwalili się całą hurmą do aresztu i tamtejszy burmistrz z trudem powstrzymał ich przed samosądem. Złodziejaszka osądzono zgodnie z prawem i zesłano na galery. Dobrze mu tak. Wysłuchawszy całej historii, podziękowałem Iterowi i oddaliłem do siebie, skarżąc na migrenę.

Czułem się paskudnie.

Rozdział ósmy

Nie było wyjścia. Zapłata za moje wybawienie znajdowała się w zamszowym woreczku, ten spoczywał w kufrze, zamkniętym na siedem spustów. Wróciwszy z wioski, gdzie delektował się bezkarnością jeszcze wtedy nie schwytany Kliwi, byłem gotów wziąć księgę i natychmiast pobiec z nią do domu na wzgórzu. Niech mag objawi swoją moc na potomku Rekotarsów.

Zimowe dni są jednak krótkie. Wspomniałem mroczne i chłodne, bez jednego światełka, domostwo Czarno Tak Skoro i zaciskając zęby, odłożyłem wizytę na jutro.

Tym bardziej, że jak dotąd nie zajrzałem ani razu do księgi O magach, napisanej przez dziadka mojej żony i bardzo pożądanej przez Czanotaksa.

Zjedliśmy z Alaną kolację w ogromnej jadalni, przy wtórze wiatru w kominie i sapania Itera (sługa Sollów, Klow parę dni temu wrócił do domu, zanieść swemu panu nowinę o naszym bezpiecznym dotarciu na miejsce).

Kolacja przeszła w milczeniu. Sprzyjał mu fakt, że Alana siedziała na drugim końcu długiego stołu i dowołać się można było tylko przez tubę.

Gdy tak siedziała w milczeniu, dziwnie przypominała portret mojej prababki. Nieoczekiwanie dojrzała tego wieczoru, a nawet wypiękniała. Siedziała jakby nieobecna i blada. Dziewczyna, która stała się ofiarą mego egoizmu, żywym losem na loterii.

Przeklinałem sam siebie, patrząc na poważne oblicze mej młodej żony. Postanowiłem od następnego dnia uczynić wszystko, żeby była szczęśliwa. A nawet jeszcze tej nocy.

Jestem jej mężem. Silnym mężczyzną, nie jakimś chuderlawym magiem. Mam przed sobą legalną ślubną połowicę. Wystarczy tego niezdrowego poszczenia. Chcę się z nią kochać czule i mocno…

Alana zauważyła, jak zmienił się mój sposób patrzenia i na jej bladych policzkach wykwitły rumieńce.

Po kolacji szarmancko podałem jej dłoń. Droga do sypialni była daleka, przez dwie galerie, po niebezpiecznych, kręconych schodach. Początkowo szedł przed nami Iter, potem go odesłałem, przejmując od niego świecznik.

Ujmująca mnie pod ramię ręka Alany lekko drżała.

A swoją drogą… Kto wie, co się wydarzyło naprawdę podczas nocy poślubnej?!

– Alano – rzekłem, pragnąc ją uspokoić – czytałaś tę księgę?

Nie powiedziałem, jaką. Naturalnie, wiedziała, o jaką pytam. Jej dłoń zacisnęła się na mym ramieniu.

– Nie lubię jej. Ci wszyscy wszechmocni magowie – dodała jakby z pogardą – tacy niby potężni. Więc czemu na straży stoi jeden Luar?

Byliśmy już u półotwartych drzwi sypialni. W środku buzował ogień. Pokojówka Alany tym razem się postarała.

– Twój zmarły brat? – spytałem machinalnie.

Nie bez powodu szczycę się swym rozumem i taktem, lecz i najmędrszym zdarzają się potknięcia, tym bardziej, że głowę miałem zajętą czymś zgoła innym. Do tego stopnia, że zreflektowałem się dopiero wtedy, gdy zziębła nagle dłoń Alany ześliznęła się z mego ramienia.

Miała wielkie, okrągłe oczy, odbijające blask świec.

– On… nie umarł… On…

– Wybacz, kochanie – powiedziałem bystro. – Przejęzyczyłem się. Nie to chciałem powiedzieć…

Jej twarz zrobiła się mokra od łez, które popłynęły kaskadami.

– Ty… Pan…

Odskoczyła i zatrzasnęła za sobą drzwi sypialni.

– Alano! Wybacz mi, głupcowi. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że Luar… Przepraszam, tak wyszło przypadkowo. Chcesz może zawiązać mi język?

Milczenie.

Dobrze wiedziałem, jak z nią jest. Jak się zamykała, niczym ślimak w skorupie i choćbyś stanął na głowie, odpowiedzią będzie tylko bolesna uraza podlotka. Miałem ochotę cisnąć lichtarzem o ścianę, lecz, my, Rekotarsowie, nie bez przyczyny szczycimy się hartem ducha i opanowaniem.

Otworzyłem kolejno siedem zamków i wydobyłem z kufra zamszowy futerał zawierający ciężkie tomisko. Nie miałem innego towarzysza na ten długi wieczór, prócz książki.

I zapewne bezsenną noc.

Żal mi było Alany. Jej dziecięca wiara w to, że brat ciągle żyje, zasługiwała w ostateczności na szacunek. Chociaż, z drugiej strony, nie powinno się żyć iluzjami.

Pokonując strach przed zamszowym woreczkiem, lecz wolałem nie wsadzać w niego dłoni, chwyciłem za rogi i wytrząsnąłem zawartość na biurko. Biografie magów uderzyły o blat z głuchym łoskotem, wzniecając tuman kurzu w świetle świec.

Połyskiwały złote tłoczenia na okładce. Kiedy się pochyliłem, zauważyłem okrągłą czarną plamę na stronie tytułowej, jakby ktoś postawił w tym miejscu mokry puchar.

Przetarłem oczy.

Kiedy wręczano mi uroczyście tę książkę w charakterze posagu Alany, nie było czegoś takiego. Gotów bym dać sobie rękę uciąć, że nie było…

Przełknąwszy gorzką ślinę, otwarłem księgę mniej więcej pośrodku. Bez dreszczy i trzepotania serca. Beznamiętnie, jak bibliotekarz, biorący do rąk kolejny cenny egzemplarz.

A jednak.

Plamy na wszystkich stronach. Zagięte rogi. Czyżby Sollowie oddali mi zanieczyszczony egzemplarz?! Czyżby pozwolili obchodzić się komuś w taki sposób z rodową świętością?!

Zamszowy woreczek spoczywał przede mną na blacie biurka, jak pusta skorupa. Nie, Sollowie nie chcieli mnie oszukać, coś takiego byłoby dla nich kompromitacją. Domyślałem się, czyja to sprawka.

Kto chwytał moją dłoń, którą nieostrożnie wsadziłem do środka? Skoro moja dłoń była dostępna dla Czarno, to również książka, przynajmniej podczas podróży. Dopóki wierzyłem, że mój zastaw znajduje się bezpiecznie pod ręką, mag zdążył nacieszyć się drogocennym dziełem i dowiedział wszystkiego, czego chciał. A to oznaczało…

Usiadłem. I znowu wstałem. Opadłem na fotel, podciągnąwszy kolana pod brodę. Zimno…

Owinął mnie sobie wokół palca. Bawił się mną. Przepełniła mnie tak silna złość, że wsadzając dłoń do woreczka, omal go nie przebiłem na wylot.

Nie musiałem długo czekać. Chłodne palce zacisnęły się na moim przegubie, jakby badając puls.

– Bydlaku – wycedziłem przez zęby – dlaczego zniszczyłeś cenne dzieło?

„Ach, Retano. Cały świat składa się z rzeczy, lecz nie one są najważniejsze".

– Jeszcze się doigrasz.

„Kiedyś jeszcze mi podziękujesz, że włączyłem cię do mej gry".

– Więc tak, szanowny magu. Jutro… dzisiaj o świcie odwiedzę cię w twej siedzibie, ty zaś uczynisz ze mną to samo, co zrobiłeś z Kliwi. Oddam ci księgę wraz z futerałem. I nie chcę cię więcej znać, czy to jasne?!

„Powoli, Retano. Nie gorączkuj się tak. Zdejmę z ciebie klątwę, możesz być pewien. Ale o świcie jeszcze śpię, więc nie masz po co przychodzić. Później, rankiem, proszę bardzo… Masz jakąś złotą rzecz, którą zna także Alana?"

Milczałem, zbity z tropu.

„Powiedz jej, że ta złota rzecz… rdzewieje".

– Co?!

„Powiedz jej, że złoto rdzewieje. To wszystko. Potem przyjdź do mnie".

Jego palce ześliznęły się z mego przegubu. W zamszowym woreczku zrobiło się pusto, tylko moje palce nerwowo mięły

wewnętrzny szew.

Resztę nocy spędziłem nad książką dziekana Łujana. Nie wiem, ile musiał włożyć wysiłku w napisanie tak grubego tomu, skoro nawet czytanie go było wielce męczące. Od początku musiałem się do tego zmuszać.

Pominąłem tę część, która odnosiła się do wydarzeń sprzed tysięcy lat. „To było dawno i nieprawda".

Pierwsze wyłapane znajome nazwisko należało do Larta Legiara. Podniosło mnie to na duchu, bo skoro wspomina się z szacunkiem o słudze, z tym większym powinno się pisać o jego panu?

O Magu z Magów Damirze nie było jednak w tym rozdziale ani słowa. Musiałem się o tym przekonać. Odsunąłem z niechęcią książkę zniszczoną przez Czanotaksa.

Miałem tylko nadzieję, że dzieło ojca mojej teściowej nie zostało przekłamane, lecz było tylko niepełne.

Był środek nocy, w kominie wył wicher, nie było mowy o spaniu. Przeszedłem się smętnie po komnacie i od nowa zabrałem się do lektury.

Jak widzimy, Legiar był jednym z wybitniejszych magów swoich czasów i ważną postacią historii magii. Za jego największy czyn uznano pokonanie Czarnego Moru, który pojawia się też w naszych czasach, chociażby w strasznych opowieściach. Już to tylko by wystarczyło, by Legiar pozostał na zawsze w naszej pamięci, lecz inne jego dzieło, według mnie bardziej istotne, pozostało utajnione… Ważny autorytet w tej dziedzinie stwierdza…

Oblizałem wargi i przepuściłem przydługi przypis.

Nie mogę stwierdzić z całą pewnością, czy owe świadectwa są pełne i rzetelne. Biorąc pod uwagę…

Znowu przepuściłem długi odsyłacz, pełen nic mi nie mówiących imion i nazw.

Według relacji zanotowanej podczas rozmowy z…

Ziewnąłem.

Zaryzykuję jednak twierdzenie, że głównym dziełem Larta Legiara była walka w Przedsionku Świata z Tym, Kto Przyszedł Stamtąd… Wiemy na ten temat niewiele. Taka była wola Legiara, by sprawy nie nagłaśniać. Być może miał po temu ważkie powody. Szanując decyzję mego starszego kolegi, przedstawię tutaj tylko parę bezspornych, jak sądzę, faktów: w czasie, gdy Legiar znalazł się u szczytu potęgi, za Drzwiami stanął Ten, Kto Przyszedł Stamtąd (zwany też Trzecią Siłą). Jego Odźwiernym miał być Raul Illmarranien, zwany Marran, mag o pomniejszej mocy. Illmarranien wycofał się ze swej misji i omal przez to nie zginął, lecz wmieszanie się w sprawę Legiara zmieniło bieg przeznaczenia. Wiemy, że obu magów przez wiele lat łączyły skomplikowane i nieraz bolesne układy. Wiemy, że ta ostatnia walka

podkopała siły Legiara. Wiemy również, że Tego, Kto Przyszedł Stamtąd nie można pokonać siłą woli, można go tylko wpuścić lub nie. Wydaje się zatem, że nasz świat uratowany został przez Marrana, Legiar zaś uratował go przed zemstą Trzeciej Siły. Padają często pytania: ale przecież Ten, Kto Przyszedł Stamtąd został za Drzwiami? Z kim więc walczył Legiar? Któż to wie… Odpowiem tylko, że kiedy mróz zostaje za drzwiami, przez szczeliny i tak wnika zimno…

Zjeżyłem się. Akurat w tym momencie zima przypomniała o sobie. Przez szczeliny w murach wiało tak, że zakołysały się płomienie świec.

Tak więc Legiar powstrzymał Zarazę, ratując w ten sposób tysiące ludzi. Być może także piszącego te słowa. Potem zmierzył się z Tym, Kto Przyszedł Stamtąd, skracając sobie tym samym życie. Uratował Raula Illmarraniena, w danej chwili wroga i okrył swój czyn tajemnicą. Kto ma prawo osądzać jego decyzje? Ja na pewno nie.

Przekartkowałem parę stron do przodu, potem z powrotem. Była to cała biografia Legiara: kiedy, skąd, z kim, dlaczego…

Tylko o służbie u Maga z Magów nie wspomniano ani słowa.

Poczułem przypływ rozdrażnienia. Przewracałem tępo stronice. Przypomniałem sobie nudne lata nauki i zrobiłem tak samo jak w dzieciństwie: zmrużyłem powieki, otworzyłem książkę byle gdzie i dotknąłem palcem pośrodku strony.

Najprawdopodobniej ostatni wyczyn szalonego Łasza nie powiódł się. Czekający za Drzwiami nie zdołał wejść. Przy tym „wyczyn" Starca byłby straszną zbrodnią, ponieważ nie wiemy, w jakim celu Trzecia Siła pragnie zawładnąć światem. Pewne niejasne wzmianki znajdują się w Testamencie Pierwszego Wieszczbiarza, jednej z najcenniejszych ksiąg. Niestety, ani jedna kopia, których i tak było niewiele, nie zachowała się do naszych czasów. Straciliśmy cenne świadectwo i obecnie możemy polegać jedynie na relacjach tych, którzy owo dzieło czytali. Ze słów Orwina Wieszczbiarza, Larta Legiara i Orlana Pustelnika wynika tylko jedno. Pojawienie się Tego, kto czeka za Drzwiami wywołuje reakcję Amuletu Wieszczbiarza. Złoty medalion rdzewieje…

Nie dla mnie mądre książki.

Podniosłem głowę. Zbliżał się ranek. Nieprędko zrobi się jasno, lecz zbudziły się już koguty i psy, a piętro niżej wałęsał się krewny Itera, najęty jako pachołek.

W głowie mi szumiało od sławnych imion i wielkich czynów, które dawno odeszły w przeszłość i o których prawie już nikt nie pamiętał, prócz dziwaków w rodzaju Czarno Tak Skoro.

Natomiast żywa została pamięć o moim przodku Damirze. Jeśli będziemy mieć dzieci z Alaną (w tym momencie westchnąłem mimowolnie), przekażę im ową pamięć.

Wrzuciłem bez żalu starą książkę do zamszowego futerału.

Skoro jest tak niezbędna Czanotaksowi, niech ją bierze. Dla mnie jest do niczego.

Alana pojawiła się na śniadaniu smutna i bledziutka. Starając się zatuszować wczorajszą niezręczność, rozpocząłem długą rozmowę o nadchodzącej zimie i tradycyjnym polowaniu i kuligu. Zimowe zabawy jej nie rozweseliły. Postanowiła dąsać się do upadłego.

W tym momencie, nie tyle z głupoty, ile z rozpaczy, wymamrotałem, zwracając się w stronę wąskiego, pokrytego szronem okna:

– Pamiętasz pierścionek, dzięki któremu odegrałem karetę? Złoty pierścionek? Odnoszę wrażenie, że… jakby rdzewiał. To przecież niebywałe. Dziwne, prawda?

Nie miałem zamiaru wypełniać polecenia Czarno Tak Skoro, a jednak…

Nigdy w życiu nie wykonywałem cudzych rozkazów. Nie wiem, co mnie podkusiło. Najwidoczniej dało o sobie znać rozdrażnienie i chęć starcia z twarzy Alany pogardliwego grymasu. Nie przebierałem w środkach.

Alana milczała. Poczułem się jak błazen. Dziwne sprawy magów i dziwne żarciki. Ostatecznie będę miał pełne prawo zameldować Czanotaksowi, że jego głupie zadanie zostało wykonane.

Marszcząc brwi i starając się powstrzymać uśmiech, odwróciłem się do małżonki.

Twarz Alany była biała jak chusta.

Śmiech zamarł mi na wargach, gdy zobaczyłem jej strach.

– Co ci jest, Alano?

Przełknęła ślinę, przy czym szyja drgnęła konwulsyjnie. Zdawało się, że zaraz zemdleje. Podbiegłem i chwyciłem ją wpół.

– Co się stało, do licha?!

– Rdzewieje – powtórzyła takim szeptem, że poczułem ciarki na plecach.

Przeklęty Czanotaks. Przeklęty Czarno Tak Skoro. Co takiego powiedziałem?!

– On znowu przyszedł – powiedziała Alana, zaciskając dłoń na moim ramieniu. – Znowu… A Luar… tam…

Znowu ten Luar. Wciąż stawał na przeszkodzie nocy poślubnej. W końcu znienawidzę sam dźwięk jego imienia.

– Alano, żartowałem. Nie można zażartować?

Tak na mnie spojrzała, że gdyby mogła zabić wzrokiem, zostałaby już ze mnie mokra plama na ścianie.

Potem odepchnęła moje dłonie i pobiegła do swego pokoju, nie wiadomo dlaczego kuśtykając.

Zazgrzytałem zębami. Przebrałem się jak na paradę, przypasałem

szpadę, wziąłem księgę w zamszowym futerale i udałem się do tego łotra, Czanotaksa z nadzieją, że krótka historia tej niemiłej znajomości właśnie dobiega końca.

Czwarty raz wstępowałem w progi domu czarnoksiężnika i spodziewałem się, że ostatni. Mag przyjął mnie uprzejmie. W zwierciadlanej komnacie specjalnie na tę okazję objawił się wygodny fotel, a niewygodny zydel, na którym zwykle mag sadzał gości, poszedł tym razem w kąt.

Swoją drogą, owa drobna uprzejmość wcale mnie nie zmiękczyła.

– Więc tak – rzekłem oficjalnie – panie Czanotaksie Oro, wypełniłem pańskie warunki. Przywiozłem interesującą pana rzecz i mam prawo oczekiwać teraz wypełnienia obietnicy. Natychmiast. Jeśli dobrze pamiętam, wystarczyło panu dziesięć godzin na Kliwiego Młynarczyka?

Pokryte szronem lustra odbijały mdło zimowe słońce. Salon tonął w chłodnym, matowym świetle. W miejscu, gdzie oddech Kliwiego rozpuścił lód, pozostało niezamarznięte. Dziwna plama, przypominająca pokracznego grzybka.

– Ten złodziejaszek marnie skończy – burknął w zadumie mag.

Wyjąłem księgę w futerale i położyłem na dłoni, jakbym chciał ją zważyć. Ciężar był odpowiedni, dziekan Łujan ciężko pisał.

Jakiś czas spoglądaliśmy sobie w oczy. Potem Czanotaks odszedł od okna – cały czas stał tam przygarbiony, jakby nie miał sił trzymać się prosto – przeszedł do mnie przez całą długość pokoju. Wyciągnął rękę, by odebrać dzieło Łujana. Położyłem sobie księgę na kolanach.

– Panie Czanotaksie, kiedy zacznie mnie pan uwalniać od zaklęcia?

– Właściwie – wymamrotał tamten, obserwując, jak gładzę nerwowo zamsz futerału – mogłaby zostać u pana. Wiem już wszystko, czego się chciałem dowiedzieć.

– Dobrze – odparłem spokojnie. – Niech ta księga, będąca posagiem mojej żony, ozdobi mą bibliotekę. W każdym razie wypełniłem swoje zobowiązanie. Chciałbym, żeby pan jak najszybciej wypełnił swoje.

Czanotaks westchnął. Cofnął się, przystanął obok zamarzniętego lustra i ostrożnie drapnął szron koniuszkiem długiego paznokcia.

– A czemu się tak spieszysz, Retano? Masz przecież jeszcze pół roku przed sobą?

Wstałem.

Prawdę mówiąc, oczekiwałem czegoś w tym rodzaju. Czarno Tak Skoro lubił upajać się swoją wszechmocą. Był urodzonym szantażystą.

Przez krótką chwilę walczyłem z pragnieniem dobycia szpady.

Ten gest byłby zbyteczny. Nie po to obnaża się ostrze, by kogoś straszyć. Na razie nie miałem zamiaru zaszlachtować Czanotaksa.

Opanowując się, położyłem dłoń na rękojeści.

– Panie Czanotaksie, nie mam zamiaru tracić czasu na próżne gadanie. Proszę sobie darować te kiepskie żarty i wypełnić zobowiązanie. Tu i teraz.

Rękojeść broni robiła się coraz cieplejsza pod moim dotykiem.

Czarno Tak Skoro powiódł palcem po lodowej powierzchni. Chrząknął niemal karcąco.

– Retano… Wciąż widzisz we mnie jakiegoś oszusta i wydrwigrosza. Przecież powiedziałem, że to zrobię! Zdejmę z ciebie zaklęcie, możesz już teraz zapomnieć o wyroku Sędziego…

– Więc zrób to teraz! Po co to niepotrzebne strzępienie języka?!

– Och, jaki jesteś nieuprzejmy, Retano – zaburczał niechętnie Czanotaks.

Przeszedł całą komnatę do okna, odkrył okrągły otwór strzelniczy w oszronionej szybie i spojrzał w dal. Wytężał wzrok, jakby nad jasnym, śnieżnym widnokręgiem przepływały właśnie wspomnienia jego pierwszej miłości.

– Przystąp do wypełnienia obietnicy – zażądałem zwięźle.

Czarno Tak Skoro westchnął. Przesunął dłonią po łysej czaszce. Dziwne, że całkiem goła, nie pokryła się dotąd szronem.

– Widzisz, Retano… problem polega na tym, że nadal będę potrzebował twojej pomocy. Pamiętasz, jak się umawialiśmy: „usługa za usługę". Proszę, pocierp jeszcze trochę i pomóż mi. To dla ciebie nic trudnego, ja zaś będę ci wdzięczny do grobowej deski.

Mówił to odwrócony, takim tonem, jakby rozmawiał o pogodzie.

Prawie czułem świerzbienie klingi mej szpady.

– To jak? – spytałem strasznym głosem. – Uważa pan, że warunki umowy nie zostały spełnione?!

– Nie do końca.

Czarno w końcu oderwał się od otworu obserwacyjnego i odwrócił ku mnie. Z jego czarnych oczu trudno było wyczytać, kpi sobie ze mnie, czy prosi o wybaczenie.

Moja szpada wyskoczyła bezszelestnie z pochwy. Jeden ruch sprawił, że sztych oparł się o grdykę czarownika.

Nikt jeszcze na świecie nie wyzwolił we mnie takiej nienawiści.

– Bydlak! Kłamca! Spełnisz obietnicę albo…

Po klindze rodowego oręża popłynęła gruba, mętna łza, jak wosk spływający ze świecy. Z otwartą gębą obserwowałem, jak topi się mój oręż. Niby wosk. Stal się rozpływa, klinga się kurczy, a mętne krople kapią na podłogę… Kap, kap…

W istocie wszystko stało się w okamgnieniu. Moja szpada spłynęła na podłogę, a krople ułożyły się w rysunek jakby kwiatu w rodzaju chryzantemy. Wpatrywałem się weń baranim wzrokiem, ściskając w garści dziwnie lekką gardę.

– Retano – rzekł ponuro Czanotaks – dlaczego jesteś taki porywczy, przecież rozmawiam z tobą, jak z przyjacielem…

Cisnąłem weń rękojeścią. Chybiłem z odległości trzech kroków. Żałośnie zadzwoniwszy o ścianę, ułamek rodowej szpady przetoczył się z kąta w kąt.

– To wszystko, czy jeszcze coś, Retano? Tak być nie może.

Mogę bez problemu walczyć sam jeden z dwudziestką wrogów, lecz przyczajona, wyzywająco spokojna bestia z wąskimi, czarnymi oczami doprowadziła mnie niemal do szaleństwa.

Moja wściekłość była niczym ognista przepaść, rozwierająca się pod nogami, jeszcze chwila i rzuciłbym się na niego z rykiem urażonej godności, rozpaczliwie i bezpowrotnie. Zapewne zamieniłbym się po chwili w miotające się bezsilnie zwierzę. Chciałem udusić czarodzieja albo rzucać w niego meblami, może skopać nogami. Zapewne rozbawiłbym go. A jeszcze pewniej, nie mogąc znieść hańby, powiesiłbym się na najbliższym drzewie.

Cudem się opanowałem.

Panując nad sobą opadłem na fotel, odprowadzany uważnym spojrzeniem ciemnych, nieco szalonych oczu. Siadłem, zarzucając nogę na podłokietnik, choć mięśnie miałem jak odrętwiałe.

– Miej cierpliwość, Retano. Zrobię wszystko, co obiecałem, lecz trochę później. Im chętniej mi pomożesz, tym szybciej nastąpi wyzwolenie. Rozumiesz?

– Szantażysto – wycedziłem przez zęby. – Ty…

Z natury nie bałem się żadnych magów. Oprócz tego, który całkiem niedawno zadziwił mnie swymi możliwościami. Teraz pomyślałem, że może w ogóle nie należało przestępować jego przeklętych progów. Myśl była upokarzająca, więc przegnałem ją ze swego umysłu. Uśmiechnąłem z przymusem.

– Możesz dźwigać góry? Może byś zarabiał jako jarmarczny kuglarz?

Czarno nie obraził się. Wymamrotał smutno:

– Góry przenosić… A coś ty myślał, Retano? Kiedy miotałeś się, szukając, wielu znalazłeś chętnych do zmiany twego Wyroku? Ustawili się do ciebie w kolejce?

Odwróciłem wzrok.

Miał rację. Żaden z tych łotrów nie zgodził się. Nawet tak porządny czarodziej, jak ten strzec z bagien.

Przypomniałem sobie, jak Kliwi Młynarczyk radośnie ściągał cudze sakiewki. Mieliśmy różne Wyroki, ale Sędzia był jeden!

– To znaczy, że jesteś wyjątkowy – wycedziłem, patrząc w bok. – Mag z Magów Czanotaks… Niemal nowe wcielenie Wielkiego Maga Damira? Tak?

– Co za różnica, czyje wcielenie – odparł tamten lekko

roztargniony, wzdychając.

Nie wiedzieć czemu, poczułem się nieswojo.

Krótki zimowy dzień zbliżał się do końca. Białe, matowe światło czerwieniało powoli. Jutro może być porywisty wiatr.

Nagle opadł mnie ze wszystkich stron mróz, jakiego do tej pory nie czułem. Wciskał się pod ubranie i do butów. Miałem ochotę objąć się ramionami, lecz powstrzymałem się. Byłby to gest ujawniający słabość.

– Powiedziałeś Alanie, że złoto rdzewieje?

Uniosłem głowę. Jakiś czas mierzyliśmy się wzrokiem z czarodziejem, potem znów odwróciłem oczy.

– Pies cię trącał. Dosyć tej farsy. Nie będę ci służył. Żałuję tylko, że wciągnąłem w to niewinną dziewczynę. No cóż, zostanie młodą wdówką i wyjdzie znowu za kogoś. Żegnaj, Czanotaksie Oro. Życzę szczęścia.

I wyszedłem, czując dziwną lekkość w sercu.

Dotarłem do zamku o zmroku. Iter czekał na mnie w progu. Gdy zobaczyłem jego wyciągniętą fizjonomię, zaraz zrozumiałem, że nie dadzą mi spokojnie umrzeć.

– Pani Alana… po tym, jak pan wyszedł poszła na spacer do zagajnika… Słońce świeciło… Czemu nie spacerować? Minęły dwie godziny… Posłałem chłopaka. Mówił, że ślady wiodą przez zagajnik na główną drogę i tam nikną wśród innych. Posyłałem już do wsi. Nie ma, jakby się pod ziemię zapadła…

Alana.

Spadło na mnie straszne zmęczenie, wbijało w ziemię tak, że moje ślady na śniegu wydawały się głębsze. Powłócząc nogami, wróciłem do stajni, ciężko wskoczyłem w siodło i pocwałowałem do wioski.

Ile tam karczem? Dwie? A w sąsiedniej wsi? Jakieś nieznane mi spelunki?

Uraziłem ją dwa razy pod rząd, plamiąc pamięć o jej wspaniałym bracie. Nie zdziwiłbym się, gdybym znalazł swoją piętnastoletnią żonkę w najbliższej tawernie pijaną jak szewc. Będę ją wiązać, myślałem, ostro poganiając konia. Nie ucieknie ode mnie. Będę trzymał ją na łańcuchu. Dowie się, co to znaczy igrać z honorem Rekotarsa.

Nie da się ukryć hańby. To nie duże miasto. Jest tylko jeden dziedzic na włościach i pijaną dziedziczkę z pewnością wszyscy już zobaczyli…

Koń jęczał boleśnie, źle przeze mnie traktowany. Okrutnik w siodle…

Nie znalazłem Alany w żadnej z gospód. Co więcej, nikt jej nie widział. Wszyscy patrzyli na mnie z jednakowym zdziwieniem. Miejscowi włościanie raczej nie byli powiernikami sekretów…

W sąsiedniej wsi także nie widziano Alany. Jakby wyszedłszy z zamku zamachała rękami i wzniosła się na skrzydłach do nieba.

Zasnąłem dopiero nad ranem. Całą noc wydawało mi się, że słyszę stukanie do drzwi. Gdyby tak pułkownik Soll przyjechał odwiedzić córkę… Ja zaś musiałbym wyjść mu na spotkanie.

W końcu były to tylko majaki. Wiatr stukał do okien. Uspokajałem się i pytałem siebie: a może Alany wcale nie było? Może załamany Wyrokiem Sędziego piłem pół roku z rozpaczy w rodzinnym gnieździe, mając przy tym alkoholowe omamy?

Rankiem zdrzemnąłem się. Wystarczyło, że zamknąłem powieki, gdy ujrzałem oczami duszy ciemny kanał, garbaty mostek. Widok jakby znajomy.

Na moście stał wysoki i szczupły starzec. Nigdy go wcześniej nie widziałem i wolałbym nigdy nie spotkać, gdyż jego spojrzenie było ostre jak chirurgiczny lancet. Aż się chciało od razu obudzić.

– Ona jest u niego – rzekł stary zmęczonym głosem, ciskając kamyk w nieruchomą, czarną toń.

Na wodzie rozeszły się kręgi.

Chciałem wziąć ze sobą starostę i paru wieśniaków, lecz nikt ze mną nie poszedł. Wszyscy okazali się chorzy, słabi, bardzo zajęci. Starosta przysięgał, że nie może iść w tej chwili na wzgórze. Pan Rekotars wybaczy, ale to nie jest sprawa chłopstwa włamywać się do domu maga. Jaśnie pan jest wolny jak ptak, a chłopi muszą żyć na tej ziemi…

Iter nie odważył się odmówić, lecz widząc jego sino-bladą twarz, sam zmieniłem zdanie. Wziąłem krzesiwo i wiązkę pochodni. U stóp wzgórza zapaliłem od razu dwa i wszedłem na górę z ogniem w środku jasnego dnia.

Furtka była, jak zwykle, uchylona.

Drzwi wejściowe otwarły się niemal natychmiast. Czarno czekał w głębi przedpokoju, zakutany po uszy w futrzaną szubę.

– Witam – powiedziałem, wysuwając łuczywa przed siebie. – Przyszedłem cię rozgrzać.

Trudno powiedzieć, czego oczekiwał. Milczał, a odblaski płomieni pląsały na gołym czerepie.

Ruszyłem do przodu, zamierzając wbić mu pochodnię w twarz.

– Ostrożnie – powiedział cicho. – Źle zrozumiałeś. Nie lubię ognia, lecz to nie znaczy, że się go boję. Ty na przykład nie lubisz brudu, ale gdyby ktoś rzucił w ciebie kałem, nie uciekałbyś w przestrachu? Prawda?

Patrząc, jak mrugam powiekami, wyciągnął dłoń i oderwał kawałek płomienia, jakby był to kawałek słomy.

– Przepraszam, że zbiłem cię z tropu.

Parę mgnień płomyk skakał na jego dłoni, jakby chciał uciec.

Potem zacisnął palce i ogienek zgasł, zmięty jak ścierka.

Zgasły też moje obie pochodnie.

Zrobiło się ciemno, a może tylko tak mi się zdawało. Czarno Tak Skoro wisiał przede mną jak wielki, włochaty cień. Tylko na łysej makówce gorzało mdłe światełko.

– Co tak stoisz? Wejdź, skoro przyszedłeś. Właśnie rozmawialiśmy o tobie z Alaną. Wchodzisz?

Nie ruszyłem się z miejsca.

– Jeśli się rozmyśliłeś, wracaj do domu. Alana przyjdzie potem. Nie stój w progu, bo trzeba zamknąć drzwi. Ziąb…

– Alana! – zawołałem ochryple.

Ogromne domostwo milczało.

– Zapamiętam ci to – rzekłem głucho, wiedząc z góry, że to nie czcza pogróżka i kiedyś zemszczę się na panu Oro.

Przede wszystkim za bezsilność odczuwaną w tej chwili.

– Wejdź – powtórzył cierpliwie Czarno Tak Skoro. – Jesteś… wybacz, Retano, jesteś dzielnym człowiekiem, lecz głupim. Dwa tygodnie wiozłeś tę książkę i nawet nie raczyłeś do niej zajrzeć. Ożeniłeś się z panną, nie dowiedziawszy się wszystkiego o jej rodzinie. O bracie…

Znowu ten jej brat!

– Znowu wybacz, Retano. Myślałem, że skojarzysz fakty… Dziadka Alany, jego dzieło, Luara. Myślałem, że mi rzeczywiście pomożesz. Zamiast tego wpadłeś w histerię. Szkoda. Osobiście mogę obejść się na tym etapie bez twojej pomocy. Wybacz.

– Alana!!! – ryknąłem tak, że zabrzęczały szyby.

Cisza.

Potem w głębi wielkiego domu skrzypnęły drzwi. Zbliżały się niepewne kroki. Alana pojawiła się na górnym podeście schodów. Stała, jakby wahając się, czy ma do mnie zejść.

Oblizałem wargi. Drobna, w krótkim futerku, wyglądająca młodziej niż naprawdę. Jej twarzyczka, często pełna złości i dumy, wydała mi się nieznajoma. Smutna buzia skrzywdzonego dziecka.

– Alano, chodźmy do domu – powiedziałem łagodnie.

Jej usta należało posmarować odżywczym kremem, tak były spierzchnięte, że mogły zaraz zacząć krwawić.

– Alano – powtórzyłem drżącym głosem.

Alana wpatrywała się w maga, jakby dopiero teraz go zauważyła.

– On powiedział, że ty… że pan poślubił mnie tylko z powodu księgi i że to on kazał się panu ze mną żenić. Czy to prawda?

Przełknąłem ślinę.

Czarno Tak Skoro stał dwa kroki ode mnie. Kiedy oczy przyzwyczaiły się do półmroku, widziałem dobrze jego twarz. Jego oczy były jak zawsze beznamiętne i nie wyrażały niczego.

– Powiedz jej, Retano – rzekł z westchnieniem Czanotaks. – Odpowiedz żonie. Prawda?

Podniosłem wzrok na Alanę.

Teraz widziałem w niej podobieństwo do ojca. Tak mógł wyglądać trzynastoletni Egert.

– Nie – odparłem, patrząc jej prosto w oczy. – To wstrętne kłamstwo. Ten pan jest magiem, więc uważa, że wszystko mu wolno. Zejdź tutaj, Alano. Pójdziemy do domu.

Czarno Tak Skoro uśmiechnął się.

– Jest pan naprawdę bezczelny, panie Rekotars. Jakże to tak? Kłamać w żywe oczy ukochanej żonie?

– Alano, chodźmy do domu – powtórzyłem spokojnie.

Nie ruszyła się z miejsca.

– On mówi, że jestem związana z Luarem niewidzialną nicią i mogę go do niego zaprowadzić. Chciałabym to zrobić.

Poczułem przerażenie.

Najprościej byłoby uznać Alanę za obłąkaną. Dziedziczny obłęd po matce. Bez trudu mogłem stwierdzić pomieszanie umysłu. Gdyby obok nie stał Czarno Tak Skoro, który rozrywa ogień palcami jak wiązkę słomy. Któremu, jak się okazało, nie tyle była potrzebna księga, lecz…

„Retano, jesteś dzielnym człowiekiem, lecz głupim".

– Naprawdę jestem głupi – szepnąłem.

– Tak, jak mówiłem – przytaknął z ochotą Czarno. – Wybacz, lecz potrzebuję tej panny.

Zdawało mi się, że tonę w tych jego przeprosinach jak w bagnie. Usłyszałem, jak mówię nieswoim, niesamowicie spokojnym głosem:

– Trzeba się było samemu z nią ożenić. Ja także jej potrzebuję, Czanotaksie.

– Nie.

Wargi maga wygięły się w łuk kącikami do dołu.

– Bądź uczciwy chociaż wobec samego siebie…

– Alano, chodź tutaj! – wrzasnąłem.

Nie ruszyła się z miejsca.

Czanotaks odczekał chwilę. Uśmiechnął się jednym kącikiem ust. Bezszelestnie wspiął się po schodach i już z góry kiwnął zapraszająco ręką.

Stałem nieruchomo chyba pięć minut, jakby nogi wrosły w podłogę. Potem zrobiłem krok naprzód…

Niewidoczna zapadnia momentalnie rozwarła się pod moimi stopami, a potem zamknęła, tłumiąc moje nieludzkie wycie.

W dawnych czasach istniał ciekawy sposób wyrabiania wina: beczkę składowano w kamiennej niszy, a wraz z nią zamurowywano żywego więźnia w wieku około dwudziestu, trzydziestu lat, a nawet

do pięćdziesiątki, żeby następcy winiarzy, odnajdując skrytkę, znaleźli drogocenne naczynie w towarzystwie spróchniałego szkieletu.

Powiadają, że kiedyś beczka okazała się pusta, przewiercona kamieniem, a na pożółkłej czaszce zachował się wyraz pełni szczęścia. Być może delikwent zaznał radości nieznanej jego strażnikom…

Myślałem o tym, ocknąwszy się w podziemiach. Przykuty łańcuchami do zimnej, wilgotnej ściany.

„Retano, jesteś dzielnym człowiekiem, lecz głupim".

Ostatnim, co pamiętałem, była pustka rozwierająca się pod stopami. Nie czułem zderzenia z podłożem. Jakbym prosto z sieni domu Czanotaksa trafił w łańcuchy u ściany.

Po chwili oczy przyzwyczaiły się do ciemności. Nastawiałem uszu, próbując wyłowić w zatęchłym powietrzu cokolwiek więcej, niż daleki plusk spadających kropel. Wszystko przychodziło mi z trudem. Nie zdziwiłbym się, gdyby okazało się, że obok mnie znajduje się jakiś poprzednik w resztkach zetlałej odzieży, odsłaniającej szkielet.

– Ależ z ciebie bydlak, Czanotaksie – powiedziałem na głos.

Nie było odpowiedzi. Krótkie łańcuchy nie pozwalały mi opuścić rąk, żelazna obręcz, przyśrubowana do ściany, nie pozwalała wstać. W takiej pozycji można było tylko rwać włosy z głowy i nic więcej.

– Zabiję cię, Czarno!

Moja prawa noga, kopiąc ciemność, uderzyła o coś twardego. Mój cichy okrzyk i głuchy odgłos uderzenia nastąpiły niemal jednocześnie.

Beczka.

Parszywy los! Czemu musiałem wspomnieć recepturę wytwarzania wina, którą, jeśli wierzyć kronikarzom, nigdy nie posługiwali się moi przodkowie?!

Rozejrzałem się rozpaczliwie.

Pod ścianą znajdowała się długa galeria wielkich beczek, całkiem jak w mej zamkowej piwnicy. Skoro nieznajomi winiarze postawili tutaj dwadzieścia beczek, czemu skąpili na więźniach? Czyżby wystarczał jeden?

– Zabiję cię, Czarno! – powtórzyłem szeptem.

Rozmyślać można w każdym położeniu. Prawie w każdym. Po pierwsze pomyślałem o Alanie i owa myśl sprawiła, że zawyłem, szarpiąc się bezsilnie.

„Bądź uczciwy chociaż wobec samego siebie".

– Więc tak – warknąłem wściekle – Alana jest moją żoną. Nawet jeśli przespałem noc poślubną, pijany jak bela… Nawet jeśli ożeniłem się z rozsądku i tak jest moją żoną! Jestem za nią odpowiedzialny. Jeśli zaraz jej nie wypuścisz, źle będzie z tobą!

Wściekłe wrzaski dodały mi odwagi. Krzyczałem, zapluwając się ze złości, a wystraszone echo skakało po sklepieniach jak spłoszony zając.

W końcu się zmęczyłem. Zadyszałem się. Kajdany brzęczały ponuro i jakby w odpowiedzi rozległo się ciche westchnienie z ciemnego kąta.

Ucichłem.

Westchnienie było jakby znajome. Nieraz je słyszałem podczas zimowych wieczorów, gdy wicher wyje smutnie w kominie, a zwłaszcza tego pamiętnego dnia, gdy w zamku zjawili się handlarz nieruchomościami, rzeczoznawca i kupiec.

– Kto tu? – zapytałem ochryple.

Cisza. Trwała co najmniej pół godziny. Poczułem ból we wszystkich kościach. Ręce i nogi zdrętwiały. Cały drżę z zimna i jestem żałosny ze swymi pogróżkami…

Znowu westchnienie.

– Kto tu? – powtórzyłem nieswoim głosem.

Zamiast odpowiadać, wyszedł na otwartą przestrzeń. Z trudem dostrzegłem go w ciemności. Niemłoda, szczupła sylwetka z płonącymi, widmowymi oczami, wydającymi się nieco krótkowzrocznymi.

Przylgnąłem plecami do zimnego muru.

To on? Czy ktoś inny?

– Gdzie jesteśmy? – zapytałem, starając się opanować drżenie głosu. – W zamku?

Kiwnął smętnie głową.

Tym lepiej. Potomek Rekotarsów siedzi przykuty we własnym lochu. Drodzy państwo, nie wchodźcie w układy z magami, bo wyjdą wam bokiem, wiem, co mówię…

– Gdzie jest Iter?!

Duch wzruszył ramionami.

Iter może spokojnie siedzieć na górze, nie mając pojęcia o tym, że jego pan zdycha w podziemiach. Skoro Czarno miał moc uwięzić mnie we własnym lochu, wątpię, by jego plany mógł pokrzyżować stary sługa, nawet wierny.

– Zabiję cię, Czarno! – powtórzyłem trzeci raz.

Duch machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: a co mnie to obchodzi…

Może był na mnie zły. Być może z jego punktu widzenia zostałem odpowiednio ukarany za niegodną próbę sprzedaży rodowej siedziby.

Stał wciąż nieruchomo pośrodku galerii beczek. Najlepiej wiedziałem, że większość z nich jest od dawna pusta. Nasze uprawy winorośli poszły w zapomnienie, tak jak majątek i zdegenerowany ród. Ostatni potomek jest głupcem.

– Co tak się gapisz? – wycedziłem gniewnie, spotkawszy się wzrokiem z gorejącymi źrenicami widma. – Jesteś rad?

– A czym się radować…

Tak podskoczyłem, że kajdany znów zabrzęczały. Czyżbym się przesłyszał? Czyżby ten głos, nikły jak odgłos piasku sypiącego się po kamieniach…

– A czym się radować… Nie mogę pomóc ci w żaden sposób, Retano.

– Nie potrzebuję pomocy – odparłem ochryple.

Duch przymknął zmęczone powieki, gasząc ogień źrenic.

– Potrzebujesz. Nieraz już postąpiłeś przeciw sumieniu. Rozumiem cię. Sam byłem taki.

– Kim jesteś? – burknąłem, odruchowo podwijając nogi pod siebie.

Zamrugał.

Wyglądało to strasznie i śmiesznie zarazem, zważywszy płonący wzrok. Mocniej przylgnąłem do ściany.

– Naprawdę… chcesz… wiedzieć?

Wydało mi się, że słyszę w jego głosie gorzką ironię. Pomyślałem, że przede wszystkim muszę załatwić potrzebę. Ta chwila zbliżała się nieodwołalnie. Po paru dniach, jeśli jeszcze nie umrę, będę wyglądał naprawdę żałośnie. Zwłaszcza, że w żaden sposób nie zdołam ściągnąć gaci.

A zresztą, jeśli nie dadzą mi pić… Problem sam się chyba rozwiąże?

Oblizałem wysuszone wargi.

– Oczywiście, że mnie to interesuje. Jesteś moim przodkiem?

Skinął głową. Gorejące oczy przygasły, jakby zakryte kotarą.

– Jestem twoim pradziadkiem, Retano. Pozostawiłem liczne i dorosłe potomstwo…

– Kim? – dopytywałem się ze zdziwieniem.

– Nazywam się Damir! – odpowiedział z naciskiem, prawie krzycząc, jeśli słowo „krzyk" mogło odnosić się do jego szemrzącego głosu.

Jakiś czas trwała cisza, tylko gdzieś tam kapała woda, odmierzając minuty mego milczenia.

– Marzyłem o tym – rzekłem w końcu. – Tak chciałem…

Czy widma mogą kłamać? Stojący przede mną w otoczeniu pustych beczek wcale nie przypominał żadnego ze swoich trzech portretów.

A jednak nie. Trochę podobny. Jeśli jako malarz chcesz zadowolić klienta, posłuszny pędzel doda kilkanaście centymetrów wzrostu, okrasi twarz, doda dzielności i rozumu w namalowanych oczach…

Każdy z trzech malarzy koloryzował po swojemu, każdy z nich jednak przekazał potomkom mocno upiększoną podobiznę. Mag z Magów, władający potężną mocą, powinien również potężnie wyglądać.

– Pomóż mi, Magu z Magów – poprosiłem szeptem.

Płonące źrenice znowu błysnęły.

– Widzisz, Retano… Kiedy człowiek kłamie, powinien pamiętać, że prędzej, czy później będzie mu to wypomniane. Skłamałem.

Milczałem, nie pojmując.

– Wiele lat temu służyłem czarodziejowi, który zwał się Lart Legiar. Podczas jednej z podróży przebrałem się za swego pana, a on za służącego. Każdy z nas odgrywał rolę. Tak odmienieni przybyliśmy do tego zamku i aby przekonać barona o potędze magii, mój pan zamienił się w smoka, ja zaś go „zwyciężyłem"… w pozorowanej walce. Wieść o tym rozeszła się tak szeroko, że po latach, gdy porzuciłem służbę u Legiara, wróciłem do zamku i baron wydał za mnie swoją… nie córkę, jak sądziłeś, lecz wnuczkę. Nie miałem zamiaru weryfikować starych legend. Uważali mnie za potężnego maga. Nie zamierzałem ich wyprowadzać z błędu. Żyłem szczęśliwie, spłodziłem liczne potomstwo, zapoczątkowałem nowy ród i zmarłem. Nigdy nie byłem magiem, Retano. Tylko sługą wielkiego pana. Wciąż się boję, że Legiar znajdzie mnie w tym pośmiertnym życiu… i ukarze za kłamstwo. Nie zdołam się obronić.

Woda kapała. Cały mój świat skupił się w tym jednym dźwięku, jakby sączącej krwi. Kap, kap.

– Kłamiesz – powiedziałem zdumiewająco spokojnie.

Ciężko pokręcił głową.

– Nie. Mówię prawdę.

– Kłamiesz – powtórzyłem z uporem, pojmując ze strachem, że jeszcze sekunda i uwierzę mu.

– Nie powiedziałbym ci tego, lecz znalazłeś się w tak rozpaczliwym położeniu, że… krótko mówiąc, masz wielką szansę zostać kolejnym duchem naszego zamku. Pomyślałem, że musisz koniecznie dowiedzieć się…

Uwierzyłem.

Coś jakby chłodna, lepka ciecz spłynęła na mnie z góry, zalepiła oczy i uszy, uniemożliwiła oddychanie. Moje ręce i tak zdrętwiałe, obumarły do końca.

Uwierzyłem, jak tu nie wierzyć oczywistej prawdzie. Teraz byłem nie tylko głupcem, ale już kompletnym idiotą.

– Wiesz co – rzekłem łamiącym się głosem – nie będzie ci to na rękę, gdy zostanę duchem numer dwa. Po pierwsze dobiorę się do ciebie. I…

Westchnął ciężko i znowu wzruszył ramionami.

– Nie złość się, Retano. Przede wszystkim najpierw trzeba umrzeć. A w twojej sytuacji będzie to długi i paskudny proces.

Przełknąłem ślinę. Dziwne, że miałem jeszcze co przełykać. Gęsta i gorzka, ale do śmierci było jeszcze daleko…

– Nie możesz wezwać Itera? – spytałem ledwie słyszalnie.

Przeszył mnie karcącym, płonącym wzrokiem.

– Bardzo rzadko opuszczam podziemia. Nie mogę.

Ocknąłem się, czując jak żelazna bransoleta wpija się w nadgarstek.

Przebudzenie było jedną męką. Całe ciało miałem zdrętwiałe, obolałe mięśnie zwiotczały. Jęknąłem, próbując poruszyć sparaliżowanymi nogami.

„Retano…"

Wytrzeszczyłem oczy. Miałem wrażenie, jakbym znowu wsunął dłoń do zamszowego woreczka, tylko że tym razem na mym przegubie zamiast cudzych palców zaciskał się stalowy pierścień.

„Witaj, Retano, jak się masz?"

– Zabiję cię – oznajmiłem, ledwie poruszając spękanymi wargami.

Nie wydałem w rzeczywistości żadnego dźwięku, lecz mój rozmówca usłyszał. Żelazo zacisnęło się tak, że ledwie powstrzymałem krzyk.

„Nie masz powodu mnie zabijać. Mogę cię pocieszyć, że twoja żona naprawdę cię kocha".

– Jeżeli ją tkniesz, ja…

„Nie udało mi się. Miłość do ciebie najwyraźniej wyparła… Jednym słowem, twoja Alana nie jest tak przywiązana do brata, jak tego oczekiwałem. Zasmucające, ale nie beznadziejne. Zostały jeszcze dwie nitki…"

Żelazny chwyt nieco zelżał. Wcześniej czekałem, kiedy trzaśnie kostka.

„Chcesz pić, Retano?"

Milczałem.

„Musisz wytrzymać jeszcze trzy godziny. Ona zbliża się już do zamku".

– Kto?!

„Powiesz, że istnieje możliwość przywrócenia do naszego świata jej drogiego Luara. Powiedz, że to prawda. Potem obserwuj reakcję".

Obręcz wróciła do poprzednich rozmiarów. Moja dłoń nieomal z niej wyskoczyła.

– Bydlak – wyszeptałem ledwie słyszalnie.

W oddalonej części lochu przesunął się cień Maga z Magów Damira. Jaki tam znowu mag… Awanturnik. Próżniak.

Rozdział dziewiąty

Trudno orzec, ile minęło czasu. Najpierw liczyłem dźwięczne odgłosy spadających kropel, potem dałem spokój. Później zdawało mi się, że umieram dziesiątki razy, dopóki w oddali nie zabrzmiały kroki, głosy, a na startych kamieniach posadzki pojawił się odblask pochodni.

Najwyższy czas było krzyknąć, lecz z wyschniętego gardła nie mogłem wydobyć żadnego dźwięku, czego się zresztą spodziewałem. Umarłem po raz jedenasty ze strachu, że mnie nie znajdą.

Świat stał się jaśniejszy. Zamrugałem powiekami, próbując zakryć oczy ramieniem. W piwnicy było sporo mężczyzn. Słyszałem brzęk ostróg, jednolity gwar i wybijający się z niego głosik Itera, ostry jak potłuczone szkło.

– Wielkie nieba! O!… A!…

Mocniej przymknąłem powieki, ponieważ płonące łuczywo podsunięto mi pod sam nos.

– Jaśnie pan – szlochał Iter. – Jakże to…

– Zaraz się od ciebie dowiemy, jak! – warknął młody, rozkazujący głos. – Stary chytrusie, chcesz nam wmówić, że twój pan spadł tutaj z nieba?

Zazgrzytało żelazo. Iter westchnął.

– Spokojnie!

Drgnąłem. Dopiero teraz zorientowałem się, że wśród przeszukujących piwnice jest też kobieta. Jej głos był mi znany.

– Spokojnie – powtórzyła, uciszając pozostałych. – I tak dowiemy się całej prawdy. Rozkujcie żelazo!

Zerknąłem przez szpary sklejonych powiek. Piwnica była pełna ludzi. Ktoś tam eksperymentalnie obstukiwał boki beczek. Itera trzymano za ramiona, kobiety nie było widać. Moje spojrzenie zmąciło się. W tym momencie ktoś musnął mokrą szmatką moich spękanych warg. Zapadłem w błogosławioną niepamięć.

– Marnie pan wygląda, panie Rekotars.

Gdybym miał więcej sił, zachichotałbym na całego. Musiałem się jednak zadowolić krzywym uśmieszkiem.

– Gdzie jest Alana?

Podniosłem się z poduszek. Tantala stała obok, a za jej plecami czekał w milczeniu tuzin krzepkich, uzbrojonych, nastawionych bojowo chłopaków.

Przymknąłem powieki.

– Niech pani eskorta zostawi nas na chwilę. Obiecuję nie sprawiać kłopotów.

Tantala uśmiechnęła się w odpowiedzi, tak samo krzywo.

Odwróciła się ku młodzieńcom. Podporządkowali się niewypowiedzianemu poleceniu, chociaż wcale nie chcieli wychodzić.

– Gdzie jest Alana? – powtórzyła spokojnie, gdy zamknęły się drzwi za ostatnim strażnikiem.

Wyszczerzyłem zęby.

– Z Alaną wszystko w porządku. Jest w rękach maga, chociaż nie wiem, do czego jest mu potrzebna i co z nią wyczynia…

Zbladła. Bezkrwiste policzki przybrały sinawy odcień. Obawiałem się, że zemdleje.

– Zdawało mi się – odpowiedziała, ledwie otwierając usta – że powierzyliśmy Alanę panu. Żeby pan za nią odpowiadał… jaśnie wielmożny Rekotarsie!

Moje rodowe nazwisko zabrzmiało jak obelga. Nie wytrzymałem i jednak zachichotałem. Opadając na poduszki, starałem się opanować zawrót głowy. Z trudem dobierałem słowa.

– Następca Maga z Magów zawiódł zaufanie. O czym pani myślała, Tantalo, kiedy Soll wydawał za mnie córkę…

Patrzyła z natężeniem.

– Mam do pani wielką prośbę – rzekłem zmęczonym głosem. – Zorganizujmy teatrzyk objazdowy. Ma pani w tym doświadczenie, ja zaś powołanie. Całkiem nieźle śpiewam. Potrafię tak dobrze grać komedię, że nawet znający życie pułkownicy…

Zamilkłem, gdyż do mego gardła przystawiono ostrze nożyka, takiego, jaki wygodnie ukryć w rękawie.

– Jeśli Alanie spadnie chociaż włos z głowy – zaszemrała Tantala, pochylając nade mną zagniewane oblicze z szeroko otwartymi oczami.

Miałem kłopoty z mówieniem. W końcu ucho słuchaczki zbliżyło się do mych warg. Gardło ledwie wyduszało dźwięki, mózg z trudem znajdował słowa.

Nie powiedziałem niczego o mojej umowie z Czarno Tak Skoro. Z mojej relacji wynikało, że mag ni z tego, ni z owego zainteresował się księgą, a potem Alaną i jej bratem Luarem. Nie wspomniałem o widmie ani jego zwierzeniach, kiedy jednak wymieniałem imię Maga z Magów Damira, mój głos zabarwiał się sarkazmem.

Biorąc pod uwagę wszystko, o czym wiedziałem, powinienem był teraz upić się w trupa, marząc o czarce z trucizną. Zamiast tego wciąż czyniłem wysiłek, szczerząc zęby w uśmiechu i obserwując, jak zmienia się twarz Tantali.

Na początku słuchała nieufnie, jawnie nie dowierzając zeznaniom. Jej wargi zacisnęły się, gdy wspomniałem o Luarze, a jeszcze mocniej zwarły, gdy była mowa o księdze. Jej oczy pozostały chłodne, lecz zrozumiałem, że zaczyna mi wierzyć. Najwyraźniej Czarno Tak Skoro wiedział o poświęceniu Luara i nie należało mu wierzyć…

– Skąd wam przyszło do głowy zejść do lochów? – zapytałem

sennie.

Wzruszyła ramionami.

– Kiedy przybyliśmy, zamek był pusty, a służba w panice. Nie pamiętam, kto pierwszy zaproponował przeszukać podziemia. Jeden z chłopaków…

Uśmiechnąłem się kwaśno.

– Podsunął wam tę myśl Czanotaks Oro. „Musisz wytrzymać jeszcze trzy godziny. Ona zbliża się już do zamku".

– Jest pan pewien, że Alana wciąż żyje? – przerwała oschle.

Przed oczami duszy mignęła przelotna wizja: dziewczyna w krótkim futerku, z drobnymi, chłodnymi dłońmi, leżąca na podłodze przed trzema lustrami, martwo wpatrzona w sufit…

– Jestem pewien – skłamałem zwyczajowo.

Tantala wiedziała, że kłamię. Jej usta skrzywiły się pogardliwie.

– Potomek Rekotarsów…

– Jest, jaki jest – odparłem tym samym tonem.

Odwróciłem się do ściany.

– Teraz proszę mnie zostawić w spokoju. Proszę zawołać Itera.

Tantala naradzała się ze swymi młodzikami. Z urywków rozmowy zrozumiałem, że pochodzili z „korpusu" Egerta Solla i składali się z samych zabijaków ze szpadami u boku. Cała kompania zamknęła się w pokoju dla służby, bezwzględnie przeganiając Itera, który chciał podsłuchiwać.

Z trudem wstałem z łóżka i trzymając się ścian, zszedłem do piwnic.

Wilgoć i pleśń sprawiły, że trzęsły mną dreszcze. Białe odciski na przegubach świeciły w półmroku. Zostawiłem łuczywo w żelaznym pierścieniu i mając wolne dłonie, przeszedłem galerią w miejsce swego niedawnego uwięzienia.

Dobrze wszystko widziałem i czułem, gdy znaleźli mnie w łańcuchach. Nie ma się czego wstydzić potomek sprytnego sługi. Choćby ustroił się w najpiękniejszą togę.

– Gdzie jesteś? – krzyknąłem ochryple.

Raczej zdawało mi się, że krzyknąłem, bo wystarczyło mi sił tylko na słaby pisk.

Pochodnia migotała z tyłu. Odnalazłem napełnioną do połowy beczkę, siadłem przy niej, odkręciłem kranik i odchyliłem głowę.

W ciągu pól godziny poczułem się lepiej. Nie mogłem się podnieść, lecz w duszy miałem jasność. W końcu wiedziałem, czego chcę.

– Ej, ty! – krzyknąłem wystarczająco głośno. – Wyłaź, wielki magu… Popatrzę ci prosto w gały, obiję widmową mordę i wyjaśnię ci ostatecznie, kim jesteś, pradziadku!

Wino przestało ciec. Rzeczywiście sam wszystko wypiłem?! A

może któryś z dzielnych młodzieńców, w trakcie poszukiwań nie wytrzymał i poczęstował się.

– Umowy – rzekłem ze smutkiem. – Wszyscy magowie świata są przeciwko mnie. Nawet Mag z Magów… Za chwilę Tantala zakończy naradę i ruszy ze swą kompanią w gości do Czanotaksa. A on tych chłopaczków zamarynuje w słojach. A Tantala…" jeszcze dwie nitki"… Najpierw Alana, teraz ta…

Czknąłem.

– Ciekawie byłoby zobaczyć tego całego Luara. Gdzie jest i co robi…

– Lepiej go nie wspominaj – wionął nad mym uchem widmowy głos.

– A! – ucieszyłem się gorzko. – Zjawił się… pradziadek.

Widmo cofnęło się. Kuląc przesunął się na drugi koniec piwnicy i zastygł tam, spoglądając karcąco płonącymi ślepiami.

– Dogonię cię – oświadczyłem beznamiętnie.

Duch zafalował, niczym wodne odbicie.

– Retano… nigdy nie układaj się z magami.

Kąciki moich ust same z siebie uniosły się do góry. Musiałem okropnie wyglądać.

– Retano – podjął duch – miałem piętnaście lat, gdy… Byłem głupi. Przyszedłem nająć się na służbę u Larta. Zdawało mi się, że znalazłem Niebo, prawdę i wiarę. Tyle lat…

Gorejące źrenice zamigotały.

– Nie chciałem ci o tym mówić. Dał mi taką radę na dalszą drogę: „Nie związuj się więcej, Damirze, z żadnymi magami. Nie zbliżaj się do dobrych ani do złych". I zostawił mnie, ale pozostawił mi też majątek. Przyjechałem do barona Jimeneza jako bogaty człowiek. Zostawił też pewną… rzecz. Mnie się nie przydała. Ukryłem ją, Retano. Jestem ci coś winien, więc przyjmij ten dar od pradziadka.

Resztka wina ściekała mi po brodzie na szyję i pierś.

Drużyna chłopaków, szukając na zmianę, znalazła skrytkę w ciągu pół godziny. Pradziadek Damir był słownym duchem.

W niewielkiej niszy odnalazł się gliniany garnek, pełen zastygłej smoły. Gdy rozbiłem go o podłogę, ze środka wypadła sporej wielkości srebrna brosza w kształcie topora.

– I co? – zapytała Tantala, kiedy zostaliśmy sami.

– Ta rzecz powinna chronić przed czarami – odparłem głucho. – Przed każdą mocą. Na przykład, jeśli przypnie ją sługa, jego pan nie będzie mógł go bić. A w naszym przypadku… Czanotaks włada mocą, wobec której pani żołnierzyki znaczą tyle, co gromada myszy wobec kota.

Tantala obracała broszkę w palcach. Zerknęła na mnie zmrużonymi oczyma.

– Wcześniej pan o tym nie wiedział? Jeśli pański znajomy, Czanotaks jest rzeczywiście taki potężny, to kto może mu się przeciwstawić? Kto jest właścicielem tego przedmiotu? Mag z Magów Damir?

Jawnie się śmiała. Wzruszyłem ramionami.

– To pamiątka po Larcie Legiarze, jeśli to imię coś pani mówi.

Mówiło jej chyba więcej niż mnie. Jej oczy zaokrągliły się. Wykorzystując jej zmieszanie, odebrałem broszkę.

– Pójdę do mego, jak pani powiedziała, znajomego – powiedziałem, chowając artefakt pod mankietem – i przyprowadzę swoją żonę. Potem może pani rozkazać młodym ludziom, by zrobili ją wdową, nie sprzeciwiam się. Najpierw jednak…

– Ja pójdę – rzuciła Tantala, zwężając oczy w wąskie szparki. – Pójdziemy razem…

Spojrzałem na nią przenikliwie. Westchnąłem i uśmiechnąłem się mądrze oraz łaskawie.

– Nie zapraszałem pani.

…Chłopcy walczyli dobrze. Egert Soll był doskonałym nauczycielem. Widać było tę samą szkołę szermierki.

Zapędzony w kąt, zawołałem do rozwścieczonej Tantali:

– On tylko na to czeka! Czeka na panią, bo potrzebna mu druga nić! Jestem jej mężem, nikt tego nie cofnie!

Nie miałem już sił. Dopóki młodzicy wchodzili sobie w drogę, jakoś się jeszcze trzymałem, kiedy jednak wpadli na to, by atakować we trzech, całkiem się poddałem. Rozbroili mnie. Ich ostrza napierały na mnie ze wszystkich stron. Tantala podeszła, blada ze złości.

– Broszkę!

– To szpila – poprawiłem ją machinalnie.

– Agen, zabierz mu broszkę! Na prawej ręce pod mankietem!

Barczysty Agen był niższy ode mnie o pół głowy. Nie miał nade mną władzy, za to prymitywną siłę.

– Nie macie racji – szepnąłem do niego. – Ja go znam, wiem jak z nim rozmawiać…

Agen wykręcił mi rękę. Zacisnąwszy zęby, czekałem, aż zerwie amulet, lecz on szarpał się i sapał, wyłamując mi ramię coraz boleśniej. W końcu powiedział do Tantali:

– Nie da się zdjąć, proszę pani.

– Jak to?

Tantala podeszła i odsunęła Agena. Moja ręka znów była swobodna. Pocierając łokieć, obserwowałem, jak próbuje odczepić broszkę.

Całkiem bezskutecznie.

– Czy ten przedmiot naprawdę należał do Legiara? – zapytała przez zęby.

– W tej kombinacji jest pewien sens – zauważyłem mądrze. – Skoro ta rzecz reaguje na cudzą przemoc… broni się przed każdym jej użyciem. Tak więc zdejmować ją i oddać może tylko ten, kto ją wziął.

– Zdejmij i oddaj – powiedziała, jak poprzednio prawie nie otwierając ust.

Powiodłem wzrokiem po twarzach jej dwunastu ochroniarzy. Całkiem sympatyczni chłopcy, nie posępni, raczej skoncentrowani. Nie spodziewali się takiego obrotu sprawy. Oczekiwali, że pani Tantala będzie gościć w zamku, a zięć Solla będzie ją hołubił, nie będzie więc potrzeby dźgać pod żebra małżonka Alany.

– Nie wstyd wam, chłopcy? W dwunastu na jednego. Nie za mało was?

Ich twarze spochmurniały. Ten o imieniu Agen zaczerwienił się i odwrócił do Tantali.

– Proszę wziąć broń – wycedziła, patrząc mi prosto w oczy – i być gotowym… O świcie wybierzemy się z wizytą do maga.

Odwróciła się na pięcie i całą swą postawą demonstrując pogardę dla mnie, wyszła przez żywy szpaler rozstępujących się junaków.

Tak się złożyło, że na wzgórze do Czanotaksa wspięliśmy się mocną grupą. Jak to mówią: „wszystkiego dwudziestu pięciu”.

Mróz trzymał rześki, skrzypiący. Słońce, ledwie uniosło się nad horyzontem, zatrzymało się jakby z namysłem: a może wrócić z powrotem? Nad wioską unosiły się wąskie smużki dymu i tylko nad dachem domu czarodzieja jak zawsze nie było nawet chmurki.

– Niedługo wiosna – wymamrotał Agen, w zasadzie do nikogo.

Pomyślałem o drewnianym kalendarzu i omal nie postradałem całej swojej determinacji. Poczciwy chłopak wspomniał o wiośnie całkiem nie w porę. Wyzwolimy teraz Alanę z pomocą Niebios, lecz Wyrok Sędziego pozostanie w mocy i Rekotars nie doczeka lata…

Z trudem odciąłem się od tych przytłaczających myśli. Okazało się, że wszyscy patrzą na mnie: ustawieni w podkowę młodzieńcy i Tantala, tak zaciskająca dłonie w środku puszystej mufki, że z boku zdawała się żywym zwierzątkiem.

Decyzja była nagła i nieodwracalna. Być może sprawiła to myśl o śmierci, że odwinąłem mankiet, odpiąłem srebrną szpilę i wręczyłem Tantali.

Junacy spojrzeli po sobie.

Tantala zawahała się, lecz w końcu wzięła ode mnie wątpliwą ozdobę, odchyliła kołnierz zimowego palta i przypięła do niego talizman.

Poczułem się, jakbym został nagi na wietrze. Pragnąc pozbyć się niemiłego uczucia, zakołatałem w niezamkniętą bramę.

Nie wiadomo skąd zjawiła się czarna wrona, zatoczyła krąg nad dachem i zniknęła. Za moimi plecami ktoś nerwowo wyciągnął do

połowy szpadę z pochwy.

Furtka uchyliła się, otwarła jakby sama z siebie, zapraszając nas do wejścia na zasypane śniegiem puste podwórze, bez jakichkolwiek oznak życia.

Czarno Tak Skoro stał w progu, zakutany w szubę, a na gołym czerepie pobłyskiwały słoneczne promyki. Idąca obok mnie Tantala potknęła się lekko.

Czarodziej uśmiechał się od ucha do ucha. Szalone oczy błyszczały zadowoleniem.

– No, nareszcie. Cieszę się, że widzę was w dobrym zdrowiu, zwłaszcza ciebie, Retano. Proszę wejść do środka, pani Soll. A młodzi panowie, jak chcecie, możecie wejść albo zaczekać na zewnątrz. W środku jest jeszcze chłodniej.

Wychowankowie Egerta Solla nadęli się jak jeden mąż i gęstym kręgiem otoczyli Tantalę, tupiąc podkutymi butami na ganku.

– Nie powinno się nazywać mnie panią Soll.

Siedzieliśmy w pokoju lustrzanym. Czarno Tak Skoro rozsiadł się niedbale w fotelu. Przyjrzawszy się bliżej, zauważyłem ze zdziwieniem, że owa niedbałość jest pozorna, podobnie jak wesołość zdaje się wymuszona.

Źle wyglądał. Jakby postarzał o kilka lat. Oczy miał zapadnięte, a skóra twarzy nabrała niezdrowego, żółtawego odcienia. Czuł się wyraźnie niedobrze, choć starał się tego nie okazywać.

Uzbrojeni młodzieńcy czekali za drzwiami, gotowi na wezwanie Tantali przyjść z pomocą.

– Nie powinno się nazywać mnie panią Soll – powtórzyła oschle Tantala. – Mam na imię Tantala.

– Jak pani sobie życzy – odparł Czarno z uśmieszkiem.

– Jestem przyzwyczajony zwracać uwagę na wewnętrzną treść, nie zewnętrzną formę. Jak więc mam nazwać kobietę człowieka, który…

– Nie wolno – ucięła.

Zerknąłem na nią zdumiony. Miała naprawdę żelazny charakter.

– Nie chodzi o mnie – podjęła prawie nie otwierając ust.

– Może mi pan wierzyć, że widziałam już niejednego maga… Pan Rekotars…

Drgnąłem, słysząc znowu pogardę w jej głosie.

– Pan Rekotars oświadczył, że jego żona, Alana znajduje się u pana. Czy to prawda?

– Prawda – odparł szybko Czarno i zapytał z ciekawością: – Jakich magów już pani spotkała?

– Gdzie jest Alana? – zapytała głosem jak stal.

Czanotaks wstał. Zdumiewające jak stworzenie w tak ciężkiej szubie umiało poruszać się z taką lekkością. Zawisnął nad kobietą jak

góra porosła lasem.

– Alana jest cała i zdrowa. Niepotrzebnie słuchała pani Retano, który naopowiadał o mnie różnych okropności. A skąd pani to ma?

Jego dłoń wyciągnęła się w stronę kołnierza płaszcza, pod którym przypięty był srebrny artefakt.

Tantala mimowolnie cofnęła się, przykrywając szpilę dłonią.

– Alano! – zawołał Czanotaks, odwracając się, nie wiedzieć czemu, w stronę zaszronionego okna.

Stał tuż przy mnie, odwrócony plecami. Miałem ogromną pokusę rzucić się na niego, aż przygryzłem wargę. Ostrze kindżału pod łopatkę. Czy jakaś magia mogłaby to powstrzymać?

W rodzie Rekotarsów nie było łajdaków. Zdarzali się kłamliwi służący… oszuści, awanturnicy… ale nigdy nie było ludzi podłych.

Niemal bezszelestnie poruszył się zdobiący ścianę gobelin i przez tajne wejście weszła Alana, dokładnie taka sama, jaką widziałem ostatnim razem. Wyglądająca młodziej niż na swój wiek, skupiona i urażona.

Tantala zerwała się z siedzenia.

Zanim dotknęła dziewczyny, zdążyłem pomyśleć, że wszystko to może być tylko czarodziejską iluzją, lecz chwilkę potem Tantala już ściskała moją młodą małżonkę, tamta zaś słabo się sprzeciwiała. Zauroczony tym obrazkiem, nie od razu spostrzegłem, że ktoś ujął moje ramię.

Czarno Tak Skoro stał obok. Na włosach jego wspaniałej szuby połyskiwały śnieżne iskierki. Mag ciągłe się uśmiechał, lecz twarz miał naznaczoną piętnem choroby.

– Nie przejmuj się Wyrokiem, Retano. Zrobię, co obiecałem… Skąd wzięliście tę rzecz? Tę przypiętą do płaszcza?

– Pamiątka po Legiarze – wymamrotałem spękanymi wargami.

– Tak? – zdziwił się. – Teraz rozumiem. Zabieraj dziewczynę i wracaj do domu. Muszę pogawędzić z tą… Tantalą. Będzie to dla niej ciekawe.

Milczałem.

– Chcesz o coś zapytać?

Oblizałem wargi. Skrzywiłem się z bólu.

– Retano, na pewno spełnię obietnicę. Nie chowaj już do mnie urazy. W porządku?

– Tak – odpowiedziałem głucho.

Przeklęta słabość.

Służąca, wzdychając, grzała wodę. Siedziałem z Alaną, patrząc w zmizerowaną twarzyczkę, męcząc się z wyrzutami sumienia.

„Czy to prawda, że pan poślubił mnie tylko z powodu księgi?"

– Kocham cię – mamrotałem jak katarynka – kocham cię, jesteś moją żoną i nikomu ciebie nie oddam…

Milczała. Patrzyła na mnie spod rzęs wzrokiem zbyt dojrzałym i rozgoryczonym, jak na podlotka. Obok niej siedział na krawędzi łóżka obcy człowiek, którego duma zawierała się głównie w walce i grze z szulerami, a także w znakomitym pochodzeniu, wywodzącym się od Maga z Magów Damira. Ten dziwny człowiek żałośnie wydymał usta, niezręcznie gładził ją po głowie i kłamał, kłamał, kłamał…

Zaciąłem się. Przestałem mamrotać, cofnąłem dłoń i wyprostowałem się.

„Siedzisz w bagnie, Retano…”

Alana wciąż patrzyła, unosząc opuchnięte powieki. Co tamten z nią wyrabiał?! Czego zażądał w lodowatym chłodzie swego siedliska?

Zacząłem mówić znowu.

Słowa przychodziły zdumiewająco łatwo.

Opowiedziałem jej o Sądzie. O drewnianym kalendarzyku, gdzie wiatry nadymają policzki, a tłuste obłoki płaczą narysowanymi łzami. O tym, że większość dni jest odznaczona. Igła lekko drapie lak i mija kolejny dzień.

Opowiedziałem o swej pierwszej wizycie u Czanotaksa. Jak odmówiłem służby, szukałem pieniędzy i sprzedawałem zamek. Jak znów odwiedziłem maga, on zaś postawił mi warunek, jak wybrałem się w poszukiwaniu przyszłej żony i spotkałem ją na drodze, nie pojmując w pierwszej chwili, że prosi mnie o pomoc. Mówiłem o staruszku z bagien.

Słuchała mnie i jej oczy robiły się coraz większe, dopóki rzęsy nie dojechały do samej góry.

Opowiedziałem o wszystkim. O spotkanym w lochu widmie Maga z Magów, który okazał się sprytnym służącym. O tym także powinna się dowiedzieć.

– Chcesz, żebym ci współczuła? – zapytała po długiej chwili milczenia.

Drgnąłem.

– Nie. Chcę, żebyś opowiedziała o tym Tantali. Być może rozkaże swoim chłopakom powiesić mnie na bramie wjazdowej. Wtedy zostaniesz wdową i możesz odnaleźć… swoją pierwszą miłość.

– Drugą – oznajmiła głucho.

– Co? – spytałem machinalnie.

– Nieźle im dołożyłeś – odparła z uśmiechem. – Tym komediantom… Zwłaszcza szefowi. W tę jego zaślinioną, śmierdzącą gębę…

Wstrząsnął nią dreszcz, a oczy pociemniały.

– Nie wracaj do tego – powiedziałem z obawą.

– Nieźle im dołożyłeś – powtórzyła w rozmarzeniu. – Wydałeś mi się wtedy podobny do Luara. Chociaż z wyglądu ani trochę… To znaczy, że umrzesz w pierwszym miesiącu lata?

– Dzisiaj mi obiecywał… – zacząłem ponuro. – Obiecał zdjąć Wyrok. Nie wierzę mu jednak. Bawi się ze mną, jak kot z myszą.

Brwi Alany zbiegły się u nasady noska.

– Miałam kotkę, Markizę… Widziałam, jak dwie godziny zabawiała się z myszką. Przestałam ją lubić. A mama powiedziała: Czego chcesz, w końcu to kotka…

– Czego chcesz, w końcu to mag – rzekłem przez zęby.

Alana podniosła się nieco.

– Mój dziadek także był magiem i nikomu nigdy nie wyrządził zła!

– Przecież go nie pamiętasz – zauważyłem ostrożnie.

– Za to mama pamięta! – sprzeciwiła się. – I ojciec… Znowu osłabła i opadła na poduszki, zaciskając usta.

– Luar… Szłam do niego dziwną drogą, czarną, śliską, pełną ohydnych zjaw. Tamten mówił, bym szukała drogi. Kochasz brata, powiadał, a on ciebie także wspomina…

Urwała. Wtuliła głowę w ramiona.

– Czy ojciec cię także nie kocha?! – spytałem z przymusem.

Znowu podniosła opuchnięte powieki.

– On się mnie boi.

Zatkało mnie.

– Ojciec mnie, zapewne, kocha – wymamrotała smutno.

– Bardziej jednak kochał Luara. Wiesz, że Luar nie był naprawdę jego synem?

Całkiem zapomniałem języka w gębie.

– To była straszna historia – zaczęła nachmurzona.

– Mama… gdy był Mór… długo by opowiadać. Mój dziadek zatrzymał zarazę, a jego wrogowie oskarżyli moją matkę, że razem z dziadkiem wywołali plagę czarami. Matkę zamknęli w więzieniu i torturowali…

Zbladła.

– Chcieli zdobyć Amulet Wieszczbiarza, lecz nie wydała go im. Najgorszy oprawca… Krótko mówiąc, matka starała się potem wymazać wszystko z pamięci, lecz Luar okazał się synem owego kata. Czy był temu winien?!

– Nie – odpowiedziałem z wysiłkiem.

„Retano, jesteś dzielnym człowiekiem, lecz głupim. Ożeniłeś się z panną, nie dowiedziawszy się wszystkiego o jej rodzinie. O bracie…”

– Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?! – spytałem niemal z urazą.

Uśmiechnęła się niewesoło.

– A dlaczego ty nie powiedziałeś o swoim Sędzi?

Odwróciłem wzrok.

– Wszyscy go kochali – szeptała dalej Alana. – A potem, kiedy

stało się jasne, czyim jest synem… wszyscy się od niego odwrócili. Byłam malutka, niczego nie rozumiałam…

– A matka? – spytałem cicho.

Spojrzałem na nią i pożałowałem, że zadałem to pytanie.

– Mama… Wolałabym o tym nie mówić. Zanadto kochała ojca i zanadto nienawidziła oprawcy. Zamknęła się w sobie, uciekła w szaleństwo. Teraz ojciec uważa, że to on jest winien wszystkiemu. Może ma trochę racji.

– Czego tamten od ciebie chciał? – zapytałem, ściskając jej dłoń. – Czanotaks? Do czego mu byłaś potrzebna?

– Nie zrozumiałeś? – odparła zdziwiona. – Prowadziłam go tam, gdzie jest teraz Luar… Do Przedsionka. Tam, gdzie wcześniej były Wrota Wszechświata, stoi teraz mój brat na straży, dzierżąc Amulet Wieszczbiarza.

Ostrożnie potarłem skroń. Miałem wrażenie, że dziewczyna cytuje z pamięci książkę swojego dziadka. Cytaty brzmiały jak górnolotnie brednie.

– I doprowadziłaś go? – spytałem, śmiejąc się nerwowo.

Uniosła na mnie poważne spojrzenie.

– Nie. Długo błądziliśmy… Czanotaks niemal całkiem wyzbył się mocy.

– Tak?

Przypomniałem sobie wyblakłe, postarzałe oblicze maga.

– Tak – potwierdziła. – Ja także… To było jak senny koszmar, z którego chcesz się obudzić i nie możesz. Wydawało mi się, że słyszę głos, że Luar mnie przyzywa.

Zadrżała.

– Było tam bardzo ciemno. Wszystko splątane jak kłębek nici. Czarno rzekł, że niewystarczająco pamiętam brata. Za mało z nim byłam związana, dlatego wątła nitka ciągle się rwie…

– Jak go nazwałaś? – spytałem odruchowo.

– Czarno – powtórzyła z westchnieniem. – Sam siebie tak nazywa. Zamarza… bardzo mu zimno.

– Rozpaliłby w piecu – burknąłem gniewnie.

– Obraziłam się – podjęła spokojnie. – Powiedziałam, że nie jemu oceniać, jak kocham swojego brata. A on powiedział, że spotkanie z tobą…

Uśmiechnęła się krzywo i zamilkła.

– Co ma do tego nasze spotkanie? – wykrztusiłem z wysiłkiem.

Już na mnie nie patrzyła. Zamknęła oczy i odwróciła się ku ścianie.

– Daj mi się wyspać. Nareszcie jest mi ciepło.

W gabinecie wydobyłem z kufra Certyfikat. Moją cenną relikwię, chronioną przed zniszczeniem i powód do dumy.

Nic się nie zmieniło. Podłoga pod nogami, sufit nad głową. To nadal mój zamek, a w kuchni swarzy się służba… Jestem Retanaarem Rekotarsem.

Podniosłem wzrok i spotkałem się oczami z portretem Maga z Magów Damira.

Jestem wspaniałym potomkiem lokaja przechery.

Miałem ochotę wziąć łopatę od Itera, zakopać Certyfikat na wzgórzu i postawić nagrobek.

Już szedłem wydać polecenia, lecz zatrzymałem się u drzwi.

Zanadto przypominało to farsę w wędrownym teatrzyku.

A jeśli w końcu będę musiał sprzedać rezydencję? Certyfikat podniesie jej cenę.

Siedziałem za wielkim biurkiem, śmiejąc się przez łzy. Wymyślałem kolejne szyderstwa na własny temat, by się udręczyć do cna i na zawsze skończyć ze spsiałym Rekotarsem.

Żeby więcej żaden pies mnie nie trącał.

Tantala nie wróciła wieczorem. Lękając się o nią, chciałem sam jechać do domu na wzgórzu, kiedy zjawił się Iter w towarzystwie trzech wychowanków Solla. Posłańcy zażądali ciepłego jadła i pościeli dla swojej pani i jej dwunastu zuchów. Iter jęczał i załamywał ręce. Zamkowi groziło kompletne ogołocenie.

– Co tam się dzieje? – spytałem ostrożnie zasępionego sługę.

Jakiś czas zastanawiał się nad odpowiedzią. Potem odburknął, patrząc w bok:

– Rozmawiają.

Posłańcy oddalili się ze stosem pierzyn i prowiantem. Patrząc za nimi, próbowałem sobie wyobrazić, o czym może rozmawiać czarodziej z byłą aktorką, zwłaszcza skoro spotkanie trwa ponad dwanaście godzin.

Nadszedł szary, ciemny poranek. Tantala nie wróciła do południa, podczas gdy nikt w zamku nie mógł sobie znaleźć miejsca. W końcu przyjechała z wierną strażą i srebrną broszą, wyzywająco pobłyskującą na kołnierzu płaszcza.

Wybiegłem im na spotkanie z niecierpliwością niegodną Rekotarsa. Tantala przywitała się ze mną w taki sposób, że od razu zrozumiałem, że Czanotaks mnie nie wydał. Nie powiedział o rzeczywistej przyczynie mojej żeniaczki, co oznaczało, że zbrojne zuchy nie powieszą mnie na bramie. To już nieźle.

Alana spała. Najwyraźniej droga do Drzwi nie była lekka. Moja żona była tak osłabiona, że zbudziła się tylko na pół godziny, aby przełknąć dwie łyżki bulionu. Tantala posiedziała przy niej, poprawiła kołdrę i udała się do przydzielonego pokoju. Ta szumna nazwa oznaczała sporą, zapuszczoną komnatę z plamami pleśni na ścianach, dymiącym kominkiem i gęstymi pajęczynami. Co zrobić, skoro taki był

cały zamek?

Zuchy pułkownika Solla rozbili w salonie prawdziwy obóz wojskowy. Nie sprzeciwiałem się temu. Nie miałem do tego prawa. Mogłem tylko pokornie czekać, aż pani Tantala wezwie mnie na rozmowę.

Do późnej nocy spała głębokim snem. Chciałem się także położyć, kiedy zmieszany i wystraszony Iter przyszedł do mnie z wieścią, że pani Tantala pragnie mnie widzieć.

Siedziała u kominka. Przejmujący chłód domu Czanotaksa ogarnął nie tylko Alanę, ona także wyciągała dłonie ku ogniu, a na jej twarzy zastygł bolesny, choć zarazem dziwnie radosny grymas.

– Zimno – wymamrotała zamiast przywitania.

– On nie lubi ognia – potwierdziłem ponuro.

– Jak się czuje Alana?

Patrzyła w ogień. Nie doczekawszy się zaproszenia, wziąłem krzesło i usiadłem przy niej, także wyciągając dłonie ku ogniu.

– Czego właściwie chce się pani dowiedzieć? Jak się czuje, czy też jak zakończyła się przechadzka z Czanotaksem do Przedsionka Świata?

Powoli odwróciła głowę. Połowa jej twarzy była oświetlona ogniem płonącym na kominku, druga tonęła w półmroku. Oczy jej dziwnie świeciły. Jedno wydawało się ciemne, drugie ogniste.

– Wiem, jak się zakończyła ta przechadzka. Czy jest zdrowa?

– Ogólnie tak – odparłem, oczarowany odblaskiem ognia w głębi jednego oka.

– Co tak patrzysz? – zapytała gniewnie.

Odwróciłem się z żalem.

Z pewnością była dobrą aktorką. Chociaż trudno było ją sobie teraz wyobrazić na wspólnym wózku z wędrownymi komediantami.

Swoją drogą, kiedy przeszliśmy na „ty"?

– Mag potrzebuje Amuletu Wieszczbiarza – podjęła, krzywiąc się niechętnie. – Gdyby nie Amulet, pani Toria nie byłaby torturowana w lochach sądowych. Gdyby nie Amulet, ja i Luar żylibyśmy razem, ciesząc się piątką dzieciaków… A teraz zapragnął Amuletu Czanotaks Oro.

W ustach Tantali imię maga zadźwięczało dziwnie gorzko.

– Jeśli to, czego pragnie tamten jest niewykonalne… – zacząłem ostrożnie.

Tantala wzdrygnęła się.

– Nie. On może to uczynić.

– Przekleństwo – burknąłem, sam nie wiedząc, co mnie tak wzburzyło.

– Co mam robić? – zapytała szeptem.

Tym razem ja się wzdrygnąłem. Wcześniej tak ze mną nie

rozmawiała. W jej głosie pojawiła się autentyczna rozterka. Rozmawiała jakby sama z sobą, wahając się, walcząc z pokusą prośby o radę.

– Tantalo – zacząłem jeszcze ostrożniej – czy jest pani pewna, że przedsionek naprawdę istnieje, że to nie jest wizja, metafora…

– Mój mąż od dziesięciu lat strzeże tej metafory – odparła z niemiłym uśmiechem.

Argument był na tyle istotny, że zamilkłem na długo.

– Chciałabym zrozumieć – szeptała, jakby zapominając o mej obecności – jak to się stało. On bardzo dużo wie. Bardzo dużo…

– Jest magiem – syknąłem przez zęby.

Tantala spojrzała na mnie z góry.

– To nie wyjaśnia wszystkiego. Magowie nie są aż tak wszechpotężni, jak o nich mówią.

– Nie powiedziałbym – mruknąłem, patrząc w ogień.

– Jestem związana z Luarem – szepnęła. – W pierwszym rzędzie. Teraz tamten pokazał mi tę więź. Choćby za to powinnam być wdzięczna…

– Wdzięczna Czanotaksowi Oro? – zdziwiłem się.

Pokój za naszymi plecami tonął w ciemnościach. Ogień w kominku najeżył się i skłębił… A może tylko mi się zdawało?

– Czarno – odpowiedziała moja rozmówczyni z wysiłkiem – sam siebie tak nazywa. Dopuścił do siebie… Siedzi w nim…

Urwała i nastąpiła pauza. Tantala metodycznie przygryzała wargi. Złapałem się na myśleniu, że Wyrok jakiegoś tam Sędziego to dla Czarno żaden problem i nie było o czym mówić…

Iść do niego i rzucić się łajdakowi do stóp? Upomnieć się o daną obietnicę? Błagać ze łzami? Na pewno na to czeka. Skoro nie wyjawił Tantali mego sekretu, czy chciał mi tym wyrządzić przysługę?

Za plecami Tantali płonął ogień. Jej figura była czarną sylwetką na tle miniaturowego pożaru.

– Powiedz, panie Rekotars… Dlaczego ożeniłeś się z Alaną?

Otóż to.

– Kocham ją – powiedziałem powoli.

Tantala zmrużyła płomienne oko.

– To dlaczego powiedział pan: „Gdzie mieliście oczy, gdy wydaliście za mnie Alanę?"

– Brednia – odparłem szybko. – Widocznie wtedy bredziłem.

– Sądzę, że pan kłamie – stwierdziła z westchnieniem.

– Nie ścierpię takiej obrazy – uniosłem się dosyć sztucznie.

Zacisnęła usta.

– Uważa pan, że dobrze jej z panem w tym zamku?

– Będzie dobrze – odciąłem się bez przekonania.

Westchnęła.

– Trzeba stąd jak najszybciej uciekać. Nie zostawię tutaj Alany.

Jakiś czas trwała cisza.

– Dokąd? – spytałem w końcu.

– Do Egerta – wymamrotała z irytacją. – Uciekać, dopóki Czarno jest słaby…

– Słaby?

Spojrzała na mnie, jak na głupka.

– Po próbie dostania się do Przedsionka zwykły mag byłby wyczerpany, lecz Czanotaks także opadł z sił. Daleko mu do pełnej mocy.

Otóż to…

– Skąd pani o tym wie? – wycedziłem przez zęby.

Usta jej drgnęły wzgardliwie.

– Każdy, komu choć raz w życiu przyszło do głowy zainteresować się historią magii…

Jasne było samo przez się, że jestem w dziedzinie magii kompletnym ignorantem.

Wyciągnąłem dłonie do ognia.

Ten, kto mieszka w domu na wzgórzu, już raz nie dotrzymał obietnicy. Okłamywał mnie wielokrotnie. Czy mogę dalej wierzyć, że skoro znów mu pomogę, zrobi ze mną to, co uczynił z Kliwi Młynarczykiem?

Przypomniałem sobie topniejącą klingę rodowej szpady, skrawki ognia w dłoniach czarodzieja i żelazne łańcuchy w lochu własnego zamku. „Nie związuj się więcej z żadnymi magami…”

Chciałbym.

Być może Tantala ma więcej racji, niż początkowo sądziłem. Stąd rzeczywiście trzeba uciekać.

A z drugiej strony ucieczka od Czanotaksa oznacza porzucenie nadziei. Mogę dziesiątki razy pocieszać się stwierdzeniami w rodzaju „mam jeszcze czas" albo „świat jest wielki", ale, parszywy los, przekonałem się, że na całym świecie nikt nie może mi pomóc, oprócz Czanotaksa.

– Kiedy odzyska moc, nie da nam uciec – oświadczyła nerwowo Tantala. – Na razie mamy szansę…

Szansę.

Zostało mi pół roku. Za mało, by żyć pełnią życia… ale wystarczająco dużo, by wejść na wzgórze i paść magowi do nóg.

– Waha się pan? – spytała prosto z mostu, przeszywając mnie lodowatym spojrzeniem.

– Nie – odparłem niechętnie. – Nie waham się. Wyjedziemy.

Rozdział dziesiąty

Cały następny dzień krążyła nad zamkiem pojedyncza wrona. Nie brakowało tych ptaków w okolicy, lecz właśnie tę miałem ochotę ustrzelić. Chociażby z łuku. Prowokacyjnie oznajmiłem barczystemu Agenowi, że zapewne żaden z jego chłopaków nie zdoła trafić we fruwającą paskudę. Tamten wydął pogardliwie wargi. Widziałem potem, jak uczniowie Solla wchodzą jeden za drugim na mury, uzbrojeni w łuki, kusze i ciężkie samopały. Wrona jednak nadal latała.

Dwunastu strażników przygotowywało wszystko do wyjazdu. Oprócz powozu Tantali szykowano też do podróży moją karetę, z pozoru wspaniałą, lecz w środku zbutwiałą, ozdobioną herbami, lecz nie przystosowaną do zimowych podróży.

Wyglądało na to, że wyruszymy wszyscy razem, kiedy tylko Agen zamelduje gotowość. Prawdę mówiąc od początku spodziewałem się, że wszystko pójdzie nie tak. Alana do tej pory prawie nie wstawała z łóżka. Wciąż była apatyczna, dużo spała, a dowiedziawszy się o odjeździe, po prostu odwróciła do ściany. Tantala, zaciskając zęby, uparła się na wyjaśniającą rozmowę. Byłem pewien, że mój mały sekret, przekazany żonie w przypływie szczerości, wyjdzie na jaw, co odmieni wszystkie plany. Tantala w najlepszym wypadku plunie mi w twarz i odjedzie z Alaną oraz magiczną szpilką, pozostawiając mi tłumaczenie przed rozjuszonym Czarno.

Rozmowa przybranych sióstr trwała prawie godzinę. Alana po niej poweselała, strząsnęła z siebie senną otępiałość i zgodziła się jechać bez dalszych dąsów. Tantala także wpadła w dobry nastrój. Patrząc na nią, skonstatowałem niemal ze strachem, że moja młoda żona nic jej nie powiedziała.

– Ale wrócimy tutaj? – spytała Alana pół godziny później, kiedy staliśmy we dwoje na murze, odprowadzając wzrokiem purpurowe, zachodzące słońce. – Przecież nie możesz się odciąć… Tamten obiecał zdjąć z ciebie Wyrok. Jak możesz odciąć się od jego pomocy?

Posmutniałem.

Dziś rano obejrzałem znowu swój kalendarzyk i odhaczyłem igiełką przeszłe dni, poświęcone szukaniu Alany, przebyte w lochu, w łańcuchach i wiele innych, nie tak pamiętnych, ale zawsze przeżytych.

Alana zachwiała się. Troskliwie podtrzymałem ją pod ramię. Wyszła na świeże powietrze pierwszy raz od tygodnia. Nic dziwnego, że kręci się jej w głowie.

W trakcie podróży do Przedsionka „zwyczajny mag" opadłby z sił… A piętnastoletnia panienka?!

Przypływ nienawiści do Czarno kazał mi zacisnąć zęby. Jej słabość i bladość. Przed oczami miałem obrazek: uśmiechnięty Czarno

układa bezwolne ciało mojej żony, układa jak kładkę nad rozpadliną, spokojnie wchodzi na jej plecy, stąpa po barkach i głowie…

– Czemu tak patrzysz? – spytała z nikłym uśmiechem.

– On cię wykorzystał – powiedziałem głucho.

Zadrżała. Przejęty, objąłem jej ramiona.

– Co ci jest?!

– Wykorzystał – powtórzyła z wysiłkiem. – Wstrętne słowo. Tak samo mówili… komedianci.

Przytuliłem ją. Patrzyłem ponuro w słońce, uwalające się na widnokrąg swym opasłym, czerwonym brzuchem. Patrzyłem z taką złością, jakby ono było wszystkiemu winne.

– Alano… nikt więcej cię nie tknie. Nigdy w życiu. Przysięgam…

Chłodny wiatr spowodował, że przestałem przysięgać i zakaszlałem.

Jak to mówiła o Czarno Tak Skoro wiejska znachorka? „On nie ma krztyny sumienia…". Wyglądało na to, że ja także nie. Ile warte są takie przysięgi, skoro Alana wie o mnie wszystko?

– Potem wrócimy? – zapytała z uporem moja żona.

– Alano – wymamrotałem ochryple – dlaczego nie powiedziałaś Tantali prawdy?

Wiatr zadął znowu. Jutro może być śnieżyca. Jak mamy jechać w taką pogodę?

Alana westchnęła dramatycznie. Wczepiła się w mój rękaw.

– Kręci mi się w głowie. Muszę się znowu położyć. Chodźmy.

Następnego dnia krewniak Itera przyniósł oszałamiającą, w jego mniemaniu, wiadomość. Do wioski przybyli komedianci! Dwa wozy. Wieczorem dadzą przedstawienie na dziedzińcu tawerny, a jeśli zbiorą sporo pieniędzy, zostaną na następny dzień.

– Kiepska trupa – zareagowała Tantala na tę wieść.

– Wszystkie dobre zimują po miastach. Zimą nie włóczą się po gościńcach!

Nie odpowiedziałem. Dwa wozy…

Nie wierzyłem w takie przypadki.

Można było wziąć ze sobą dwunastu zuchów Solla. Pomogliby mi z chęcią, dowiedziawszy, o co chodzi. Odrzuciłem jednak myśl o cudzej pomocy. Ostatnim razem wystarczyła mi własna szpada. Na tych ziemiach ja byłem panem i jakby nie spsiał mój ród, nikt mnie jeszcze tego nie pozbawił.

– O czym pan myśli? – spytała z niepokojem Tantala.

Alana spała. Ostatnio spała niemal bez przerwy i coraz bardziej mnie się to nie podobało. „Wykorzystał. Wstrętne słowo…"

– Retano… Co się dzieje?

Widocznie miałem na twarzy wyjątkowo drapieżny grymas, wstrząsający w swym okrucieństwie. Przywlec łotrów na zamek…

– Pójdę obejrzeć przedstawienie – odparłem niewinnie.

– Lubię teatr. Z całej duszy.

Tantala spochmurniała.

– Retano… Chyba zwariowałeś, jeśli myślisz, że to ci sami?!

Uśmiechnąłem się radośnie.

– Pójdę z tobą – oznajmiła stanowczo. – I Agen z nami… Wyraz mej twarzy sprawił, że nie dokończyła zdania.

– No dobrze – mruknęła pojednawczo. – Pójdę sama. Możemy?

– Wiem, że też kochasz teatr – odrzekłem niemal czule.

Zjawiliśmy się we wsi na godzinę przed zmrokiem. Przygotowania do spektaklu szły na całego. Dwa wozy stały obok siebie, jeden z nich z opuszczonymi burtami przeobraził się w scenkę. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna powoli wbijał gwoździe w stelaż, pragnąc zawiesić na nim kurtynę. Odwrócony był do nas plecami. Poczułem, jak rozdymają się moje nozdrza. To był ten sam łajdak, udający aktora, lecz nie umiejący posługiwać się nożem. Ten, który bił po cichu…

Innych nie było widać, lecz słychać było głosy z drugiego wozu. Spojrzałem na Tantalę. Moja towarzyszka była dziwnie skupiona, jakby musiała odpowiedzieć na trudne pytanie i zależało od tego jej życie.

Zacisnąłem usta. Ciężkim krokiem pana i władcy ruszyłem w stronę wozów, roztrącając gapiów. Widocznie wyglądałem groźnie.

Łajdak ciągle uderzał młotkiem, nie spodziewając się, jak ciemne chmury zbierają się nad jego głową. Słyszałem, że Tantala szła za mną krok w krok. Jednym susem wskoczyłem na podest. Wóz zakołysał się, a zajęty komediant nareszcie oderwał się od swojej pracy i obejrzał się.

Los zgotował mi niemiłą niespodziankę. To nie był tamten łotr. Potężnie zbudowany dwudziestopięciolatek, czarnowłosy, ze zmanierowaną twarzą bawidamka. Całkiem, jakby miał napisane na czole „komediant".

Zgrzytnąłem zębami. Na drugim wozie miotały się jakieś cienie. Chciałem jak najszybciej uwiarygodnić swą pomyłkę, toteż, szczerząc się, rzuciłem:

– Gdzie wasz szef? Żywo!

Aktor był chyba przyzwyczajony do zjawiania się wszelkiego rodzaju sobiepanów. Słowo „władza" nie było dla niego pustym dźwiękiem, dlatego ukłonił się pospiesznie i machnął młotkiem jak czapką.

– Tam, jaśnie panie, w drugim wozie. Jesteśmy porządnymi komediantami… Płacimy należności…

Odepchnąłem go. Ostatecznie nie zaliczał się do gnębicieli Alany. Mocno szarpnąłem kotarę, zasłaniającą wejście do malowanego wozu.

Trzasnęła rozrywana tkanina. Tantala jęknęła za moimi plecami. Jakim sposobem sama, bez niczyjej pomocy wdrapała się na scenkę?

W środku było ciemno i duszno, cuchnęło potem i chyba pudrem. Jakaś półnaga damulka zerwała się z piskiem. Odwróciłem się ku niej, oczekując, że ujrzę tamtą ślicznotkę, która w swoim czasie zapraszała mnie na przedstawienie.

Ktoś chwycił mnie za ramię.

– Pan pozwoli! Jakim prawem?!

Odwróciłem się.

Nigdy go nie widziałem. Nie jego chciałem pojmać i odstawić na zamek. Nawet półmrok i narysowane na twarzy zmarszczki nie mogły mnie zmylić. To nie on.

– Zaraz wyjaśnię, jakim prawem! – warknąłem, nie mogąc opanować gniewu.

Komedianci wydawali mi się kłamcami, błaznami, co ze mnie drwili. Zdawało mi się, że tamta dziewczyna w kącie zaczyna chichotać. Pomylił się jaśnie pan?!

– Zaraz wyjaśnię – powtórzyłem z ważną miną. – Kto tu jest szefem? Do mnie!

Jakby ktoś zaszlochał.

– Ja jestem szefem – oświadczył ten ucharakteryzowany na starca.

W rzeczywistości miał niewiele ponad czterdziestkę.

Tłum huczał oburzony. Ze wszystkich stron schodzili się nowi gapie. Żadne widowisko nie przyciąga tak, jak prawdziwa awantura. Prawdziwa walka, bez żadnego oszustwa.

– Czym zawiniliśmy, jaśnie panie?

Przy dziennym świetle jego pomalowana twarz wydawała się ohydną maską.

Jeszcze nie wiedziałem, czym zawinili. Zapewne tym, że byli komediantami. Wszyscy oni są jednakowi. To, co się przydarzyło Alanie, mogło też przytrafić się innej dziewczynie pod tą samą naderwaną zasłoną.

– Mamy pozwolenie na występy w miastach i wsiach. Płacimy należności…

– Barian – powiedziano za moimi plecami.

Po chwili zrozumiałem, że powiedziała to Tantala. Szef teatru drgnął. Z trudem odwrócił wzrok od mojej twarzy i zerknął nad ramieniem.

– Witaj, Barianie – powiedziała Tantala z dziwnie płaczliwie brzmiącym śmiechem.

Pokryta charakteryzacją twarz jakiś czas była jak skamieniała. Potem ujrzałem, jak coraz szerzej unoszą się pobielone powieki, a oczy niemal wychodzą z orbit.

– To ty?!

Komedianci zanocowali na zamku. Tantala nakupowała w wiosce żywności. Jej dwunastu strażników krzywiło się z niezadowoleniem, oglądając kolorowe wozy i ich mieszkańców.

Tantala siedziała do późna z niejakim Barianem w głównym salonie u kominka. Pozostali członkowie trupy położyli się spać na siennikach, litościwie wydanych im przez Itera. Co jakiś czas któryś z nich budził się, unosił na łokciu, próbując zrozumieć, gdzie się znalazł. Potem usypiał znowu z błogim wyrazem twarzy.

– No, sama widzisz, jak to wygląda. Gramy tylko Farsę o rogaczu i to…

Barian skrzywił w smutnym uśmiechu twarz pozbawioną charakteryzacji.

– Mucha wyrósł… A ja w tej roli nie dorównuję mistrzowi Flo… A Dinka – dodał szeptem, oglądając się na panienkę smacznie śpiącą na pobliskim materacu – to nie ty. Tak to wygląda.

Podszedłem bliżej, starając się stąpać jak najciszej, lecz Barian i tak się poderwał. Bał się mnie. W końcu wdarłem się do jego wozu brutalnie zrywając kurtynę, z gromkim wrzaskiem. Wieczna włóczęga nauczyła go obawiać się każdego, kto jest od niego silniejszy. Zasada, zapewniająca bezpieczeństwo komediantom…

– Proszę usiąść, Retano – rzekła Tantala, nie patrząc na mnie. – Z tym właśnie człowiekiem przejechałam, sama nie wiem ile dróg, ile lat… Być może do dzisiaj bym…

Patrzyła w ogień. Nie była podobna do siebie, gdyż jej wyrazista twarz utraciła wyraz stanowczości. W oczach błyskały łzy. Po raz pierwszy widziałem ją sentymentalną…

Trudno było wyobrazić ją sobie w kolorowym wozie, w towarzystwie takiego Bariana…

– Pójdę się przespać – rzekł przepraszająco komediant.

Moja obecność go uwierała. Tantala, nie patrząc, chwyciła go za rękę.

– Siedź…

Westchnął.

– Dinka… braliśmy ją do ról komediowych, a jak podrosła, wygląda jak amantka. I dobrze, bo Gezina wyszła w tym roku za mąż. Będziesz się śmiać, Tantalo: za sklepikarza!

Zamilkł na chwilę, drżąc z zimna.

– Wybacz, ale pójdę już. Jestem wdzięczny panu Rekotarsowi za gościnę, ale na pewno nie interesują go nasze teatralne ploteczki.

– Skoro go nie interesują, na pewno odejdzie – odparła chłodno Tantala.

Wzdrygnąłem się. Ta osoba najwyraźniej się zapomniała. Każda poufałość ma jednak swoją granicę…

Wstałem i odszedłem, całą swoją postawą okazując, że gadanina

komediantów nie może mnie urazić. Na progu komnaty pojawił się zadyszany Iter.

– Panie Retano… pani Alana… majaczy jak w gorączce.

Leżała, odrzuciwszy zbite w kupę okrycia. Ostre światło padało na jej twarz, lecz nie budziło jej. Powieki były mocno zaciśnięte, blade wargi wykrzywione.

Usiadłem przy niej, chwyciłem za rękę, bezradnie się rozglądając.

– Nie trzeba – bełkotała nieskładnie. – Tam… bagno… nie trzeba!

Do samego rana miotała się tak, dręczona koszmarami. W żaden sposób nie mogłem jej dobudzić.

Wyruszyliśmy w drogę o świcie. Na rozstaju dróg drogi nasze rozeszły się. Wozy komediantów skręciły w prawo, a powóz Sollów i kareta z herbem Rekotarsów otoczone tuzinem jeźdźców pospiesznie pojechały prosto.

Oba pojazdy starały się jak najprędzej oddalić od wzgórza z zimnym budynkiem bez kominów. Okazywało się, że Czanotaks Oro nie jest wszechwiedzący, skoro czarna wrona wciąż śledziła nasze wehikuły, nie zwracając najmniejszej uwagi na malowane wozy wędrownego teatrzyku…

Pomysł był idiotyczny. Narodził się w głowie byłej aktorki. Usłyszawszy go po raz pierwszy, roześmiałem się Tantali w twarz. Ku memu zdziwieniu, Alana, która po koszmarnej nocy poczuła się jakby lepiej, nie zareagowała w żaden sposób na perspektywę nowej „przejażdżki z komediantami". To było dziwne, z mego punktu widzenia, sam widok teatralnych wozów powinien wywołać w niej odrazę. Alana zdążyła zapomnieć o tamtych wstrząsających przeżyciach albo…

Albo jej apatia weszła w kolejną, głębszą fazę. Było jej po prostu wszystko jedno.

Nikt z nas nie wiedział do końca, czy zdołamy oszukać Czanotaksa i jak daleko sięga jego moc magiczna. Tantala zapewniała, że idiotyczność pomysłu nadaje mu pewien sens. Może osłabiony Czarno straci trop i w imię takiej możliwości trzeba na jakiś czas pożegnać się z wygodą…

Jaka może być wygoda w podróży w środku zimy. W taką porę się nie podróżuje, lecz ratuje ucieczką.

Trudno było przekonać podkomendnych Solla, że mają eskortować dwie puste karety. Nie wiem, jak się to udało Tantali i jakie znalazła argumenty. Musiałem przysiąc w końcu przed dwunastką zuchów, że z głowy Alany ani Tantali nie spadnie jeden włosek. W tym przysięganiu było coś poniżającego. Początkowo się więc zapierałem, w końcu uległem.

Wiele dni później doszliśmy do wniosku, że Tantala miała rację. Karawana eskortowana przez wychowanków Solla pierwszego dnia

beznadziejnie ugrzęzła w zaspach. Pojawiła się nagle burza śnieżna i w najbliższej gospodzie okazało się, że oba pojazdy są tak sfatygowane, iż niezdatne do dalszej jazdy. Czy Czanotaks się faktycznie pomylił, czy też od początku igrał z nami jak kot z myszą, trudno powiedzieć.

Przygotowania do wyjazdu wydawały się dziecinną zabawą. Mijał dzień za dniem, a ja wciąż nie mogłem uwierzyć, że wędrujemy z komediantami. W końcu mój mizerny rozum znalazł uzasadnienie: byłem pionkiem w cudzej grze. Jak się pocieszać, to na całego.

Nastawałem na Bariana, żeby wyznaczył mi jakąś rolę. Biedaczek bał się mnie od początku, a teraz całkiem przede mną uciekał. Zaproponowałem Tantali, że nauczymy się paru piosenek na dwa głosy. Uśmiechała się krzywo, powątpiewając w moje umiejętności wokalne. Prosiłem Alanę, by nauczyła mnie modnych tańców. Milczała bez uśmiechu. Propozycja nie wydała się jej nawet śmieszna.

Teraz Barian szedł obok wozu całkiem zadowolony. Podejrzałem kątem oka, jak Tantala wsunęła mu do ręki pękaty mieszek. Szef trupy odmawiał, zażenowany.

– Chciałeś przecież, sprzedać jeden z wozów! – roześliła się w końcu Tantala, – Uważasz mnie za obcą?

W tej sytuacji Barianowi nie pozostało nic innego, jak przyjąć pieniądze, a teraz kroczył radosny, przeczuwając obfity obiad i ciepły nocleg.

Droga była przetarta. Konie szły równym tempem, lecz osie wozów były wysłużone i trzęsło niemiłosiernie. Nieprzyzwyczajony do takiej jazdy, miałem wrażenie, że zaraz wytrzęsie ze mnie duszę. Miałem ochotę wyskoczyć i iść wspólnie z Barianem, lecz Tantala mocno trzymała mnie za rękaw.

Po południu ujrzeliśmy wioskę. Mogli mnie w niej rozpoznać, miałem więc nakazane nie wychylać nosa z wozu. Wysoki przystojniak, noszący niesympatyczne przezwisko Mucha i tłustawy, dobroduszny staruszek z twarzą scenicznego złoczyńcy przygotowali scenkę. Heroina Dinka wydobyła z kufrów górę kostiumów, a Barian tym razem chodził naokoło, zachęcając widzów. Ciekawskich zebrało się niezbyt wielu, ale też i niemało. Dziewczyna wydobyła lutnię i spektakl się rozpoczął.

Siedziałem w kącie wozu, gdzie było mi bardzo ciasno i obserwowałem przedstawienie od kulis. Komedianci biegali w różne strony. Damulka dopiero co wzdychająca z miłości do przystojnego Muchy, chwilę potem podpełzła pod kurtynę i podała komuś drewniany miecz. Gruby staruszek odstawiał złoczyńcę tak wiarygodnie, że publika aż wyła. Widziałem, jak Barian objaśniał coś Tantali. Wzięła od niego arkusz blachy i pałkę okręconą szmatami. Śledząc w napięciu akcję przez dziurkę w zasłonie, zabębniła nagle w

blachę ze wszystkich sił. Na scenie ktoś głośno zawodził, a Tantala ocierała pot z czoła. Aktorzy ociekali także jak konie, a z ich ust wydobywały się kłęby pary.

Potem wystawiono Farsę o rogaczu. Tuż przed moim nosem cały zespół przebierał się pospiesznie. Barian nałożył perukę, wziął pióro, garść papierów i pobiegł na scenę. Z otwartymi ustami patrzyłem jak damulka wypycha dekolt dodatkowymi szmatkami. W pewnym momencie przypomniałem sobie o takcie i odwróciłem wzrok, akurat po to, by zobaczyć jak Mucha montuje na przedzie kalesonów ogromną, zmarzniętą marchew…

Szlachcicom nie wypada podróżować z komediantami. Ucieszyłem się, że Alana nie widzi tego wszystkiego, chociaż fakt, że była wśród publiczności, także nie wydawał się odpowiednią rzeczą dla żony Retanaara Rekotarsa.

Miałem wielką ochotę nałożyć na głowę sztuczną łysinę. Przypudrować nos, dokleić wąsy i pojawić się przed oczami widzów. Ależ zdumiałaby się damulka z wypchanym biustem! Pofiglować, parszywy los, pogwizdując…

O tak. Na pewno by mnie wygwizdali.

Farsa skończyła się. Nie zrozumiałem, o co w niej szło, ale publiczność śmiała się i rzucała monety na tackę. Nie tak znowu dużo, na pewno nie starczyłoby na gospodę dla wszystkich. Przypomniałem sobie urażony głos Tantali: „Uważasz mnie za obcą?" i brzęk pieniędzy w sakiewce.

Ciekawe, jak dawali sobie radę, nie spotykając na drodze bogatej fundatorki? Trzeba przecież coś jeść, nakarmić konie… Zapłacić należności. Nie bez przyczyny tak się wystraszyli, gdy włamałem się do ich wozu.

Mimo woli podniosłem oczy. Urwany kawałek zasłony był starannie przyszyty z powrotem.

Komedianci wrócili ze sceny spoceni. Nie czuli mrozu, chociaż mieli czerwone uszy i nosy. Puder na ich twarzach zbrylił się jak wilgotny tynk. Siedli na kufrach pod ścianami, czekając w milczeniu aż się rozejdą widzowie. A może po prostu odpoczywając.

Tantala została na zewnątrz. Słyszałem, jak pyta o coś półgłosem Alanę, a tamta odpowiada też cicho i spokojnie.

– Starczy tego siedzenia – rzucił ponuro Barian. – Do roboty.

Wszyscy się ruszyli. Kobieta bez żenady zaczęła ściągać przy nas suknię podbitą watą, stary złoczyńca wziął kawałek chleba, a Mucha wydobył z gaci marchew i obejrzał ją w zamyśleniu.

– Rekwizyt usycha – powiedział do szefa teatru. – Przydałby się nowy.

Nocowaliśmy w gospodzie. Skąpiec Barian wynajął tylko dwie małe izdebki. Jedną oddał mnie z Alaną i Tantala, drugą

zarezerwował dla swojego zespołu. Nie przywodziło to na myśl żadnych frywolności: mróz był tak wielki, że nikomu nie przychodziło do głowy zdjąć choćby rękawiczki.

Alana usnęła okryta stosem pierzyn. Zszedłem do jadalni, gdzie było ciepło. Postanowiłem zdrzemnąć się w fotelu u kominka, przyzwyczajony już do takiego sposobu nocowania. Zasnąłem niemal natychmiast, a przytłumione rozmowy gości przy jednym ze stołów wplotły się w mój sen.

Przyśniła mi się kurtyna, podszyta z wierzchu grubymi białymi nićmi. Przywiązywałem marchew do kalesonów i w żaden sposób nie mogłem jej przytroczyć… a przecież za chwilę wejdzie tu Alana, to nasza noc poślubna, a pod łóżkiem obok nocnika leży książka O magach. Jej wiano.

„Czemu milczysz – dudni nad mym uchem głos Czanotaksa Oro – powiedz, skoro źle widzisz… Skoro nie jesteś obca…”

„Uważasz mnie za obcą?!" – pyta z goryczą Alana, ja zaś stoję przed nią z marchewką w dłoni i nie wiem, co odpowiedzieć.

„Dziesięć lat… dziesięć lat…”

„Nie. Już nie. Wybacz, Barianie… Nie mogę…”

Jestem pchłą wewnątrz zamszowego woreczka. Zimna dłoń z długimi białymi palcami przesuwa po szwach, próbując mnie złapać. Wciskam się w róg, lecz twardy, żółtawy pazur zbliża się. Na samą myśl, co się dalej stanie, zapadam w ciemność bez dna.

Odpracuję to, Czanotaksie. Zrobię wszystko, co każesz… tylko…

Z ciemności spoglądały na mnie ostre jak szpileczki oczka Sędziego. Kręcił się, dzień za dniem, drewniany kalendarzyk.

Następnego dnia podszedłem do Tantali i, odwracając oczy, poprosiłem, by oddała magiczną szpilę.

Zdziwiła się. Być może pomyślała, że stchórzyłem. Po chwili wahania zwróciła mi jednak broszę.

Nie miałem możliwości się usprawiedliwić. Choć kusiło mnie, by wyjaśnić, że to strach przed Czanotaksem mnie dręczy.

Nie chciałem wierzyć, że rośnie to we mnie. Lepiej zwalić wszystko na złe moce, na Czarno, który na odległość łamie moją wolę…

To istniało. Nieodparte pragnienie zawrócić i czołgać się przed magiem.

Trzeba powiedzieć, iż życie komediantów nie było usłane różami.

Wokół ciągnęły się zaśnieżone pola, na horyzoncie unosiła się i opadała ciemna plama lasów. Barian wolał nie wjeżdżać do lasu. Obawiał się wilków i rozbójników. Nawet najbardziej ironiczny z moich uśmiechów nie mógł skłonić do tego ostrożnego szefa grupy. Tantala szła obok wozu w milczeniu. Gorączkowe wzburzenie władające nią na początku podróży, zamieniło się w zgryźliwy nastrój.

Barian szedł razem z nią, unikając, nie wiedzieć czemu, jej spojrzenia.

Nie było co robić. Aktorzy zmieniali się na kozłach, ja zaś pokazywałem Alanie ślady na śniegu i wymyślałem fantastyczne historie o swoich walkach z wilkami i zbójami. Słuchała z bladym uśmiechem. Raz poprosiłem, by aktorzy dali mi powozić. Mało nie pękła przy tym przednia oś i chociaż Barian nie ośmielił się mnie za to zrugać, widziałem, że był zły.

W wiosce Międzyrzecze mieliśmy spotkać się z dwunastką ochroniarzy Tantali. Oczekiwałem niecierpliwie, kiedy wreszcie będę mógł się przesiąść do wygodnej karety i kontynuować podróż jak przystało szlachetnie urodzonemu. Czekaliśmy w tej miejscowości dwa dni, nikt jednak nie słyszał w okolicy o powozach z herbami ani tuzinie jeźdźców.

– Zima – stwierdziłem, próbując zdjąć z twarzy Tantali maskę napiętego oczekiwania. – Wszystko mogło się zdarzyć.

– Mam wrażenie – odparła szeptem – że wystawiłam ich na niebezpieczeństwo, podstawiając zamiast siebie.

– Czanotaks zorientował się już… w tej naszej maskaradzie?

– Skąd mogę wiedzieć? – syknęła ze złością. – Nie przysyła mi liścików przez gołębie pocztowe.

– Przepraszam – odrzekłem potulnie, choć nie było za co przepraszać.

Minęły jeszcze dwa dni. Nie mogliśmy dłużej czekać. Barian niespecjalnie się zmartwił, że jaśnie państwo chce dalej wędrować z komediantami. Według mnie, był raczej zadowolony. Tantala, składając broń, zniżyła się do tego, by mnie podtrzymać na duchu.

– A co nam szkodzi dotrzeć w ten sposób aż do samego miasta? Nie znajdzie się lepszej przykrywki, Retano. Skoro Czanotaks nie wyśledził nas do tej pory, potem będzie mu coraz trudniej…

– A jeśli wyśledził? – spytałem zgryźliwie.

Wzruszyła ramionami.

– Magowie nie są wszechmocni. Mamy się od razu poddać i uznać, że i tak mu nie uciekniemy?

Posmutniałem.

– Tak czy inaczej, musimy przedostać się do Egerta – podjęła, jakby przekonując samą siebie. – On znajdzie wyjście.

Kobiety są nielogiczne. Tantala nie wierzyła we wszechmoc czarodzieja, ale za to wierzyła, że pułkownik Soll jest wszechwładny. Nie miałem siły z nią polemizować ani nawet wzruszyć ramionami.

Wędrowaliśmy jeszcze tydzień. Moje życie topniało, jak zaciśnięta w dłoni śnieżynka, a drewniany kalendarzyk za pazuchą dusił mnie i nie dawał zasnąć. W jednej z wiosek wygwizdano spektakl, gawiedź była niezadowolona. Barian i jego towarzysze musieli prędko zwijać teatrzyk pod gradem zmarzniętych nieczystości.

– Kiepsko zagraliście? – spytałem jadowicie, gdy zatrzymaliśmy się w środku nocy w szczerym polu i rozpaliliśmy wielkie ognisko.

Szef grupy opuścił ręce. Widziałem, że ma na końcu języka ostrą ripostę, lecz trzyma ją na wodzy.

– Motłoch lubi obrzucać gównem – zaszemrała, podchodząc do nas cicho, Tantala. – Choćbyś stanął na głowie…

Barian spojrzał na nią smutno, ale nic nie powiedział. Potem usłyszałem, jak odprowadzając Tantalę na bok, do czegoś ją gorąco przekonywał. Nie widziałem jej twarzy, była ode mnie odwrócona.

Następnego dnia, zanim zaczęło się przedstawienie, oddaliłem się spiesznie. Wałęsając się wzdłuż opustoszałej drogi, słuchałem, jak wyje z miłości szalona amantka, jak blacha rozlega się gromem i jak pokrzykuje tłum. Ktoś na scenie nie mógł wydobyć z pochwy zardzewiałej szpady. Może chociaż dzisiaj ich nie wygwiżdżą. Może nawet sypną grosza na chleb…

– Nie podoba ci się? Kiepska sztuka?

Tantala stała w cieniu wysokiej, bezlistnej topoli. Nie widziałem w półmroku jej twarzy, ale głos był oschły i nieżyczliwy.

– W ten sposób nie dotrzemy na miejsce i za pół roku – burknąłem, patrząc w bok. – Może wystarczy już… grać komedię. Rób, jak uważasz, ale ja bym wynajął karetę. Dopóki jeszcze zostały jakieś pieniądze…

– Czanotaks nas znajdzie – oświadczyła fatalistycznie.

Potknąłem się o zaspę i wpadłem w śnieg po kolana.

– Kartki od pocztowych gołębi? – zażartowałem dość nietaktownie, lecz nie mogłem się powstrzymać.

Oblizała wargi.

– Prawie. Na pewno tego nie czujesz, bo masz talizman, ale…

Poczułem w sercu chłód bardziej przejmujący od atakującego nas mrozu.

– Weź ją – rzekłem bez namysłu.

Przeklęta brosza, jak na złość, nie dawała odczepić się od mankietu.

Tantala milczała chwilę, obracając artefakt w palcach. Westchnęła, odpięła kołnierz płaszcza i przypięła tam, gdzie poprzednio.

– Wybacz. Później ci oddam.

Nie spałem całą noc, wiercąc się na twardej podściółce i wsłuchując w niespokojny oddech Alany. Czułem się jak nagi. Pamiętałem zimną dłoń Czarno Tak Skoro zaciskającą się na mojej w środku zamszowego woreczka i jak zmieniała się pogoda, wiodąc mnie do konkretnego celu. Bałem się, że mag zjawi się w moim śnie.

Nie pojawił się jednak.

Cały następny dzień Barian i Tantala spędzili na drugim wozie.

Szedłem obok, łowiąc oderwane słowa, dochodzące zza grubej kotary. Rozmowa była dziwna. Tantala skrzeczała nieswoim, starczym głosem, przechodząc co pewien czas w rozdrażnione gderanie. To samo działo się z Barianem. Zdawało się, że w wozie jest czworo ludzi, dwoje normalnych i para wariatów.

Pod wieczór karawana dotarła do chutoru, którego przyziemni i podejrzliwi mieszkańcy nie chcieli oglądać przedstawienia. Chodziliśmy od chaty do chaty. Barian nawiązywał rozmowy z gospodarzami, objawiając nietuzinkowy talent dyplomatyczny. Udało mu się w końcu załatwić nocleg w stodole. Przygarnęła nas romantyczna wdowa, która do późnej nocy słuchała serenady śpiewanej ochrypłym głosem Bariana z akompaniamentem starej lutni. Pozostali, ciesząc się wypoczynkiem, zagrzebali się w sianie.

Odnalazłem w ciemnościach dłoń Alany.

W ostatnich dniach ustaliły się między nami stosunki jeszcze dziwniejsze niż wcześniej. Gdyby nie codzienna trzęsionka i zimne noce w odzieży, być może zamieniłyby się w prawdziwe małżeńskie przywiązanie. Z drugiej strony, gdyby nie konieczność naszej podróży, być może poważniej zastanowiłyby mnie bladość Alany, jej zapadnięte oczy i niespokojny nocny oddech. Nie wiedziałem, co ujrzała na drodze do Przedsionka, lecz następstwem tej „wędrówki" było nieustanne otępienie.

W tym momencie ścisnąłem wąską dłoń nieszczęśliwej, odczuwając wyrzuty sumienia. Jakby ktoś stanął mi za plecami i położył dłoń na ramieniu.

– Alano…

Nie słyszałem własnego głosu. Drobna rączka drgnęła pod mym dotykiem.

– Moja Alano…

Przebierałem jej paluszki, jakby były frędzlami, aż zwilgotniały.

– Dziewczyno… Ty…

Byłem tak blisko niej, jak powinien być mąż. Buszowałem pod kołdrą jak kret pod ziemią. Jej szczupłe ciało wołało o czułości.

– Och – szepnęła.

Poczułem ciepło jej oddechu.

– Nie… Cały czas zdaje mi się, że On jest tutaj i patrzy na nas.

Ledwie powstrzymałem jęk. Zmartwiałą dłonią pogładziłem jej delikatną rączkę i odsunąłem się z cichym westchnieniem.

Przez cały następny dzień ja i Alana nie patrzyliśmy na siebie. Droga była zła, co rusz trzeba było wyciągać wozy z głębokich jam, wszyscy szli na piechotę, nawet moja żona. Tylko Barian z Tantalą prowadzili za zasłoną swoją dziwną rozmowę. Czołowa amantka szła tuż przy wozie, ryzykując, że wpadnie pod koła i wyciągając szyję, wsłuchiwała się w głosy, wciąż powtarzające ten sam dialog. Parę

razy, jeśli słuch mnie nie mylił, Tantala klęła jak pijany marynarz. Mucha i gruby złoczyńca spoglądali na siebie znacząco.

W ciągu dnia minęliśmy sporą osadę, a potem chutor. Szybko się ściemniało, niebo zasnute było chmurami, wiatr przedzierał się przez grubą odzież. Konie ledwie powłóczyły nogami, a Barian zbeształ o coś postawnego Muchę. Dla wszystkich powoli stawało się jasne, że jeśli nie znajdziemy chociaż szopy w szczerym polu, zamarzniemy na śmierć. Grubawy Fantin mamrotał, jakby się usprawiedliwiając, że powinna gdzieś tutaj być kolejna osada, bo przypomina sobie tę drogę. Widocznie jednak zawiało wieś po kominy…

Alana przywarła do mnie. Poczułem, jak drży na całym ciele. Lepiej, by pozostawała w apatii. Strach i rozpacz nie poprawiały sytuacji. Jak by nie było, szukała pomocy u męża, choć ten niekoniecznie był niewzruszony jak posąg.

Wziąłem ją na ręce. Rozpoczęła się zawieja. Zaciskając zęby, wyobraziłem sobie Czanotaksa Oro, siedzącego w swoich czterech ścianach i wsłuchującego się w wycie wichru za oknem. Kierującego owym wiatrem…

W momencie, gdy uwierzyłem w magiczną przyczynę naszej niedoli, wioska objawiła się przed naszymi nosami, wyskoczyła spod śniegów rzadkimi światełkami i białymi czapami dachów, rozdźwięczała psim ujadaniem.

Wszyscy od razu poczuli się lepiej. Nie mając nadziei na publiczność w taką pogodę, Barian ruszył prosto do najbliższej gospody. Przechodząc z mrozu w ciepło, stanęliśmy ogłuszeni szczękiem naczyń i gwarem co najmniej trzydziestu gardeł.

Strasząc tubylców i służbę, w karczmie panoszyło się miejscowe książątko z uzbrojoną świtą. Chłopaki mieli zakazane mordy, wszyscy już zdrowo pijani. Zjawienie się komediantów wywołało nowy przypływ wesołości. Sam książę, szczupły młokos w jedwabiach i aksamitach, wyszedł zza stołu, żeby obejrzeć z bliska nowe dziwo.

Barian zląkł się.

Widziałem, jak występują mu żyły na skroń, jak nerwowo drżą wargi w chwili, gdy spokojnie wyjaśnia młodzikowi, że są trupą wędrownych komediantów, dającą rozrywkę ludowi, lecz dzisiaj spektaklu nie będzie z powodu zadymki.

Książę walnął pięścią w stół. Pięść miał raczej ciężką, gdyż blat głucho zadudnił. Pijany szczeniak żądał zabawy. Natychmiast. Tutaj.

Barian pobladł mocniej. Za jego plecami stała ciasno zbita grupka: nachmurzony Mucha, złowrogi Fantin, wystraszona amantka Dinka, Alana w nisko opuszczonym kapturze i obejmująca ją Tantala. Odruchowo sięgnąłem po szpadę i złapałem pustkę. Aktorzy nie noszą broni.

Książę uśmiechnął się nieprzyjemnie, obiecał jednak „wędrownym

błaznom" wypitkę, kolację i zapłatę. Jeśli jego zuchom, dodał, zerkając na zgraję zabijaków, przedstawienie przypadnie do gustu.

Prawdę mówiąc, nie byłoby dla mnie żadnym problemem zaskoczyć młokosa, przystawiając mu do gardła ostrze jego szpady i zażądać, by jego chłopcy rzucili broń.

Gdyby tylko zdecydowali, że należy ją rzucić. Gdyby ich pijane głowy zdołały właściwie ocenić sytuację. Być może któryś z nich chętnie sam poderżnąłby gardło książątku.

Do tego jeszcze były tutaj Alana i Tantala. Przysiągłem strzec ich jak źrenicy oka. Oto co wyszło z przysięgi.

Barian przełknął ślinę. Powiódł wzrokiem po rozchichotanych, pijanych gębach i odwrócił się do swoich. Widziałem, jak zwęziły się wtedy powieki Tantali.

– Panowie, musimy się przygotować – ochryple rzekł Barian, nie potrafiąc skryć niepokoju. – Skoro chcecie zobaczyć widowisko, musimy zająć ten kąt. Wszystkie stoły na bok. Tam będzie scena.

Zabijakom nie chciało się nosić stołów, lecz rozkaz młodzieńca zrobił swoje. Ciskając ze złością krzesłami, strasząc biednego oberżystę, przyszli widzowie przygotowali miejsce na przedstawienie. Przede wszystkim interesowało ich, czy będą w nim gołe baby. Ich spojrzenia, rzucane na Dinkę i Tantalę, mocno mnie dołowały.

Korzystając z zamieszania, wróciłem do wozu po kindżał. Przypasanie szpady naraziłoby nas na awanturę, lecz brak oręża byłby kompletną głupotą. Ukryłem go pod ubraniem. Zaciskając usta, obserwowałem dalszy rozwój sytuacji.

Mucha starannie rozwiesił kurtynę. Barian i Fantin, sapiąc i stękając, przenieśli tam wielki kufer. Dinka nerwowo przerzucała kostiumy. Publika piła i gardłowała, spluwając na podłogę.

Nie powinienem był zostawać za kurtyną. I beze mnie było tam ciasno. Alana siedziała skurczona w kącie, lecz wyjście na zewnątrz byłoby zbyt niebezpieczne. Tantala patrzyła jak pospiesznie przebierają się Fantin i Mucha, poruszając bezdźwięcznie ustami. Zdążyłem złowić zrozpaczone spojrzenie Bariana, zwrócone w sufit. Przeczuwał klapę. Tak samo jak ja. Kindżał wydał mi się dziecinną zabawką. Być może zdołam nim zakłuć trzydziestu pijanych zabijaków, lecz nie będzie komu później bronić Alany.

Zaciągając za sobą kurtynę, usłyszałem zdławiony szept Tantali:

– Zaczynaj!

Siadłem pod ścianą przy końcu stołu. Od widzów czuć było przegrzanymi ciałami, ludzkim i końskim potem. Zostałem jowialnie klepnięty w ramię i ktoś zapytał, czemu nie bawię się razem ze wszystkimi. Mrugnąłem dwuznacznie. Wszystko w swoim czasie…

– Farsa o Trirusie Prostaku! – obwieścił Mucha.

Ktoś klasnął w dłonie, ktoś syknął na kogoś. W zapadłej nagle

ciszy zza kurtyny wynurzył się Barian z wywatowanym brzuchem i wyjątkowo głupią miną. Lutnia zabrzęczała strachliwie.

Zaśpiewał, że on, Trirus, wraca właśnie z jarmarku, gdzie korzystnie sprzedał krowę. Piosence wtórowało pobrzękiwanie monet w kieszeni. Zabijaki chrząkali. Po śpiewie nastąpił niewymyślny taniec. Któryś z łotrzyków rzucił w aktora ogryzioną kością. Aktor zdążył się na szczęście uchylić.

Widzowie ożywili się. To koniec, pomyślałem i poczułem chłód. Ciąg dalszy spektaklu zamieni się w grę, kto lepiej trafi. Sporo rąk wyciągnęło się po kostki na talerzach. Biedny Barian…

Zza kurtyny wynurzyła się przygarbiona starucha w kapturze nisko spuszczonym na twarz, z siwymi kosmykami, wystającymi spod okrycia. Rozdziawiłem gębę. Dobrze pamiętałem, że w zespole nie było żadnej staruszki!

Przyjemniacy, choć byli mocno pijani, również o tym pamiętali. Ktoś czknął ze zdziwienia.

Starucha potruchtała do przodu, jakby wypatrywała Bariana, lecz nie mogła go dogonić. Patrzyłem wstrząśnięty, jak kuśtyka i przysiada. Jej ruchy były tak realistyczne, a zarazem zabawne, że zabijaki zapomnieli o rzucaniu kośćmi, przycichli i zaśmiali się. Zastanawiałem się gorączkowo, kto kryje się pod opończą. Za mojej styczności z teatrem, nie grano Farsy o Trirusie Prostaku. Młodziutka Dinka absolutnie do tej roli nie pasowała, Mucha był wyższy i szerszy w ramionach, a Fantin…

Starucha przemówiła.

Miała skrzekliwy, jadowity głosik doświadczonej jędzy. Ewidentnie chciała naciągnąć biednego Trirusa i w tym momencie byłem pewien, że jej się uda. Wydawała się postrachem wszystkich naiwniaków: nachalna łajdaczka i kłamczucha. Na początek wyśmiała prostaczka, prowokując go, by się pochwalił zarobkiem. Zaczęła liczyć pieniądze w taki sposób, że dla wszystkich stało się jasne, że biedny Trirus jest załatwiony.

– Nabrali cię, chłopie! Gadałeś, że dziesięć ci dali, a masz osiem, zobacz!

Prostak rozpaczliwie mrugał powiekami. Starucha przesypywała pieniądze z jednej dłoni Trirusa do drugiej, zaginała mu palce, podkładając pod każdym pieniążek. Było już tylko pięć monet. Zabijaki całkiem zamilkli, zauroczeni. Nie codziennie można zobaczyć tak sprytne oszukaństwo.

– Cztery – wykrztusił Trirus, tępo wpatrując się w swoją garść.

Przetarł oczy ze zdumienia. W życiu nie widziałem, żeby ktoś krzywił się bardziej pociesznie.

– Jakie cztery, wszystkiego trzy monetki! Licz porządnie, niezdaro!

Nie spuszczając oka z naciągaczki, prostak dokładnie obszukał wszystkie kieszenie, jakby monety rozpełzły się odzieniu niczym robactwo. Starucha zachowała zimną krew. Może nawet współczuła nieudacznemu Trirusowi.

Pierwszy zaśmiał się ten sam osobnik, który klepnął mnie w ramię. Śmiech pasował do farsy, przypominał świńskie pochrząkiwanie. Chłopak początkowo był odosobniony, potem reszta przyjemniaków zagłuszyła go tubalnym rechotem. Starucha musiała zrobić pauzę i podnieść głos. Lecz jej przenikliwy falset z trudem przebijał się przez globalne rżenie publiki.

– Ej, chłopie, toć u ciebie dziura w kieszeni! Zobacz, tylko jedna moneta została!

W oczach Trirusa-Bariana pojawiły się prawdziwe łzy.

Gospoda od dawna nie widziała czegoś podobnego. Trzydziestu zabijaków całkowicie straciło nad sobą panowanie. Rżeli, spadając z krzeseł. Książę młokos trzymał się za brzuch, a oblicze miał niebezpiecznie czerwone, gdyż z trudem łapał oddech. Śmiał się oberżysta, śmiała służba, chichotał stajenny, miejscowi pokładali się ze śmiechu, wychyliwszy się ze swych nor.

Trirus prostak płakał, grzebiąc w pustej sakiewce, a starucha tańcowała wokoło. Siedziałem jak oniemiały, bo wreszcie pojąłem, kto ją gra. Kto skacze w kapturze z siwymi kosmykami.

Po Farsie o Trirusie Prostaku wystawiono jeszcze Farsę o rogaczu. Nie dziwiłem się już, kiedy w roli niewiernej żony pojawiła się, zamiast Dinki, również Tantala. Nawet Mucha z gaciami wypchanymi nieśmiertelną marchewką został zepchnięty na drugi plan.

Przyjemniacy tarzali się po podłodze w kałużach wina, a ogniki świec drżały od ich rechotu.

Wydawało się, że Tantala postanowiła doprowadzić publiczność do histerii. Patrzyłem wszystkim w oczy, nie mogąc pojąć, gdzie przebiega granica między prymitywną farsą z marchwią w kalesonach a zjadliwą ironią wobec całego świata, rozpaczliwą i złą. Igrając z widzami, Tantala parę razy zerknęła na mnie.

Zabijaki pragnęli przepłukać winem sfatygowane gardła, toteż oberżysta czym prędzej podał pełne dzbany w miejsce rozbitych.

Jakiś czas potem jadalnia przypominała pobojowisko, tyle nieruchomych ciał walało się między odłamkami naczyń w ciemnoczerwonych kałużach. Barian przebierał palcami po strunach lutni. Komedianci cichcem zbierali rekwizyty, zwijali kurtynę i składali kostiumy do kufra. Oberżysta zaprowadził nas do dalszej izby, zimnej i ciasnej. Lepsze pokoje dostały się, naturalnie, książątku i jego zabijakom.

Amantka Dinka odwracała wzrok. Przygryzała wargi, wciskała głowę w ramiona i rzucała w stronę Tantali głęboko urażone i

zawistne spojrzenia. Alana po raz pierwszy od wielu dni wydawała się wesoła. Mucha i Fantin legli w półmroku. Barian nie puszczał ręki Tantali i chodził z nią, jak przykuty.

– Ty…

Wyszedłszy z nią na ciemny korytarz, coś jej przedkładał półgłosem, z czego dochodziły do mnie tylko oddzielne słowa. Domyślałem się, o co idzie. Tantala odpowiadała z nerwowym śmieszkiem. Wyraźnie usłyszałem zdanie:

– To był jednorazowy gościnny występ…

Z dołu co jakiś czas dochodziły pijackie krzyki, później wszystko się uspokoiło. Mucha i Fantin sapali na siennikach w kącie, Dinka chlipnęła głośniej niż wypadało, za co została zgaszona rozdrażnionym głosem Bariana:

– Cicho.

Posiedziałem przy śpiącej Alanie. Nagle podskoczyłem jak na igle. Sam nie wiem, co mnie tknęło.

Wstałem. Zostawiwszy za plecami senne oddechy zmordowanych aktorów, ostrożnie wyszedłem na korytarz. Z drugiego końca także dochodziło sapanie i pochrapywanie. Ktoś ściskał kogoś w kącie. Najpierw usłyszałem ciche mamrotanie, potem donośny odgłos policzka. Zaraz potem nocną ciszę przeniknął złowieszczy szept.

– Wiesz, co się teraz z tobą stanie? Wiesz? Podniosłaś rękę na księcia, brudna komediantko! Jeszcze będziesz mnie błagać, żeby odrąbali ci tylko jedną dłoń! Ty!…

Podszedłem i chwyciłem go za ramię. Chciał się wyrwać, lecz poczuł na gardle ostrze mego kindżału. Szczeniak nieco otrzeźwiał.

– Wiesz, co się teraz z tobą stanie? – zapytałem słodko.

– Retano… – szepnęła Tantala.

– W imię Maga z Magów Damira!

Przesunąłem ostrzem, pozostawiając na skórze młokosa niegroźne nacięcie.

– Zamieniam cię w żabę. W paskudne, zielone stworzenie. A twoja świta stanie się rojem much. Będziesz na nie polował i zżerał po kolei całą trzydziestkę. Jak śmiałeś dotknąć zaczarowanej księżniczki!

Młokos czknął. Usiłował wzywać pomocy, lecz gardło odmówiło mu posłuszeństwa.

– W imię Maga z Magów – podjąłem tak strasznym głosem, że prawie sam byłem w strachu – niech się stanie!

I walnąłem jego głową o poręcz.

Niewiele mu było trzeba, by opadł na podłogę jak szmaciana lalka. Tantala wczepiła się boleśnie w moje ramię.

– Wredny gówniarz – wybełkotałem przez zęby. – A ty gdzie łazisz?! Co by było, gdyby…

– Od razu wszystkie przywileje aktorstwa – odparła drżącym

głosem. – Oklaski… śmiech… policzek… Szukałam na dole… magicznej szpilki.

Omal nie potknąłem się o nieruchome ciało książątka.

– Czego?!

– Zgubiłam broszę – odpowiedziała ze łzami. – Przebierałam się… Sprawdzałam w kufrze, ale tam nie ma…

– Nie znalazłaś jej?!

– Retano.

Nie mówiąc nic więcej, chwyciłem ją za łokieć i wepchnąłem do naszej izby, między śpiących. Potem zawróciłem, chwyciłem księcia za kołnierz i zwlokłem bezwolne ciało po schodach. Jego zabijaki leżeli pokotem. Z trudem opanowałem chęć, by wytaszczyć wszystkich na zewnątrz i zakopać w zaspach. Rano oberżysta mógłby zapłakać nad nieszczęsnym księciem i jego drużyną.

Rozejrzałem się, chwyciłem zręczniej nieprzytomnego i wyciągnąłem go na dwór. Zimowy wiatr dmuchnął mi w twarz. W każdym razie w ciepłym chlewie młokos nie zamieni się w sopel. Gnój chroni od zimna lepiej niż gruba pierzyna.

Zostawiłem go skrępowanym i zakneblowanym, w towarzystwie świnek. Obmyłem dłonie śniegiem, a w sieni dokładnie się otrząsnąłem, żeby nie napaskudzić. Potem, uzbrojony w kalendarzyk, przetrząsnąłem każdą szczelinę jadalni.

Nigdzie nie znalazłem dziwacznej srebrnej broszki, podarunku od mego pradziadka Damira. Jakby diabeł ogonem przykrył.

Zdrowy rozum nakazywał zabierać się z tego miejsca jak najszybciej. Barian poganiał nas. Jakież było jego zdziwienie, kiedy oznajmiłem, że nigdzie nie jadę, że może ze swoją trupą jechać dokąd chce, lecz ja z moją żoną i Tantalą nie ruszymy się stąd na krok, dopóki nie odzyskamy pewnej zgubionej, cennej rzeczy.

Szef teatrzyku stwierdził, że oszalałem. Dinka cieszyła się po cichu, że nagły przypadek uwolni ją od scenicznej rywalki. Mucha ze zdziwieniem ruszał ramionami, a Fantin złoczyńca mrugał z zaskoczeniem. Jednak ani zgrzytanie zębów, ani obelgi, ani nawet możliwe nieprzyjemności nie zmieniały mego stanowiska. Alana dziwiła się w milczeniu. Tantala przygryzała wargi w poczuciu winy.

Tymczasem młodzi zabijacy zorientowali się, że ich przywódca zniknął, jakby się zapadł pod ziemię. Spowodowało to spore zamieszanie. Rozterka prędko mogła zmienić się w złość, kiedy się pojawili świadkowie, którzy widzieli, jak w środku nocy jaśnie oświecony książę wyszedł na dwór i wskoczył na konia i przeskoczył przez płot, nie czekając, aż otworzą bramę. Zamieć zatarła wszelkie ślady. Młode zbiry skrobały się po głowach i na wszelki wypadek obszukały dom. Tantala denerwowała się, rzucając co pewien czas na mnie pytające spojrzenia. Chciałaby się dowiedzieć, czy nie zadusiłem

wysoko urodzonego młokosa i nie zakopałem w zaspie. Reszta nie wiedziała niczego o nocnym wydarzeniu. Barian w końcu podjął decyzję i nie patrząc na mnie, kazał Musze wyprowadzić konie ze stajni.

Na szczęście zabijacy nie wpadli na to, by przeszukać chlew. Miałem szczerą nadzieję, że młody szlachcic wciąż żyje i nie zadławił się nieczystościami. Inna sprawa, że parobek doglądający trzody w każdej chwili mógł znaleźć więźnia i trudno było wyobrazić sobie, czym by się to wszystko skończyło.

W końcu, ku ogólnej radości, zabijacy wskoczyli na konie i uwolnili gospodę od swej obecności, oby na długo. Oberżysta westchnął z ulgą. Wiedziałem, że cieszył się przedwcześnie, więc nie chciałem tracić ani minuty.

Kiedy tylko brama zamknęła się za niespokojnymi gośćmi, zwróciłem się oficjalnie do właściciela, by zebrał w jadalni całą służbę przebywającą tam podczas przedstawienia i zaraz po spektaklu. Oberżysta zdziwił się początkowo, że komediant przemawia doń rozkazująco. Poruszyłem szczękami i mimochodem pokazałem ukrytą pod płaszczem szpadę. Właściciel zamyślił się. Wisiałem nad nim jak skała. Biedaczek był niższy ode mnie o głowę.

– Pomylił się pan co do mnie, dobry człowieku – oświadczyłem słodziutko. – Nie jestem komediantem.

To ostatecznie go przekonało. Właściciel zasępił się i zwołał służących. Okazało się, że w jadalni usługiwały trzy osoby: fertyczna dziewuszka w kokieteryjnym fartuszku, grubaska z głupkowatą twarzą i długonosa, ponura odwieczna stara panna.

– O co chodzi, jaśnie panie? – zapytał oberżysta, zerkając groźnie na posługaczki. – Poniósł pan stratę? Ktoś pana okradł?

– Znajdował się tu pewien przedmiot – odrzekłem, wpatrując się badawczo w twarze trzech kobiet. – Srebrna pamiątka po przodku. Być może spadła na podłogę. Być może któraś z was ją podniosła i wzięła sobie, nie wiedząc, do kogo należy. Nie mam nikomu za złe. Proszę tylko o zwrot. Nie jest zbyt cenna, lecz ma dla mnie wartość pamiątkową.

Oberżysta chrząknął i przeczesał brodę. Grubaska wzruszyła ramionami, długonosa westchnęła ciężko, dziewczyna z prawdziwym smutkiem wpatrywała się w podłogę.

– Ale przecież – zaczął ostrożnie właściciel – szanowny panie, tu wczoraj było takie zamieszanie… Mógł ją podnieść któryś z tych… znakomitych gości. Po prostu w pijanym widzie…

A jeśli nawet nie, było tu tyle śmieci, że mogła zostać zamieciona przez nieuwagę. Może poszuka pan na śmietniku?

Jeśli w pytaniu kryła się drwina, to była ukryta głęboko. Pomyślałem z lękiem, że oberżysta może mieć rację. Czy będę musiał

grzebać w odpadkach?

Zostawię to Tantali, zdecydowałem w przystępie rozdrażnienia. Też mi wielka aktorka…

Rozdrażnienie zniknęło pod presją wyrzutów sumienia. Potarłem podbródek, zaglądając kolejno w oczy trzem sługom.

– No jak, panienki? Rzecz łatwa do zauważenia, duża, ze srebra…

– Mówił pan, że nie jest cenna – parsknęła najmłodsza. – A teraz okazuje się, że duża…

– Mogę dopłacić – odrzekłem miękko. – Kto ją odda, dostanie ode mnie nagrodę w złociszach. Zapamiętacie?

Gruba znowu wzruszyła ramionami. Długonosa łypnęła okiem na oberżystę.

– Panie… robota czeka… potem nas wypytacie.

Właściciel nachmurzył się.

– Jaśnie panie… nikt tego nie widział i nie znalazł. Może zabrał któryś z gości, może wpadła w szparę. Niech pan szuka. Nie trzymamy kradzionych rzeczy, to uczciwy zakład, żaden z gości się dotąd nie skarżył. Proszę wybaczyć, szanowny panie.

Wymownym gestem odprawił służące.

Podniosłem oczy. U szczytu schodów obserwowała nas pobladła, oniemiała Tantala.

Czas uciekał. Sytuacja stawała się coraz bardziej konfliktowa. Barian nie chciał dłużej czekać, ja zaś nie zamierzałem ruszać w drogę, dopóki nie odnajdę podarunku Damira. Trzeba było przyznać, że z każdą godziną nadzieja stawała się coraz bardziej nikła. W chlewie miotał się i wył przez knebel nie przywykły do takich przebudzeń książę. Tantala chodziła jak błędna. Barian, bez żenady, pociągnął ją za sobą. Dobrze go rozumiałem.

Czerwony na buźce Mucha oznajmił, że „można jechać".

– Jedź – powiedziałem do Tantali. – Nie obawiaj się o Alanę. Jestem w końcu jej mężem.

Tantala milczała. Na policzkach miała nierówne, nerwowe wypieki.

Nie wiadomo, czym by się to wszystko skończyło, gdyby w tej chwili właściciel nie postanowił przeprowadzić rewizji… ale nie w chlewie. W wymiecionej do czysta jadalni. Zdarzyło się tak, że wodząc palcem po jednym ze stołów, natrafił na plamę tłuszczu. Staliśmy z Tantalą na podeście schodów i oboje wzdrygnęliśmy, słysząc przenikliwy krzyk:

– Mira! Kinda!

Do jadalni wbiegły dwie służące, dziewczyna i grubaska, obie wystraszone albo udające strach. Właściciel uniósł nad głową brudny palec jak katowskie narzędzie.

– Co to ma być?! Kto to wycierał, pytam?! Posługaczki zadrżały.

Oberżysta chwycił wolną dłonią grubaskę za kołnierz i pchnął nosem na blat stołu, na tyle mocno, że tamta zajęczała:

– To nie ja! To Mira!

– Co to ma być?! – powtórzył gospodarz, łapiąc za kołnierzyk Miry.

W tym momencie się stało.

Dziewczyna, widocznie przyzwyczajona do takich sytuacji, sama zrobiła krok w stronę stołu, nie czekając, aż dotknie blatu noskiem. Nawet się pochyliła, jakby przedłużając ruch właściciela. Okazało się jednak, że nikt jej nie popycha. Ręka oberżysty ześliznęła się bezsilnie z kołnierzyka.

Karczmarz niczego nie rozumiał. Rozgniewał się jeszcze bardziej i znowu spróbował, z tym samym rezultatem. Mira zerknęła ze zdziwieniem, czemu gospodarz ją oszczędza. Tłusta Kinda zajmowała się tylko swym nadwerężonym nosem. Stojąca przy mnie Tantala cicho westchnęła.

Zbiegłem w dół, przeskakując po trzy stopnie. Zanim właściciel zdołał opanować rozbiegane oczy, chwyciłem Mirę za rękę i zasyczałem prosto w wystraszone liczko:

– Oddaj, bo cię zabiję.

Dłoń dziewczyny jakby sama z siebie powędrowała za gorset i już po chwili szpila Damira znalazła się w mojej dłoni.

– Łajdaczka – rzekłem czule.

W tej chwili właściciel oprzytomniał. Być może wcale mnie nie zauważył, a w każdym razie nie zrozumiał, co się stało, jego posługaczka pierwszy raz w życiu wywinęła się spod karzącej ręki i nie mógł tego znieść. Rozwścieczony, złapał, tym razem bez problemu, za kołnierzyk i walnął nią o stół tak, że blat zatrzeszczał, a Mira straciła dech. Na kokieteryjny fartuszek kapnęła krew z rozbitego nosa.

– Ja ciebie!…

Zapewne kontynuowałby egzekucję, gdyby moja dłoń nie opadła ciężko na jego ramię.

– Nie znoszę, kiedy w mojej obecności bije się kobiety.

Karczmarz pobladł. Odwróciłem się i podszedłem do Tantali, ciągle stojącej na schodach i patrząc w jej okrągłe oczy, oznajmiłem sucho:

– Jedziemy.

Pogoda trwała jak w opowieści zimowej. Wczorajsza zamieć wybieliła drogę, dzisiejsze słońce odbijało się srebrnymi iskrami w śniegowych płatkach, igrało na lodowych soplach, aż bolały od tego oczy. Koniom było ciężko. Barian, Fantin i Mucha co jakiś czas popychali któryś z wozów z moją pomocą. Najpierw zerkali na mnie ze zdziwieniem, potem z szacunkiem. Nie potrafiłem grać na scenie,

lecz siłą ramion mogłem prześcignąć nawet młodego, zdrowego Muchę.

– Czym władza różni się od siły?

Powiedziałem to półgłosem, bo nie chciałem, by naszą rozmowę usłyszała jadąca w wozie Alana.

Tantala westchnęła przeciągle. Brnięcie przez śniegi dawało jej się we znaki.

– Władza – podjąłem, mrużąc powieki od śnieżnego blasku. – Może ją mieć pan nad służącą. Czanotaks ma władzę magiczną nad nami. Można podejrzewać, że przed dysponującym tylko tępą siłą rozbójnikiem ta broszka nas nie ochroni?

Tantala podejrzliwie spojrzała na przydrożne krzaki, jakby obawiała się, że na potwierdzenie moich słów zaraz wyskoczą z nich zbójcy.

– Kiedy twoi chłopcy rzucili się na mnie ze szpadami – kontynuowałem, ciągle półgłosem – także nie mieli władzy, tylko siłę. Tantalo, kiedy siła staje się władzą?

Moja towarzyszka milczała. Pogładziłem szpilę, przyczepioną do mego rękawa.

– Wiem już, dlaczego przydarzyło ci się coś takiego. Nie trzeba bronić się przed Czarno, tylko…

Tak na mnie spojrzała, że urwałem. Długo jednak nie mogłem milczeć.

– Pomyśl sama. Czy jest jakikolwiek sens w tym, że udajemy aktorów? Nie chciałbym, żeby Alana…

Jednocześnie obejrzeliśmy się na wóz ze szczelnie zasuniętą kotarą.

– To nasza droga – powiedziała twardo Tantala. – Wszystko jedno, czy jedziesz z komediantami, czy w swojej karecie. Jest zima. W każdym razie… przydałaby się uzbrojona straż.

Chrząknąłem. Kto uciszył napastliwego młokosa? Kto odnalazł broszę? „Uzbrojona straż"?!

– Jak myślisz? Czarno nas wyśledził? Ta wczorajsza zadymka…

– Zima to normalne zjawisko – odpowiedziała niechętnie. – Zdziwiłabym się, gdyby kalina zakwitła…

Brnęliśmy przez ogromną równinę, ograniczoną jedynie horyzontem. Niebo trwało nad nami jak błękitny, błyszczący klosz.

Rozdział jedenasty

Minął tydzień i moja obawa, którą nie podzieliłem się nawet z Alaną, zamieniła się w realną nadzieję. Komedianci po cichu dziwili się mojej bezprzedmiotowej wesołości. Gotów byłem wręcz wyjść na scenę i coś na niej zatańczyć albo zaśpiewać. Nawet przejść się z marchewką, jak Mucha. Wyszłoby mi to wcale nie gorzej, tym bardziej, że w trakcie podróży zdążyłem nauczyć się nie tylko jego roli, ale także tekstów Bariana, Fantina i Dinki.

Tantala nie dała się więcej ubłagać do kolejnego występu. Dinka cieszyła się cichcem i starała się godnie ją zastąpić. Trzeba dodać, że ogólnie była niezła, zwłaszcza w rolach tragicznych. Wcześniej uważałbym, że tak grają wszystkie lepsze aktorki, gdyby nie sceniczny kaprys Tantali…

Nie wiem, czy było to spotkanie przypadkowe, czy też przyłożył do niego rękę Czanotaks Oro. Nie udało mi się tego stwierdzić. Pewnego wieczoru, kiedy na podwórku karczmy odbywał się spektakl, zaszedłem do ciepłej jadalni i zamówiłem dzban wina.

Posługaczka, stawiająca przede mną napitek, wydawała się nieszczęśliwa i czymś udręczona. Płacąc jej, mimo woli spojrzałem jej w twarz i nie uwierzyłem własnym oczom. Minęło ponad pół roku. Kobieta, wyglądająca kiedyś jak rumiane jabłuszko, przypominała teraz zgniły pomidor. Dziwne, że nie poznała mnie od razu. W pierwszej chwili zaniepokoiłem się, że ja także zmieniłem się niekorzystnie, lecz szybko uświadomiłem sobie, że biedaczka po prostu nie zwraca uwagi na twarze klientów, odwracając ze strachem oczy.

– Tisa – powiedziałem półgłosem.

Tisa Materac zadrżała. Spotkała się ze mną wzrokiem i zbladła, zaciskając usta.

– Kiepsko? – spytałem ledwie słyszalnie.

Odwróciła się.

– Myślę, że z panem też chyba kiepsko. Słyszał pan o zbójcy. Mówią, że utonął w wychodku…

– Słyszałem, że w kałuży – odparłem zawiedziony.

Zaszlochała. Potrzebowałem kilku sekund, żeby podjąć decyzję.

– Nie płacz, Tiso. Mam sprawę.

W czasie, jaki minął od Wyroku, próbowała imać się różnych zajęć. Fatalna reputacja kobiety lekkich obyczajów szła za nią jak zły cień. Wszyscy, do których się zwracała, sklepikarz, domokrążca, czy rzeźnik, uważali, że mogą ją traktować jak swoją własność. Wyrok Sędziego pozostawał w mocy i męskie zakusy przysparzały jej tylko cierpienia. Nie mogła nigdzie zagrzać zbyt długo miejsca. Kolejni

chlebodawcy przeganiali ją, ponieważ, otępiała z bólu, nie obdarzała ich wystarczająco swymi wdziękami. W końcu wylądowała w przydrożnej gospodzie, gdzie zarządzała wszystkim surowa gospodyni, która trzymała męża pod pantoflem.

Tisa żyła tutaj całkiem dobrze, jeśli nie wziąć pod uwagę szorstkiego siennika, marnego jedzenia i rugania oberżystki. Najbardziej jednak doskwierała jej przymusowa cnotliwość, z czego zwierzyła mi się szczerze, jako towarzyszowi niedoli.

Z trudem opanowałem ogarniające mnie podniecenie. Tej nocy należało przekonać się, gdzie kończy się władza, a zaczyna siła. Jak to mówiła w swoim czasie biedna Tisa? „Czy widma mogą mieć nad nami władzę?"

Opowiedziałem jej o wszechmocnym magu, który bez trudu może ją uwolnić od Wyroku Sędziego. Podałem Kliwiego za przykład. Oczy kobiety rozszerzyły się jak u naiwnego dziewczątka. Nie powiedziałem jej, że Kliwi w końcu wylądował na galerach. O sobie rzekłem mimochodem, że rocznicę Nocy Sądu uczczę w kompanii przyjaciół, niczego się nie obawiając. Niewiasta przełykała łzy, gotowa błagać mnie o pomoc, kiedy złożyłem jej propozycję. Czarodziej dał mi magiczny przedmiot, który zapewne uchroni od klątwy każdego, kto ją nosi. Tisa, ciężko dysząc, zgodziła się wziąć udział w eksperymencie.

Karczmarka spoglądała ku nam nieżyczliwie, stojąc na progu kuchni. Nieszczęsna posługaczka zaszemrała coś pokornie w jej stronę, wciskając głowę w ramiona i smyrgnęła w cień jak myszka. Konwulsyjnie zacisnąłem pięści pod stołem.

Najlepiej byłoby, gdybym osobiście odegrał rolę „eksperymentatora". Na samą myśl o tym robiło mi się jednak słabo. Nie to, żebym miał jakieś skrupuły, ale jednak… Tisa Materac…

Siedziałem ponury za stołem, wspominając mimo woli kobiety, które wzbudziły moje zainteresowanie. Lustrowałem w myślach jedną po drugiej, dochodząc do wniosku, że mam dobry gust. Każda, którą kochałem, miała w sobie coś pikantnego.

Pobocznym efektem moich wspomnień była nieoczekiwana reakcja cielesna. W końcu od pół roku nie miałem kobiety…

A na dodatek wraz ze mną wędruje legalnie poślubiona małżonka.

Po kolacji Tantala oznajmiła, jakby od niechcenia:

– Nocujemy dziś po królewsku. Kazałam Barianowi nie szczędzić gotówki. Wyobraź sobie, najął trzy najlepsze izby! Dawno chciałam porozmawiać z Dinką na osobności. Widziałeś, jak mi zazdrościła.

Doskonale rozumiałem, że nie chodzi o zawiść Dinki. Tantala chciała sprawić, aby młodzi małżonkowie mogli wreszcie spędzić ze sobą noc.

Wieczorem Alana wcześniej udała się do pokoju, ja zaś siedziałem

ciągle za stołem, przebierając nerwowo palcami po srebrnej szpilce. W gospodzie ucichł gwar, groźna gospodyni poszła już spać, gdy zjawiła się roztrzęsiona Tisa z gorączkowymi rumieńcami, oznajmiając, że „wszystko już umówione".

Dzięki Niebiosom. Dobrze, że nie przyprowadziła go ze sobą. Patrząc w jej płonące oczy, przez chwilę się zaniepokoiłem: czy zdołam odzyskać broszkę? Naturalnie, w razie sukcesu. A co będzie, jeśli ona nie zechce zwrócić artefaktu dobrowolnie, skoro jak wiadomo, żadna siła nie może oderwać go od aktualnego nosiciela?

– Tylko jak ją przypiąć w łóżku? – zastanawiała się praktycznie Materac, obracając w palcach podarunek Damira. – Spora jest…

– To twój problem – odrzekłem łaskawie. – Pamiętaj tylko, jeśli ją zgubisz, mag zjawi się osobiście, więc uważaj…

Tisa drgnęła i nerwowo przełknęła ślinę.

Alana stała u okna, patrząc w zamarznięte szyby. Odezwałem się do niej cicho. Odwróciła do mnie twarz, która na mgnienie przypomniała mi zimny dom Czanotaksa i wyraz twarzy urażonej dziewczynki…

– Smucisz się?

Pokręciła głową.

– Nie… Te wzory na szybach. Wydają mi się dziwne. Chwilami zdaje mi się, że stoję na zewnątrz i zaglądam do okna, a tam…

Zamilkła.

– Co tam? – zapytałem, podrzucając drwa do kominka.

– A tam stoi człowiek – wymamrotała, patrząc na zamarznięte szkło – i uśmiecha się… To Czarno. Patrzy na nas.

– Bzdura – odparłem z przekonaniem. – Po co była ta cała maskarada? Odjechaliśmy bardzo daleko, nie dosięgnie nas…

– Czyżby? – zdziwiła się smutno Alana.

Przypomniałem sobie, jak dłoń Czarno Tak Skoro dosięgała mnie w samym mieście. Miałem wtedy jednak zdradliwy zamszowy woreczek…

– Nie ma nad nami władzy – rzekłem twardo, najmocniej jak umiałem.

– Niech Tantala nie idzie do niego – poprosiła ponuro. Jej twarz zbielała, jak śnieg za oknem. Oderwawszy się z trudem od framugi, poszła powoli w stronę łóżka, usiadła na krawędzi. Przy świetle kominka spostrzegłem, że jej oczy są wilgotne.

– Coś ty… Ona nie pójdzie, nie ma takiego zamiaru, ale jeśli chcesz, powiem jej…

Palce Alany zacisnęły się na skraju prześcieradła.

– Niech nie idzie. Nie powinna. Tam… jest strasznie. Cały czas mi się zdaje, że wciąż stamtąd nie wróciłam. I zostanę tam…

– Alano, coś ty!

Usiadłem przy niej i objąłem drżące ramiona. Pogładziłem splątane włosy.

– Daj spokój, nie puścimy cię więcej tam. W ogóle nigdzie. Będziemy razem…

Pachniała dzieckiem. W końcu była zmęczonym, wystraszonym, osłabionym dzieckiem. Szepcząc czule i gładząc włosy, powolutku zdejmowałem z niej ubranie, podczas gdy moja chuć wyrywała się z pęt, tętniła wzburzoną krwią, poganiała mnie akurat wtedy, gdy nie należało się spieszyć…

– Będziemy razem… na zawsze. Ja ciebie…

W dole rozległ się hałas. Alana natychmiast stężała, przysłuchując się. Chciałem ją uspokoić i sprawić, by zapomniała o wszystkim, gdy wtem ktoś zakołatał brutalnie do drzwi naszego małżeńskiego gniazdka.

Tak.

Zacisnąłem zęby, znalazłem w kącie szpadę, narzuciłem kurtkę na gołe ciało i ruszyłem ku drzwiom. Kimkolwiek byłby nędznik, który przeszkodził nam w takiej chwili, powinien być srogo ukarany.

Pięść nieustannie waliła. Alana okryła się kołdrą i zaciągnęła zasłonę. Jednym szarpnięciem otwarłem drzwi.

Stała za progiem ze świecą w dłoni, w samej koszuli, jak widmo.

Otwierałem już usta, lecz brakło mi słów.

– A ja uwierzyłam – rzekła gorzko Tisa zwana Materacem. – A ja… głupia… uwierzyłam…

Na deskach zabrzęczał głucho przedmiot, który rzuciła mi pod stopy. Duża srebrna broszka.

Jej twarz była wykrzywiona bólem. Dolna warga napuchła, przygryziona, a po podbródku ściekały dwie krwawe strużki.

„Eksperymentatorem" był Fantin.

Wydarzenie stało się wiadome całej trupie, chociaż Fantin powiedział tylko Musze, ten tylko Barianowi, a ten tylko Tantali, która przekazała wieść mnie. Skąd dowiedziała się Dinka, nie mam pojęcia. Co do Alany, ta znów wpadła w apatię. Zgrzytałem zębami, klnąc na czym świat stoi, skoro nie mogłem wyrwać jej spod władzy niewidzialnego omamu.

Wedle słów Fantina, łatwo zdołał dogadać się z sympatyczną posługaczką na wspólną, bezpłatną noc. Grubas z licem złoczyńcy nie miał specjalnego powodzenia u kobiet, toteż niespodziewany sukces podniósł go we własnych oczach. Służąca zaprowadziła go do pokoiku pod schodami. Była chętna i miła. Kiedy jednak doszło co do czego, kobietę jakby coś opętało. Gorący pocałunek zaowocował zdławionym jękiem. Damulka zaczęła wyrywać się jak dzika kotka, co było tym bardziej dziwne, że od niej wyszła propozycja nocnej schadzki.

Dalej wszystko poszło jeszcze dziwniej. Kiedy Fantin próbował się

zorientować, o co jej chodzi, kobieta rzuciła się ku drzwiom warcząc przekleństwami, od których zarumieniłby się stary zbójnik. Fantinowi nie pozostało nic innego, jak zabierać się z izdebki. Gdyby sytuacja zdarzyła się latem, mógłby uznać, że niefortunną kochanicę ukąsiło coś paskudnie jadowitego. Na dworze jednak była wciąż zima, a ukąszenie pchły nie daje takich efektów. Fantin gubił się w domysłach i postanowił na wszelki wypadek trzymać się jak najdalej od tej osóbki…

Kiedy Barian z Muchą, chichocząc, powtarzali sobie niefortunną przygodę kolegi, dogoniła mnie Tantala. Nie uszły jej uwagi moje przygnębienie i przypływ apatii Alany.

– Retano…

– Siła nie jest władzą – burknąłem zrezygnowany. – A czym jest prawo? Czym, jeśli nie władzą?

Tantala zerknęła na mnie podejrzliwie.

– Co to ma do…

W tej chwili wspomniałem ze strachem, że ona nic nie wie o Sądzie, ponieważ Alana całą rzecz przemilczała.

– Nie prawo, ale Sprawiedliwość – rzuciłem, patrząc w bok. – Po prostu Sprawiedliwość.

Zatrzymaliśmy się na dwa dni w sporej wsi znanej ze swoich kuźni. Zdjęliśmy koła z wozów i zastąpiliśmy je płozami. Barian sarkał, przeliczając pieniądze, lecz zimowa aura nie skąpiła śniegu w tym roku. Drogi były zawiane, jakby specjalnie, by utrudnić wędrówkę komediantów albo specjalnie na mój użytek, bym przeżył ostatnią piękną zimę…

Tantala przyglądała się mi z niepokojem.

Wozy zamieniły się w sanie, więc konie i ludzie poczuli się znacznie lepiej. Nawet Alana przejawiła coś na kształt zainteresowania, oglądając rozciągające się wokół pola z plamą lasów na horyzoncie. Zakutany w płaszcz, co pewien czas dotykałem srebrnej szpilki na rękawie. Ostatnio zaczęła mnie niepokoić. Miałem wrażenie, że noszenie podarku Damira sprawia ból, jakby stał się częścią mojego ciała i pali jak świeże skaleczenie.

Alana patrzyła na krystaliczne śniegowe płatki, zaplątane w jej futro. Według mnie, nazbyt uważnie. Zimowe wzory na szybach, podczas dwóch dni spędzonych w gospodzie, dosłownie ją przerażały.

– Wykrył nas – powiedziałem Tantali. – Czarno odzyskał moc.

Tantala wzruszyła ramionami w milczeniu.

Wjeżdżających na dziedziniec komediantów spotkały krzywe spojrzenia. Właściciel wyjrzał na zewnątrz, łypiąc ponuro i znów się schował, a po chwili zjawił się służący, któremu kazano przekazać, że nie ma tu miejsca dla parszywych cudaków.

Barian przywykł po drodze do różnych powitań na tyle, by

odpowiadać całkiem spokojnie. Owszem, są grupą aktorów i mogą zapłacić za nocleg. Czy właściciel ma coś przeciwko?

Posługacz odszedł i po chwili wrócił z odpowiedzią. Nie, oberżysta nie ma nic przeciwko, mogą zatrzymać się u niego na dzień, czy dwa, lecz nie mogą dawać plugawych przedstawień, zakazanych na ziemiach księcia Tristana pod karą więzienia. Jeśli wędrowni pajace naruszą zakaz, oberżysta pierwszy na nas doniesie.

Barian ściemniał na twarzy jak gradowa chmura. Ja zaś zadrżałem. Nie spodobało mi się określenie „na ziemiach księcia Tristana". Miałem w związku z nim niemiłe wspomnienia.

Aktorzy zbili się w ciasny krąg. Barian chciał się z nimi naradzić. Posadziłem Alanę u kominka i usiadłem obok niej pozornie spokojny. Tantala stała w pobliżu, między trupą a nami. Ni pies, ni wydra…

Jadalnia powoli napełniała się wieczornymi gośćmi. Barian zamówił wino. Ustalić granice ziem księcia Tristana okazało nieoczekiwanie trudne. Rumiana służąca wyjaśniła ochoczo, że nawet sąsiedzi nie znają ich dokładnie. Co roku obszar jego ziem rozszerza się i niejedna wioska, która była od wieków wolna, nagle okazuje się podlegać Tristanowi. Musicie jechać dwa dni w dół rzeki. Może tam kończą się włości.

Zgrzytnąłem zębami. „Jechać w dół rzeki" oznaczało, że aby szybciej dotrzeć do miasta, musielibyśmy przejechać w poprzek całe terytorium księstwa. Nie mogąc ani razu „dawać plugawych przedstawień".

– Nie damy rady – oznajmił sucho Barian. – Musimy ominąć te ziemie…

– Jak chcecie – odparłem, obserwując krągłą brodawkę na złowieszczym licu Fantina. – Omijajcie, ale bez nas.

Wargi Bariana zadrżały. Bardziej zobaczyłem, niż usłyszałem: „Znowu…"

Uniosłem dumnie głowę. Zmierzyłem go spojrzeniem herbowego szlachcica, widząc jak w oczach tamtego powraca dawny lęk przed potomkiem Rekotarsów, który lubi wdzierać się nieproszony, rozrywając kotarę…

– Pora się rozstać, Barianie – powiedziałem chłodno. – Gra skończona. Nie ma sensu się dalej ukrywać, skoro Czanotaks zdołał nas wyśledzić… Dziękuję za gościnę, lecz mam tego wszystkiego po uszy. Wynajmę karetę, a ty – zwróciłem się do Tantali – zdecyduj sama. Może znowu zechcesz grać staruchę?

Spojrzała z niejednoznacznym wyrazem twarzy. Prawdę mówiąc, spodziewałem się, że określenie „grać staruchę" urazi ją. Okazało się, że nie ma to dla niej znaczenia. Puściła moje słowa mimo uszu, gdyż niepokoiło ją coś innego. A nawet przerażało.

– Na słówko, Retano…

Alana obejrzała się ze zdziwieniem od kominka. Skinąłem jej uspokajająco. Tantala wahała się.

Barian z kolegami ponuro zapijał winem rozczarowanie i stratę finansową. Co pewien czas ktoś z nich rzucał w naszą stronę pytające spojrzenie. Szczególnie często zerkała Dinka, z pewnością pragnąca gorąco, bym zabrał Tantalę jak najdalej od trupy. Nawet nie występując na scenie, była aktorka pozostawała groźną rywalką, jak dotąd nieprześcignioną.

– On mnie wzywa – powiedziała głucho Tantala. Prośba o pomoc nie była w jej stylu. Patrzyła w bok, a jej oczy były suche i złe.

– Chce, żebym go doprowadziła do Luara. Obiecuje…

Urwała.

– Rozmawiał z tobą? – spytałem wstrząśnięty. Zamiast odpowiedzi podciągnęła rękaw. Na cienkim nadgarstku został ślad: pięć okrągłych krwistych śladów pięciu palców.

– Sukinsyn – zaświszczałem przez zęby.

– Chce, żebym wróciła – podjęła z wymuszonym uśmiechem.

– Grozi ci?

– Nie… Jest bardzo grzeczny. Bardzo przekonujący. Opuściła rękaw. I bez tego rzucano na nas krzywe spojrzenia.

Teraz ja się zawahałem.

Prawdę mówiąc, gdyby nie przypadek ze zgubioną broszką… Tantala do tej pory byłaby przez nią chroniona. Czarno Tak Skoro nie dosięgnął by jej. Teraz jest mu potrzebna, jako narzędzie, podczas gdy Alana stała się zużytym materiałem.

Drgnąłem i obejrzałem się.

Alana wciąż siedziała u kominka. Nie było widać jej twarzy i z boku wydawało się, że w fotelu siedziała zgarbiona, pokurczona staruszka. Pogrążona w totalnej apatii.

Zużyty materiał. Jakie wstrętne określenie.

Trzeba jechać jak najszybciej do domu jej rodziców, pomyślałem bystro. Tam się uspokoi, tam… Niebiosa widzą, że robię wszystko, by odkupić swą winę. To przecież ja oddałem ją w ręce Czarno… ja sam.

– Retano…

Nie odrywając oczu od skurczonej figurki Alany, namacałem szpilkę na mankiecie. Odpiąłem ją nie bez wysiłku, ale też z ulgą, jak starą drzazgę.

– Masz. Noś ją.

To był błąd, obdarowywać ją biżuterią na oczach całej oberży. Tantala zacisnęła wargi, nie spiesząc się, by przyjąć podarek. Przekleństwo, nie mogę przecież tak stać z wyciągniętą ręką. Miałem już ochotę cofnąć decyzję i przyszpilić z powrotem artefakt.

– Weź – powiedziałem ze złością. – Na co czekasz?

Moja arogancja powinna była stłumić małoduszność. W końcu ją

wzięła. Przewróciła w palcach, jakby wyceniając, w końcu wyciągnęła w moją stronę.

– Nie.

Nie wierzyłem własnym uszom.

– Nie – powtórzyła.

Zdziwiłem się, widząc jak drży jedna z jej powiek.

– To jest…

Głos jej drżał. Znowu się mocno wahała. Pokonałem jej wątpliwości, wciskając broszkę w rozedrganą dłoń.

Alana zasnęła przy kominku, musiałem wziąć ją na ręce i zanieść do naszej izby. Podnosząc ją z fotela, szybko się zorientowałem, że osoba jej wzrostu nie może tak mało ważyć.

Nie obudziła się. Blade powieki były mocno zaciśnięte, choć pod cienką skórą miotały się gałki oczne.

Co się z nią stało?

Gasła. Wielkie nieba, topniała jak świeca, uciekając w dręczący sen. Wargi zaciskały się boleśnie…

„Niech Tantala nie idzie do niego".

„Chce, żebym go doprowadziła do Luara".

„Niech nie idzie. Nie powinna. Tam jest strasznie. Cały czas mi się zdaje, że wciąż stamtąd nie wróciłam. I zostanę tam…”

– Alano?

Nie zbudziła się.

Położyłem ją na łóżku. Usiadłem obok, ściskając dłonie, lecz ona nie słyszała mnie ani nie czuła dotyku. Zszedłem więc na dół, zamówiłem wino, postanawiając spić się do nieprzytomności.

Dlaczego Tantala nie chciała wziąć broszki?

Przecież to ona namówiła nas do ucieczki. To właśnie ona, jak sądziłem, najbardziej bała się Czanotaksa…

Co on jej, do licha, powiedział? Co obiecał?

– Retanaar Rekotars?

Drgnąłem.

Było ich dziesięciu. Spod kusych płaszczyków wystawały błyszczące napierśniki z herbem. Żołnierze. Strażnicy. Nigdy nie lubiłem strażników.

– Proszę oddać szpadę, panie Rekotars. Jest pan aresztowany.

Moja szpada została na górze, tam, gdzie spała Alana.

– Jest pan aresztowany!

W takich razach najlepiej uśmiechnąć się głupawo, rozłożyć ręce i pytać: „O co chodzi?"

Uśmiechnięty głupawo chlusnąłem w kapitana niedopitym winem. „Zalałem mordę", jak to mówią nieszczęsne żony pijaków. W mgnieniu oka błyszczący napierśnik znalazł się tuż przed mymi oczami. Herbowa bestia okazała się w połowie lwem, w połowie

wilkiem, dzierżąca w każdej łapie wielki nóż.

Nie było czasu się zastanawiać. Blat stołu jęknął pod mym ciężarem, pechowy widelec wygiął pod obcasem… Roztrącając kubki, przeskoczyłem na sąsiedni stół i na kolejny, ponad lękliwie schylonymi głowami. Byle do drzwi…

Nad drzwiami wisiały jako ozdoba dwa skrzyżowane kindżały. Czekał tam również na mnie barczysty, wąsaty strażnik z dobytym orężem, czujnie uśmiechnięty.

Miałem już do czynienia z takimi, wszystko jedno, wąsatymi, czy nie…

Wystarczy skakania po stołach. To wprawdzie efektowne, lecz grozi wysokim rachunkiem za potłuczone naczynia.

Umknąwszy przed rozmazanym ciosem stali, walnąłem strażnika pięścią w brzuch. Nie zamierzałem nikogo uszkodzić. Bójka w tawernie to normalka, lecz uganianie się za bezbronnym, to doprawdy niegodne…

Czułem słony smak w ustach. Tak bardzo chciałem, by się coś zdarzyło, po tej monotonnej wędrówce, w poczuciu słabości wobec potężnego maga, po tym, jak moja rodowa szpada rozpuściła się, pozostawiając w mej dłoni rękojeść…

Ciężkie krzesło? Doskonale!

Dwaj strażnicy padli pod lecącym na nich meblem. Zdążyłem pomyśleć, że dobrze by było przedostać się do kominka i zdobyć pogrzebacz. To by było świetnie. Jeśli jednak odetną mi drogę ucieczki, nie pomoże nawet pogrzebacz.

Wąsaty strażnik, który tarasował drzwi, odsłonił żółtawe zęby. W tym momencie dziwnie przypominał bestię herbową z ryngrafu. Jego ruchy zdradzały doświadczonego wojaka. Uśmiech był złowieszczy. Nagle drzwi za jego plecami rozwarły się na oścież, pchnięte zawadiackim kopniakiem.

Wąsacz zdumiał się, gdy poczuł na plecach podmuch zimowego wiatru i mocne kopnięcie. Bez trudu uchyliłem się przed chybionym atakiem, odepchnąłem rumianego wyrostka, buchającego kłębami pary, podskoczyłem i zerwałem ze ściany kindżał, pierwszy, jaki wpadł mi w ręce. Nie miałem czasu wybierać.

Zacisnąłem dłoń na rękojeści.

Stali jak gdyby murem. Dziesięciu zuchów w błyszczących napierśnikach, wspomagani mocą bestii herbowej. Byli rozgniewani. Któryś pocierał bok, inny szczękę. Patrzyli na mnie, wypatrując słabe punkty. Za ich plecami miotali się spłoszeni goście. Kompletny zamęt, jakaś kobieta przenikliwie piszczała, ot tak, byle sobie pokrzyczeć…

Może hałas zbudził Alanę? Siedzi teraz na łóżku w ciemnej izbie, przeciera oczy, lękliwie się przysłuchując?

Nie uciekniesz, mówiły chmurne lica strażników.

Odwaga, która zmusiła mnie do skakania po stołach, gdzieś znikła.

Może bym jednak uciekł, ale tam, na piętrze, zbudziła się moja żona. A nieopodal w kącie zbili się w wystraszoną gromadkę Barian, Tantala, Mucha, Fantin, Dinka…

Ciągle czułem słony smak w ustach. Teraz był jednak nieprzyjemny, jakby metaliczny.

– A właściwie to o co chodzi?

Strażnicy rozstąpili się. Kapitan wyszedł na czoło. Jego napierśnik był zalany winem i wydawało się, że herbowa bestia zaraz zacznie zlizywać czerwone krople.

– Chciałem oddać broń – rzekłem pojednawczo – ale żadnej nie miałem. Teraz mam. Proszę, weźcie.

Wyciągnąłem ku niemu kindżał rękojeścią do przodu. Strażnicy zrobili krok w moją stronę, dysząc pragnieniem zemsty. Kapitan powstrzymał ich rozdrażnionym gestem.

– Panie Rekotars, jest pan aresztowany w imieniu księcia Tristana!

Wydało mi się, że oczy Tantali padły na moje oblicze jak monety na twarz nieboszczyka.

– Ale za co, kapitanie?!

– W imieniu księcia Tristana! Jest pan oskarżony o zabójstwo szlachetnego Reggi Dera w zakazanym pojedynku! Brać go!

Chwycili mnie mocno za ramiona.

Na kolanach pielęgniarki leżała otwarta książka, lecz kobieta nie czytała. Patrzyła tępo w kominek, chmurząc się od własnych myśli. Ledwie słyszalne pukanie do drzwi sprawiło, że się poruszyła. Wchodząc do środka, Egert Soll złowił napięte, wręcz wystraszone spojrzenie. Być może obawiała się, że zarzucą jej niesolidność. Pułkownik był bardzo wymagający, kiedy sprawa dotyczyła pani Soll.

Toria siedziała w fotelu. Codziennie ubierano ją i czesano, potem sadzano u kominka i czytano jej na głos. Pani Soll pozostawała obojętna, w najlepszym wypadku uśmiechała się i kiwała głową. Wszyscy w domu wiedzieli jednak, że jakikolwiek błąd w uczesaniu albo ubraniu oznaczał natychmiastowe wymówienie dobrze płatnej posady.

Pielęgniarki nie rozumiały książek, które głośno czytały. Były to dzieła naukowe z biblioteki Uniwersytetu. Egert miał nadzieję, że pod bezmyślną maską w umyśle Torii tli się jeszcze jakaś iskierka zrozumienia i robił wszystko, żeby nie zgasła.

Obecnie pielęgniarka zaniedbała obowiązki. Może zaschło jej w gardle, a może zmęczyły ją niezrozumiałe słowa i skomplikowane frazy. Soll nie miał zamiaru jej napominać. Była dobrą kobietą i szczerze współczuła swej podopiecznej. Miała prawo czuć się czasem

zmęczona, to w końcu nie grzech. Pułkownik odesłał kobietę skinieniem głowy. Zniknęła szybko i bezszelestnie. Tylko ciężka księga, odłożona na biurko, szczęknęła zamkiem oprawy.

Soll zerknął na pożółkłe strony. Pamiętał, jak dawno temu Toria tłumaczyła mu różne kwestie, wodząc palcem po kolejnych wersach. Zanim wzięli ślub, zanim sama myśl o takim obrocie sprawy zaczęła się zdawać możliwa.

– Witaj, Tor – powiedział prawie wesoło.

Toria uśmiechnęła się i skinęła głową. Znał na pamięć te wszystkie uśmiechy. Wydawały się sztucznie przyklejone do smutnej, pięknej niegdyś twarzyczki.

W niewielkim półmisku leżało jabłko. Na ostrzu noża błyszczał odblask ognia z kominka. Egert westchnął. Biało-różowy owoc rozpadł się na dwie równe połówki, ostrze noża zabrudziło się sokiem. Pułkownik dalej kroił, drobiąc na coraz mniejsze kawałki, nie zwracając uwagi na lepką ciecz spływającą po palcach.

Pielęgniarkom płacono za milczenie. Egert wiedział jednak, że całe miasto plotkuje o nieszczęściu pułkownika Solla, którego żona oszalała jakieś trzy lata temu i wymaga stałej opieki.

Machinalnie oblizał palce. Gest niezbyt licujący z jego arystokratycznym pochodzeniem i wysokim stanowiskiem. Co więcej, oblizał też ostrze noża. Obrana skórka jabłka skręcała się biało-różową serpentyną na półmisku.

Nawet te służące, które pamiętały panią Torię z lepszych czasów, widziały tylko piękną, bezrozumną kobietę w fotelu z wysokim oparciem. Nawet Alana nie wiedziała, co odczuwał jej ojciec, wchodząc do tego pokoju.

Tym bardziej, że prawie nigdy nie okazywał swoich uczuć.

Jabłko było słodko-kwaśne. Jak twarz Torii tego ranka, kiedy Oblężenie stało się cieniem przeszłości, gdy przebywali w podmiejskiej rezydencji z trzynastoletnim Luarem i Soll, widząc jej napięcie, nie mógł zrozumieć, jakie zmartwienie ściąga jej cudowne brwi, jaki lęk (czy na pewno lęk?) kryje się w pociemniałych oczach. Pamiętał, że zapytał wtedy:

– Piłaś coś, Tor?

Słodko-kwaśny smak…

Zamrugała jak przyłapana na czymś uczennica. Całe pół godziny walczył z jej strachem i przekorą, ona zaś wymykała mu się z rąk jak rybka. Kiedy w końcu wyznała prawdę, on, bohater Oblężenia, naczelnik straży miejskiej, z dzikim wyciem wybiegł z domu, chwycił podrostka Luara, posadził go na daszku szopy i wystraszywszy śmiertelnie chłopaka, pobiegł dookoła dziedzińca.

Dziewięć miesięcy później urodziła się Alana. Poród przeszedł bez komplikacji. Soll był przekonany, że zły los, prześladujący wcześniej

jego żonę, został pokonany…

Włożył słodko-kwaśny kawałek jabłka w jej półotwarte usta.

Robił to już nie pierwszy raz. Trzy lata temu, dziesięć, dwadzieścia… Twierdził, że karmiąc żonę z ręki, oswaja ją, choć akurat Toria nigdy nie dała się do końca oswoić.

– Źle nam bez ciebie, Tor. Wróć do nas.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

Przestał czuć smak jabłka.

Przez chwilę pomyślał, że nigdy więcej nie usłyszy jej głosu i nie zobaczy ironicznego błysku w jej oczach.

Według mnie książę Tristan miał obsesję na punkcie prawa.

Dwie doby spędzone w areszcie poświęciłem na lekturę grubego tomu, zaczytanego do ostatka. Książka traciła kartki, niczym drzewo jesienne liście. Był to kodeks przestępstw i kar stworzony przez władcę.

Przestępstwa i kary rozpisane były w dwóch kolumnach. Na marginesach kwitły czarne kwiaty i rozwierały dzióbki pięknie wyrysowane ptaszki. Książę miał dziwne poczucie humoru albo chciał dać do zrozumienia, że świat pozbawiony przestępców zamieni się w raj pełen kwiatków i ptaszków.

Dziewica z klasy średniej spotykająca się dobrowolnie z mężczyzną, który nie jest jej krewnym ani opiekunem, uznana będzie za cudzołożnicę i zostanie publicznie pozbawiona dziewictwa…

Tfu!

Moje przestępstwo było dość oczywiste: zabroniony pojedynek ze skutkiem śmiertelnym karany był „wrzuceniem do żmijowej jamy". Próba uniknięcia aresztowania nie miała jakby znaczenia, byłbym skazany tak, czy owak. Pozostawała słaba nadzieja, że uda mi się wykazać, iż nie brałem udziału w pojedynku. Na wniosek sądu wezwano dwoje świadków.

Pierwszym z nich była Ewelina Krod.

Wdowa po człowieku, o którego śmierć mnie obwiniała, mocno zmieniła się w ciągu pół roku. Zielone oczy przygasły, jasnorude włosy straciły blask, wspaniałe kształty obwisły. Jedyne, co się okazało niezmienne, to ostentacyjne bogactwo, uwidocznione w licznych klejnotach, rozsianych na brokatowej sukni i złotym grzebieniu w wysokiej fryzurze.

Oskarżona o skalanie pamięci męża traciła tym samym prawo do dziedziczenia majątku, uczyniła zatem jedyny możliwy w jej sytuacji krok: wyszła za nowego spadkobiercę, łysawego i zezowatego Taggi Kroda. Małżeństwo z rozsądku.

– Poznaje pani tego człowieka, pani Krod? – zapytał sędzia, młody człowiek o twarzy śniętej ryby.

Ewelina zerknęła na mnie spod oka. Najciekawsze, że wcale nie

musiała kłamać. Była głęboko przekonana, że to ja zakłułem jej nieznośnego zazdrośnika.

Jak wtedy krzyczała? „To on zabił Reggi, chciał i mnie zamordować!"

– Tak – potwierdziła bezbarwnym głosem. – To on. Zabił mojego męża.

– Dziękuję, pani Krod – rzekł sędzia, z trudem powstrzymując ziewanie.

Drugim świadkiem był…

Zadrżałem.

Niezdrowo ziemiste oblicze. Tym bardziej blade, niż podczas naszego pierwszego spotkania, kiedy było tak zielono i słonecznie, że aby uchronić twarz przed opaleniznę, osobnik ten nosił wielki kapelusz z szerokim rondem.

Uśmiechnął się krzywo w odpowiedzi na moje zaskoczone spojrzenie. To właśnie był człowiek, który pokonał w pojedynku męża Eweliny, która, swoją drogą, o mało nie została moją żoną.

– Bez wątpienia – rzekł człowiek w czerni. – Byłem niedaleko, poiłem konia w strumieniu. Tak. Poznaję go.

Przysługiwało mi ostatnie słowo oskarżonego.

Mogłem się upierać, że „to nie ja". Prosić o łaskę, do znudzenia powtarzać, jak było naprawdę i próbować wskazać prawdziwego zabójcę.

Wszyscy patrzyli na mnie wyczekująco. Drugi świadek nawet się uśmiechał. Ciekawe, że gdyby moja klacz nie parsknęła we właściwej chwili, blady jegomość od pół roku spoczywałby w mogile, a wąsaty pan Der nadal wyzywałby na pojedynki. Książęce prawo miał widać za nic.

– Nie mam niczego do powiedzenia – oświadczyłem dumnie.

Zostałem zaszczycony zdziwionym spojrzeniem człowieka w czerni.

Egzekucja została wyznaczona na następny dzień. Kat wyprosił jednak dobę zwłoki. Okazało się, że nie miał przygotowanej „żmijowej jamy", ponieważ wszystkie żmije śpią zimą.

Byłem w dziwnym otępieniu. Jakby to nie mnie sądzili, jakby nie dla mnie kat miał szykować jamę. Mój los się dopełnił. W ciasnej celi, trzeba przyznać, nie było pcheł ani wszy, ani karaluchów. Najwidoczniej książę Tristan wydał rozkaz, że insekty nie mają prawa grasować w więzieniu.

Miałem nadzieję, że Barian ze swoją trupą nie porzucą na pastwę losu Tantali i Alany. Że dostarczą w końcu do domu Sollów tę parę młodych wdów i że los będzie dla nich łaskawszy. Co do mnie, czułem niemal ulgę. Nie ja będę odpowiadał za to, co stanie się po mojej śmierci.

Zauważyłem pomyłkę, gdy wyciągnąłem zza pazuchy drewniany kalendarzyk. Kiedy zaznaczyłem, niemal machinalnie, przeżyte dni, a potem, poruszając wargami, przeliczyłem jeszcze nieprzeżyte, zadrżałem z gniewu, ponieważ powinienem mieć przed sobą bez mała pięć miesięcy do przełomu wiosny i lata. Skoro jednak człowiek i tak jest skazany, po co ma dożywać późnej wiosny?

W tym momencie byłem gotów rzucić się na drzwi celi, błagać o łaskę i domagać się sprawiedliwości. Tylko wysiłkiem woli zdołałem opanować tę głupią chęć. Rozpacz znikła, ale pozostało strapienie.

Koniec zimy, wiosna i początek lata. Prawdziwe życie. Moje życie, które chcą mi odebrać.

Nie wiadomo, do jakiego stopnia przygnębienia bym doszedł, gdyby nie kat, szykujący kaźń. Na szczęście w ziemiach księcia Tristana również oprawca był zdyscyplinowany i akuratny. Dobę później zjawili się w mojej celi najpierw cyrulik z brzytwą, potem strażnik z pomocnikami kata. Wszyscy byli w triumfujących nastrojach.

Krzepkie dłonie strażników wywlekły mnie na dziedziniec, na jasne słońce i srogi mróz. Nadchodziła odwilż. Może drogi odtają? Czy komedianci utkną w gospodzie? Nie pojadą przecież na płozach po kałużach i grząskim błocie.

Wilgoć w powietrzu pachniała wiosną. Zostałem pchnięty do przodu. Szafot wyglądał jak trzeba, tylko że zamiast kata stali na nim na ławkach liczni gapie.

Parszywy los! Publiczna egzekucja.

Najbardziej bałem się zobaczyć Alanę wśród gapiów. Na szczęście nie było jej. Widziałem sporo nieznanych twarzy. Potężnie zbudowany, długowłosy mężczyzna ze złotym łańcuchem na szyi, obok niego zaś, jeśli mnie wzrok nie mylił, stała Tantala.

Czarne wrony na niebie. Dzisiejsza odwilż jest pierwszym sygnałem wiosny.

Nie, nie myliłem się. Dziwne. Nigdy bym nie pomyślał, że Tantala lubi takie widowiska.

Tuż obok podestu znajdowała się wydrążona w ziemi spora dziura, otoczona drewnianym płotem, jak przy wiejskiej zagrodzie. Wzrok mimo woli szukał nadzianych nań garnków i dzbanków.

– W imieniu prawa! W imieniu księcia Tristana!

Gawiedź przycichła.

– Retanaarze Rekotars, skoro złamałeś prawo, wysłuchaj wyroku!

Próbowałem zajrzeć do jamy. Przytrzymali mnie za ramiona. Jeszcze nie pora.

– Szacowni panowie i nędzne sługi, wszyscy tu dziś zebrani, wysłuchajcie wyroku!

Poszukałem wzrokiem Tantali, lecz nie znalazłem.

– Zdejmij pan buty, jeśli łaska – rzekł do mnie cicho stojący obok oprawca.

– Zgodnie z wolą księcia Tristana Retanaar Rekotars skazany został na śmierć w żmijowej jamie! Niech gadziny będą narzędziem prawa. Czyńcie swą powinność!

– Zimno – odparłem.

Uśmiechnął się mile.

– Nie zdąży pan zmarznąć.

Tantala zobaczy i to, jak żałośnie ściągam buty i stąpam boso po mokrym śniegu.

Obejrzałem się. Przysiadłem na pobliskim pieńku i wielkopańsko wyprostowałem nogi. Skinąłem na pomocnika kata.

– Czego?! – warknął tamten, jeszcze podrostek.

– Ściągnij – polecił mu półgłosem szef.

Chłopak, rad nierad, przykucnął, by zdjąć buty jaśnie wielmożnemu panu Rekotarsowi, potomkowi Maga z Magów Damira. Przypomniała mi się wątła zjawa z rodowego zamku. Jak szybko, swoją drogą, pogodziłem się z prawdą o swym rodowodzie…

Tający śnieg parzył gołe pięty.

– Retano!

Czyżby Tantala nie mogła powstrzymać się od patetycznego występu?

Wiosna… Parszywy los, wiosna idzie…

– Retano!

Krzyk mną wstrząsnął. A także tłumem. Nawet kat podniósł głowę, podobnie jak strażnicy, próbujący powstrzymać rozhisteryzowaną kobietę. W końcu ustąpili w imię miłosierdzia i niewiasta, przedzierając się przez nastawione włócznie, padła na kolana przed skazańcem.

– Retano… kocham cię… i będę… zawsze…

Gorące palce schwyciły mnie za rękę. Konwulsyjnie, jakby mnie chciała zatrzymać. Ledwie powstrzymałem chęć, by wyrwać dłoń.

Co to znowu? Zalane łzami policzki, rozedrgane ręce, błagalny głos. Co ty wyprawiasz, Tantalo?!

Już ją odciągali. Delikatnie, ale stanowczo. Wystarczy tego pożegnania. Ciżba spoglądała ze zrozumieniem. Narzeczona? Żona? Kochanka? Biedaczka…

Zaczekaj, Tantalo. Nie zrozumiałem jeszcze, o co chodzi…

Wlekli mnie do jamy. Krótkowzrocznie zmrużyłem oczy. Tak. Na czarnym dnie kłębiło się życie. Mętnymi odblaskami, pełzaniem, szelestem łusek.

Tam?!

Poczułem grot włóczni na plecach. Przez chwilę uważałem, że lepiej już być przebitym na wylot niż…

– Retano!…

Tantalo, może dlatego to się dzieje, ponieważ i tak umieram?

– W imieniu prawa i księcia Tristana!

Ostrze grotu ukłuło mnie boleśnie w kręgosłup. Straciłem równowagę i jama połknęła mnie, jak mięsożerny kwiat łapie muchę…

Jasne niebo zostało daleko w tyle. Tu pachniało świeżą ziemią, jak w grobie. Wielkie nieba.

Skąd wytrzasnęli tyle żmij? Masywnych jak ręce siłacza, długich jak liny okrętowe, gibkich jak wiły, zawiłych jak splecione pręty ogrodzenia parkowego, ze spłaszczonymi lub okrągłymi łbami, z kapturami i bez, ze wzorem na grzbiecie i gładkich, wijących się i nieruchomych, jakby martwych.

Kat mógł także nawrzucać tu martwych żmij w charakterze rekwizytów. Och, jak szybko człowiek przyswaja teatralny żargon.

Ciągle syczą!

Zdaje się, że ktoś się pochylił nad jamą. Stojący i siedzący na podeście zgromadzili się wokół płotu. Ogrodzenie zaraz pęknie i wpadnie tu paru gapiów do towarzystwa…

Oddalony gwar. Niezrozumiałe okrzyki. Świat ginie w syczeniu, czy tak szumi mi w uszach?

– W imieniu prawa i księcia Tristana!

Uciec z wyciem. Wydałem słabiutki pisk, machnąłem rękami, pośliznąłem się i upadłem prosto na gęsto splecione zimne gadziny. Przed mymi oczami pojawiła się płaska niewielka główka. Rozwarła paszczę, ukazując dwa ociekające jadem kły, ostre jak igły. Małodusznie przymknąłem powieki, ponieważ mgnienie później gadzina wgryzła się w moją twarz.

Nie czułem bólu, tylko nieprzyjemny dotyk chłodnego gadziego pyska. Całkiem inaczej wyobrażałem sobie żmijowe ukąszenie…

Rzuciły się na mnie wszystkie naraz.

Wyskakiwały ku mnie jak na sprężynach. Rozwierały paszcze. Miałem już chyba w ciele ze sto porcji jadu, a w każdym razie powinienem mieć…

Publiczność na górze wrzeszczała. Na dno jamy spadła czyjaś czapka. Siedziałem wtulony plecami w chłodną ścianę ziemi, a żmije obgryzały mnie niczym kość. Teraz czeka mnie okrutna śmierć od trucizny.

Poczułem mdłości. Potem trochę rozbolał mnie brzuch, lecz zaraz przestał. Wrzaski na górze zamieniły się w niezrozumiałe szemrania.

Wstałem na czworakach i zwymiotowałem prosto na ciała gadów. Zareagowały oburzonym sykiem. Publika przycichła. Widocznie wymioty są pierwszą oznaką zatrucia.

Stłumiłem jęk. Miałem przed oczami zapłakaną twarz Tantali.

Setka żywych, wijących się ciał. Nowe odruchy wymiotne. Zaraz przestanę czuć i widzieć. Tam, na górze, kiwają głowami ze zrozumieniem.

– Może by go podnieść? – zapytał kogoś cicho oprawca. Jego głos bez trudu przebijał się przez szum w moich uszach, niczym czarna nić wpleciona w biała przędzę. Przymknąłem oczy.

Od dawna powinienem być martwy. Jestem skazańcem. Nie doczekam wiosny…

– Retano!

Ten głos był ledwie słyszalny. Wybijał się jednak spośród innych, tym razem czerwona nić w białym kłębku. Rozkleiłem powieki.

Niedaleko, przy samej ścianie, wiły się spiralnie dwa zielonkawe kształty. Tej pary nic nie obchodziły książęcy rozkaz, publiczna egzekucja ani inne sprawy. Dwoje gadzin oddawało się najważniejszej rzeczy z ich punktu widzenia, to znaczy aktowi miłosnemu.

– Podnosić!

W jamie zrobiło się ciemniej, szum się oddalił. Żelazny hak wbił się w mój bok. Pierwszy prawdziwy ból podczas egzekucji. Machinalnie uczepiłem się żelaza, pragnąc osłabić cios. Na górze było teraz cicho, tylko dwa głosy wymieniały się krótkimi, niezrozumiałymi słowami.

Dziwne narzędzie wyciągnęło mnie na górę. Trzymałem się kurczowo drzewca, mając nadzieję uniknąć krwawej wybroczyny w boku. Jasne niebo przybliżyło się gwałtownie. Po chwili wydawało mi się, że cały świat tonie w gęstej śnieżycy…

Wyczułem pod plecami rogożę. Wszystko lepsze niż goła ziemia.

– Panie doktorze, proszę zgodnie z prawem stwierdzić zgon.

Podniosłem głowę.

Wysoki, długowłosy mężczyzna stał o dwa kroki i patrzył na mnie szeroko rozwartymi oczami.

– Panie doktorze! Proszę zgodnie z prawem i wolą księcia Tristana… stwierdzić zgon!

Mocny człowiek.

Lekarz zbliżył się. Był niewysoki, chuderlawy i wystraszony. Drżącą ręką sięgnął po mój nadgarstek, lecz nie odważył się go dotknąć. Spojrzał błagalnie na mężczyznę z łańcuchem.

– W imieniu prawa! – warknął tamten.

Lekarz wcisnął głowę w ramiona i z ociąganiem wziął mnie za rękę.

W ślad za nim spojrzałem na własną dłoń.

Po prostu ręka. Moja ręka. Bez żadnych śladów ukąszeń.

Czysta skóra. Poczerwieniała z zimna. Długie palce. Arystokratyczne, parszywy los!

A wyżej, na podciągniętym mankiecie wystawała główka srebrnej

szpilki.

– Tak – ledwie słyszalnie wymamrotał lekarz. – Badanie zakończone. Przestępca jest martwy.

Przełknąłem ślinę. Gdzieś tam, w oddali strażnicy wypychali drzewcami włóczni protestującą gawiedź. Siepacz odwracał oczy, młodociany podręczny czkał, starszy patrzył ponuro w rozmiękłą glebę. Lekarz westchnął przeciągłe.

– Prawo się dokonało – oznajmił triumfalnie człowiek z łańcuchem.

Poruszył ustami, odprowadził wzrokiem wronę, niespiesznie przemierzającą niebo nad dziedzińcem. Spojrzał mi prosto w oczy.

– Czarodziej?

– Nie – powiedziałem, z trudem poruszając wargami.

– W imieniu księcia Tristana – powtórzył namiestnik po raz ostatni.

W jego głosie przebijało zmęczenie.

Najbardziej obawiałem się, że odwracając oczy, pochowają mnie żywcem na dziedzińcu. Prawo się dokonało. Przestępca umarł.

Na szczęście gorliwość namiestnika nie sięgała aż tak daleko. Ciemną mroźną nocą wywiedli mnie na pustkowia i oznajmili świszczącym szeptem, że jeśli jeszcze kiedykolwiek pojawię się na ziemiach księcia Tristana, zostanę powieszony bez sądu.

Ten, który mnie wyprowadził, z rozkoszą zacisnąłby pętle na mojej szyi, najlepiej od razu. Być może tylko strach przed praworządnym władcą uratował mnie przed samosądem, jak by nie było, biegłem po zamarzniętym śniegu, po skrzypiącej, białej pokrywie, biegłem tak, że w końcu straciłem oddech.

– Jesteś genialną aktorką – orzekłem głucho.

Droga była szeroka i wydeptana. Prawdziwy trakt. Wozy, będące teraz saniami, sunęły prawie bezdźwięcznie. W szerokich, srebrnych koleinach, ciągnących się za płozami, odbijało się słońce. Ja i Tantala siedzieliśmy plecami do woźnicy i patrzyliśmy, jak coraz dalej zostawiamy za sobą księstwo Tristana.

– Jesteś genialną aktorką. Prawie uwierzyłem.

– Trudniej grać w prawdziwym życiu – stwierdziła niechętnie Tantala.

– Inaczej by mnie…

– Tak.

Potarłem talizman na rękawie.

Nie chciałem, żeby wiedziała o moim rozczarowaniu. Przez chwilę – czegóż wymagać od śmiertelnika – chciałem wierzyć, że naprawdę mnie kocha i opłakuje. Byłem mile połechtany. Tak, czy owak jest zdolną kobietą.

– Do tej pory nie rozumiem, jak działa ta rzecz – mruknąłem,

patrząc w niebo. – Gdzie jest siła? A gdzie władza? Wolno domniemywać, że gdyby żmija ukąsiła mnie w lesie, pewnie bym umarł? I żadna szpila…

Tantala uśmiechnęła się.

– Chyba ze sto razy kąsały mnie żmije. Trzeba rozciąć rankę, wyssać jad… i przeżyjesz.

Zadrżałem.

Przestała się uśmiechać.

– Żmije były narzędziami księcia. Spełniały jego wolę. Wolę władzy, Retano…

– Gdyby wyrok był sprawiedliwy – mruknąłem ledwie słyszalnie – ale nie był. Tu nie tylko chodzi o władzę. Także o absolutną sprawiedliwość.

Wykrzywiła usta.

– Nie ma takowej. Tristan zakazał pojedynków… lecz na przykład w mieście Kawarren pojedynek jest częścią tradycji, sprawą honoru. Egert Soll zabił kiedyś w ten sposób człowieka i został za to przeklęty…

Zakrztusiłem się, jak zwykle w najmniej odpowiednim momencie. Zakaszlałem, odsuwając się od Tantali, która chciała klepnąć mnie w plecy.

– Ja tego czło… ka… nie zabiłem!

Drgnęła. Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Nie zabiłem! – powtórzyłem, zaczerwieniony od kaszlu i niesprawiedliwości. – Ci świadkowie… Klepnij!

– Czy to prawda? – zapytała, a jej głos zadźwięczał dziwnie grobowo.

– Przysięgam na Maga z Magów! – powiedziałem szczerze.

Może mi się zdawało, lecz moja towarzyszka westchnęła z ulgą.

Okrążyliśmy niegościnne księstwo, co kosztowało nas dodatkowy tydzień drogi. Alanie śniły się po nocach koszmary.

Całymi dniami siedziałem obok niej w naszych saniach i opowiadałem historię swego życia. Z dnia na dzień przychodziło mi to z coraz większym trudem, tym bardziej, że wydawało się, iż Alana wcale mnie nie słuchała.

W pierwszej większej osadzie zapytałem o lekarza. Skwapliwie wskazano mi bogaty dom przy głównej ulicy, naprzeciwko siedziby starosty. Lekarz przechwalał się swoją uczonością, był rumiany i wyniosły. Zażyczył sobie sporej zapłaty i długo oglądał białą rączkę obojętnej na wszystko chorej, by w końcu autorytarnie stwierdzić, że trzeba puścić krew. W następnej chwili pycha znikła z jego twarzy wraz z rumieńcem, bo chwyciłem go za kołnierz, nazwałem szarlatanem i zażądałem zwrotu pieniędzy. Może sobie przepisywać puszczanie krwi swoim omamionym pacjentom, ale nie mojej żonie!

Kindżał wysunął się z pochwy i schował się ponownie. Lekarz milczał, zbielały jak chusta. Alana pozostawała kompletnie beznamiętna. Rozwarłem palce, puszczając koronkowy kołnierz.

– Medycyna jest bezsilna – oznajmił lekarz, usiłując zachować resztkę godności. – Skoro jest pan taki nerwowy… idźcie do staruchy za miastem. Do znachorki. Będzie czyniła gusła nad żabim udkiem… z tym samym rezultatem. Tylko taniej!

Zgarnąłem z biurka swoje monety, wziąłem Alanę pod ramię i wyszedłem.

„Starucha" wcale nie była stara. Zgodnie ze swą profesją, mieszkała samotnie. Okrywała się grubym płótnem, a chusta zakrywała jej czoło do samych brwi. Miała około trzydziestki. Żadna kobieta nie zdołała jeszcze ukryć przede mną swego wieku.

Długo zaglądała w oczy Alanie, mamrocząc, a potem próbowała zadawać jej pytania, lecz uciąłem owe próby. Znachorka nachmurzyła się i postanowiła zbadać pacjentkę w cztery oczy. Znowu się nie zgodziłem. Jeszcze tego by brakowało, bym zostawił chorą żonę sam na sam z tą podejrzaną guślarką. Tym bardziej, że od samego początku nie bardzo wierzyłem w sukces tego przedsięwzięcia. Sam siebie przeklinałem w myślach za tę nierozważną, zasugerowaną przez lekarza, decyzję…

W końcu „starucha" postanowiła porozmawiać ze mną. Wyprowadziłem delikatnie Alanę na zewnątrz. Mimo wiatru, ranek był dosyć pogodny.

– Coś ukrywacie – stwierdziła znachorka z urazą. – Gdzie była i co się z nią stało. Ona odchodzi. Odeszła już daleko. Trudno ją będzie dogonić.

– Co? – zapytałem, czując w głębi serca pustkę i chłód.

– Przywiążcie ją do siebie – powiedziała szeptem – żeby zatrzymać. Przecież jest pan przystojny…

Ostatnie słowa z pewnością nie były w stylu „staruchy". Znachorka zerkała spod ciężkiej chusty. Zauważyłem, że jej niebieskie oczy są przepełnione goryczą.

Zadrżała pod mym spojrzeniem. Odwróciła się spiesznie.

– Niech ją pan zatrzyma, przykuje do siebie. Jak na haczyku…

– Co ty bredzisz – burknąłem zmieszany. – Dokąd ona… odchodzi?!

Westchnęła przeciągle.

Niech pan zrobi jej dobrze. Niech wraca.

– Alano, czego byś chciała?

Niczego. Patrzyła przeze mnie jak przez szybę, jej oczy były puste i spokojne. „Odeszła już daleko".

– Alano, wkrótce dotrzemy na miejsce. Ojciec pewnie zatęsknił… Ty pewnie także?

Milczała. Było jej wszystko jedno.

Rozpaczliwie starając się zająć ją historiami, znalazłem w teatralnych kutrach różne rekwizyty, między innymi latawiec w formie długiego, kolorowego smoka. Widocznie wystawiali też bajki dla dzieci.

Dzień był wietrzny. Smok uniósł się wysoko. Jasna kropka na niebie, bielejąca jak w dniu mej egzekucji. Okazało się, że nie powiedzieli jej o sądzie i wyroku. Nie chcieli jej straszyć i chyba słusznie zrobili.

Alana podniosła głowę. Być może fruwające wśród obłoków cudactwo przypomniało jej szczęśliwe lata ciepła domowego ogniska. Usteczka mojej żony drgnęły, gotowe wygiąć się w uśmiechu. W tym momencie sznurek się urwał i latawiec poleciał samodzielnie, pikując w dół.

– Zrobimy drugi – powiedziała Tantala.

Konie ledwo ciągnęły. Obiegłem dookoła powóz i zbiegłem skrótem w dół, wzniecając śnieżne tumany.

Znajdowała się tutaj rzeka, nieruchoma i biała z ciemną plamą przerębli u przeciwległego brzegu. Wiatr leniwie włóczył mojego smoka po porowatym śniegu i grubym lodzie. Chlastał ogonem.

Zatrzymałem się. W oddali skrzypiały płozy. Karawana odjeżdżała coraz dalej. Wskoczyłem na lód, zamierzając chwycić smoka za ogon przyozdobiony kokardkami.

Nie w czas.

Być może tutaj czerpali wodę. A może głębokie pęknięcie zasypał śnieg. Jak by nie było, zamarznięta rzeka otwarła ciemne usta i wchłonęła mnie po szyję.

Z trudem łapałem oddech. Nie miałem możliwości krzyczeć. Miotałem się w gęstej, lodowatej kaszy, łamiąc paznokcie i kalecząc dłonie o krawędzie kry.

– Retano!

Tantala zbiegała po skłonie zamiatając śnieg ciemnym skrajem płaszcza. Zatrzymała się. Zamachała rękami, przyzywając kogoś na pomoc. Miotała się, nie wiedząc do kogo biec: do Bariana po pomoc, czy do mnie.

Chciałem jej powiedzieć, żeby nie podchodziła, lecz nie mogłem wydobyć z gardła żadnego dźwięku. Tantala prawie podpełzła do skraju kry. Jej szalone oczy prawie wyszły z orbit.

– Retano… zdejmij szpilę!

– Co? – wydyszałem.

– Zdejmij szpilę! On ci pomoże… Uratuje cię! Zdejmuj!

Buty miałem pełne lodowatej wody. Odzież ciężką, przesiąkniętą do suchej nitki. Leniwy rzeczny nurt powoli, lecz coraz skuteczniej wciągał mnie pod lód…

Sekundy. Mgnienia. Obiecali mi jeszcze wiosnę…

Wiedziałem, że palce mnie nie posłuchają. Wiedziałem, że rozpiąć srebrną zapinkę na rękawie, usiłując przy tym utrzymać się na powierzchni od razu skazane jest na klęskę. Wyciągnięta ręka Tantali była strasznie daleko. Musiałaby mieć dwa razy dłuższą rękę, żeby mnie dosięgnąć.

Ręce… Alany…

Broszka szczęknęła, otwierając się, nie tyle dzięki moim wysiłkom, lecz raczej pobożnym życzeniom. Odmrożone ciało nie czuło niczego, lecz postrzeganie miałem wciąż zadziwiająco przytomne. Widziałem jak szpila wysuwa się z tkaniny, spełza do wody i opada na dno srebrnym wirem.

Niewiarygodnie długie ręce chwyciły nie za nadgarstki, jak oczekiwałem, lecz za kostki u nóg. I pociągnęły wcale nie do góry, ale w dół. W głębinę. Pod lód.

Rozdział dwunasty

Ręce i nogi w białych lodowych łupkach. Rzeka zabandażowana pasmami lodu. Skute, nieruchome jeziora… Ni to szpital, ni to przytułek.

Mętne światło z trudem przebijało się przez grubą warstwę szronu. Jakby w okna wstawiono nieprzezroczyste lodowe tafle. Opuściłem powieki i przed oczami pojawił się obraz zamarzniętej rzeki. Nierówna powierzchnia lodowej pokrywy, jakieś zielone strzępki, jasna powierzchnia odpływającej kry…

Duszności i konwulsje.

Usiadłem jednym zrywem. Zapewne agonalne męki podsunęły mi ten przedśmiertny obraz. Niezbyt ostry i nie zanadto egzotyczny. Stara chatka z niskim sufitem, zamarznięte okno, naga podłoga, drewniany słup podtrzymujący belkę stropową.

Zadrżałem. Sięgnąłem do rękawa w poszukiwaniu srebrnej zapinki. Na próżno. Ciemne dno, jasna rybka, szybko spadająca w dół…

Potrząsnąłem głową. Z prawego ucha wypłynęła ciepła kropla wilgoci. Całkiem jak u nurka, który wyszedł na brzeg i wytrząsa wodę z uszu.

Szum w mojej głowie trochę zelżał. Powiodłem dłonią po suchym rękawie. Podniosłem się, przytrzymując krawędzi ławki. Z zewnątrz dochodził monotonny, rytmiczny dźwięk.

Ktoś uderzał toporem.

Droga do niskich, wrośniętych w próg drzwi zajęła mi kilka długich minut. Zataczając się i usiłując opanować zawroty głowy, chwyciłem w końcu żelazny pierścień, zastępujący klamkę i z całej siły pociągnąłem drzwi ku sobie.

Szum w uszach nasilił się, przed oczami mignęło złudzenie odpływającej kry, błyszczącej jak słońce. Drzwi poddały się. W domu było chłodno, lecz w sieni jeszcze chłodniej. Chwytając ustami mroźne powietrze, instynktownie przymknąłem drzwi, nie chcąc wypuszczać z chatki ostatków ciepła.

Jeszcze jedne ciężkie drzwi…

Odgłos uderzeń toporem urwał się na chwilę i znowu powrócił. Trach, trach, trach, trach…

Obszedłem dom dookoła po skrzypiącym śniegu, przytrzymując się pociemniałej ze starości ściany. Gospodarz wcale nie rąbał drew, jak początkowo sądziłem. Spore, błyszczące ostrze wznosiło się i opadało, ostrugując pień wysokości człowieka. Właściciel topora był zadowolony ze swego dzieła. Uśmiechał się, przyglądając i mrużył powieki z satysfakcją. Na łysą głowę spadał szybko topniejący śnieg i

ściekał mętnymi kroplami po potylicy i żylastym karku. Znana mi niedźwiedzia szuba leżała obok.

Czarno Tak Skoro obejrzał się i w nikłym świetle zimowego dnia spostrzegłem, że się postarzał. Wychudł, jak po długiej chorobie, skośne oczy zapadły się głębiej, od nosa ku kącikom ust biegły ciemne zmarszczki. Tylko spojrzenie było takie, jak zawsze, bez wyrazu, choć nieco szalone. Z trudem się powstrzymałem, by nie odwrócić wzroku.

– Szkoda, Retano – powiedział mag z rodzajem uśmiechu. – Czekałem, aż nauczysz się grać na scenie… ale nie ma czasu na grę. Wybacz.

Właśnie tak. Łysy kot, mający do swej dyspozycji całe stado bezbronnych myszy…

Wyraz mojej twarzy musiał się zmienić, skoro Czarno odłożył topór i wpił się we mnie wzrokiem. Wyszczerzyłem się.

– Wszystko w porządku – oznajmił mag z odcieniem wyższości w ochrypłym głosie. – Wszystko będzie dobrze, Retano, nie martw się o nic… Pocieszy cię, kiedy powiem, że Tantala szczerze cię opłakiwała?

– Bydlak – wycedziłem przez zaciśnięte zęby po chwilce milczenia.

– Nie ma na tym świecie zbyt wielu osób, których śmiercią by się przejęła – podjął Czanotaks. – Możesz być dumny. Udało ci się zdobyć jej zaufanie.

– Czego chcesz? – zapytałem ze smutkiem.

Podniósł topór, mocno chwytając za drzewce. Podrzucił i pochwycił. Zabawa doświadczonego drwala lub rozbójnika.

– Jestem prawie pewien, że Tantala dobrowolnie doprowadzi mnie do swego niedoszłego męża, strażnika Przedsionka, powiernika Amuletu. Prawie pewien… Gdybym jednak się mylił, zagrożę, że skręcę ci kark. Jeszcze miesiąc temu pozwoliłaby mi to zrobić bez mrugnięcia powieką.

– Bydlak – powtórzyłem, tym razem ze zmęczeniem.

– Teraz do tego nie dopuści – kontynuował Czarno, wymachując toporem. – Co się tyczy obelg, powinieneś docenić moją szlachetność, skoro nie zamierzam szantażować jej życiem Alany… Zaczekaj. Tak, zaczekaj, Retano, po prostu żartowałem. Od początku próbuję wbić ci do głowy, że pragnę tylko waszego dobra. Oczywiście także dla siebie. Potrzebuję tego Amuletu, nawet jeśli zardzewiał.

Oparłem się o pień. Gruby, choć niższy ode mnie, ułomek drzewa. Czanotaks ciągle coś mówił, ale go nie słyszałem. Zblakły zimowy dzień, śnieg padający z nieba, drewniane słupy w białych czapach.

Zadrżałem.

To nie były słupy. Wsparłem się o ramię żylastego mężczyzny z zatroskaną twarzą. Sekundę później rozpoznałem Bariana. Nieopodal siedzieli, wsparci o siebie plecami znieruchomieli Fantin i Mucha,

dalej stała Dinka w wyzywającej pozie i ktoś jeszcze odwrócony do mnie plecami. Choć nie widziałem twarzy, rozpoznałem Alanę.

Na chwilę zrobiło mi się niedobrze, bo na serio uwierzyłem, że cały nasz niewielki oddział wpadł w pułapkę i został zamieniony w drewno. Największym wysiłkiem woli zdławiłem atak histerii. Przyjrzawszy się jeszcze raz, stwierdziłem, że mam do czynienia z dobrze wyrzeźbionymi podobiznami.

Tych figur nie stworzyła czarna magia, lecz błyszczący topór w dłoniach utalentowanego człowieka.

Czarno Tak Skoro okazał się więc także rzeźbiarzem. Długo przyglądałem się drewnianej Alanie. Wyraz twarzy uchwycony był bardzo zręcznie. To samo dziecinne naburmuszenie, z jakim zapytała: „Czy to prawda, że pan ożenił się ze mną z powodu książki?"

Ta właśnie dziewczyna brnie teraz przez śnieżną pustynię, pewna, że mąż nie żyje. Z mojego powodu jej dusza coraz bardziej pogrążą się w pajęczynie mrocznych dróg, którymi można dotrzeć do Przedsionka…

– Wszystko z nią będzie dobrze – rzekł pojednawczo Czarno za moimi plecami.

Obejrzałem się.

Stał przy tym samym słupie, nad którym pracował w chwili naszego spotkania. Z ciemnego drzewa niewyraźnie wyłaniała się nowa postać. Poznałem tę kobietę, chociaż rysy twarzy były na razie tylko z grubsza ociosane. Poraziło mnie, że mag potrafił tak dobrze oddać istotę danego człowieka…

Chociaż, kto powiedział, że znam Tantalę w całej jej istocie?

– Masz talent – rzekłem, patrząc w śnieg. – Mógłbyś na przykład produkować na sprzedaż rzeźbione, wzorzyste półmiski. Z kim będzie dobrze? Z Tantalą, czy Alaną?

– Z obiema – odparł, nie mrugnąwszy powieką – i z tobą też.

Rozejrzałem się. Drewniani komedianci nie chcieli się ze mną spotkać oczami.

– To znaczy, że nas wiodłeś? – upewniłem się, zaciskając zęby. – Śledziłeś całą drogę?

– Nie całą – odparł z westchnieniem. – Nie jestem wszechmocny, Retano. Na razie.

Zdawało mi się, że głos mu zadrżał na końcu. Wyszczerzyłem się.

– Jesteś pewien, że jest ci potrzebna? Ta wszechmoc?

W jego oczach coś się zmieniło. Coś niespodziewanie mignęło, jak lisi ogon między drzewami. Ciekawość?

– Mam wrażenie – odpowiedział powoli – jakby ktoś już mnie o to pytał.

Barian coś powiedział. Widziałem jak poruszyły się jego wargi, lecz nie słyszałem słów. Tantala pokręciła głową. Jej ciemne włosy

wymykały się spod kaptura. Ten kosmyk, na który padał oddech, pokrywał się szronem, jakby przedwczesną siwizną. Dziwne, że zwracałem uwagę na takie drobiazgi, skoro obraz co chwila zachodził mgłą i scena pożegnania była słabo widoczna, jak przez mokre szkło.

A jednak to z pewnością scena pożegnania. Tantala lekko wskakuje na konia, Barian podsadza Alanę, która siada za plecami przyjaciółki. Dwie amazonki na jednej kobyle. Wieje zimny wiatr, krystaliczny szreń łamie się pod kopytami. Ciekawe, jak daleko dojadą…

Mrugnąłem. Oczy były zmęczone od wysiłku. Szara wizja na zamarzniętym szkle zadrgała i znikła. W każdym razie wiem, że obie żyją. I są wystarczająco zdrowe, by jeździć wierzchem we dwie, niczym małe wieśniaczki.

– Przywiodę je – powiedział Czarno, oglądając krytycznie starą miednicę, przyniesioną z szopy. – Za dwie godziny tu będą…

Ostrożnie przejechał paznokciem zielonkawy bok. Stara miedź odpowiedziała głuchym, przeciągłym dźwiękiem.

– Była sobie kiedyś dziewczynka…

Mag wydobył z góry rupieci kawałek szmatki i blaszaną bańkę z szarym proszkiem.

– Prawie wszystkich jej krewnych zabił Czarny Mór, pozostali tylko matka i wuj. Niegdyś bogaty ród podupadł, dziewczynka mieszkała wśród śmieci i starych książek, a po śmierci matki wśród sierot i starych panien, będących nadzorczyniami w przytułku, wśród tego wszystkiego, o czym nie mówi się w wytwornym towarzystwie. Potem uciekła z wędrownymi aktorami. Parę lat była szczęśliwa, a w każdym razie, kiedy później wspominała te czasy, uznała je za szczęśliwe.

Patrzyłem zauroczony, jak nabierając szmatką proszek podobny do glinki, Czanotaks czyści boki miednicy. Zielony nalot znikał pod jego ręką i oczyszczona część połyskiwała złotawo. Czarodziej wykonywał tę brudną robotę z dziwnym zadowoleniem.

– A potem spotkała młodego człowieka, dla którego porzuciła wszystko, czym dotąd żyła… Wszystkich, którzy ją kochali i byli z niej dumni. Wiesz jak to jest: im większe poświęcenie, tym większą trzeba zapłacić cenę. Na nieszczęście, wszystkie jej ofiary poszły na marne. Młody człowiek był w dziwnej sytuacji, gdyż odnalazł pewną… rzecz. Dla niej zostawił wszystko, co kochał i wszystkich, którzy go kochali… Ta rzecz zwała się: Amulet Wieszczbiarza. Można powiedzieć, że Amulet pozbawił Tantalę szczęścia. Powinna go znienawidzić. Czyż nie?

Nawet w najciekawszych momentach jego opowieści twarz pozostawała kompletnie pozbawiona wyrazu, oprócz głęboko skrytego szaleństwa w zapadłych oczach.

– Dlaczego mi o tym opowiadasz? – zapytałem szeptem.

Nie odpowiedział. Oglądał uważnie wyczyszczoną miednicę i chociaż na powierzchni pozostało jeszcze trochę zielonkawych plam, wydawał się usatysfakcjonowany. Strząsnął na podłogę resztki szarego proszku i zdjął z półki pięć pękatych glinianych dzbanuszków.

– Nie zdajesz sobie sprawy, Retano, jakie to wszystko ciekawe. Było ich tak wielu, szlachetnych i przyziemnych, silnych i słabych… Walczyli o strefy wpływów. Werbowali sobie nowych wasali, pojedynkowali się z wczorajszymi druhami i podawali rękę dawnym wrogom. Najlepsi z nich żyli w odosobnieniu, aby móc potem o sobie powiedzieć, że kierowało nimi tylko pragnienie wiedzy, a nie chciwość, czy żądza władzy. Tacy byli dawni magowie. Bez słowa sprzeciwu uznawali nawet słabszego od siebie maga za Wieszczbiarza, skoro Amulet go wybrał. Tak kazał Pierwszy Wieszczbiarz. Ten sam, który przepowiadał przyjście na świat obcej siły: „Ona nadchodzi! Stoi za progiem!"

Ostrożnie, by nie uronić nawet kropelki, opróżniał jeden dzbanuszek za drugim. Woda w miednicy burzyła się, podnosząc wciąż wyżej. Wydawała się bardzo zimna. Schowałem dłonie w rękawach.

– „Stoi za progiem!" – powtórzył Czanotaks dziwnie drżącym głosem. – Proroctwo ma tyle lat i nadal jest aktualne…

Od dłuższej chwili czułem się nieswojo. Zdawałoby się, całkiem zwykłe przygotowania Czarno, wywoływały niepokój. Poczułem lodowatą falę, zalewającą mą duszę i mrożącą ciało.

– Nie wszystkie proroctwa się sprawdzają – szepnąłem.

Spojrzał na mnie dziwnie. Powiódł dłonią po krawędzi naczynia.

– Nie wszystkie… Ale powinny się sprawdzać. Zgodnie z porządkiem wszechświata.

Patrzyłem z lękiem jak zastyga woda pod jego palcami. Na wszystkie strony rozbiegały się lodowe iskry, niczym pajęcze nici. Woda w miednicy zmętniała, przestając być wodą. Zimno…

Mag kiwnął głową z satysfakcją. Zatarł dłonie, chwycił krawędzie miednicy i ostrożnie odwrócił. Miedziane naczynie ciężko gruchnęło o podłogę.

– To były piękne czasy – kontynuował Czarno jak gdyby nic. – Baltazar Est… Lart Legiar… Orwin Prorok… Orlan Pustelnik…

– Mag z Magów Damir – powiedziałem przez zaciśnięte zęby.

Zerknął na mnie z rozbawieniem.

– Ach tak, Mag z Magów… Jakże mogłem zapomnieć o Wielkim Damirze.

Jego oblicze w końcu przestało być beznamiętne. Uśmiechał się, postukując dłońmi po głucho odbijającym dźwięk dnie. Odbijał lodową bryłę od miedzi. Najwidoczniej mój wtręt dotyczący przodka

naprawdę go rozweselił, ale wolał milczeć i zabawiać się w odosobnieniu.

– Dlaczego nie powiedziałeś Tantali prawdy o moim małżeństwie z Alaną? – spytałem cicho.

– A po co? – zdziwił się Czanotaks. – Po co nam silne emocje, nie mające związku ze sprawą?

Bryła lodu, będąca przed chwilą wodą w miednicy, w końcu odkleiła się od miedzianego dna i spadła na podłogę. Czarodziej ostrożnie podniósł naczynie. Lód nie popękał. Był lśniący i gładki, bez żadnych szczelin ani pęcherzy. W połowie przezroczysty, w połowie mętny, szaro-zielony. Piękny.

– Alana przecież także poznała prawdę, lecz nie powiedziała Tantali.

Czarno pogładził niemal czule lśniący bok lodowej soczewki.

– Kiedy zdobędę Amulet, jakakolwiek prawda, również ta niewygodna, przestanie mieć znaczenie. Prawda o poborcy podatków, który powiesił się przez ciebie. Prawda o pochodzeniu Luara Solla… Prawda o twoim ślubie z Alaną.

– Zdaje mi się, że go nie zdobędziesz – powiedziałem, patrząc mu prosto w oczy. – Nie zdobędziesz Amuletu.

– Zdobędę – stwierdził z uśmiechem.

Wstał, odwrócił się ode mnie, rozchylił szubę i rozpiął gacie. Otwarłem szeroko oczy. Czanotaks oddawał mocz na magiczną bryłę. Czarodziejski lód topił się zalewany ciepłą, parującą cieczą. Tajał nierówno i na gładkiej powierzchni tu i tam wyrastały lodowate drzewa, domki przy drogach, tworzyła się miniatura świata, oglądana jakby z lotu ptaka. Świat stworzony czarodziejską mocą i moczem…

– Przywiodę je – oznajmił mag z satysfakcją. – Będą tutaj za pół godziny.

Rano nastąpiła odwilż. Śnieg wczoraj jeszcze trzeszczący pod moimi nogami, teraz miękko rozłaził się pod podeszwami butów.

– Nie idź z nim, Tantalo – powiedziała szeptem Alana.

Czarno Tak Skoro uśmiechnął się.

– Pamiętasz, Tantalo, jak znalazłaś Luara pijanego, leżącego w kałuży? Tego dnia wyrzekła się go matka. Jego świat w owym czasie całkiem się wywrócił. Matka uderzyła go w twarz i wygnała z domu. Pamiętasz?

Siedział na trójnogim zydlu, wsparty łokciami o kolana, z podbródkiem na splecionych palcach.

– Nie słuchaj go, Tantalo – nieoczekiwanie głośno wtrąciła Alana. – On też mnie tak… zachęcał…

Tantala milczała. Czanotaks zmrużył czarne, skośne oczy.

– Pamiętasz waszą pierwszą noc? Na wozie? W jesiennym wietrze? Współczułaś mu i chciałaś pocieszyć… A wyszło inaczej. To

on ciebie pocieszył. Od tej pory, muskając go chociaż skrajem sukni, czułaś…

– Tak – powiedziała głucho Tantala. – Wszystko to prawda. Lecz od tamtego czasu minęło dziesięć lat i moje życie…

– Pamiętasz, jak ścigałaś go na gościńcu, pędziłaś, by go zatrzymać?

– Żeby zerwać – sprostowała. – Ścigałam, żeby z nim zerwać. Na oklep… na trakcie…

Głos jej się załamywał, chwilami szeptała, lecz rozumiałem każde słowo.

Czarno Tak Skoro poderwał się rześko. Szuba opadła na ziemię.

– Chciałabyś pójść teraz do ognia, Tantalo? Do ciepłego ognia w kominku? Do światła? Wyciągnąć dłonie i nadstawić twarz?

Drgnąłem. Od tych jego słów sam zapragnąłem być bliżej ognia i to natychmiast. Tantala chyba odczuła to samo w jeszcze większym stopniu.

– Nie trzeba, Czanotaksie – oznajmiła ledwie słyszalnie. – Kpisz sobie ze mnie. Jako jedyny wiesz o wszystkim i tumanisz mnie tym. To, co było…

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

– To nie każdemu jest dane – rzekł mag, ledwie poruszając wargami – otrzymać od losu swój własny ogień. Lecz znaleźć się w lodowej pustyni… i pamiętać, że istnieje na świecie ogień, lecz właśnie ciebie los nim obdarzył… być szczęśliwym wybrańcem. Czy mówię dostatecznie zrozumiale?

– Całkowicie – odpowiedziała po chwili. – W każdym razie rozumiem. Ty jednak opowiadałeś wcale nie o tym, co ludzie zwą „miłością" lub „przywiązaniem".

– Mówię o tym, co nazywa się „fałszywym poczuciem winy". Co nazywa się „wyborem". Chodźmy, Tantalo.

Alana zadrżała. Bardziej poczułem, niż usłyszałem ostrzeżenie: „Nie idź".

– Dokąd? – zapytała Tantala niemal wyzywająco.

Czarno Tak Skoro wzruszył ramionami.

– Po prostu przejdźmy się po lesie? No nie?

– Nie – powiedziałem, wstając.

– Nie ma sensu się sprzeciwiać, Retano – rzekła spokojnie Tantala – i nie ma dokąd uciekać. Nie obawiaj się. Rzeczywiście mam o czym porozmawiać z panem Czarno.

Wyszli. Drzwi zatrzasnęły się za nimi.

Jakiś czas potem Alana usnęła na ławie, twarzą do ściany. Wyszedłem na zewnątrz pod szary nieboskłon.

Za domem, tam gdzie Czanotaks wyciosywał swoje idole, pojawiła się jeszcze jedna figura, tym razem biała. Podszedłem,

starając się stąpać jak najciszej, jakby wyrzeźbiony w śniegu człowiek mógł mnie usłyszeć i obejrzeć się.

Był to młody mężczyzna mojego wzrostu. Przystojny, według mej oceny, z ostro zarysowaną, mocną twarzą. Szybko zorientowałem się, że drewniane figury w różnych pozach otaczają go kręgiem, patrząc w jeden punkt. W twarz śniegowego Luara, ostatniego powiernika Amuletu, upragnionego przez Czarno.

Z szyi postaci zwieszał się łańcuch studzienny. Spękane końcówki ogniw spływały na pierś, jakby wisiała na nich jakaś, zerwana później, ozdoba. Być może Czarno w ten sposób uprzedzał wydarzenia. Czym jest ta rzeźbiona grupa? Wyobrażeniem tragedii, czy też magicznym kręgiem?

Obejrzałem się, jakby ktoś tknął mnie w plecy.

Szli razem, nieomal ręka w rękę, nie stykając się jednak. Nawet z mojego oddalenia widziałem, jak świeci goły czerep maga. I jak nisko spuściła głowę Tantala…

Nie miałem zamiaru ich śledzić. Po prostu stałem i obserwowałem.

Wracali po własnych śladach. Nie pierwszy raz, gdyż w owym miejscu wydeptana była głęboka ścieżka, a raczej dwie równoległe ścieżki, jak koleiny. Żadne z nich nie chciało iść jako pierwsze.

Dziwne, lecz to Tantala mówiła. Spodziewałem się raczej, że to on będzie się starał namawiać, molestować, prosić, błagać, szantażować, grozić…

Mówiła coś i uśmiechała się, jakby opowiadała zabawną anegdotkę. Wskazywała coś za plecami, mimochodem strząsając śnieg z nisko opuszczonych gałęzi. Potem Czarno o coś zapytał. Tantala odpowiedziała ochoczo, niemal wesoło. Słyszałem jej głos, lecz nie mogłem rozróżnić słów.

Potem się zatrzymali. Zamarli naprzeciw siebie. Nie wiem, czy mi się zdawało, że Tantala wyciągnęła dłoń i musnęła ostrożnie twarz czarodzieja. I na jedno mgnienie zatrzymała dłoń. Jakby wiedziała, że robi coś niedozwolonego, ale nie była się w stanie powstrzymać.

Stałem osłupiały. Dlatego z pewnością nie zauważyła mnie wśród drewnianych posągów. Coś widzianego tylko kątem oka, na krawędzi postrzegania…

Czarno jednak na pewno wie, że jestem świadkiem tej dziwnej sceny. Może odegranej dla mnie?!

Zachciało mi się zawołać do Tantali. Zobaczyć, jak ogląda się szybko, niczym oparzona. Biernie obserwując, jakbym podkładał się Czanotaksowi i godził się na rolę widza w jego spektaklu.

Położył dłoń na jej ramieniu. Coś powiedział, patrząc natarczywie w oczy. Tantala spuściła głowę. Stali tak nieruchomo co najmniej pięć minut.

Potem Tantala wyswobodziła się i poszła do domu, nie oglądając się ani nie podnosząc głowy. Stojący w tym samym miejscu Czanotaks spoglądał to na niebo, to na śnieg. Im dłużej tak stał, tym mocniejszy dął wicher i mocniej ciemniały chmury.

Pół godziny później rozpętała się zamieć.

– Luar!

Poderwałem się z twardego posłania.

Był ranek. Przez zaszronione okno przebijało się światło słoneczne. Obok leżała nieruchomo Alana pod stosem okryć. Na pewno śpi, pomyślałem, z trudem odganiając niewyraźne senne przywidzenia.

Co mi się śniło? Że Tantala brnie przez błoto, przyzywając swojego Luara?!

– Luar!

Nie śniło mi się.

Wstałem. W domu nie było Tantali ani maga. W kącie leżały obok siebie torba podróżna Alany i topór czarodzieja. Daleko w lesie kobieta wzywała dawno nie istniejącego człowieka. Wzywała widmo.

Wyszedłem na zewnątrz. Na śniegu ciągnął się łańcuszek śladów. Pojedynczy, jakby Czanotaks wyleciał z domu na miotle.

Powstrzymałem się od okrzyku. Alana mogła obudzić się w chatce. Szybkim krokiem ruszyłem w stronę lasu, dokąd wiodły ślady słomianej wdowy Soll.

Śnieg sypał się z potrącanych gałęzi. Szedłem między zamarzniętymi pniami, płaszcz przeszkadzał, zaczepiając o krzewy. Zawadziłem nogą o jakąś norę i lekko okulałem. Nagle nierówny ślad Tantali urwał się, jakby dalej zaczęła przemieszczać się po gałęziach. Zadarłem głowę. Śnieżne pokrywy na górnych gałęziach były nienaruszone. Przede mną nie było żadnej polany ani prześwitu. Chciałem się już poddać i wracać do chaty po własnych śladach, gdy usłyszałem tuż obok siebie z prawej:

– Luar!

Najpierw zauważyłem strzęp płaszcza. Widocznie Tantala szła, nie zwracając uwagi na takie drobnostki, jak ostre gałęzie, czy cierniste zarośla. Jej plecy mignęły pomiędzy pniami.

– Tantalo…

Złapałem ją za ramię i wydało mi się, że chwyciłem kawałek drewna. Jakby jedna z rzeźb Czarno wyszła na przechadzkę. Wrażenie było tak silne, że cofnąłem dłoń w przestrachu. Jak wierny pies obiegłem ją dookoła i zajrzałem jej w twarz.

Nie powinienem był tego robić.

Odskoczyłem. Rozejrzałem się nieprzytomnie, jakby obawiając się, że zobaczę w zaśnieżonej gęstwinie samego Czarno Tak Skoro.

– Zabiję cię! – szeptałem bezsilnie. – Swołocz… Co ty wyrabiasz!

Zabiję cię!

Przede mną padał cień od obłoku. Tantala zrobiła kolejny krok. Prośbą lub groźbą Czanotaks zmusił ją, by weszła w Przedsionek.

W końcu zrozumiałem, że nic nie zrobię. Odstąpiłem, wspierając się plecami o szeroki pień. Tak samo błądziła w poszukiwaniu Luara moja młodziutka żona…

Wstrzymałem oddech. Przywidział mi się ptak krążący nad jednym punktem wciąż niżej i niżej… Kręgi zapętlają się wężowo… Dlaczego tak długo zwlekałem, dlaczego uciekałem, dlaczego…

Zawróciłem po własnych śladach. Domek na skraju polany trwał w absolutnej ciszy. Rozwarłem drzwi i przebiegłem przez sień. Zaraz Alana spojrzy na mnie zdumionymi oczami…

Leżała tam, gdzie ją zostawiłem, w tej samej pozie. I wcale nie spała.

„Ona odchodzi. Odeszła już daleko…"

Byłem sam. Całe życie przywykłem liczyć tylko na siebie. Rozcierałem zimne ciało, przykładałem ucho do chłodnej piersi, odciągałem powieki zmatowiałych oczu.

„Jak ją potem zdążysz dogonić".

Nie zdążyłem.

Zbyt wiele sił zajęła bezsensowna ucieczka. Zbyt wiele uwagi poświęciłem magicznym zabawom, Amuletowi i własnemu losowi, związanemu z Wyrokiem Sędziego…

„Może pan ją przytrzymać… jak na haczyku".

– Alano – powiedziałem żarliwie – jeśli teraz umrzesz, ja nie doczekam lata. Od razu się powieszę… ku radości Czarno.

Trzeba to było zrobić wcześniej, usłyszałem wewnętrzny głos. Zaraz po Nocy Sądu, gdybyś był wystarczająco odważny. Czyn godny Rekotarsa…

Alana nie odpowiadała. Nie istniałem już dla niej.

– Alano…

Wyczułem czyjś wzrok na karku, jak lodowe igiełki. Obejrzałem się.

Przez zamrożoną szybę, przez wymyślne lodowe desenie spoglądał na mnie jakiś człowiek. Wąska twarz, pomarszczona, jak u starca, lecz oczy błyszczały młodzieńczo. Złe oczy o przenikliwym spojrzeniu.

– Kto tam?!

Zerwałem się z jego spojrzenia jak robak ze zbyt grubego haczyka. Wyskoczyłem na zewnątrz, roztrącając dwoje drzwi, stanąłem w progu…

Śnieg pod oknem był nienaruszony. Nikogo nie było. Nawet zwierza, czy ptaka, oprócz tego, co krążył w mej głowie, a kręgi zacieśniały się nieprawdopodobnie tuż nad ziemią.

Wróciłem do środka. Człowiek za oknem wciąż czekał. Na jego twarzy pojawił się cień zainteresowania.

– Pomóż mi – poprosiłem szeptem.

– Luar… – doszło z lasu ledwie słyszalnie.

Czy naprawdę skinął głową?

Błyszczący toporek maga okazał się nieoczekiwanie ciężki. Obiegłem dom i ujrzawszy drewniane rzeźby, stanąłem, grzęznąc w śniegu.

Ta, która wyobrażała Tantalę, znajdowała się teraz o pół kroku do śniegowej podobizny Luara. Głowę bym dał, że rano stała dalej, co najmniej na dziesięć kroków!

Zdławiłem w sobie pragnienie rzucić się na śnieżnego bałwana z toporem. Rozejrzałem się, poszukując Alany. Nie znalazłem jej. Krążyłem w panice, zaglądając w drewniane twarze. Przecież tutaj stała! Potem zrozumiałem.

To, co było wcześniej dziełem sztuki, teraz było wysokim pniem ze śladami topora. Ledwie widocznymi śladami, jakby ktoś zamierzał wyciosać ludzką figurę, ale się rozmyślił.

Wątpię, czy sam doszedłem do tego, co zdarzyło się później. A może i sam. Rekotarsowie są bystrzy z natury… Mają to po praprzodku, Magu z Magów, sprytnym lokaju Damirze.

Leciały wióry. Waliłem bez przerwy, wyobrażając sobie na miejscu podatnego drzewa kark Czanotaksa Oro i trzeba przyznać, że bogata wyobraźnia bardzo mi pomogła. Zalewając się potem, ściąłem pień, będący jeszcze niedawno posągiem, rozłupałem go i pociąłem, zaniosłem drewno do chaty. Drwa były zalane krwią z umęczonych dłoni. Odszukałem w torbie Alany krzesiwo i rozpaliłem pośrodku chaty wielkie ognisko.

Ptak, krążący w mojej głowie, zatrzymał się w locie, jakby uwięziony w gorącym oparze.

„Niech ją pan zatrzyma… Jest pan przystojnym mężczyzną…”

Lód na szybach tajał. Spływał mętnymi strumyczkami i wkrótce w miejsce zawiłych wzorów pojawiły się nagie szyby, zamglone, prawie nieprzejrzyste. Dym wylatywał otwartymi drzwiami.

„Niech wraca".

Zdarłem z Alany okrycia. Położyłem się przy niej, przytulając do siebie. Ciało mej żony zdawało się zimne i bez życia, jak pokryte śniegiem wzgórze, po których tak miło się zjeżdża na sankach…

Nic.

– Słuchaj mnie. Słyszysz?

Milczenie.

„Jak owdowiejesz, możesz spokojnie odnaleźć swą pierwszą miłość…” „Drugą"… Nic.

„Chcesz, żebym ci współczuła?"

– Współczuj mi, Alano. Porozmawiaj ze mną. Wróć do mnie!

Śnieg.

Chyba rzeczywiście jestem niegodzien.

Widocznie jest jak jest. Sędzia był sprawiedliwy, wyznaczając mi karę. Nie bez powodu dał mi ten rok, żebym zrozumiał, jak piękne jest życie i co utracę.

Całe życie brnąłem „w bagnie" i „we krwi". Teraz gotów jestem spłacić stare długi. I właśnie teraz zwijam się jak wąż, pragnąc przekazać jej choć trochę ciepła. Żeby rozpuściło ten cały śnieg.

Trup poborcy na bramie…

Nie.

Bandyci na pokładzie śliskim od krwi. Szpada w mojej dłoni. Komedianci na scence, rozgniatający obcasami rozbite szkło. Znowu szpada…

Wielkie nieba, gdyby to pomogło, połykałbym ogień, płonący wesoło pośrodku izby. Jestem rybakiem. Zarzucam swoje haczyki w kompletną pustkę…

Cienka nić łącząca ją jeszcze z życiem. Cieniutka, rwąca się.

Nie wiem czemu przypomniała mi się ciasna izdebka (w gospodzie?) i młody człowiek, podrzucający do góry roześmianego brzdąca, pięcioletnią dziewczynkę, w przekrzywionym na jedno uszko kapturku…

Cudze wspomnienie?

Przywarłem ustami do jej półotwartych warg. Jakiś czas mogę oddychać za nią. Wdech… Splecionymi palcami uciskałem jej pierś. Wydech…

„Sprawię, że nikt nigdy cię nie pokocha i ty nikogo nie pokochasz… Bo moje czary są twardsze niż stal. A ludzie są słabi. Nie potrafią kochać jak należy i nienawidzić. Potrafią za to zapomnieć. Na zawsze. Ludzie zapomną o tobie, Luarze".

Znowu cudze wspomnienie?

Czy mi się wydało, że jej wargi drgnęły pod mym dotykiem?

Wywrócę się na nice.

Stanę się oddechem w cudzych płucach. Jej oddechem.

Stanę jej ciepłym ubraniem. Jej życiem…

I w tym momencie jakby prysło bielmo na moich oczach.

Ujrzałem siebie lawą, spływającą ze wzgórza, wytryskującą z gardzieli wulkanu. Gorącym potokiem zwaliłem się na zaśnieżoną równinę, czując jak momentalnie paruje.

Jeszcze!

Równina zatrzęsła się… Jeszcze!

Lód stopił się, obnażając ludzką skórę… Ciepłą i żywą.

Jej usta poruszyły się. Z pierwszym człowieczym odruchem moje ciało wróciło, zebrało się, zlepiło z potoków rozpuszczonej skały.

Poczułem zapach dymu i zobaczyłem czerwony odblask na ścianach. A może ognie tańczyły mi przed oczami.

Płaszcz i okrycia opadły z niej. Szmaciany kokon rozpadł się, ukazując w ciepłych ognistych smugach nieznaną mi istotę. W pierwszej chwili przestraszyłem się, że moja żona zamieniła się w motyla. Alana nie rozkładała rąk, nie odrywała się od mojej piersi. Bardziej palcami niż oczami badałem jej ciepłe, bojaźliwie ożywające ciało. Wracała do życia, ja zaś okazałem się zręcznym rybakiem, zahaczyłem ją i wyciągałem z niebytu do ognia, szalejącego pośrodku izby…

Bez wątpienia w tej właśnie chwili przestałem być lawą i stałem znowu sobą. Języki ognia konwulsyjnie splatały się ze sobą, tworząc skomplikowany wzór, wyginając się ku ciemnej powale.

Rytualny ogień, oświetlający sypialnię małżeńską w pierwszą noc poślubną.

Do rana drewno się wypaliło. Na podłodze pozostał ciemny krąg i kupka węgielków. Ściany, pościel, nasze ubrania i włosy pachniały dymem. Leżeliśmy ze splecionymi dłońmi.

– Co teraz będzie? – zapytała szeptem Alana.

– Żyjemy – odrzekłem ochryple.

– Tak… ale co będzie dalej?

Drzwi zaskrzypiały.

Spodziewałem się, że Tantala się postarzeje, że jej ciemne włosy posiwieją. W chatce panował półmrok i w pierwszej chwili miałem wrażenie, że tak właśnie się stało.

– Prosiłam cię… nie idź – mruknęła rozpaczliwie Alana.

W ciemności rozległ się cichy śmiech. Przestraszyłem się, że Tantala postradała rozum. Podeszła i opadła na ławkę u okna, przesłaniając jedyną jasną plamę. Przyjrzawszy się jej twarzy, odczułem dużą ulgę.

– Nie wystarczyło dziesięciu kroków – powiedziała powoli Tantala. – Dziesięć lat… to jednak długo. Słyszałam jego głos. Prawdziwy głos. Luar powiedział…

Skrzypnięcie.

Drzwi znowu się otwarły. Na progu stanęła mroczna postać. Niedźwiedzia szuba obwisła soplami.

– Cieszę się, że wszystko z wami w porządku – rzekł dziarsko Czarno Tak Skoro.

Potem stracił przytomność i zwalił się w przejściu.

Rozdział trzynasty

Oczywiście nie mieliśmy koni. Ten, na którym przyjechały Tantala i Alana błąkał się gdzieś po lesie, a może stał się już pożywieniem wilków. Być może i nas czekał podobny los.

Jedzenie skończyło się. Zapewne Czarno Tak Skoro potrafiłby wyczarować kolację, ale ciągle był nieprzytomny, a to czyniło naszą ucieczkę możliwą. Przynajmniej prawdopodobną.

Mag leżał na ławie z gołym czerepem bezsilnie przechylonym na bok. Tantala długo nad nim stała, splatając i rozplatając palce, potem zwróciła się do mnie.

– Jak myślisz, czy można go zabić?

Wzdrygnąłem się.

Przed oczyma duszy ujrzałem scenę podpatrzoną w lesie na skraju polany: jej dłoń gładząca twarz maga z prawdziwą czułością.

Czyżby Tantala była wtedy zaczarowana, a teraz przejrzała na oczy? Czyżby…

– Co ja jestem, miejski oprawca? – odparłem ponuro. – Konsultujesz się ze mną, jak ze znawcą?

– Trudno, żebym się radziła Alany – burknęła z zawiedzioną miną.

– Wątpię, żeby można go było tak po prostu zabić – wtrąciła poważnie moja młoda żona. – Gdybyśmy mieli wciąż magiczny artefakt…

Westchnęła, spojrzawszy w zamglone okno.

– Zjadłabym coś.

– Trzeba go powstrzymać – stwierdziła cicho Tantala. – Jeśli go nie powstrzymamy… Luar powiedział… Ostatnią nicią do niego jest Toria. Doprowadzi go do niego, choćby za cenę…

– Co?

– Mama!

Ja i Alana krzyknęliśmy jednocześnie.

Pasek wgryzał się w ramię. Szedłem w śniegu po kolana, wlokąc za sobą zaimprowizowane pospiesznie nosze. Mag nie był szczególnie ciężki, lecz w tych warunkach ciężko byłoby tak ciągnąć nawet dzieciaka.

Alana i Tantala początkowo mi pomagały, lecz potem dały spokój. Sił wystarczało tylko, by wyciągać nogi z lepkiego śniegu.

Nie było sensu siedzieć dalej w pustej chacie. Nie mogliśmy, na podobieństwo zajęcy, żreć kory z drzew. Nie było też na co polować. Nawet ptaki, z nieznanych powodów, omijały chatę bez dymu z komina, a jedyna mysz polna, jaką zdołałem złapać, została w wymuszony sposób odtrącona przez obie kobiety. Za to w kącie

znaleźliśmy spory mieszek pełen pieniędzy. Tantala wahała się, czy mamy prawo brać cudze złoto i czy nie przyniesie nam to nieszczęścia. Oświadczyłem oschle, że od tej chwili ja jestem wodzem wyprawy i po brzegi wypełniłem nasze sakiewki. Alana zachichotała, Tantala się podporządkowała.

Ślady wędrówki do Przedsionka po trosze wystąpiły na jej twarzy. Obnażały się, jak nie pogrzebane kości odkrywają słońce i wiatr. Kobieta stała się nerwowa i rozdrażniona. Bała się nocnych koszmarów i szybko słabła. Teraz także, idąc przez las, często przystawała.

Nie miałem wcale pewności, czy idziemy we właściwym kierunku. Przed moimi oczami rozciągał się smutny zimowy krajobraz, ten sam, który niedawno stworzył mag za pomocą magii i moczu. Zawsze miałem doskonałą pamięć, jak jednak mogłem kierować się obrazkiem widzianym w półmroku i oszołomieniu?…

– Alano – odezwałem się ochryple – pomóż Tantali.

Nie musiałem tego mówić. Alana i bez tego szła razem z przybraną siostrą, podtrzymując ją pod rękę. Alana była jednak też osłabiona, a i tamta nie chciała sprawiać kłopotów. Co chwila próbowała wyswobodzić rękę. Czy tak daleko zajdziemy?

Przerzuciłem pasek na drugie ramię.

Pierwszą myślą było zostawić Czarno w jego chatce, po prostu zostawić wszystko, jak jest. Uważałem, że tak właśnie powinniśmy postąpić, ponieważ nie był naszym przyjacielem i nie zapraszaliśmy go do naszego życia. Miał swoje sprawy, my swoje. Trzeba zostawić wszystko losowi. Rozmyślając tak, czułem jednak niesmak. Miałem szczerą nadzieję, że człowiek pozostawiony w środku zimy w lesie, choćby nawet był magiem, umrze chociażby z głodu, bo na zimno zdawał się całkowicie odporny…

Tantala doskonale rozumiała tok moich rozważań. Milczała jednak uparcie, z trudem powstrzymując napady histerii. Bała się Czarno, a jednak myśl o tym, żeby zostawić go bezbronnego, jeszcze bardziej ją przerażała.

– Alano, pamiętasz, co się zdarzyło, kiedy go prowadziłaś?

Być może pytanie było nietaktowne, lecz tamta skinęła głową.

– Czuł się źle. Tak. Źle, ale nie do tego stopnia. Na pewno składają się na to różne przyczyny…

Wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, jak wpływają na samopoczucie magów niebezpieczne wędrówki do Drzwi. Przydałaby się teraz książka O magach, lecz nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie i kiedy zostawiłem tak cenny posag.

Posag. Okup.

Zostawić Czanotaksa na pewną śmierć, oznaczało porzucić ostatnią nadzieję. Dlatego że, jak ostatni głupiec, zachowałem nadal w

sercu jej cień, całkowicie wbrew rozsądkowi. Śmierć maga oznaczałaby ostateczny kres mego życia.

Tantala tego nie rozumiała. Alana tak. Wielokrotnie czułem na sobie jej pytające spojrzenie.

– Nawet jeśli go tu zostawimy… kto nam da gwarancję, że on… nie zregeneruje się, jak poprzednio? A jeśli przeżyje i odzyska moc…

Tantala się sprzeciwiła.

Jeśli odzyska moc, mówiła, na pewno zechce się dobrać do pani Torii. Nawet za cenę jej śmierci dotrze do Amuletu, a wtedy cały nasz świat przestanie istnieć, ponieważ Czanotaks Oro działa z błogosławieństwem Trzeciej Siły i uzbrojony w amulet, wywróci nasz świat na nice…

Mówiła tak bystro i z przekonaniem, że na chwilę jej uwierzyłem.

– Kto może go powstrzymać?

– Nikt.

– Proponujesz go udusić? Rozmowa schodziła na manowce.

Potem się poddałem. Tantala przeżyła ciężki wstrząs, więc nic dziwnego, że wszystko widzi w ciemnych barwach. Ni z tego, ni z owego przypomniałem sobie wiejskiego starostę, okrągławego, z szerokimi zakolami nad czołem. Wypiwszy krzynkę, robił się wielce wymowny, przemawiając kwieciście i bzdurnie. Miał dorosłego, żonatego syna, sam starosta także miał żonę, która była komuś solą w oku. Synowa męczyła się pod jej rządami. Po jakimś czasie starosta zauważył, że małżonka jakby się uspokoiła i osowiała. Przyparta do muru synowa wyznała, że poiła teściową ziołami nasennymi. Starosta nie ukarał jej, przeciwnie, pogodził się z sytuacją, pod warunkiem, że zioła nie spowodują zejścia niewiasty…

– W końcu jest jednak człowiekiem? – zapytałem w rozterce.

– Człowiekiem, chociaż… magiem?

Znalazłem chyba najlepsze wyjście. Uchroniło nas od hańby morderstwa, a zarazem zabezpieczało Torię i jeśli wierzyć twierdzeniom Tantali, także cały świat… Mag, napojony nasennymi ziołami, był nieprzytomny, pozbawiony woli i mocy.

Dlatego teraz taszczyłem za sobą nosze. Jeśli pamięć mnie zawiodła, z nadejściem nocy i wilków nasze problemy rozwiążą się same.

Tantala znów przystanęła. Alana szła dalej, z dłońmi skrytymi w mufce. Widocznie tamta nie chciała wsparcia. Podszedłem do rozpostartego ciała na noszach i pochyliłem nad bladym obliczem czarodzieja.

– Czarno… czy dobrze idziemy?

Milczenie. Opuszczone powieki, głęboka zmarszczka między brwiami.

– Słyszysz mnie, Czarno?

– Psy – rzekła zmienionym głosem Alana.

Zamilkłem.

W mroźnym powietrzu rozległo się odległe ujadanie psów.

Czy łatwo uwarzyć zupę w garści, trzymać w ustach truciznę, mieć żar za pazuchą?

Przed nocą dotarliśmy do chutoru i nasze pieniądze wykazały magiczną właściwość, do tego stopnia, że przez chwilę poczułem się prawdziwym czarodziejem. Ugościli nas, nakarmili, przygotowali posłania i nagrzali wody. Postanowiłem nie zastanawiać się nad niczym do rana. Zasnąłem niemal szczęśliwy w objęciach Alany. Zbudziłem się w środku nocy, w kompletnej ciemności.

Za zasłoną miotała się na posłaniu, jęcząc przez zaciśnięte zęby, Tantala. Śniły się jej koszmary: Przedsionek, w którego końcu majaczyła nie całkiem ludzka postać Strażnika, który był jej mężem, Luarem.

Alana sapała cichutko nad moim uchem. Ostrożnie, by jej nie przestraszyć, pogładziłem odkryte ramię. Potem wstałem, założyłem płaszcz na gołe ciało i zajrzałem za kotarę. Tantala już nie jęczała, tylko dyszała ciężko.

Postałem nad nią chwilę, a potem ostrożnie, omijając sprzęty, cichcem przeszedłem do drugiej izby.

Ta izba była bez wątpienia pomieszczeniem dla służby. Na kanapie w kącie leżał przykryty szubą Czanotaks Oro. Na noc mocno związałem rzemieniami jego ramiona i nadgarstki, kolana i kostki u nóg. W jakiejś chwili przypomniałem sobie piwnicę z beczkami i zardzewiałe łańcuchy na moich rękach. Nosił wilk razy kilka…

Stanąłem w drzwiach nasłuchując, lecz nie usłyszałem oddechu. Czyżby magowie nie oddychali?

Nie należy zapraszać do domu błyskawicy ani wilka na gody. Gdzie jest ta granica, za którą Czarno Tak Skoro okaże się bezsilny? Dobry Czanotaks, to martwy Czanotaks?

Przestąpiłem z nogi na nogę. Jesteśmy zbyt pewni siebie. Nie wiedzieć czemu uznaliśmy, że naprawdę możemy go zabić, póki jest obezwładniony. A jeśli nie? Jeśli Alana ma rację, że do takiego zabójstwa konieczny jest magiczny artefakt? Po co więc owe wszystkie dylematy moralne. Uratowaliśmy mu życie nie z litości, ale dlatego, że nie potrafiliśmy go pozbawić…

Wziąć od razu rzemień i zapętlić na jego bezbronnym gardle…

Ohyda. Jeśli zacharczy i odejdzie do swoich przodków, kim się stanę we własnych oczach? Nocnym dusicielem bezbronnych?

Nie mówiąc już o Wyroku Sędziego.

Tantala słabo krzyknęła za kotarą.

– Ty bydlaku – powiedziałem smutno do związanego wroga. – Co mamy z tobą zrobić?

Wspaniała kompania: facet i dwie kobiety, a z nimi beczka prochu w ludzkim ciele. Ni to wyrzucić, ni zabrać.

Następnego dnia nastąpiła wiosna. W oka mgnieniu, bez żadnych przygotowań. Mieszkańcy chutoru chwytali się za głowy, opowiadając o zniszczonych przez powodzie tamach i mostach, zatopionych dolinach, niemal o kataklizmie. Udało nam się dostać po topniejącym śniegu do sąsiedniej wioski, gdzie nasza podróż zatrzymała się sama przez się, ponieważ następnego dnia drogi zrobiły się całkiem nieprzejezdne.

Pieniędzy mieliśmy pod dostatkiem. Zajęliśmy najlepsze pokoje w gospodzie i zasięgnęliśmy informacji o miejscowych znachorkach. Okazało się, że są aż trzy, a dwie z nich chwaliły się, iż są „wiedźmami". Dowodem czarodziejskich umiejętności była zdolność leczenia zaparcia. Wszystkie trzy, nie porozumiewając się między sobą, zaproponowały mi taki sam zestaw ziół. Zapewne jeszcze ich babki podkradały sobie receptury. Napar nazywał się „Sennik".

– Tylko uważajcie, młody panie, żeby go nie nadużyć… można zasnąć na wieki…

Receptura była prosta. Bez niczyjej pomocy uwarzyłem nasenny napój i przecedziłem go przez ściereczkę, obawiając się przy tym, że dziwny zapach rozejdzie się po całej gospodzie.

Czanotaks nie dawał oznak życia. Lusterko podstawione do ust pokryło się jednak parą. Wlewałem z dzbanka o szerokim dzióbku w jego półotwarte usta codzienną porcję „Sennika". Można było stracić zmysły od samego zapachu.

– Nie przerywaj – mówiła Tantala przez zęby.

Tymczasem odwilż całkowicie rozmyła drogi, śnieg tajał, odsłaniając rozkisłą glinę. Ciekawska gospodyni coraz częściej zapytywała, dokąd jaśnie państwo chce dalej jechać i czy „temu panu, co nie wychodzi z pokoju" nie jest potrzebny lekarz. Służba także zerkała z ciekawością. Trudno zachować sekret w gospodzie. Zabroniłem pokojówkom zaglądać do izdebki Czarno, uzasadniając, jakoby nie należało niepokoić chorego. Bałem się, że ktoś zobaczy rzemienie, jakimi go skrępowałem.

W izdebce owej nie było kominka. Zauważyłem, że Tantala wnosi do niej świece i zapala je wokół nieruchomego ciała.

– Czy nie jest mu wszystko jedno? – zapytałem z sarkazmem.

Nie odpowiedziała.

Spędziliśmy w gospodzie prawie dwa tygodnie. Oberżystka, służący i cała wioska zbrzydły nam nie do wytrzymania. Czarno Tak Skoro wysypiał się za wszystkie czasy. Codzienna porcja nasennego naparu robiła swoje. Kiedy ciekawska posługaczka zajrzała raz do jego izdebki, jej oczom ukazał się całkiem zwykły obrazek: człowiek podstarzały i łysy, śpiący spokojnie pod szubą. Uspokojona zaniosła

jedzenie dla innych gości, aż spotkała na drodze mnie, rozdrażnionego i bezlitosnego dla innych.

Chyba nie trzeba mówić, że mój nastrój pogarszał się z każdym dniem. Nieoczekiwana bezwolność maga niepokoiła mnie bardziej, niż ewentualne próby ucieczki. Posługaczka nie była powodem mego rozdrażnienia, ale przychwyciwszy ją na przewinie nie mogłem się powstrzymać. Oznajmiłem jej, że gość, śpiący w zakazanej izbie, zapadł na nieznaną chorobę, której pierwszym objawem jest łysienie. Może pożegnać się ze swoimi bujnymi włosami, bo wszystkie wypadną i jej głowa upodobni się do czerepu chorego. Choroba jest zaraźliwa i bez wątpienia zapadną na nią także wszyscy jej krewni. Nie pamiętam, co jeszcze wygadywałem, podczas gdy posługaczka opadła na podłogę w rozpaczy. Pół godziny później w całej gospodzie słychać było kobiece pochlipywania. A godzinę później zjawiła się u mnie właścicielka, bardzo chłodna i nieżyczliwa, która surowo kazała nam opuścić jak najszybciej gospodę. Za rozpowszechnianie zarazy można pójść do więzienia. Prawo to dotyczy zwłaszcza podróżnych. Jeśli się nie podporządkujemy, zamknie nas w lochu i każe spalić nasze klamoty.

Poszedłem szybko do stajni, gdzie dawno już umówiłem się na kupno koni. Stajenny odskoczył ode mnie, wystawiając bat przed siebie. Jak widać, wieść o zarazie łysienia szerzyła się we wsi jak pożar. Przekląłem swój długi język. Na szczęście Alana ani Tantala nie miały do mnie pretensji. Obie cieszyły się, że nareszcie opuścimy gospodę. Mieliśmy jeszcze przed sobą pół dnia, błoto nie mlaskało już tak pod kopytami, uznałem więc, że z trudem, ale dotrzemy do kolejnego chutoru nim zajdzie słońce.

Monety, jakimi zapłaciłem za konie, stajenny profilaktycznie opalił w płomieniu świecy.

Podniosłem z łoża Czarno Tak Skoro i rozwiązałem mu nogi.

Mag był ospały i apatyczny. Jakiś czas usiłowałem wydobyć zeń wyznanie, że w gruncie rzeczy udaje, ale nic z tego nie wyszło. Mój plan, oparty na historii z synową starosty, nieoczekiwanie wypalił.

Czarno leżał w siodle jak wór ziemniaków. Mieszkańcy wioski rozbiegli się i poukrywali, chcąc uniknąć nawet widoku łysej zarazy. Podtrzymując maga, prowadziłem konia za uzdę. Wywiodłem na pola naszą kawalkadę i tam przełożyłem sennego maga w poprzek przez siodło. Tantala najeżyła się, Alana parsknęła. Na czworo ludzi mieliśmy trzy konie. Wskoczyłem na siodło i posadziłem przed sobą Alanę. Tantala, jako znakomita amazonka, wzięła też wodze konia Czanotaksa. I tak, powoli, omijając kałuże, ruszyliśmy na spotkanie przeznaczenia.

Los nie był dla nas łaskawy.

Słońce wisiało nad horyzontem i zamierzało już skryć się za

ciemną linią lasu. Droga ciągnęła się bez końca bez żadnych oznak ludzkiego życia. A przecież dziesiątki razy wypytywałem o drogę i z wszystkich relacji wynikało, że w pobliżu powinien być niejeden chutor!

Przejechaliśmy niewielką rzeczkę po rozchwianym, dziurawym moście. Konie niechętnie stąpały po ruszających się deskach. Moi towarzysze milczeli. Tantala i Alana nerwowo spoglądały w gęstniejący zmrok, mając nadzieję zobaczyć w końcu dym z komina nad horyzontem, jakikolwiek budynek, czy szopę. Wieczór był wiosenny, bezwietrzny i dosyć ciepły, lecz nikomu z nas nie podobały się kpiny, jakie z nas stroił los.

Co do maga, śpiącego jak suseł i bezwładnego jak worek, nie usłyszałem od niego jednego słowa od piętnastu dni.

Słońce zaszło. Przed nami pojawił się most, podobny jak dwie krople wody do tego, który przejechaliśmy. Konie zatrzymały się. Moje ponure podejrzenia zamieniły się w pewność.

– Przecież nigdzie nie skręcaliśmy – udręczonym głosem odezwała się Alana. – Można tak błądzić po lesie, ale jechaliśmy traktem!

Zeskoczyłem z konia. Podszedłem do przerzuconego przez koński grzbiet Czanotaksa. W takich razach zazwyczaj chwyta się kogoś za włosy, lecz nie miałem takiej możliwości.

Dlatego chwyciłem maga za podbródek i podniosłem głowę, chcąc spojrzeć mu w oczy.

Czanotaks spał. Jego twarz pozostawała, jak zwykle, niema i nieprzenikniona.

– Czy on może czarować przez sen? – zapytała Alana. – Może właśnie przyśniła mu się ta droga?

– To na pewno inny most – odparła bez przekonania Tantala. – Może w tej okolicy wszystkie mosty są jednakowe…

Podszedłem do mostu i stuknąłem z rozdrażnieniem w spróchniałą balustradę. Drewniana poręcz rozpadła się. Było zbyt ciemno, żeby stwierdzić z całą pewnością, czy to ten sam most. W tej okolicy, jak sugerowała Tantala, mieszkańcy niespecjalnie dbali o mosty…

– Mamy wodę – stwierdziła dziarsko Alana – ba, całą rzekę… Mamy jedzenie. Nie ma mrozu, zima się skończyła. Przenocujemy tutaj.

Nie było innego wyjścia. Ułożyłem niewielki stosik kawałków rozwalonej balustrady. W pobliżu nie było innego drewna. Napoiłem konie, żałując, że nie ma czym ich nakarmić.

– Odsuń go od ognia – powiedziała Tantala.

– Strasznie się o niego martwisz – stwierdziłem gniewnie. – Czy to nie ty chciałaś go zabić?

– Odsuń go od ognia – powtórzyła Tantala, nie podnosząc głosu. –

Nie powinien być blisko…

– On rozrywa ogień gołymi rękami jak pakuły – odparłem sucho. – Jak chcesz, to go odciągaj. Jestem szlachcicem, potomkiem Maga z Magów i już się nadźwigałem!

Tantala podniosła się, podeszła do Czarno i chwyciła go za ramiona. Wygodniej, według mnie, byłoby ciągnąć za nogi. Może jednak niemiły jej byłby widok łysej głowy, podskakującej na kępach trawy?

Jeszcze jeden wysiłek. Tantala uparcie wlekła maga na granicę jasnego kręgu. Ciekawe, o czym rozmawiali wtedy w lesie, na polanie? I czy Czarno wiedział, że byłem świadkiem… A może nie wiedział?

– Zostaw – powiedziałem ze znużeniem. – Ja sam…

Nie odpowiedziała. Zataszczyła śpiącego czarodzieja dalej od ognia, postała nad nim. Widziałem tylko czarną sylwetkę. Potem wróciła do ogniska i jakiś czas przeżuwaliśmy chleb z mięsem podgrzanym na ogniu.

– Opowiedz jakąś historię, Retano – poprosiła Alana.

Zmieszałem się.

– Jaką?

– Ładną… Taką, jak opowiadałeś wcześniej. Na przykład o rozbójnikach.

– O zbójach lepiej nie – syknęła przez zęby Tantala.

– No to o duchach – zgodziła się potulnie Alana.

Kawałki balustrady płonęły cicho. Dawniej na pewno dotykały ich tysiące rąk, tak jak teraz płomienie. Jeśli ludzkie dłonie tylko starły cierpliwe drewno, ogień pożerał je niespiesznie, lecz nieodwracalnie. Po to, byśmy mogli się ogrzać…

„On marznie".

Kto to powiedział? Gdzie to słyszałem, do licha? Obejrzałem się w mrok, jakbym obawiał się, że związany Czarno wstanie i ucieknie.

– O duchach… No więc tak: był sobie stary zamek, po którego lochach krążył duch. Był już niemłody, wychudły, krótkowzroczny…

– Duch?! – parsknęła Alana.

– Lecz jego oczy płonęły jak świece – dodałem pojednawczo. – Najbardziej w świecie duch pragnął ustrzec swego młodego potomka od błędów, ale się nie dało… Zapewne tylko w lochu młody człowiek nabierze rozumu. Stanie się także widmem, z oczami jak kaganki, a swym westchnieniem będzie rozchylać firanki… Wyobraźcie to sobie: cała widmowa armia, zapełniająca lochy, wyciągająca ręce i próbująca ostrzec nas. Żyjących do momentu, gdy wybija godzina i za późno już będzie zawrócić…

– Nie – powiedziała Alana.

Tantala obejrzała się na nią szybko.

– Co: nie?

– Retano – szepnęła Alana przez łzy – proszę cię, zrób coś… Nie mogę żyć bez ciebie…

Tantala przeniosła wzrok na mnie. Jej oczy w blasku ognia były czarne z dwiema lśniącymi, złotymi kropkami. Alana zaszlochała.

– Co to za tajemnice? – spytała bystro Tantala. – Możesz mi to wyjaśnić, Retano?

Wrzuciłem do ognia resztki poręczy. Wzruszyłem ramionami.

– Żadne tajemnice… W życiu każdego człowieka nastąpi kiedyś kres i czasem warto o tym pomyśleć. Dojedzcie chleb. Zaraz wrócę.

Czarno Tak Skoro leżał tam, gdzie go zostawiła Tantala, na mokrej, zgniecionej trawie, otulony szubą, przy czym futro zmierzwiło się niczym sierść chorego psa. Dalekie odbłyski ognia pląsały na łysinie. Wydało mi się, że mag krzywi się przez sen, jak od bólu zęba.

Wyciągnąłem kindżał zza pasa i przystawiłem ostrze do gardła tamtego. W takich chwilach lepiej się nie zastanawiać i nie wahać.

– Zrobimy tak: zdejmiesz ze mnie teraz Wyrok Sędziego, a ja daruję ci życie. Stoi?

Wlałem przecież rankiem w owo gardło codzienną porcję „Sennika", aby mieć lekką i bezpieczną drogę.

Otóż i owa bezpieczna droga. Zapętliła się, zarosła gałęziami, mostami, przyniosła na języki mityczny chutor i zatoczyła krąg wśród nocy pod gołym niebem…

– Czarno… Ja wiem, że udajesz. Ja jednak nie udaję. Mam u ciebie wielki dług, nie spłacę go całym życiem… No?!

Spał.

Widziałem białka oczu, bielejące w szparze między nie do końca przymkniętymi powiekami. Mag spał otumaniony nasennym naparem, a może też wciąż osłabiony ostatnim magicznym eksperymentem. Być może zataczająca krąg droga była jedną z jego sennych wizji. Jak głupiec stałem nad nim z kindżałem.

Kto wie, do czego by doszło, gdybym zdobył się na ostateczny krok.

Krok rozpaczliwy. Kto wie, jak odwróciłyby się nasze losy, gdybym podciął odsłonięte gardło. Magia magią, ale ostatnie słowo ma ostra stal…

Nikt się nie dowiedział, ponieważ postanowiłem nie zarzynać śpiącego. Było to ponad moje siły. Zgrzytnąłem zębami jak potępieniec, schowałem broń i wróciłem do ogniska.

Przybrane siostry porozumiewały się bez słów. Tantala patrzyła na Alanę ciężkim wzrokiem, jakby czegoś żądała. Zapewne zadała pytanie i chciała wydobyć z mojej żony jakąkolwiek odpowiedź. Alana patrzyła w ogień. Pomyślałem z szacunkiem, że nikt nie potrafi tak zachować sekretu, jak moja młodziutka partnerka.

Następnego dnia dotarliśmy do chutoru. Pierwszymi osobami,

które spotkały nas na pustej ulicy, były dwie młódki, plotkujące przy studni. Widząc naszą niewielką kawalkadę, najpierw pochyliły się do przodu, bacznie się nam przyglądając, a potem rzuciły do panicznej ucieczki.

Wieść o strasznej zarazie łysienia dotarła tu przed nami. Nic dziwnego, bo nawet leniwy pieszy pokonałby bez trudu odległość, na którą straciliśmy niemal całą dobę. Naturalnie, nie należało się tutaj spodziewać gościny. W dłoniach ponurych mężczyzn nagle pojawiły się widły. Ledwie udało się nam nakłonić oberżystę, by sprzedał nam trochę jedzenia i pozwolił nakarmić konie. Jak wiadomo monety opalone w płomieniu świecy nie przenoszą zarazy.

Przekąsiwszy coś naprędce, ruszyliśmy znów w drogę. Na okolicznych polach widać było zgięte grzbiety. Patrzono za nami nieprzyjaźnie.

– Nająć karetę – powiedziała znużona Tantala – i dobrego stangreta, jechać dzień i noc… Dojadło mi to wszystko. Wielkie nieba, kto by się tego spodziewał. Chcę do domu.

Zerknąłem na nią ze zdziwieniem. Nigdy wcześniej nie pozwoliłaby sobie na taką wypowiedź. Kto wie, co będzie jutro. Droga do Przedsionka wiąże się z osłabieniem ducha, niczym prawdziwy Wyrok…

Z pewnością Tantala nie zrozumiała zmiany na moim obliczu. Alana potrząsnęła głową ze zdziwieniem. Chwyciłem się jej ramienia jak tonący brzytwy.

Wszystko się powtórzyło.

Kiedy tylko słońce skłoniło się ku zachodowi, okolica wokół jakby wymarła. Pół dnia wcześniej spotkany handlowiec wskazał nam drogę do najbliższej wioski, zapewniając, że wystarczą dwie godziny jazdy. Mrok znowu zgęstniał, a droga wciąż wiła się w pustce z tymi samymi drzewami na poboczach i plamą lasu na horyzoncie. Jechaliśmy już nią dziesięć razy i jakby nie miała końca…

W milczeniu rozbiliśmy obóz. Zebraliśmy chrust, rozpaliliśmy ognisko i zjedliśmy kolację. Pogoda psuła się. Zapewne czeka nas jeszcze deszcz.

Nie patrząc na Tantalę, odciągnąłem związanego Czanotaksa dalej od ognia. Dziwne, że nie czuć było od niego niemytym ciałem. Człowiek jak kukła: niczego nie je, pije tylko nasenny wywar, nie ma żadnych ludzkich potrzeb.

– Może zostawimy go w pierwszym napotkanym chutorze – powiedziała Alana za moimi plecami.

Drgnąłem i obejrzałem się.

– Zostawimy – powtórzyła, ryjąc w ziemi noskiem bucika.

– To jasne, że dopóki jest z nami, dopóty będziemy krążyć.

– Jeśli to zrobimy, uwolni się i dobierze do twojej mamy –

powiedziałem ostro.

– Jeśli go zostawimy, zabiją go – wtrąciła ponuro Tantala, wyłaniając się z ciemności.

– Jeśli w ogóle można go zabić – burknąłem przez zęby.

– Jesteś niekonsekwentny – odparła z czymś w rodzaju uśmiechu.

Odwróciła się i poszła do ognia.

Pół godziny później już spała, albo takie sprawiała wrażenie. Ułożona u ognia, okręcona płaszczem z torbą pod głową. Ja i Alana siedzieliśmy razem, milcząc, przytuleni do siebie, wzdrygając się pod porywami zimnego wiatru.

Potem, sam nie wiedząc czemu, wydostałem zza pazuchy swój drewniany kalendarzyk i podsunąłem do światła. Dni spędzone w chatce bez komina. Przebyte w drodze i gospodach. Trudne dni, już przeżyte. Zostały mi trzy miesiące.

Alana wczepiła się kurczowo w moje ramię.

– Retano…

– Będziemy ze sobą szczęśliwi – powiedziałem głucho. – Całe życie. Trzy miesiące. Będziesz miała potem co wspominać.

Ucałowałem jej usta. Pachniała dymem. Nie zwykłym dymem ogniska, lecz urokliwym oparem swego domu, dzieciństwa, dawnego życia…

Ślimak w skorupie. Pisklę w jaju. Za każdym razem trzeba było docierać do niej od nowa poprzez ciepłą odzież, płaszcze i kołdry, strachy, trudy i niemiłe wspomnienia.

Nie trzeba rozbijać skorupy. Sama się otworzy, kiedy trzeba.

Usnęła godzinę później, okutana moim płaszczem przed chłodnym wiatrem. Siedziałem obok, podrzucając gałązki i podsycając ogień. Wiedziałem, że nie zasnę.

Słusznie zaprowadzony na szafot. Słusznie rzucam w tłum, kiedy spada topór:

– Teraz wiem, jak trzeba żyć!

Tłum niczego nie wie. Gryząc orzeszki, rozchodzi się po domach i jak zawsze przepuszcza przez palce nić swego żywota, spełniając codzienne obowiązki.

Przedśmiertny wieczór spędzę w piwnicy z winem. Siądę pod beczką i zaproszę do towarzystwa krótkowzrocznego ducha Damira. Alany nie zaproszę. Szesnastoletnia wdowa prędko o mnie zapomni. Zacznie przebierać jedwabną wstęgę swego długiego życia, na której będę tylko niewielką haftką.

„Retano".

Miałem zwid?

„Retano, słyszysz mnie?"

Tak.

Zimno. Smutno. Jeszcze jedno przeczucie, przechodzące w

pewność, przeklęta słabość, niwecząca wolę, ciągnąca do ziemi…

A może mi się jednak zwidziało?!

Wstałem. Wydobyłem szpadę. Postałem, odwrócony od ognia, czekając aż oczy przywykną do ciemności. Przypomniałem sobie, że Czarno widzi w mroku znacznie lepiej ode mnie. Wobec niego mam kurzą ślepotę.

Wyciągnąłem z ogniska płonącą gałąź. Głownia pięknie czerwieniała, lecz światła dawała mało, więcej dymu. Z głownią w jednej i szpadą w drugiej ręce poszedłem tam, gdzie w ciemnej jamie oczekiwał poranka związany mag.

Ciemno było, choć oko wykol. Po kilku krokach zatrzymałem się, nie dlatego, że zobaczyłem więźnia, lecz ponieważ poczułem go pod stopami.

– Dałem plamę, Retano – oznajmił sennie Czanotaks. – Kiedy poddajesz się namiętnościom… masz potem wrażenie przepicia. Potrafisz wyciągać wnioski z cudzych błędów?

Milczałem.

– Wątpię – z żalem wymamrotał – czy potrafisz uczyć się na własnych. Rozwiąż mnie.

– Jeszcze czego – odparłem krótko.

Zachichotał.

– Jeszcze płot pomalować… Żartuję. To świństwo z siedmiu ziół już się skończyło, czy jeszcze trochę zostało?

Mówił o nasennym wywarze. Trzy znachorki, dwie uważają się za czarownice. Trzeba siedmiu ziół do wywaru… Ziewnął.

– Niszczy wątrobę, niszczy nerki, przy przedawkowaniu grozi trwałym omdleniem, przyśpieszeniem rytmu serca, uduszeniem. Wstrętny napar. Za grosz użyteczności na pół wiadra pomyj. Nie zawierzaj znachorkom, Retano.

Znowu ziewnął.

– A mnie mówiono – odparłem z uśmiechem – „nie związuj się z magami".

– Też prawda.

Czarno ziewnął trzeci raz i zapytał:

– Chciałeś mnie zabić?

Milczałem.

– Dobrze, Retano… Skoro nie chcesz mnie rozwiązać, jesteś wolny. Idź spać, ja w każdym razie, już zasypiam…

Wydał całą serię ziewnięć tak głośnych, że niechcący się obejrzałem, czy moje panie się nie zbudziły.

– Czego ci jeszcze brakuje, Retano… Żyć i cieszyć się życiem. Żona cię kocha, śnieg stopniał, wszystko wokół odrasta… Nie przejmuj się Trzecią Siłą. Śpij, Retano, śpij spokojnie, twój Czanotaks zatroszczy się o ciebie… później.

Jakiś czas stałem z obnażoną szpadą, jak posąg wojownika albo jak widmo wodza, albo kompletny dureń. Mag spał na gołej ziemi i teraz słyszałem całkiem dobrze jego oddech. Równomierny, spokojny oddech człowieka, który po długich trudach wreszcie spoczął w łożu.

Co trzeci mieszczuch kłaniał się, spotykając go na ulicy. Dawniej kłaniali się prawie wszyscy, lecz wtedy był naczelnikiem straży miejskiej. Teraz był bohaterem Oblężenia na emeryturze, trenerem młodych rekrutów, dowódcą znanego w całym mieście Korpusu.

Pan Soll rozmyśla, spacerując ulicami, szeptali do siebie kupcy. Mylili się. Wałęsał się, żeby o niczym nie myśleć.

Otóż i plac. Gmach Uniwersytetu. U wejścia zawsze ci sami strażnicy: żelazna żmija i drewniana małpa. Mądrość i pragnienie wiedzy. Każdy szanujący się student, przechodzący mimo, pocierał drewniany małpi zadek.

Soll nie chciał wchodzić do środka. Oczywiście wpuścili by go i spełnili każdą prośbę, ale w każdym spojrzeniu dostrzegałby współczucie, a nikt nie śmiałby spytać o zdrowie żony. Takie pytanie byłoby nietaktowne. Cicho, sza!

Ciężko byłoby mu wejść do jej pustego gabinetu. Wystarczy, że gabinet jest zamknięty, a klucz znajduje się u niego. Nawet nowy rektor nie ośmielił sprzeciwiać się takiemu porządkowi rzeczy.

Postał trochę przed sławetnym budynkiem. Popatrzył na niebo, odpowiedział na czyjeś powitanie. Potem ruszył w obchód placu i z każdym krokiem coraz silniej zdawało mu się, że nogi więzną w ulicznym bruku.

Gmach sądu. W lochach pod nim torturowano dwudziestoletnią Torię.

Tutaj stał szafot. Tam rozstawiali swoje scenki komedianci, wśród których błyszczała jeszcze wtedy młoda Tantala.

A ta malownicza ruina jest resztką wysokiego budynku, który rozebrano kamień po kamieniu. Na ostatkach fundamentów znajduje się granitowa płyta z wyrytym napisem: „Wieża Łasza, zburzona do ostatka, jako kara za liczne zbrodnie, dokonywane rękami przeklętego Zakonu". Dla większości mieszczan, nie pamiętających Czarnego Moru, to tylko ładnie wykute słowa.

Pułkownik Soll przystanął.

Przegrałeś, Fagirro. Życie toczy się dalej.

Postarzał się jeszcze bardziej, jakby jednym zrywem, o dziesięć lat. Teraz, przy dziennym świetle, mógłby być moim ojcem. Skóra na twarzy obwisła i przybrała żółtawy odcień i tylko goły czerep błyszczał jak poprzednio, niemal wyzywająco.

– Dlaczego mamy ci wierzyć? – zapytałem.

Staliśmy na tylnym dziedzińcu ubogiej karczmy. Kałuże, kupy nawozu, rozrzucone drwa, jedna kura, skubiąca świeżo wyrosłą trawę.

Staliśmy wokół maga, siedzącego na kłodzie. Poły szuby nurzały się w błocie.

– Nie musicie mi wierzyć – odparł, wzruszając ramionami i gest ten wypadł dziwnie, skoro ręce miał związane za plecami.

– Nikt nie dopuści cię do pani Torii – wycedziła Tantala przez zęby – na odległość armatniego strzału. Zapomnij.

Czanotaks przymknął oczy.

– Zapomnij. „Oni cię porzucą i zapomną. Zostaniesz służącą w jakimś sklepiku, całe życie będziesz zmywać zaplute podłogi i słuchać połajanek. A kiedy napalony właściciel zacznie cię ściskać w spiżarce, będziesz wspominać swego szlachetnego rycerza i przełykać łzy…"

Wyraźnie kogoś cytował, powtarzał cudze słowa, naśladując nawet obcy głos. Nie wiedziałem, czyj, lecz Tantala zbladła momentalnie, aż się przestraszyłem.

– „Niczego ci nie powiem – podjął Czanotaks innym, głuchym i przerywanym głosem. – Sam będziesz wiedział".

– Milcz – rzekła Tantala.

Czarno Tak Skoro uniósł powieki. Trudno orzec, co wyrażało jego spojrzenie. Być może sięgał w przeszłość, lecz pozostawał jak zawsze trochę obłąkany. Tylko trochę.

– Zdobędę tę rzecz – oświadczył miękko. – Jest mi potrzebna. Nieźle byłoby, gdybyście mi pomogli… nieźle dla was. Ponieważ – dodał, mrugając do mnie porozumiewawczo – sytuacja się zmieniła i teraz jestem wam winien więcej, niż wy mnie. Prawda, Retano?

Słyszałem ciężki oddech Alany. Nie patrząc, położyłem jej dłoń na ramieniu i przyciągnąłem do siebie. Gadaj zdrów, Czarno…

– Świat się zmienia – kontynuował mag, mrużąc oczy z satysfakcją. – Kiedy zaglądam do tej studni, chciałbym, żeby ktoś podzielił ze mną mój triumf. Moje słodkie podniecenie, gdy oglądam odmianę świata. To jest jak namiętne objęcia. Alano, wiesz już teraz, czym jest namiętność?

Alana zadrżała. Zacisnąłem mocniej dłoń na jej ramieniu.

Czanotaks szarpnął się bezsilnie. Związanemu niewygodnie było siedzieć. Chciałby oprzeć łokcie o kolana i złożyć podbródek na splecionych palcach.

– Tak… Mieszkamy na wielkim półmisku, obwiedzionym horyzontem, nigdy nie zaglądając za tę krawędź. Nadejdzie pan i wygrzebie resztki ostygłej kaszy i napełni naczynie gorącą zupą albo sosem mięsnym. Na jego szyi będzie wisieć dziwna ozdoba z czystego złota…

– Moją mamę torturowali przez to – odezwała się niespodziewanie Alan. – Zniosła, ile można znieść. Naprawdę myślisz, że ci to odda?

Czarno uśmiechnął się. Spojrzał na nią ciepło, niemal po

ojcowsku.

– Nie należy już do niej. Twój brat nie ma już sił. Myślisz, że jako strażnik ustępuję w czymkolwiek twojemu bratu?

– Kim jest ten „pan"? – spytałem z ociąganiem. – Czym jest „zupa"?

– Nie dostaniesz go, Czarno – rzuciła ze znużeniem Tantala.

Spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem. Jakby czuła straszny ból zęba, a mimo tego usiłowała zachować kamienną twarz.

– Od niepamiętnych czasów – zaczął mag z westchnieniem – Amulet Wieszczbiarza dostawał się temu, kto potrafił nim władać. Wszystkie próby ze strony niegodnych tego zaszczytu kończyły się totalną klęską. Ja jestem godzien Amuletu, Tantalo. Zresztą złoty artefakt sam wybiera swego powiernika. Mam powody wierzyć, że zostanę wybrany.

– Dwa razy już próbowałeś – odparła powoli Tantala.

Patrzyła wciąż prosto w oczy maga, miałem jednak wrażenie, że kątem oka spogląda na mnie. A raczej chce spojrzeć. Przekazać mi coś ważnego, z nadzieją, że to zrozumiem.

Czarno zmrużył powieki.

– „Tylko dwa razy. Trzecia próba będzie magiczna".

Znowu przemawiał cudzym głosem. Nie jestem tchórzem, ale poczułem ciarki na plecach.

– Kim jesteś? – zapytała po chwili Tantala. – Skąd się wziąłeś? Kto stoi za tobą?

Czarno już otwierał usta, lecz Alana, skoczywszy do przodu, nie dała mu dojść do słowa.

– Trzeciej próby nie będzie. Nie dorwiesz mojej mamy. Nie pozwolę, żebyś ją dręczył. Źle skończysz, Czanotaksie, tak samo, jak Fagirra!

Imię było znane wszystkim, prócz mnie. Tantala wzdrygnęła się i przygryzła wargę. Czanotaks pokręcił głową z powątpiewaniem. Zdumiałem się, jak bardzo Alana była w tej chwili podobna do Egerta Solla, przekonana, że zdoła ochronić swoją matkę, a jej słowa mają moc sprawczą.

W tej samej chwili Tantala spojrzała na mnie znacząco. Nagle zrozumiałem, czego chce i zrobiło mi się zimno.

– Czyżby pani Toria Soll nie tęskniła za synem od dziesięciu lat? – spytał mag ze zdziwieniem. – Czy nie dręczyła się poczuciem winy, wspominając, jak się go wyrzekła? Czy nie znajduje się od trzech lat w świecie własnych urojeń, czy nie ucieka sama przed sobą w krainę obłędu?

– Mama nie jest szalona! – wykrzyknęła Alana.

Zrobiłem mały krok w bok i znalazłem się za plecami maga.

Alana wciąż przemawiała gorączkowo, ja zaś widziałem w jej buzi

odbicie młodej twarzy ojca. Tantala też coś mówiła, powoli cedząc przez zęby. Widziała moje zabiegi i zagadywała, by zyskać na czasie.

Jesteśmy naiwnymi głupcami. Może jeszcze jest czas, by naprawić nasz błąd?

Teraz odpowiadał Czanotaks. Nie widziałem jego twarzy, lecz domyślałem się, że się uśmiechał.

Mówił o lęku przed nieznanym. O wciąż zmieniającym się świecie, o przesypującym się piasku w klepsydrze, o złotym Amulecie, o Drugim stojącym poza krawędzią naszej misy. O tym, jak bliskie są sobie słowa „drugi" i „druh", o tym, że niekoniecznie trzeba mordować nożem, lekarz także jest uzbrojony w lancet, a przelana krew nie woda.

Przestałem go słuchać. Zmierzyłem odległość między jego głową a składem drewna. Karczmarz był leniwy i niedbały, walające się wokół góry odpadków świadczyły o jego niezaradności. Obok stosu drew leżał zapomniany topór.

Rekotarsowie nie atakują z tyłu.

– A jeśli poproszę cię, Czarno? – pytała słodko Tantala. – W imię… pewnych spraw… Dobrze wiesz, o czym mówię. A jednak ciągle próbujesz… A jeśli będę cię błagać na kolanach? Co?

Ewidentnie gadała bzdury. Tak mi się w każdym razie wydawało.

– Zimno mi, Tantalo – odparł mag ironicznie. – Pozwól mi się ogrzać.

Chwyciłem za siekierę. Całkiem poręczna, jakbym całe życie niczego innego nie robił, tylko rozwalał ludziom łby obuchem.

– Takie, jak ty, nie padają na kolana.

Chciał mówić dalej, lecz w tej chwili dostał po łbie obuchem.

Bez rozmachu, mocno i celnie, prawie profesjonalnie. Uderzenie zdolne powalić byka. Śmiertelne. Nie miałem prawa chybić.

Jednak spudłowałem.

Ostrze przecięło powietrze w miejscu, gdzie mgnienie wcześniej była łysina czarodzieja. Topór ciągle opadał. Czarno strząsnął z siebie szubę, jak jaszczurka, odrzucająca ogon. Spełznął z kłody, przeturlał się przez ramię, skoczył na nogi. Topór ciągle opadał. Tylko mig i żeleźce walnęło w pustą kłodę, przygważdżając szubę do drewna.

Alana i Tantala rozpierzchły się we dwie strony. Kątem oka widziałem, jak Tantala wydobywa sztylet z rękawa, jak Alana podnosi z ziemi polano. Czarno szarpnął ramionami. Ręce miał ciągle związane za plecami. Wyglądał jak gołogłowy, egzotyczny, niebezpieczny ptak.

Przeskoczyłem kłodę, zostawiając topór i wyszarpnąłem kindżał zza pasa.

– Taka sprawa – syknął czarodziej, wycierając brudny podbródek o zabłocone ramię. – Siekiera jest zdradzieckim orężem, gorszym niż łopata. A tak w ogóle, przy wejściu są także widły. Widziałeś, Retano?

Mrugnął do mnie wesoło. Znów zatargał ramionami. Ręce uwolnione z więzów, wyciągnął przed siebie. Na przegubach widniały ciemne ślady od rzemienia, a na prawej ręce wiła się cienka, żółta żmijka.

– A! – słabiutko krzyknęła Alana.

Gestem jarmarcznego sztukmistrza Czanotaks przesunął dłonią po grzbiecie gadziny. Ta wysunęła rozdwojony język, krótko zasyczała i zamieniła się w bransoletę. Złota żmijka ze szmaragdowymi ślepiami.

– Komu?

Czarno wyciągnął ozdobę w stronę kobiet. Obie odskoczyły

– Szkoda.

Mag rzucił złote cacko w błoto.

– Nie spodziewałem się po tobie, Tantalo, że mnie tak wystawisz. Pod topór. Naprawdę, nie sądziłem…

Zrobiło mi się jej żal. Jej twarz zastygła, w oczach pojawiły się łzy. Widać było, że usiłuje wziąć się w garść i nie jest w stanie.

– Nie spodziewałem się – powtórzył z nieoczekiwaną czułością. – To znaczy, rozumiem twoje powody, ale… Retano – zwrócił się ku mnie z rozdrażnionym wzrokiem – przecież nie po to obnażyłeś ostrze, by się nim chwalić lub straszyć. No to rzuć we mnie kindżałem albo chociaż podłub nim w zębach. Tantalo, a gdybym był gładki na licach i kędzierzawy, też byś mnie kazała zarąbać?

Do licha, co między nimi zaszło?! Tantala otworzyła usta i znów je zamknęła, widocznie nie znajdując słów odpowiedzi. Odwróciła się. Czarno chrząknął. Potarł brew.

– Mędrzec nie walczy z wiatrem, tylko rozwija żagiel. Chcecie mnie powstrzymać? Spróbujcie. W swoim czasie poświęciłem sporo energii, żeby stać się dobrym wojownikiem. Zadowoleni byli ze mnie najlepsi fechmistrze.

Czanotaks ruszył na mnie. Ze dwie minutki krążyliśmy wokół siebie. Na zwykle beznamiętnym obliczu mego wroga gościł teraz niemal dziecinny uśmiech. Swojej twarzy nie widziałem.

Tantala i Alana przywarły plecami do rozchwianego płotu. Kątem oka zauważyłem, jak Tantala zamierza się, by rzucić nożem…

Rozeźlony, cisnąłem swoim kindżałem. Miałem w nosie jego magię. W walce wręcz miałem zawsze przewagę.

Zbyt późno zauważyłem jego opadającą rękę.

Pojedynek powinien być elegancki. Niestety, w naszym nie było za grosz elegancji: krew, błoto, głuche jęki. Parę uderzeń serca później udało mi się rozwalić magowi nos i brew. Potem mój podbródek nadział się na jego wzlatującą pięść i na chwilę straciłem orientację, a kiedy doszedłem do siebie, okazało się, że leżę głową na kłodzie, a Czarno rozciera biodro, krzywi się i mamrocze, zwracając się do kogoś poza mym postrzeganiem.

– Spodnie trzasnęły, zaraza, na samym szwie… Gdzieś tutaj powinna być jakaś szwaczka. Może i jestem oberwańcem, ale spodnie powinienem mieć całe. Co to za mag w pękniętych gaciach? Co z tobą, Retano? Sam wstaniesz, czy ci pomóc?

Czułem się bezwolny jak słomiana kukła, po której przejechał ciężki wóz.

Pół godziny później czarodziej wyjechał wierzchem za bramę. Tantala ani Alana nie mogły go powstrzymać. Może nawet nie próbowały. Może się załamały.

Przegraliśmy tę partię, a może też całą grę.

Rozdział czternasty

– Kwiaty! – niosło się po ulicy. – Pierwiosnki! Giętka łodyżka, płatek na szczęście! Hej, ludzie, kupujcie kwiatki dla swej miłej, dla pańskiej córeczki!

Osada była właściwie niewielkim miasteczkiem. Zamek miejscowego władyki znajdował się w centrum, okna gospody, w której się zatrzymaliśmy, wychodziły na szeroki, ludny plac, a nad rzeką mieściła się dzielnica rzemieślnicza: szumna, dymna, wydająca przedziwne zapachy, choć nieco już podupadła.

– Przymknij okiennice – poprosiła oschle Tantala.

Alana skinęła głową, nie oglądając się. Podszedłem do niej i zaglądając przez ramię, rzuciłem sprzedawczyni srebrnika.

– Biorę cały kosz.

Przed oczami miałem malutkie uszko mej żony, radośnie zaróżowione. Handlarka rozpłynęła się w podziękowaniach. W ciemnym pokoju zapachniało lasem i wiosną. Miałem wrażenie, że nie czułem tego zapachu co najmniej od dwudziestu lat.

– Dziękuję, Retano! To świetne!

Alana przeszła się po pokoju z koszykiem przewieszonym przez ramię, naśladując kwiaciarkę.

– Kwiaty! Pierwiosnki!

– Ty masz talent – stwierdziłem zdziwiony.

Tantala uśmiechnęła się. Nie mogłem nie zauważyć, że bez względu na trudności i niedogodności ostatnich dni, następstwa podróży do Przedsionka nie były już po niej widoczne. Żadnych nerwów ani apatii. Znowu była to ta sama, pewna siebie Tantala.

Ciekawe.

– Co z Odźwiernym? – spytałem, krzywiąc się i muskając zaschnięte skaleczenie za uchem. – Chciałaś…

– Tak, chciałam… – przytaknęła, wzdychając. – Między pierwszym a drugim przyjściem Obcego upłynęło wiele setek lat. Między drugim a trzecim około siedemdziesiąt. Kiedy wezwał do siebie Luara, drugi Odźwierny jeszcze żył.

– Długo żył – mruknąłem, obserwując odurzonego ciepłem żuka, powoli wędrującego po parapecie.

– Nazywaliśmy go Tułaczem – niespodziewanie cicho powiedziała Alana. – Wędrował po świecie, nigdzie nie znajdując miejsca dla siebie. Mówili, że właściwie nie jest człowiekiem. Nie był magiem, nie miał mocy, ale Trzecia Siła go naznaczyła…

– Kto?

– Tak dawniej zwano Obcego. Trzecia Siła. Nie wiem, dlaczego.

– Dziesięć lat temu Tułacz wciąż żył? – zapytałem ostrożnie.

Tantala i Alana spojrzały po sobie.

Alana usiadła z koszykiem na kolanach.

– Właściwie… nikt go nie widział martwym.

– I nikt nie przyniósł wieści o jego śmierci – dodała głucho Tantala.

– No i co z tego?

Poczułem nagle swędzenie w dłoniach, ramionach i na koniuszku nosa. Cała skóra dawała znać, że zaczęła się wreszcie ciekawa rozmowa i dowiem się czegoś naprawdę ważnego, zarówno dla ludzkości, jak dla mnie.

– Nie jest całkiem człowiekiem – podjęła głucho Tantala. – Być może jest w stanie żyć nawet tysiąc lat, a nawet jeśli zmarł, dla takich, jak on, to żaden problem.

– Ciekawe – wykrztusiłem tylko po to, by rozładować chwilę napiętej ciszy.

– Jedyny, kto… Tantala urwała.

– Jeśli zechce – dorzuciła cichutko Alana – może wszystko… chyba jednak wszystko jest mu obojętne.

– Nie powiedziałabym – sprzeciwiła się wątpiąco Tantala.

Alana chrząknęła.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? – spytałem podejrzliwie. – O Tułaczu, który może nam pomóc?

Tantala wzruszyła ramionami.

– Nie obiecuj sobie zbyt wiele. Nic innego nie przychodzi mi w tej chwili do głowy. Potrzebujemy pomocy. Magicznej pomocy. Kogoś silniejszego od Czanotaksa Oro.

– To niemożliwe – szepnąłem.

– Nie ma rzeczy niemożliwych! – uniosła się. – Czanotaks przeżył wstrząs, który go osłabił i wytrącił z równowagi. Wszyscy to widzieliśmy. To prawda, szybko odzyskał siły, lecz zaraz po… podróży… był na pół martwy. Jesteśmy głupi – dodała z cierpkim uśmiechem – lub mądrzy, to bez znaczenia. Zachowaliśmy się jak ludzie szlachetni, zamiast poderżnąć gardło wrogowi, po prostu związaliśmy go i napoili wywarem…

– „Siedem ziół do wywaru" – nie wytrzymałem.

Tantala skinęła głową.

– Tak… Znowu przyszedł do siebie i stał się mocniejszy od nas, lecz nie na długo. I to przedstawienie… bójka… nie była demonstracją siły. To oznaka jego słabości, Retano.

Skrzywiłem się.

Całe życie uważałem siebie za niezłego zabijakę. I byłem nim… Ślady tak zwanego pojedynku nie zniknęły dotychczas. Czanotaks się uwolnił i straciliśmy nad nim przewagę.

– W tej walce nie było żadnej magii – przyznałem niechętnie.

– Tak – potwierdziła. – Właśnie o tym mówię. Strzeże się jej, wybierając zwykłą przemoc. Gdyby był w swojej szczytowej formie… Rozumiesz?

Przypomniałem sobie tragiczny koniec mojej rodowej szpady. Spadające na podłogę ciężkie krople i żałosny ułomek w swojej dłoni.

– Być może poznałaś go lepiej, niż my – stwierdziłem z większym, niż zamierzałem, sarkazmem.

– Być może – odparła, unosząc dumnie głowę. – Mamy mało czasu, ale jeszcze go mamy. Czarno nie pójdzie od razu do Torii. Potrzebuje…

Niespodziewanie urwała.

– Półtora miesiąca…

– Jesteś pewna?

Jakiś czas patrzyliśmy na siebie.

– Nie – odpowiedziała szczerze. – Przewiduję.

– A jeśli źle przewidujesz? – wtrąciła Alana.

Tantala zacisnęła usta.

– Powinniśmy się pospieszyć – powiedziałem sugestywnie. – Jak najszybciej… Swoją drogą, nie powiedziałaś, Tantalo, co mamy robić?

– Jechać do Egerta – odparła. – On znajdzie sposób wezwania Tułacza lub choćby nawiązania kontaktu.

– Świetnie – orzekłem po chwili dosyć zjadliwie.

Jak to się stało, że ostatni dowiaduję się o kimś, kto mógłby zdjąć ze mnie Wyrok?!

Kwaśny uśmieszek sam z siebie wypełzł na moje wargi. Nie jestem dzieckiem i od dawna nie wierzę w spadających z nieba Tułaczy.

– Chodźmy na obiad – powiedziałem szybko.

Alana pierwsza zeszła po schodach. Schodki trzeszczały i piszczały, a ten dźwięk niósł się po korytarzu, jakby całe wnętrze było jakimś ogromnym instrumentem. Chwyciłem Tantalę za rękaw w chwili, gdy moja żona niepokoiła gości na parterze.

– Jedno pytanie…

Jej oczy stały się zimne. Tak samo patrzyła na mnie w zamku, kiedy oświadczyłem, że pewien zły mag…

– Nie – dodałem szybko. – Ja nie o tym… Jesteś pewna, że Czarno niesie zagładę światu, a nie, na przykład, rozwój?

– Dokładnie tak samo pytali ci, którzy byli zbyt słabi, by powstrzymać kołaczącego w Drzwi Obcego… Pocieszali się taką nadzieją.

– A kim jest Czanotaks? Czy to nie on jest Obcym?

– To już drugie pytanie.

Tantala ostrożnie wyswobodziła swój rękaw.

– Lecz jeśli postanowiłeś zostawić wszystko, jak jest…

– Nie – przerwałem pospiesznie. – W którym momencie

zrozumiałaś, kim jest Czanotaks i po co mu Amulet?

Nerwowo oblizała wargi.

– Kiedy chodziłaś z nim do Przedsionka? Mówiłem tak cicho, że prawie nie słyszałem sam siebie.

– Tantalo, ty naprawdę wierzysz w to wszystko? W zagładę świata?

Spojrzała mimowolnie w dół, gdzie ucichło już skrzypienie schodów.

– Toria nie przeżyje drogi… tam. Jej dusza jest zraniona, złamana… Nie chcę, żeby w taki sposób umarła.

Też prawda.

– Ale przecież Alana przeżyła – przypomniałem cicho.

Schodki świszczały teraz w odwrotną stronę. Alana chciała sprawdzić, czy nie spiskujemy pod jej nieobecność.

Tantala wzięła mnie nagle za rękę. Bardzo mocno. I ciepło.

– Chciałam ci powiedzieć, Retano… Dziękuję. Dawno ci to chciałam powiedzieć. Ty…

– A ty? – odparłem bystro, próbując przetrzymać falę samozadowolenia, zalewającą mnie od jej słów. Fala była upajająca, gorąca, taka, że omal się nie zaczerwieniłem…

Nie był to czas na rumieniec. Ani na słodkie znużenie. Nie ten moment.

Tantala puściła moją dłoń. Nerwowo zatarła ręce.

– Co: ja? Lekko przeszłam procedurę? O to chciałeś zapytać?

Schody trzeszczały już całkiem blisko.

– On mnie osłonił – wyznała ledwie słyszalnie. – Ja nie chciałam… Dlatego był tak osłabiony, bo musiał chronić siebie i mnie.

Na krętym szczytem schodków pojawiła się główka Alany. Moja żona niczego nie powiedziała. Tylko zmrużyła powieki. Spojrzenie było bardziej wymowne od słów.

– Idziemy – powiedziałem szybko.

Tantala milczała.

Jak to wtedy do niego mówiła? „A jeśli cię poproszę, Czarno?" Odpowiedział całkiem zrozumiale, że może go długo prosić…

Dziwni są ci magowie.

W zasadzie jednak nie bardziej, niż ślepo zakochana kobieta.

Zamierzaliśmy jechać zaraz po południu, lecz nasze plany uległy nieoczekiwanej zmianie. Gdy siadaliśmy do obiadu, do gospody przybył ustrojony w jedwabie i pióra posłaniec z listem przeznaczonym dla „dwóch pięknych nieznajomych, po raz pierwszy odwiedzających miasto Doc, szlachetnych dam Alany i Tantali".

– Niezła szpiegowska siatka – stwierdziła z odrazą Tantala.

Trzeba dodać, że w księdze gości wpisaliśmy się pod swoimi nazwiskami, jako że nie mieliśmy powodu dłużej się ukrywać.

Nadawcami listu były osoby podpisane skromnie „L. i K." Na pieczątce widniała jednak korona książęca. Spojrzałem pytająco na gońca, który się ukłonił.

– Wielmożni Lars i Kolwin, z łaski Nieba władcy Docu…

– Dwaj władcy? – wtrąciła pytanie Tantala.

Posłaniec udał, że nie zauważył zdziwienia i nie dosłyszał pytania. Znów się ukłonił.

– Przysłali owo pismo i oczekują na łaskawą odpowiedź…

Oddałem list Tantali. Ostatecznie nie do mnie był zaadresowany. Kobieta zawahała się i oddała mi papier z powrotem.

Złamałem pieczątkę. List napisany był piękną kaligrafią, znakomitym tuszem, bez błędów gramatycznych.

„Szlachetne damy, władcy Docu będą uszczęśliwieni, jeśli ujrzą Was w swoim zamku dzisiaj, trzy godziny przed północą. Oczywiście będziemy radzi widzieć także pana Retanaara Rekotarsa. Z góry dziękując, L. i K.”.

Przeczytałem list i oddałem go Alanie. Uniosła brwi i przekazała papier Tantali. Była aktorka przywołała na twarz wyraz światowej grzeczności.

– Proszę przekazać waszym panom i władcom, że niestety ważne sprawy zmuszają nas udać się w dalszą drogę. Nasza kareta jest gotowa i za godzinę odjeżdżamy. Proszę przekazać książętom nasze przeprosiny.

– Jasne? – spytałem oschle.

Goniec ukłonił się po raz trzeci.

– Jaśnie państwo… to nie jest przyjęte w Docu. Zaproszenie od władców jest najwyższym zaszczytem i od czasu zbudowania miasta jeszcze nikt nie odmówił. Tym bardziej, że wczesny odjazd nie jest wystarczającą wymówką. Możecie państwo wyjechać jutro o świcie, zabierając wraz z sobą miłe wspomnienia o naszym mieście. Panowie książęta rzadko opuszczają zamek, dlatego też lubią słuchać opowieści podróżników z szerokiego świata.

– Podróżniczek – wycedziłem przez zęby.

– Nasze miasto nieczęsto nawiedzają takie piękności – odparł gładko posłaniec. – Oczywiście wielkie damy rzadko podróżują bez świty, bez męża i sług…

Zabawne były pretensje małej mieściny do nazywania siebie „wspaniałym miastem Doc". Adresują zaproszenia do żon, mężowie zaś okazują się tylko ich „świtą".

– Dzisiejsza wizyta jest kompletnie niemożliwa – oświadczyłem lodowato. – Mam nadzieję, że zaproszeni mają prawo wyboru… Czy też nie?

W ostatnie zapytanie włożyłem jak najwięcej sarkazmu. Posłaniec uśmiechnął się zakłopotany.

– A czy jest jakiś wybór?

Kareta nie była gotowa do odjazdu. Stangret się rozmyślił, oberżysta natomiast poinformował nas, że przepowiadacz pogody, mieszkający w okolicy, przysłał pachołka z wieścią o nadciągającej nawałnicy.

– Zawsze tak robi – wyjaśniał oberżysta, drapiąc się pod pachą. – Płacę mu za te prognozy, a moi goście są zadowoleni, bo któż będzie ruszał w drogę podczas burzy?

Wróciliśmy do naszego pokoju i rozsiedliśmy się wokół stołu, ponuro patrząc w różne strony. Tantala krzywiła się, jakby z niesmakiem. Alana obracała w palcach ogarek świeczki, ja zaś po raz setny oglądałem list. Szlachetne damy, władcy Docu będą uszczęśliwieni, jeśli ujrzą Was…

– Co się tak nadymacie jak indory? – zainteresowała się chłodno Alana. – Faktycznie nie możemy jechać „podczas burzy"…

– W samą burzę – powiedziałem kwaśno.

– Co?

Alana ze zdziwieniem odwróciła się do mnie.

– Widywaliśmy już takie burze – podjąłem, krzywiąc się jak Tantala. – Widywaliśmy burze, roztopy i inne przeszkody.

– Nie ma tak wielkiej mocy – przypomniała cicho Tantala – by codziennie piętrzyć przed nami przeszkody…

– Do miasta jeszcze kawał drogi – zauważyłem gorzko.

– Co jeszcze wymyśli, by nas zatrzymać? Ktoś złamie nogę? Otruje się grzybami? Wpadniemy w łapy zbójców?

– Wszystko rozumiem, ale mógłbyś ugryźć się w język – zaproponowała sucho Tantala.

Miała rację: kto głośno wyzywa nieszczęście, na pewno będzie je miał.

– Musimy być ostrożni – stwierdziła Alana – i tyle.

– A na początek nie pójdziemy z wizytą do tutejszych władców – oznajmiłem, składając papier. – Tym bardziej, że goniec przekazał już naszą oficjalną odmowę.

– I na początek przesiedzimy cały wieczór w gospodzie? – zapytała cicho Alana.

Odwróciłem się do niej.

Niedbale wsparta o blat, siedziała przede mną młoda kobieta o oryginalnej urodzie, jasnowłosa i drwiąca. W kim się to wszystko kłębiło? Pod maską rozpieszczonego podlotka?

– Nie całkiem cię rozumiem, Alano. Chcesz iść?

Uśmiechnęła się, a jej szare oczy zrobiły się jasnoniebieskie.

– Nudzą się w swoim wspaniałym Docu… To wszystko. W czym może to nam zagrażać?

– Zręczniej byłoby przysłać zaproszenie na imię Retano –

zauważyła niedbale Tantala – zaprosić nas razem z nim, a nie odwrotnie…

Alana wzruszyła ramionami.

– Przesądy. Od kiedy to zwykła grzeczność stała się niezręczna? Co kraj, to obyczaj. Przecież Retano i tak z nami będzie. Kto ośmieli się nas urazić w obecności mojego męża?

Cicho, powiedziałem swojej pysze. Mówi to po to, byś rozpostarł swój pawi ogon. Żebyś stanął na szczycie zarozumialstwa i postąpił tak, jak nie powinno się czynić.

– Co tak poczerwieniałeś? – zdziwiła się Alana.

– Pokaż ten list.

Tantala przechyliła się przez stół, rozwinęła papier, przejrzała go i chrząknęła. Zerknęła na mnie krzywo.

– Naprawdę odpowiada wam towarzystwo lokalnych książątek? – zdumiałem się. – Naprawdę… macie ochotę?

Alana westchnęła.

– Widzisz, prawdę mówiąc, nigdy nie lubiłam takich przyjęć, jeszcze tam, w naszym mieście…

– Światowe życie – burknęła Tantala przez zęby.

– Ale teraz – podjęła Alana z przepraszającym uśmiechem – tak długo się włóczyliśmy po błotnistych drogach i kiepskich gospodach…

Westchnęła znacząco. Patrzyłem na nią tak, jakbym widział ją pierwszy raz w życiu. Całkiem niedawno wzbogaciły się o wytworne suknie, kupione za pieniądze Czanotaksa.

Potrząsnąłem głową. Co tam Czanotaks. Przed oczami stanął mi następujący obrazek: krawiec zdejmuje miarę, Tantala wybiera materiał, a czarodziej stoi z boku jako jej fundator.

– Jeśli jesteś temu przeciwny – usłyszałem cichy głos Tantali – możesz tutaj zostać. Jak chcesz…

Spojrzałem na Alanę.

Moja żona patrzyła na bok z udawaną obojętnością.

Władcy Docu byli tak uprzejmi, że przysłali po nas karetę. Było to tym bardziej na miejscu, że zapowiedziana niepogoda nie kazała długo na siebie czekać. Dobrze zrobiliśmy, zostając w gospodzie. Wątpię, czy w tych egipskich ciemnościach, porywistym wietrze i ulewie zdołalibyśmy dojechać do sąsiedniej wsi. Do zamku też byśmy nie dotarli, gdyby nie grzeczność gospodarzy.

Ku memu zadowoleniu Alana ani Tantala nie włożyły nowych sukien, które wydały im się bardzo prowincjonalne. Obie dziwiły się, że wcześniej tego nie zauważyły. W podróżnych strojach, ze skromną godnością szlachetnie urodzonych wędrowców, wsiedliśmy do herbowej karety. Wziąłem szpadę i kindżał, który ukryty pod kaftanem, chłodził przyjemnie bok. Tantala zostawiła w gospodzie swój sztylet. Wyjaśniła z westchnieniem, że z nożem w rękawie

czułaby się jak jakaś awanturnica.

Już w powozie, gdy koła zaturkotały po bruku, zagłuszając wycie wiatru, Alana zapytała mnie na ucho:

– Będziesz opowiadać o Magu z Magów?

Pokręciłem głową i w trakcie jazdy nie powiedziano więcej ani słowa.

Ekwipaż przejechał po zwodzonym moście. Działającym, nie tak, jak u mnie! Minęliśmy zbrojną straż w czerwonych mundurach i dotoczyliśmy się do paradnego wejścia. Powitali nas dwaj lokaje (mój biedny Iter nie mógł się równać z nimi!) i podzwaniający orderami oficer. Lokaje opuścili schodki, czyszcząc je do połysku, otworzyli drzwiczki i otworzyli parasole, wszystko w mgnieniu oka. Oficer pomógł damom wysiadać.

Wewnętrzny zamkowy dziedziniec okazał się całkiem przestronny, przypominał dobrze utrzymany miejski płac. Kamienie brukowe były gładkie i żyłkowane, ściekająca z nieba woda nie miała gdzie zbierać się w kałuże. Przypomniałem sobie, jak wyglądał podczas ulewy dziedziniec mej rezydencji i zgrzytnąłem zębami.

Oficer, uprzedzająco grzeczny, prowadził nas nieskończonymi schodami i korytarzami. Wśród takich wspaniałości nigdy nie zalęgnie się żaden duch. Nigdzie nie było jednego ciemnego kąta. Wszędzie płonęły niezliczone świece i każdego kandelabru strzegł rumiany lokaj w pudrowanej peruce. Pojawiła się w mej głowie szalona myśl, że lokaje za naszymi plecami zrywają się z miejsc i biegną w te pędy tajnymi przejściami, by znowu witać nas w kolejnych wnętrzach. Tak podobne do siebie były ich gęby. Jak są w stanie wykarmić taką chmarę sług?!

Na ścianach błyskały ramy, a w ramach błyskały szablonową mądrością i tradycyjną odwagą oczy przodków. Świeciły guziki, galony, bielały nagie marmurowe posągi w niszach. Coraz bardziej smutniałem. Po jakie licho wleźliśmy do tej drogocennej szkatuły. Nie czeka nas tutaj nic oprócz fałszywych uśmiechów i późniejszego bólu głowy, a o świcie musimy jechać.

Za witrażowymi szybami szalała nawałnica. Pojedziemy, jeśli przestanie lać, pomyślałem ze złością. Byłoby dziwne, gdyby nie była to sprawka Czarno. A jeśli to zwyczajna wiosenna burza…

– Władcy Docu radzi was widzą, drodzy państwo! Wejdźcie, proszę, chcemy także was uradować!

Salon był stosunkowo niewielki, po drodze przemierzaliśmy znacznie większe pomieszczenia. Urządzony był z wyszukanym smakiem, bez nadmiernego blichtru. Stół uginał się pod ciężarem potraw i grube nogi z czerwonego drewna w kształcie gryfich łap z trudem to wytrzymywały. Po wnętrzu rozchodziły się zapachy, od których zadrżały moje nozdrza. Widocznie znakomitych kucharzy było

w zamku nie mniej, niż lokajów.

Z trudem oderwałem wzrok od nakrytego stołu.

Na szczycie stołu siedział… siedzieli… Mrugnąłem, by przegnać przywidzenie. Nie, jednak mi się nie przywidziało. Było ich dwóch.

– Och – szepnęła ze zdziwieniem Alana.

Moja młoda żona, jak dawniej, nie do końca umiała się opanować.

Siedzący w końcu stołu byli do siebie podobni jak dwie krople wody. Był to ten rodzaj bliźniaków, którzy do śmierci nie tylko wyglądają, ale też ubierają się jednakowo. Dla których nie ma większej przyjemności, jak zmieszać nowo przybyłego. Oto dlaczego tak się męczą bez nowych gości, pomyślałem cierpko. Oto dlaczego władają wspólnie. W innym wypadku należałoby utopić drugiego pretendenta.

Bliźniacy siedzieli ramię w ramię, nawet nie jak bracia, lecz niemal kochankowie. Uśmiechali się identycznym uśmiechem, wcale nie fałszywym, raczej czarującym. Nawet ja nie mogłem temu zaprzeczyć, przy całej swej niechęci.

Tymczasem moje panie przywitały już gospodarzy. Ich suknie podróżne były wyzwaniem wobec otaczającego je przepychu, a ich niepodobne do siebie twarze wyzwaniem wobec ich dwoistości. Także ja się ukłoniłem z uszanowaniem, ale i godnością. Po chwili miałem pod siedzeniem miękki fotel, a przed nosem wypolerowane sztućce. Władcy przemawiali kolejno i zdawało się, że jeden człowiek rozmawia sam ze sobą. Służący zręcznie zapełnił mój talerz i od razu poczułem się lepiej.

Autentycznie. Wolny od trosk i odpowiedzialności. Miałem przed sobą spokojny, przyjemny wieczór. Niczego nie mogę zrobić, póki za oknem ulewa i wichura, niczego zatem nie zrobię. Będę się grzał u ognia, rozkoszował jadłem i gadał o niczym. Książęta bracia rozpoczęli właśnie taką konwersację, błahą i salonową, nie wymagającą myślenia.

Mgła niechęci rozwiała się w moim sercu.

Obserwowałem, jak Alana i Tantala, początkowo nieufne i nastroszone, powoli dawały się wciągać w konwersację.

Rozmowa traktowała o drzewach owocowych, o ziemiach leżących na południe od Docu, o morskich podróżach i o właściwościach klejnotów. Nie przypominałem sobie, żeby którąś z mych towarzyszek interesowały wcześniej klejnoty lub drzewka owocowe, a jednak rozmówki toczyły się gładko. Nieoczekiwanie dla samego siebie opowiedziałem, jak będąc malcem znalazłem w górach prawdziwy kamień szlachetny i jubiler wprawił go w pierścionek mojej matki.

Alana później także nie wytrzymała i zapytała, czy gospodarzom

często zdarzało się wykorzystywać swoje niezwykłe podobieństwo. Bracia zaśmiali się jednakowo i jeden przez drugiego zaczęli opowiadać o mnóstwie dziecinnych psot. Potem ten siedzący z lewa, chyba Kolwin, zapytał kim są dla siebie Alana i Tantala. Pytanie było, w zasadzie, nietaktowne, lecz w tak swobodnej atmosferze nikomu nie przyszło do głowy się obrażać i Alana wyjaśniła, że są przybranymi siostrami. Bliźniacy pokiwali głowami. Choć kobiety były niepodobne do siebie, wyczuwało się między nimi zażyłość możliwą tylko między siostrami. Pani Tantala przypomina purpurową, Alana zaś białą różę. Bracia zazdroszczą panu Rekotarsowi, podróżującemu w towarzystwie tak pięknych kwiatów.

Policzki moich dam zarumieniły się, nie tyle od komplementów, co od wina. Co chwila miałem ochotę przecierać oczy. Dlaczego wędrując w towarzystwie tak pięknych róż, dopiero teraz zauważyłem, że Tantala nie przypomina żadnej innej kobiety? Że śmieje się i marszczy brwi zawsze inaczej, a jej twarz jest jak niebo, po którym wędrują obłoki? Że jej profil jest jak zarys odległych wzgórz?

Nie, już zdarzały się takie przebłyski… Wtedy w zamku, u kominka, kiedy połowa jej twarzy zdawała się miedzianą maską, a druga tonęła w mroku. I jeszcze wtedy, kiedy wyskoczyła na scenę w kapturze z przyszytymi siwymi kosmykami i kiedy znużona powiedziała Barianowi: „To był jednorazowy gościnny występ"…

Tantala była dzielna, lecz moja żona także.

Czy była kiedyś nieznośnym podlotkiem? Czy to ona przegrała naszą karetę i wszystkie pieniądze do chytrych szulerów? To ona uciekała z domu, żeby się szlajać po knajpach?

Lodowa królowa. Sama nieprzystępność, chłodna uroda niezwykle błękitnych oczu, w których czasem, jeśli powiedzie się obserwatorowi, pojawi się gorzki ognik. Ukryty pod lodową powłoką, pojawia się znika, jakby grał w chowanego. Być może moja żona na zawsze pozostanie ślimakiem w skorupie. Dziwna dwoistość żywej i ciepłej istoty, ukrytej w zimnym kokonie…

Nasi gospodarze umieli się podobać. Dziwne, że ta umiejętność wcale mnie nie drażniła. Nawet ich podobieństwo, tak porażające na początku, powoli zamieniło się w zasadę zabawnej gry. Bracia nie wstawali zza stołu, jeden dzierżył kielich w lewej, drugi w prawej ręce. Wyglądało to niezwykle efektownie, jakby byli jednym dwugłowym człowiekiem. Piłem w roztargnieniu wino, nie próbując powstrzymywać błogiego uśmiechu.

Tymczasem nie wiadomo skąd wzięła się w kącie kapela muzykantów z lutniami i skrzypcami.

Resztę pamiętam tylko fragmentarycznie.

Wino było mocne, wywołujące przyjemny rausz. Nadal było

wesoło. Płonące spojrzenia Alany, od których chciało się rzucić wszystko i pędzić z nią do sypialni. Zdążyłem jeszcze pomyśleć, że po powrocie do gospody (czy nie pora wracać?) rozsznuruję powoli jej gorset…

Na pewno mam mocną głowę i silną wolę. Na pewno…

Ocknąłem się w półmroku. W głowie wciąż mi się kręciło i najbardziej na świecie miałem ochotę uśmiechnąć się błogo i spać dalej…

W ostatniej chwili mój wewnętrzny stróż, czasowo otumaniony, ale wciąż żywy, zdążył wychrypieć sygnał alarmowy. Z całej siły przygryzłem palce. Ból pomógł mi oprzytomnieć. Byłem sam w biesiadnym salonie.

Ani Alany, ani Tantali.

Pusty podwójny fotel. Dopiero teraz zauważyłem, że bliźniacy siedzieli na wspólnym tronie. Podłoga była zachlapana woskiem, tu i ówdzie dogasały ostatnie świeczki.

Szum w głowie… Szum i zdradliwe zawroty głowy…

Do stu par sukinsynów!!!

W salonie było czworo drzwi, wszystkie półotwarte. Niemal na czworakach wypełzłem na korytarz i dopiero wtedy zauważyłem, że pochwa od szpady jest pusta. Ktoś zapobiegliwie uwolnił mnie od ciężkiej broni.

Osioł! Tępy zwierzak! Jak mogłem dopuścić…

Z mojej drogi uskoczył… jakiś lokaj. Rzuciłem się za nim po korytarzu na nogach miękkich jak z waty. Wrzasnąłem za umykającą zdobyczą. Krzyk był tak straszny, że lokaj potknął się o dywan i runął jak długi. Chwyciłem go za kołnierz wspaniałej liberii, szarpnąłem, strącając z głowy perukę. Ukazała się malutka, krótko ostrzyżona główka z wytrzeszczonymi dziko, przerażonymi oczami.

– Nie!…

– Gdzie?! – ryknąłem.

– Nie wiem…

– Gdzie twoi panowie?

Wydobyłem zza pazuchy kindżał. Sługa zatrząsł się na całym ciele.

– Na górze…

– Prowadź!

Jednym szarpnięciem postawiłem go na nogi. Zmysły miałem przytępione od przeklętego wina, więc osłabiony refleks, ale w tym momencie uratował mnie sługa. Zauważyłem, jak patrzy na coś za mymi plecami i zdążyłem uskoczyć.

Skoro nie działają dodane do wina środki nasenne, można też spacyfikować gościa, waląc po głowie drzewcem kopii. Zapewne napastnik ćwiczył to na jakiejś kukle. Poleciał do przodu dokładnie

tak, jak ja podczas bójki z czarownikiem.

Nie było czasu na sentymenty. Atakującym nie był lokaj, lecz młody strażnik. Stracił równowagę, ja zaś ostatecznie go powaliłem i walnąłem jego głową o ścianę. Lokaj już pierzchał korytarzem. Co za paskudne zdarzenie, pomyślałem, przygryzając wargę.

Przecież było ich tutaj bez liku! Pojmać chociaż jednego, najlepiej bardziej ociężałego, by służył za przewodnika… Gdzie?!

Magu z Magów, modliłem się w duchu, wlokąc swe nieposłuszne ciało przez cały szereg ciemnych komnat. Wspomniawszy krótkowzroczne, wychudłe widmo splunąłem i zgrzytnąłem zębami.

– Damirze! Wymyśl coś!

Zza zakrętu wysypała mi się naprzeciw banda strażników. Dobrze wiedzieli dokąd i po co biegną. Ich wąsate gęby ożywiły się na mój widok. Było ich pięciu, do momentu, kiedy naga marmurowa dziewoja wywaliła się wraz z piedestałem, eliminując dwóch. W wąskim korytarzu nie było dokąd uskoczyć. Obawiam się, że ci dwaj nieudacznicy będą do końca życia wzdragać się na widok gołych kobiet. Pozostali rzucili się na mnie. Czyjeś ostrze omal nie przerąbało włóczni w moich rękach, lecz tylko w niej uwięzło. Osłaniając się drzewcem, zdołałem się uchronić przed dwoma innymi ciosami. Niestety, nie do końca, jedna z kling rozdarła kurtkę na ramieniu i ześlizgnęła się po ramieniu. Nie poczułem bólu.

Gdyby moi przeciwnicy byli prawdziwymi żołnierzami, zostałaby ze mnie kupka kości. Do straży książęcych braci wybierano jednak, jak widać, nie za wojenne zasługi, lecz ze względu na dobry wygląd. Wszyscy trzej byli wyżsi ode mnie o pół głowy, lecz zdołałem ich po kolei unieszkodliwić. Pomogli mi w tym: marmurowy młodzik w niszy naprzeciw, łeb dziwnej bestii z rozrośniętymi rogami i dywan, ślizgający się po posadzce.

Przeskoczyłem przez zwijające się ciała i bezgłowy tors marmurowego młodzika, chwyciłem pierwszy z brzegu oręż i pobiegłem dalej korytarzem.

To ma być twoja pomoc, Damirze?!

Gdzieś z boku wyczułem powiew powietrza. Gobelin na ścianie zafalował. Zerwałem go bez namysłu, jak kiedyś zasłonę w wozie komediantów. Tajne schody? Czyżbyś mnie jednak wysłuchał, Damirze?

Co chwila miałem ochotę spluwać. Napoili nas jakimś świństwem…

Wątpię, aby ciemne, kręcone schody słyszały kiedykolwiek podobne przekleństwa. Rekotarsowie kontrolują się przy damach, ale to nie znaczy, że nie umieją bluzgać. Nawet stary wiarus by się zaczerwienił.

Poczułem zapach zgaszonych świec. Podmuch musnął mój

policzek, wskazując mi kierunek. Ruszyłem do przodu. Zasłona, przegradzająca wejście do tajnej komnaty zerwała się i spadła mi na głowę. Wyglądałem teraz zapewne tak, jak lud wyobraża sobie widmo.

– Kto tam?!

Głos był znajomy, niegłośny, lecz gniewny. Zerwałem z głowy zasłonę. Tak, dopiero co gaszono tutaj świece. Pachniało tu też perfumami i jeszcze czymś, od czego znowu poczułem zamęt w głowie. Zawyłem przez zęby i zawrót ustąpił.

Paliły się dwie nocne lampki. Po prawej i lewej stronie wielkiego łoża, wypełniającego niemal całą komnatę, jakby dla całej masy ludzi…

Dla czworga.

Runąłem przez całą komnatę, unosząc miecz. Wskoczyłem na łoże, przebiegłem brudnymi buciorami po pryzmie poduszek i zeskoczyłem z drugiej strony.

Tam się czaili, trzymając za ręce, uzbrojeni w dwa kindżały, jeden w prawicy, drugi w lewicy.

Widziałem kątem oka, że Tantala leżała na podłodze z głową odchyloną do tyłu i zamkniętymi oczami. Na jej ustach zastygł błogi półuśmiech, trochę też jakby wstydliwy. Poczułem się fatalnie. Alana stała pośrodku pokoju, powoli rozsznurowując gorset.

– Zabiję was – oznajmiłem spokojnie bliźniakom. Przymierzyłem się zdjąć ostrzem najpierw prawą, a później lewą głowę.

Ten z prawej rzucił kindżałem. Uchyliłem się. Dziwne, że poruszali się tak niezdarnie i niedołężnie. Wciąż się trzymali za ręce, jak dzieci na przechadzce.

Miałem ich już pozbawić życia, gdy usłyszałem za plecami cichy głos Tantali.

– Stój! Nie zabijaj! Zaczekaj!

Zwolniłem atak, nie odwracając się.

– Retano… oni…

– Milcz! – wrzasnąłem i uniosłem klingę nad tym po prawej.

Ten po lewej szarpnął brata w swoją stronę. Przewrócił na podłogę i nakrył sobą. Jego kindżał groźnie zabłyszczał w świetle nocnych lampek. Groźnie i zatrważająco. Jak oczy dzielnego królika w obliczu lawiny.

– Czary – wychrypiała Tantala za mymi plecami. – Potrzebni są nam… żywi…

Czary.

Czy nie usypiałem, rozkoszując się muzyką i miłą biesiadą? Cały ten blask… Miniaści lokaje… Płonące oczy. Udany wieczór…

Tupot. Z tajnego przejścia, brutalnie przeze mnie otwartego, wysypała się kolejna grupa strażników. Do licha…

Chwyciłem rękę brata z lewej. Bez trudu wykręciłem do tyłu.

Przystawiłem ostrze do gardła tego, który… nieważne, jednego z braci. Wyszczerzyłem zęby.

– Cofnąć się.

Nad moją głową wbił się w ścianę rzucony nóż.

– Poderżnę mu gardło! – zawołałem rozpaczliwie. – Alano, Tantale… uważajcie.

– Cofnąć się – zaszeptał jeden z leżących na ziemi władców. – Cofnąć się… do kordegardy…

Słowo rozlało się po sypialni jak smoła. Z trudem zdławiłem w sobie chęć, by wstać, rzucić wszystko i szukać kordegardy. Grupa strażników opuszczała pokój przez tajne wejście, niczym woda wypompowywana spod pokładu.

– Zostaw go – usłyszałem szept od podłogi. – Zostaw… Jeśli go zabijesz, nie ujdziecie żywi z zamku ani ty, ani twoje kobiety.

Wiedziałem o tym i bez napominania. Rozumiałem to tak jasno, jak wcześniej gotów byłem uderzyć bez namysłu.

– A jeśli na początek zarżnę tylko jednego? Obie głowy odwróciły się jednocześnie.

– Nie!…

– Tak więc – zaproponowałem, rozglądając się skąpanej w półmroku komnacie – jeden z was wstanie i pójdzie ze mną…

Cofnąłem się, dając braciom możliwość podnieść się. Coraz bardziej irytowało mnie, że wciąż się trzymają za ręce.

– Ty! – tknąłem palcem tego z prawej. – Do mnie!

Obaj zrobili krok naprzód.

– Nie ty!

Odepchnąłem z rozdrażnieniem lewego.

– Ty zostań! A ty do mnie!

– To niemożliwe.

Jednocześnie wyciągnęli do mnie splecione ze sobą ręce. Wreszcie zobaczyłem to, czego widzieć nie chciałem.

Ich ręce były ze sobą zrośnięte. Jedna dłoń w miękkiej skórzanej rękawicy, chociaż palców było więcej, niż powinno. Sześć albo siedem… Ciężko było rozeznać.

– To klątwa? – zapytałem o pierwszą rzecz, jak mi przyszła do głowy.

– Tacy się urodziliśmy – z godnością odparł lewy – lecz jeśli wolisz klątwę…

– Zdejmij rękawicę! – krzyknęła Tantala.

W głowie mi się wreszcie rozjaśniło, schwyciłem zatem podwójny nadgarstek dwoma palcami i z odrazą zacisnąłem zęby na rękawicy.

Zdławiony jęk dwóch gardeł. Wolne dłonie bliźniaków, prawa i lewa, schwyciły moje gardło. Bracia działali skutecznie, jak jeden człowiek. Szarpnąłem się konwulsyjnie. W tym momencie do walki

przystąpiła Tantala i jedna z duszących mnie rąk osłabła. Wyrwałem się, cofając na czworakach, z rękawicą w zębach.

Kogo teraz przypominałem? Wiernego psa. „Azor, przynieś panu rękawiczkę…”

Bracia cofnęli się pod ścianę. Ten z prawej trzymał się za głowę, którą Tantala ugodziła ciężkim lichtarzem. Wziąłem w dłoń rękawicę. W pierwszej chwili wydało mi się, że zachowała ciepło ludzkiego ciała, była jednak znacznie gorętsza.

– Spalimy ją – zasugerowała złowrogo Tantala. – Daj ją tutaj!

– Nie… – zajęczeli jednogłośnie bliźniacy.

– Retano…

Alana dochodziła już do siebie. Oglądała z lękiem sypialnię, łoże i swoją rozpiętą suknię.

– Retano, ja…

– Zapal świece – przykazała chłodno Tantala. – Wszystkie, jakie znajdziesz.

Zaraz będzie widno.

– Parszywy los – rzekłem ochryple. – Możesz mi wyjaśnić, co się tu stało?

– Mogę wyjaśnić, czego nie było – odparła sucho. – Ale nie wiem, co by się stało, gdyby nasz obrońca nadal spał jak suseł!

– Zjawiłem się – stwierdziłem ze złością. – Zamiast mi robić wyrzuty, mogłabyś powiedzieć „dziękuję".

– Ach, wielkie dzięki, Retano!

Tantala przysiadła w ironicznym dygnięciu. Alana miała włosy rozpuszczone na ramiona i twarz oświetloną od dołu oraz groźnie zmarszczone brwi.

– Nie rób mu żadnych wyrzutów! On…

Widziałem, jak drżą jej wargi i zaraz się może rozpłakać. Koniecznie trzeba ją przytulić do siebie i pogładzić po główce. Inaczej życie jej będzie krótsze o parę słonecznych dni… Tantala obracała w dłoniach siedmiopalczastą rękawicę. Bo jednak było ich siedem.

Ich dziadek był wędrownym magiem, a jego wnukom przyszło także stać się podwójnym magiem. Opowiadano, że matka w czasie ciąży pogłaskała żabę. Nie wiadomo, jaki przypływ czułości kierował młodą niewiastą, a może była to tylko bajka. W trakcie rodzenia położnica krzyczała, że powinien żyć tylko jeden, a drugiemu trzeba odciąć rękę. Obaj jednak pozostali przy życiu, tylko zamiast czterech piąstek mieli trzy.

Odziedziczyli magiczną moc, ale po połowie. Jeśli jednak można zjeść połówkę jabłka, połowa krowy nadaje się tylko na pieczeń. Nie niosą się połowy kur ani nie biegają w lesie połówki zajęcy. Ich magiczne zdolności okazały się kalekie. Pod koniec życia ich dziadek wybudował zamek, a ojciec został pierwszym władcą Docu, przy czym

długo spierali się z żoną, czy ma się zwać diukiem, czy księciem. Po śmierci ojca bracia zaczęli rządzić we dwójkę. Niebo świadkiem, że ani razu nie posprzeczali się ani nie różnili w przekonaniach. Byli jednym człowiekiem podzielonym na dwie połowy. Kiedy podrośli, przekonali się ze zdziwieniem, że miłość cielesna jest trudniejsza, niż dziecięce zabawy.

I zaczęło się.

Potrzebowali dwóch kobiet jednocześnie. Najlepiej spokrewnionych ze sobą. Przywozili im z okolicznych wiosek bliźniaczki. Magiczne moce pomagały im otumanić dziewczęta, a potem odebrać im pamięć. A jednak taka „miłość" ich nie satysfakcjonowała. Od dziecka czytali romanse i marzyli o sentymentach wyższego rodzaju. Tymczasem nieliczne znalezione bliźniaczki okazywały się niegodne, pozostawało więc tylko je otumanić i zaciągnąć do łóżka.

Rok wcześniej przez Doc przejeżdżał kupiec w towarzystwie dwóch kobiet, które były dla siebie siostrami. Bracia uznali tę sytuację za niesprawiedliwą: jeden na dwie? Kupiec z damami otrzymali zaproszenie na kolację, a dzięki braterskim czarom handlarz spędził całą dobę, obejmując faszerowanego prosiaka. Siostry, oszołomione napojami podniecającymi i kadzidłami, pozostawiły w pamięci braci niezatarty ślad oraz smutne marzenie o przyszłym szczęściu…

– Zaraz się rozpłaczę – powiedziała Tantala, gładząc siedmiopalczastą rękawicę na kolanie. – Czuję, jak łzy wypełniają moje oczy. Jakie romansidła czytywaliście, chłopcy? Poradnik młodego gwałciciela?

– Nikogo nie gwałciliśmy – odparł cicho Lars, ten z prawej.

– Was także nie gwałciliśmy – dodał Kolwin z krzywym uśmieszkiem.

– Jeszcze nie…

Szybko przygryzł język, przesuwając po mnie niewidzącym spojrzeniem.

Bał się mnie. Potwora, który wdarł się brutalnie do tajnej sypialni z obnażonym mieczem. Bestii, która groziła poderżnięciem gardła i boleśnie skrępowała ich wolne ręce, żeby nie przychodziły im do głów głupie pomysły.

– Bydlaki – rzekła Tantala, szarpiąc rękawicę kolejno za siedem palców. – Władcy… Książęta… – dodała, drżąc z odrazy. – Retano, może by tak uwolnić chłopaków od cielesnych namiętności? Nie próbowaliście się leczyć? Mam na myśli chirurga… doktora ze skalpelem.

Kolwin zbladł, czemu trudno było się dziwić w ich sytuacji. Lars zmrużył powieki.

– Po co strzępić języki. Lepiej pomyślcie o sobie. Myślicie, że

przepołowiony mag nie jest magiem? Sądzicie, że zdołacie opuścić zamek bez naszej pomocy?

– Mój wielki przodek – zacząłem niechętnie, widząc, jak dwie moje panie obracają się w moją stronę – Damir, który był lokajem Larta Legiara…

Zamilkłem, widząc, jak im się wyciągnęły twarze. Zarówno bliźniakom, jak i kobietom. Bracia byli chyba przytłoczeni moim rodowodem.

– Tak zwykł mawiać – podjąłem, z trudem powstrzymując śmiech – że lepiej być najgorszym śmieciem, niż połowicznym magiem.

Długo patrzyliśmy sobie w oczy z Larsem. Nie wytrzymał i odwrócił wzrok.

– Niepogoda to wasze dzieło? – zapytała miękko Tantala.

Bracia zerknęli na siebie.

– Muszę koniecznie to wiedzieć – prowokowała ich, unosząc rękawicę do płomienia świecy.

Zaraz po urodzeniu się bliźniaków, ich dziadek, który jeszcze wtedy żył, uszył rękawicę, jak mówili z własnej skóry, lecz to może bajka. Czując zbliżająca się śmierć, dziad spopielił się piorunem, toteż nikt tego nie mógł stwierdzić. Uważano, że owa rękawica pomogła przeżyć braciom. Rosła razem z nimi. Matka nie pozwalała jej nigdy zdejmować, lecz chłopcy, oczywiście, czasem to czynili. Wtedy mogli sami się przekonać, jaką mocą przesycona jest grubo zszyta skóra… Zrozumieli, że jej zniszczenie oznacza dla obu bolesną śmierć.

Ostatnią część opowieści wydobyła z braci Tantala. A właściwie dopowiedziała za nich. Ich pobladłe twarze świadczyły, że dobrze się domyślała. Tantala wyjaśniła z ważną miną, że „przedmiot chroniący serce" nie jest znowu taką rzadkością. Historia magii zna takie przypadki.

– Tak, to my! – krzyknął boleśnie Kolwin. – Wywołaliśmy burzę, żeby was zatrzymać!

– I jeszcze to i owo zrobimy – zapowiedział ponuro Lars.

– Doprawdy?

Tantala powoli przesunęła rękawicą nad płomieniem. Na skórze pozostała smuga sadzy. Bracia jednocześnie drgnęli jak od oparzenia.

– Przestań – powiedziałem rozdrażniony. – Co to za przyzwyczajenia początkującego oprawcy…

Obejrzała się na mnie i natychmiast zrozumiałem, że jest na pograniczu histerii. Na samej krawędzi.

Zdążyłem wcześniej uspokoić Alanę i zapewnić, że nie jest niczemu winna. Tantalę pozostawiłem samą sobie. Ze słodkim zamętem w głowie, z rytmem przenikającym pod skórę, z wszechogarniającym bezwstydem i bezmyślną chucią.

– Tantalo, mogę cię prosić na chwilę?

Zaciągnąłem ją do ciemnego tajnego korytarza. Schody wiły się w górę i w dół. Ciekawe kiedy proste zaklęcie z „kordegardą" przestanie działać i strażnicy pojawią się znowu?

Wziąłem ją za ramiona i odwróciłem do siebie. Jej oczy wciąż były suche.

– Tantalo, to nie byłaś ty.

– To byłam ja – odparła bezbarwnym, spokojnym głosem. – Szkoda słów.

– Nie doprowadzaj mnie do szału. Znam cię. To nie byłaś ty, tylko ich wredna magia…

Wzruszyła pogardliwie ramionami.

– Znam siebie lepiej, Retano. Szkoda słów. Lepiej pomyśl, co dalej robić…

– Zaraz cię uderzę, Tantalo.

– Bezsilny gest. No, dobrze – odparła z krzywym uśmieszkiem – moje uczucia nie mają nic do rzeczy. Musimy się stąd wydostać, dopóki się nie rozwidni.

W milczeniu wróciliśmy do książęcej sypialni. Alana stała przed braćmi, nie spuszczając wzroku ze zrośniętej dłoni. Kolwin przemawiał, z trudem wydobywając z siebie słowa:

– Nie… nie damy rady czemuś takiemu… Chciałbym skłamać, ale…

– Nie wolno kłamać – przerwała mu Tantala. – Odbyliśmy z Retano naradę wojenną i zdecydowaliśmy się was oszczędzić. Nie zabijemy… i nie wykastrujemy, chociaż Retano bardzo na to nastawał.

Alana zerknęła na mnie ze zdziwieniem.

– Jak miło z waszej strony – burknął Lars.

– Darujemy wam życie… i resztę, wy zaś w dowód wdzięczności przekażecie nam listę magicznych przedmiotów, odziedziczonych po dziadku. Co tam było?

Zdołałem opanować zdumienie. Według mnie Tantala zagrała ostro. Wystarczyłoby nam, gdybyśmy uciekli stąd cali i zdrowi.

– Po co wam magiczne przedmioty? – zapytał po chwili Lars.

Kolwin milczał z opuszczoną głową. Tantala przewróciła rękawicę nad stołem, tak, że wyglądała teraz jak skórzane wymiona.

Zbliżał się poranek. Oczywiście cała straż zamkowa już wiedziała, że przekorny kawaler dwóch pięknych dam nie zasnął, jak powinien, lecz robiąc niewielkie pobojowisko, przedostał się do książęcej sypialni. Za wysokimi drzwiami niedwuznacznie brzękał oręż, a na kręconych schodach dały się słyszeć głośne sapania, chociaż na razie straże nie złamały rozkazu.

– Trzeba będzie zamroczyć ich głowy – wymamrotał zatroskany Kolwin. – Ciężko sprawić, żeby setka ludzi niczego nie pamiętała…

Lars chrząknął. Doskonale widziałem, że nie porzucił myśli o

zemście. Z radością zagnał by nas w podziemia za bunt przeciw woli książęcej. Póki co siła była po naszej stronie, lecz fortuna kołem się toczy.

– Uciekajmy – rzekłem do Tantali.

Nawet nie podniosła oczu. Kontynuowała przebieranie zetlałych szmat, wypełniających po brzegi ich sekretny kuferek. Nie zaszczycając mnie spojrzeniem, rzuciła przez zęby:

– Nie.

Rękawica leżała przede mną. W kominku leniwie podskakiwały języki płomieni. Doszedłem do wniosku, że świeczka nie wystarczy, by ją spalić. Przynajmniej w jednej chwili. Chciałem, by śmiertelne zagrożenie było dla braci jak najbardziej realne. Sypialnia była gęsto otoczona strażami…

Alana podarła prześcieradło i opatrzyła moje zranione ramię. Teraz, kiedy ustało wzburzenie, palący ból nie dawał mi spokoju i przymuszał, bym siadł jak najbliżej ognia. Miecz leżał na moich kolanach. Tantala grzebała w kufrze. Otwarta skrytka w podłodze ziała ciemną, bezzębną paszczą. Alana niespokojnie popatrywała to na zamknięte drzwi, to na ciemną szparę tajnego przejścia.

– Co to jest?

Tantala wydobyła z góry śmiecia matową ołowianą łyżkę. Siedzący w kącie bracia podnieśli jednocześnie głowy. Miałem wielką ochotę rozpłatać to chodzące zwierciadło. Może dlatego, że coraz bardziej nasilała się gorączka.

Lars uśmiechnął się blado.

– Jeśli zamieszasz nią wrzącą wodę, powoli zamieni się w bulion. Tak jakby. Bawiliśmy się nią w dzieciństwie…

Ktoś zapukał do drzwi delikatnie, ale stanowczo.

– Panowie! Panowie!

Bliźniacy podskoczyli.

– Panowie, tutaj naczelnik straży! Wiedz, nędzniku, że jeśli chociaż spadnie jeden włosek… nie zdołasz uciec! Poddaj się!

Kogo nazywał nędznikiem?!

Chwyciłem za miecz. Alana lękliwie wczepiła się w moje zdrowe ramię. Tantala rzuciła na braci tylko jedno mordercze spojrzenie.

– Wszystko w porządku! – krzyknął Kolwin zdławionym głosem. – Kontynuujcie normalną służbę… Czekajcie na rozkazy!

Stałem nad nimi. W głowie mi się kręciło, lecz nie tak przyjemnie, jak ubiegłego wieczoru. Zaraz chyba upadnę… Czyżby ta rana…

W ciemności zalewającej me oczy, zdążyłem zauważyć przymrużone oczy Larsa.

Kałamarz na szerokim blacie. Gęsty atrament… Tonę w czarnych odmętach. Z wierzchu opuszcza się wieczko… Jestem owadem, tonącym w kałamarzu.

– Ach, tak?!

Mrok przed moimi oczami prysnął jak mydlana bańka. Klęczałem wsparty na mieczu, jak na lasce. Tantala szarpała Larsa za włosy trzęsącą się dłonią, toteż ostrze kindżału na gardle co chwila raniło skórę.

– Czarujecie, gnidy?!

Potrząsnąłem głową. „Nigdy się nie zadawaj z magami… Nawet z połowicznymi.

– Zobacz, Tantalo – powiedziała zdziwiona Alana.

Stała nad otwartym kufrem, trzymając na dłoni okrągłe lusterko w miedzianej ramce.

Znowu uciekaliśmy. Siedziałem na koźle i zaklinałem Niebo, żeby nie złamała się oś i koła wytrzymały. Nie wierzyłem przysiędze danej pod przymusem, chociaż bliźniacy przysięgali na swą rękawicę.

Przysięgali, że nie będą nas prześladować. Kolwin pewnie by nie wysłał pogoni, ale ten Lars…

– Wio! Wio!

Nie zawracaliśmy sobie głowy woźnicą. Niepotrzebni nam byli nowi ludzie. Poza tym, żaden stangret nie odważyłby się na taką jazdę.

– Jazda! Naprzód!

W spadku po dziadku bliźniacy dostali między innymi widzące lusterko. W rodzinie istniała legenda, że z jego pomocą dziad wzywał na pierwsze spotkanie babcię, to znaczy swą przyszłą żonę. Wyglądało na to, że w dłoniach maga można było patrzeć w taflę na sporą odległość i przekazywać wiadomości odpowiednim ludziom. Bliźniacy nie umieli się nim posługiwać. Tantala je skonfiskowała, według mnie, niepotrzebnie. Często oglądałem się, czy nie bieży za nami pościg.

Zostawiliśmy rękawicę, jak było umówione. Nadzialiśmy na gałąź. Wyglądało, jakby machała nam na pożegnanie. Wypełniliśmy swoją część umowy. Czy tamci także ją spełnią?

Tantala wierzyła, że z pomocą magicznego trofeum uda się jej przekazać wiadomość Egertowi. Wiedziałem, że nawet teraz, trzęsąc się w karecie, próbuje ujrzeć w miedzianej ramce twarz pułkownika. Co jakiś czas osiąga sukces. Jej lustrzane odbicie rzeczywiście znika i od tego samego można dostać mdłości, gdy żołądek podjeżdża do gardła. Na tym jednak sprawa się kończy. Lustrzana tafla robi się szara i ślepa, a bezsilna i rozzłoszczona Tantala opada na skórzane poduszki.

Około południa zwolniłem pęd, nie chcąc, by konie padły. Wiosenny dzień ciągnął się niezwykle długo. Kiedy słońce skłoniło się do zachodu, obawy nas w końcu opuściły. Bliźniacy dotrzymali przysięgi i nikt nas nie ścigał.

Zapytaliśmy napotkanego po drodze wędrowca o najbliższą

gospodę. Pocieszył nas, pokazując krzywym palcem, że trzeba jechać trochę dalej.

– Zmienić cię? – zapytała Tantala.

Chciałem odmówić, lecz zraniona ręka rwała bólem, a zdrowa coraz słabiej trzymała lejce.

Zmęczone konie ledwie powłóczyły nogami. W karecie ułożyłem się, jak mogłem najwygodniej, by nie urazić ramienia. Ból nie dawał mi zasnąć. Nogi szybko zdrętwieją. Może by je wystawić za okno?

– Fu… – cicho westchnęła Alana, moszcząc się na siedzeniu naprzeciw.

Odgarnąłem z czoła wilgotną grzywkę i zobaczyłem, że na jej kolanach leży okrągłe lusterko.

– Także próbujesz?

Kiwnęła głową.

– I nic ci nie wychodzi. Wątpię, czy za ten „magiczny przedmiot" dadzą chociaż trzy grosze u antykwariusza.

Alana wzruszyła ramionami. Kto wie. Trzy grosze może i dadzą.

– Pytałaś tych… braci, czy mogliby zdjąć ze mnie Wyrok? Gdyby skłamali, że potrafią?

– Widać było, że kłamią – odparła z westchnieniem, poprawiając zasłonkę. – Zapytałam, żeby mieć czyste sumienie. Od początku było jasne, że…

Znów wzruszyła ramionami. Gdyby bracia byli prawdziwymi magami, nie wydostalibyśmy się z zamku tak łatwo.

– Daj…

Posłusznie oddała lusterko. Z miedzianej ramki patrzył na mnie nieogolony, poszarzały na twarzy rozbójnik o złych oczach. Oberżysta nie ucieszy się zbytnio, gdy zapytam o nocleg.

– Tantala nigdy nie zapomni – oświadczyła smutno Alana – tego, co się wydarzyło. Zdradziła Luara i dźwiga na sobie tę winę…

Spodziewałem się czegoś takiego.

– Wiesz… nie sądzę, żeby zdradziła ot tak… Coś musiało nią kierować…

– Miłość? – spytała Alana ze sceptycznym uśmieszkiem. Jakby chciała powiedzieć: chłopcze, co ty wiesz o miłości?

Powstrzymałem śmiech, aby jej nie obrazić.

Słodko usnęliśmy oboje pod wspólną kołdrą. Nawet we śnie Alana bała się poruszać, by nie urazić mej rany. Zapadłem w końcu w głęboki sen, gdy niespodziewany hałas boleśnie mnie przebudził, jak sznur wpijający się w ciało.

– Parszywy los…

Poszukałem oczami szpady. Alana siedziała na pościeli, zasłaniając się lichtarzem.

– Tylko mnie nie przebij – wymamrotałem, wydobywając się ze

stosu kołder.

Kimkolwiek byś nie był, nocny przybyszu… Odsunąłem zasuwę i otworzyłem drzwi.

– Widziałam Egerta – oznajmiła Tantala.

Była całkowicie ubrana. W jednej ręce drżała cieknąca świeca, w drugiej ściskała zdobyczne lusterko.

– Widziałam go i myślę… że mnie usłyszał.

Rozdział piętnasty

Wiosna coraz bardziej przyspieszała. Była niecierpliwa, jak młody kochanek, niespokojna. Liście wystrzeliwały z pąków, trawa rosła tak szybko, jakby ją poganiano. Nietypowe dla tej pory ciepło rozbudziło wszystkie fruwające i pełzające stworzenia. W samo południe nasze konie musiały nerwowo potrząsać łbami i skóra im drgała na grzbietach. Stangret podśpiewywał pod nosem. Znowu mieliśmy woźnicę i już nie uciekaliśmy na łeb, na szyję. Podróżowaliśmy jak wielkie państwo, spokojnie drzemiąc na skórzanych poduszkach, patrząc w okno lub zajmując czas rozmową. Choć nie było o czym rozmawiać. Oblej muchę miodem i posyp mąką. Jeśli natychmiast nie zdechnie, popełznie z taką samą prędkością, jak teraz wędrowaliśmy. Gdzieś tam wiosenna powódź zerwała most, więc musieliśmy robić trzydniowy objazd. Koń okulał, oś się złamała, gdzieś było osuwisko, to znów źle wskazano nam drogę, przez co straciliśmy masę czasu. Na szczęście póki co wszyscy byliśmy zdrowi, nawet moja zraniona ręka goiła się bez problemów.

Stangret podśpiewywał, ciesząc się z zarobku. Szczerze uważał, że podróż przebiega lepiej, niż wiele innych. Drobne niedogodności są normalne w tak dalekiej jeździe.

Rudy, piegowaty młodzik, starszy syn z wielodzietnej rodziny, dał się wynająć również dlatego, by być jak najdalej od domu. Podobały mu się nasze konie, lekko się mnie lękał i służalczo uśmiechał się do mych dam. Nie było powodu na niego narzekać. W razie problemów, potrafił szybko znaleźć najbliższą kuźnię, przyjaźnie i drobiazgowo wypytać o drogę, ocenić gołym okiem rozchwiany most. Głośno wyrażał pragnienie, by jak najszybciej dojechać do miasta i za pech, depczący nam po piętach, można było winić każdego, tylko nie jego. Wiedzieliśmy, kogo winić.

Tego, za czyją sprawą zdobyczne lusterko zsunęło się z siedzenia, wyleciało z karety i wpadło pod koło. Czy to też był przypadek? W każdym razie artefakt stał się bezużyteczny, co najwyżej można było przetopić miedzianą ramkę…

Tantala przysięgała, że Egert ją usłyszał. Według jej relacji, widziała go kilka sekund. Siedział u kominka, mając odblask ognia na twarzy. Wezwała go po imieniu. Drgnął i popatrzył jej w oczy. Ze wszystkich sił zawołała do niego, że Toria jest w niebezpieczeństwie i trzeba jej strzec, a także wezwać na pomoc Tułacza.

– I wszystko to usłyszał? – pytałem z niedowierzaniem.

Tantala spochmurniała.

– Znam nie od dziś Egerta. Miał taki wyraz twarzy, jakby usłyszał. I chyba coś zrozumiał. Tak krzyczałam…

Chciałem powiedzieć, że ja i Alana spaliśmy w tym czasie za cienką ścianą i niczego nie słyszeliśmy. Przemilczałem to jednak. Kto wie, może nasze małżeńskie czułości uczyniły nas głuchymi…

– Widzisz – odrzekłem, starannie dobierając słowa, by jej nie urazić – jeśli zrozumiał, nie musimy się wcale spieszyć, a… naszemu staremu znajomemu nie opłaca się opóźnianie naszej podróży.

– Gdyby chciał ją naprawdę opóźnić, nigdzie byśmy się już nie spieszyli – zauważyła Alana.

Milcząco przyznaliśmy jej rację.

Czanotaks, jak bardzo by nie był osłabiony, ciągle mógł wyłączyć nas z gry. Nawet wtedy, na błotnistym dziedzińcu, kiedy bezowocnie zamachnąłem się toporem na jego łysy łeb. Bez trudu mógł uśmiercić całą trójkę.

Przesunąłem wzrokiem po moich paniach. Powinienem z nimi porozmawiać osobno. Tylko jak to zrobić? „Wyjdź na chwilę i zaczekaj, porozmawiam z nią, a potem się wymienicie?"

Musiałem się w końcu dowiedzieć, co zaszło między Tantalą a Czanotaksem. Skąd wzięły się te dziwne aluzje, podteksty i wzruszające gesty. A przede wszystkim, z jakiego powodu pragmatyczny Czarno stracił tak wiele mocy, kiedy Tantala prowadziła go do Drzwi?

– Nie wygląda na szczególnie sentymentalnego – powiedziałem głośno.

Moje towarzyszki zerknęły na mnie z ukosa. Wątpię, czy Alana mnie zrozumiała, lecz Tantala na pewno się domyśliła. Jej oczy znowu zrobiły się zimne jak lód.

Niech się złości.

Alana skierowała w okno nieobecne spojrzenie. Wieczorem, gdy zostaniemy tylko we dwoje, postaram się ją uspokoić. Powiem jej, że jest jeszcze dużo czasu i jeśli wszystko, co opowiadają o Tułaczu jest prawdą, mam realną szansę uratować swe życie bez pomocy pana Oro.

W ostatnich dniach często pojawiał się na jej ustach porozumiewawczy uśmiech. Pewnego razu podkreśliła ten grymas słowami, przez co włosy stanęły mi dęba. Oznajmiła, że na pewno spotkamy się w świecie zmarłych następnego dnia po mojej śmierci.

Po pierwsze, nie wierzę w zaświaty. Po drugie, cóż to za histeryczne tony w wypowiedziach młodej dziewczyny?

W ostatniej chwili starczyło mi rozumu, by nie przekonywać jej, że tak zwana miłość pojawi się znowu wraz z normalną rodziną, dziećmi i stabilizacją. Po prostu odparłem z niezadowoleniem, że takie małoduszne pomysły niegodne są córki Egerta Solla. Bardzo się zdziwiła. Z jej punktu widzenia myśl o samobójstwie wcale nie była małoduszna.

Niezwłocznie wyjaśniłem jej, że małodusznością jest wiara w

moją śmierć. Zaczerwieniła się, jak zachodzące słońce i przysięgła kochać mnie aż do starości.

Minął tydzień od tamtej rozmowy. Więcej nie poruszaliśmy tego tematu, widziałem jednak, że jej optymizm topnieje z dnia na dzień. I że chciałaby podzielić się swym brzemieniem nie ze mną, bo dość mi własnego, lecz z Tantalą.

Myliłem się. Trzeba było powiedzieć wszystko wtedy w podziemiu, kiedy oślepiały mnie światła pochodni. Absolutnie wszystko. Być może Tantala nie zechciałaby wtedy rozkuwać moich łańcuchów i w ciągu paru dni stałbym się towarzyszem widmowego Damira.

Dlaczego mi się tak powiodło w zamku bliźniaków? Może mój przodek-służący wcale nie jest taki bezsilny, na jakiego wygląda?

– Damir – powiedziałem z uśmieszkiem.

Moje damy znowu na mnie spojrzały. Potem popatrzyły po sobie bez słów.

– Wina, żarcia, ale żywo! W imieniu księcia Sotta!

Nie znoszę, gdy do gospody, w której się zatrzymałem, wpada banda zabijaków. Szum, błoto, krzyki posługaczek, szczypanych w zadki, pijackie przechwałki, wulgarne wygłupy, a wszystko to, jak zwykle, ukrywa się za krzykliwym herbem i dźwięcznym imieniem, przy czym herb jeży się kłami aż do śmieszności, imię zaś nikomu nic nie mówi…

– Gospodarzu, szukamy komediantów!

Tantala wzdrygnęła się i podniosła głowę.

– W tawernie przy moście mówili nam, że dwa wozy kolorowe zajechały do nich trzy dni temu. Dziesięć złociszów dla tego, kto nam powie, gdzie teraz są!

Głos był schrypnięty, przepełniony pewnością siebie. Znajomy głos, a w powiązaniu ze słowem „komedianci" nawet złowieszczy Alana obejrzała się ze zdziwieniem.

– Nie odwracaj głowy – rzekłem cicho. – Jedz dalej spokojnie.

Było ich dwudziestu. Tak, jak poprzednio. Kiedy kąt jadalni był zasłonięty kurtyną i śmieszna starucha z siwymi kudłami wystającymi spod kaptura wzięła górę nad dziką publicznością i sprawiła, że tarzali się ze śmiechu…

Ile czasu minęło? Parę miesięcy? Książątko tymczasem podrosło…

A może tamta porażka spowodowała, że szybciej dorósł i ze szczeniaka zamienił się w groźnego ogara?

Wielkie nieba, ciągle nas szukają? Tak długo i tak daleko od swoich ziem, tak dokładnie… i ciągle bez skutku?

– Szukają Bariana – mruknęła Tantala, prawie nie rozwierając ust. – W końcu go znajdą. Retano…

A przecież mogłem ich wszystkich zamrozić w zaspach.

Wszystkich pod rząd. Parszywy los, ile dobrego mogłem zrobić w życiu i nie zrobiłem…

Książę już przepytywał tego i owego. Miejscowi, chociaż wystraszeni, chętni byli zarobić złoto. Doniesienia dawały się ze sobą pogodzić przy dobrych chęciach, były jednak też całkowicie niezgodne. Zdarzało się, że widziano komediantów wczoraj, całkiem blisko, tyle że w trzech miejscach naraz.

Trudno znaleźć kogoś w plątaninie dróg. Dwa wozy trochę łatwiej, tym bardziej, jeśli jedzie nimi teatrzyk. Wozy kolorowe są jak błyszczące żetony wśród kości do gry. Dziwne, że książę do tej pory ich nie dopadł.

– Jedzcie – powiedziałem do moich dam – i nieczęsto spoglądajcie w ich stronę. Szukają komediantów, z którymi obecnie nie mamy niczego wspólnego…

– Ale dlaczego szukają komediantów? – wtrąciła Alana. – Jakie nowe sekrety powinnam poznać, które skrywają wasze pobladłe gęby?

Poczułem na plecach parę ciekawskich spojrzeń. Nie można się cały czas odwracać, trzeba chociaż pokazać profil, jeśli człowiek uporczywie zasłania twarz, coś z nim nie tak, a wygląda przecież na porządnego gościa, nie jakiegoś tam komedianta.

W tej chwili przez ogólny gwar przebił się cienki, zirytowany głosik. Od razu zrozumiałem słuszność określenia „nadstawić uszu". Jeszcze chwila, a moje uszy wystawałyby nad czupryną.

Podrostek, kuchcik lub posługacz, przekazywał niesłychanie istotne, według niego, informacje. Komedianci dwa razy zagrali swoje przedstawienia na wiosennym jarmarku, potem chłopak widział na własne oczy ich wozy na głównym trakcie. Pojechali wczoraj na południe, do miasta. Dzisiejszą noc spęd/ą więc w tawernie przy wielkich rozstajach, gdzie są pluskwy i dają gotowane mięso, a od córki właściciela tak jedzie, że…

Przerwali mu. Wzięli go za kołnierz, żeby zastraszyć i pokazali monetę, żeby zachęcić. Chłopak zaciął się od tego, a tymczasem pozostali chętni do świadczenia, zagadali równocześnie. To, że grali na jarmarku wie każdy głupi, a pojechali nie głównym traktem i nie na południe, ale ku przeprawie przez rzekę, pewnie do następnego jarmarku…

– Barian wybierał się do miasta.

Tantala patrzyła z odrazą w zawartość swego talerza. Mały donosiciel odzyskał zdolność mówienia.

– Przysięgam na psa urok, słyszałem, jak gadali, że jadą do miasta…

Ktoś mocno oberwał po karku.

– Czego siedzicie! – wrzasnął książę na swoich zabijaków. – Na koń!

Tamci zaszemrali. Zdążyli rozsiąść się wygodnie, zamówić wino i jadło. Cały dzień w siodle bez kropli wody, tyłki poobijane, gęby obłażą ze skóry, niech jego wysokość pozwoli chociaż kieliszeczek…

Ostrożnie odwróciłem głowę.

Molestowali książątko z trzech stron: podsuwali półmisek z pieczenią, nalewali wina i przekonywali, że do tamtej tawerny dwa kroki. Oberżysta starał się najwięcej ze wszystkich, przy czym jego uniżona grzeczność była wymuszona bez wątpienia obecnością uzbrojonych zbirów.

Podrostek, pyzaty chłopaczek w przekrzywionej na bakier czapce kucharskiej, został odepchnięty na bok. Starając się być ciągle na oczach księcia, nudził w sprawie obiecanej nagrody, dopóki nie dostał po gębie. Nie żałowałem go.

Tantala dzielnie przeżuwała kawałek sera. Gdy skończyła, sięgnęła dłonią pod stół i musnęła moje kolano.

Gest dość frywolny.

– Co? – zapytałem z wysiłkiem.

Przymknęła powieki.

– Zdążą jeszcze… niech wozy jadą dalej. Nie chciałabym, żeby przez nas… Sam chyba rozumiesz.

– Ja nie rozumiem – wtrąciła gniewnie Alana.

Tantala łyknęła ze swego kielicha i zakrztusiła się.

– Omal go nie utopiłem w gnoju – przyznałem się niechętnie. – Tego księcia. W chlewie. Szkoda, trzeba było utopić…

– Aha – powiedziała Alana trochę łagodniej.

– Nie bój się – mruknęła Tantala.

– Nie boję się – odparła, wzruszając ramionami.

– Teraz my dwie pójdziemy na górę – oświadczyła Tantala, patrząc na obrus – a ty, Retano…

– Nie zostawię was.

Była aktorka spojrzała na mnie. Spojrzenie było bardzo wymowne.

Poleciłem stangretowi pilnować moich dam, bo kto wie, co może się zdarzyć i trzymać język za zębami. Chłopak otworzył szeroko oczy. Miał swoje wyobrażenie o tym, dokąd mnie poniosło. Próbował się nawet uśmiechnąć porozumiewawczo. Dałem mu pieniążek, nie widząc potrzeby się tłumaczyć.

Droga była fatalna, lecz nie mogłem wlec się powoli. Lepiej już byłoby usiąść gdzieś na poboczu, czekając na zabijaków. W każdym razie nie mogłem zabłądzić. Główny trakt prowadził na południe i na pierwszych rozstajach powinienem napotkać tę „zapluskwioną karczmę".

Ciekawe, czy oberżysta kłamał, oczerniając konkurencję, czy też finanse Bariana, jak zwykle skromne, nie pozwalały mu wybrać lepszej

gospody?

Spieszyłem się. Tantala miała rację, trzeba było uprzedzić Bariana. Musiałem zrobić coś jeszcze, o czym nie powiedziałem.

Nie chciałem zasmucać pań.

Ile czasu potrzebują komedianci, żeby rzucić z trudem zdobyte klamoty i rozpierzchnąć po świecie? I czy Barian zgodzi się z szefa teatru stać wędrownym włóczęgą?

Tym razem to wcale nie on jest potrzebny kniaziowi z jego świtą. Czy będą dalej prześladować aktorów, jeśli stanę im na drodze? Alana i Tantala są na razie bezpieczne, mnie zaś nikt nie powstrzyma, będę bić się sam za siebie, a w końcu, parszywy los, bić się potrafię niezgorzej.

I znowu wyszło na to, że jestem winien wszystkiemu, jedno z dwojga: albo trzeba było spokojnie patrzeć, jak tamten łajdak ściska w kącie Tantalę, albo wykończyć smarkacza tegoż wieczoru, bo w końcu, na psa urok, miałem taką możliwość.

Z ciemności wynurzyły się wrota, zastawiające przejazd. Jednym szarpnięciem ściągnąłem cugle. Biedne stworzenie, przyzwyczajone do spokojnej jazdy, wykręciło łeb i zarżało pod moim adresem jakieś końskie przekleństwo. Nie słuchałem go, wisząc jak ciężki worek na poprzeczce bramy.

Mówili, że poborca podatków, któremu zabrano wyłudzoną przeze mnie sumę, był tęgi i ciężkawy.

Wiatr dmuchnął mi w twarz.

Widziadło znikło. Droga była wolna, żadnych wrót tutaj nie było i nie mogło być, stworzyła je moja wyobraźnia, tworząc obraz, jakiego nigdy nie widziałem.

Czy Sędzia śmiał się wtedy w lochu? Wątpię. Nie należy podejrzewać go o złośliwość. Jeśli teraz, na ciemnej drodze przywidział mi się złowrogi rechot w wyciu wiatru, to raczej był on sprawką podłego i okrutnego maga…

Pogoniłem konia. Gdzieś daleko za mną, zabijacy, spluwając siarczyście, wskakiwali w siodła. Przepłukali gardła z okazji, że ten, którego szukali jest niemal na wyciągnięcie ręki.

Ujadanie psów. Zapach dymu. Po chwili z ciemności wyłonił się spory, przysadzisty budynek i w świetle bijącym z okien od razu zobaczyłem dwa kolorowe wozy na dziedzińcu. Nieśmiała nadzieja, że kuchcik się pomylił, opuściła me serce.

– Hej, gospodarzu!

Zdawało się, że kołatka za chwilę roztrzaska spróchniałe deski. Całą wieczność nikt nie otwierał, wszyscy tam ogłuchli, czy pomdleli albo nie życzą sobie gości…

– Kto się dobija w środku nocy?!

Niezłe powitanie.

– Podróżny – wyjaśniłem, kopiąc niecierpliwie drzwi. – To karczma, czy cmentarz? Otwieraj!

Zdawało mi się, że za plecami narasta tętent kopyt. Niemożliwe, jeszcze nie czas, to tylko wiatr…

Czy wyjadę im na spotkanie? Z pochodnią w ręku, żeby natychmiast mnie rozpoznali? Wszystko to bardzo pięknie, ale walcząc w szczerym polu z dwudziestką konnych, zasłużę w najlepszym razie na lekceważący uśmiech. Na pewno nie zaszlachtują mnie od razu…

Przygarbiony sługa odsunął się, wpuszczając mnie do środka. Konkurent jednak łgał, nie przypominało „pluskwiarni".

– Gdzie są komedianci?

Tamten spojrzał ze zdziwieniem.

– Wieczerzają… Nakryliśmy dla nich w małej jadalni przy kominku, bo przemarzli.

Odsunąłem służącego z drogi. Dobrze, że jeszcze nie śpią. Wygląda na to, że mają jakieś pieniądze. Oddzielna salka, specjalnie rozpalony kominek – tego się nie dostaje za darmo.

Co sobie pomyślą, kiedy wedrę się do nich jak nieproszony gość z tamtego świata? Przecież utonąłem w przerębli na ich oczach. Kiedy to było, całe wieki temu.

Mała jadalnia okazała się ciasnym pokoikiem ze sklepionym sufitem. Świece płonęły blado. Ruszyłem do przodu, zamierzając klepnąć Bariana w ramię, lecz kolejny krok był zatrzymany wpół drogi.

Obejrzeli się, nie od razu, po kolei: najpierw ślicznotka w ładnej sukni, potem wystraszona garbuska, siedząca w samym końcu stołu, nastroszony czarniawy bastard, ponury szef z krzaczastymi brwiami. Młodzik o szerokiej szczęce i spojrzeniu wiejskiego głupka w ogóle nie zwrócił na mnie uwagi, niespiesznie opróżniając talerz.

Jak zadrżały i jak rozszerzyły się źrenice Alany, kiedy wspominała…

„Wykorzystywał". Co za ohydne słowo.

Ile razy o tym marzyłem?! Ile razy chciałem chwycić go za gardło, walnąć gębą o stół, w piach albo żarzące się węgle…

Wielkie nieba. Powinienem był wycofać się po cichutku, zamykając za sobą drzwi. Jak najszybciej wynieść się stąd, ponieważ za jakiś czas zjawią się tu wielbiciele talentu Tantali i wykonają za mnie całą brudną robotę. Pomszczą Alanę, nie wiedząc nawet o jej istnieniu. Nie będzie mi jednak lżej.

„Miał takie zaślinione usta i nieświeży oddech…"

– Los bywa łaskawy – mruknąłem z satysfakcją. Zrobiłem ciężki krok naprzód.

Bastard poznał mnie pierwszy. Drapieżnie wykrzywiony mrugnął do swego szefa. Krzaczaste brwi zbiegły się nad nosem w jedną

kosmatą linię.

Bastard wyciągnął rękę, a wtedy z rękawa wyskoczył i spoczął w jego dłoni szeroki nóż. Jego szef miał w ręce stalową kulę na łańcuchu. Żarłoczny chłopak czknął, otarł usta dłonią i podniósł na mnie zdziwione oczy.

Oni także mnie pamiętali.

– Jesteś sam? – zapytała cicho kobieta.

Rzuciłem się do przodu, chwyciłem za krawędź stołu i wywaliłem go na ucztujących. Wysiłek okazał się większy, niż sądziłem, zraniona ręka zatętniła bólem. Garbuska wyskoczyła spod lecących na nią naczyń, kobieta cofnęła się, szef z rykiem wygrzebał się spod blatu. Ten z pokaźnymi szczękami oberwał w nos ciężką wazą do zupy. Pojawiła się pierwsza krew.

Bastard, który zdążył stanąć na nogach, zamachnął się lekko ponad padającą na podłogę garbuską. Ledwie zdążyłem się uchylić. Taboret, którym szef we mnie cisnął, walnął w drzwi za moimi plecami. Rękę bastarda z nożem nie tyle zobaczyłem, co wyczułem. Cios nie osiągnął celu, lecz ręka rozbolała mnie jeszcze bardziej.

Bastard był naprawdę groźnym przeciwnikiem, ale mnie interesował przede wszystkim jego szef. Dwa kłaki siwej wełny nad świdrującymi mnie oczami. Czekał na boku, podrzucając swoją kulę. Zwróciłem uwagę na jego dłonie.

Długie palce, cienkie w stawach i nabrzmiałe na końcach. Poogryzane paznokcie i tylko na najmniejszym pozostawiony żółtawy, długi pazur.

Ileż to razy postanawiałem nie myśleć więcej o „zaślinionych ustach"? Czy Alana mówiła coś o dłoniach? Może bała się je wspominać? Jak owe dłonie dotykały…

Przypływ wściekłości nigdy nie bywa pomocny.

Mgła przed oczami. Bastard krzyknął boleśnie. Był zręczny, lecz ja okazałem się silniejszy. Dłoń z nożem rozwarła się, gdy nadział się na nogę od stołu. Szerokoszczęki też nie miał szczęścia. Oberwał po łbie kawałkiem taboretu, upadł na stos naczyń i znieruchomiał. Żelazna kula, na którą tak liczył szef, uderzyła bezcelowo w sufit, ciągnąc za sobą łańcuch jak ogon.

Kobieta próbowała się wmieszać. Nie chciałem jej uszkodzić, więc po prostu usunąłem ją z drogi. Kominek dogasał. Droga doń była trudna, tym bardziej, że szef trupy, wywijający buciorami w powietrzu, próbował mnie kopnąć w kolano. Ciągnąłem go, jak rolnik sochę. Kominek był coraz bliżej. Wiedziałem, że nie zdołam opowiedzieć o tym Alanie, lecz krwawa mgła wciąż zalewała mi oczy. Chciałem, żeby się tamten pokajał. Żeby długo przepraszał, dopóki krzaczaste brwi nie zamienią się w wypalone korzonki.

– Za co?!

Całkiem zapomniałem o garbusce. Przewaliła się po podłodze na samym początku bitki, a teraz poturlała się z powrotem i była dwa kroki ode mnie, blada jak woskowa kukła.

– Za co?! Przecież ona sama do nas przystała, sama! Nie porwaliśmy jej… Sama chciała, wlokła się za nami, więc za co?!

Po ptasiej twarzyczce ściekały łzy.

Szef szarpnął się, więc mocniej wykręciłem mu rękę. Do drzwi ktoś się dobijał. Od dawna. Nie pamiętałem, kiedy zasunąłem zasuwkę…

Mgła opadła. Po kątach miotali się, dochodząc do siebie, niefortunni wrogowie. Kobieta patrzyła na mnie nienawistnie, ocierając usta. Nie uderzyłem jej w twarz?!

Rozwarłem dłonie. Szef ciężko padł na podłogę. W tym momencie zasuwka pękła i drzwi rozwarły się szeroko, wpuszczając do „małej jadalni" nową grupę rozjuszonych mężczyzn.

Oczekiwałem, że na ich czele będzie oberżysta, zwabiony harmidrem i zaniepokojony nieuchronnymi stratami. Zjawił się rzeczywiście, ale raczej został do środka wepchnięty. Blady i roztrzęsiony, bardziej niż o zniszczenia dbał o własną skórę.

– To oni! Wędrowni pajace! Patrzcie, panowie, jak jeden z drugim walą się po mordach!

W pomieszczeniu zrobiło się ciasno. Przeskakując przez zwały naczyń i rozwalonych mebli, ludzie księcia Sotta w jednej chwili opanowali sytuację. Krzepkie ręce pochwyciły jednocześnie i podniosły z podłogi bastarda, szerokiego na twarzy i szefa teatru. Obie kobiety chwycił za kołnierzyki najbardziej dobroduszny z wyglądu, wąsaty zabijaka. Stałem obok kominka, przywierając plecami do ściany. Niezbyt dobra pozycja.

– To nie ten – burknął rozczarowany książę, spoglądając w okrwawione lico bastarda. – Była z nimi jeszcze jedna dziewka, pamiętacie?

Poczułem się nieco pewniej. Przynajmniej moje panie są teraz bezpieczne. Jeśli wystarczy im rozumu, by uciekać, nie czekając do jutra…

– To on! – wykrzyknął radośnie czarniawy młodzik z rozbitym nosem, wskazując mnie palcem.

Szczypce kominkowe mogą być całkiem niezłą bronią. Tyle, że na krótką metę.

– Odsuńcie się, sukinsyny! – wrzasnął ktoś za plecami napastników.

Rzucony zgrabnie kindżał udało mi się odbić w locie. Szczypce w moich dłoniach świszczały, przecinając powietrze. Metal zazgrzytał i na podłogę poleciały dwa krótkie mieczyki.

– Odsuńcie się! Załatwię go z kuszy!…

– Zaraz ciebie załatwię z kuszy – syknął książę. – Muszę go mieć żywego! Żywego!!!

Dźwięcząca w jego głosie pożądliwość dodała mi sił. Skoro miałem pozostać przy życiu, była szansa na wolność. Na nic innego.

Kobieta zapiszczała.

Rzuciłem szczypcami w moich prześladowców i chwyciłem szufelkę do węgla. Bez specjalnego rozmachu sypnąłem rozżarzonymi resztkami prosto w otaczające mnie gęby. Węgielki podskakiwały po podłodze, zostawiając za sobą smugę dymu. Ktoś zawył, poparzony, a prawie wszyscy odskoczyli, zasłaniając twarze.

Nabrałem powietrza w płuca i wskoczyłem do kominka.

Niech to licho…

W dzieciństwie lubiłem straszyć rodziców, chowając się w kominie. Od tamtych czasów zamkowy komin był chłodny i dawno ostygły. Skakać w żar może tylko wariat.

Albo szczur zapędzony w róg.

Mocna dłoń złapała mnie za kostkę u nogi. Z zimną krwią walnąłem w nią obcasem, uwalniając się. Opierając się dłońmi i stopami, wspiąłem się do góry. Z dołu dościgło mnie bolesne ciepło. Zaraz się zadławię, stracę przytomność i zlecę prosto w palenisko jak bezwolna, przypalona zdobycz…

Ach, powietrza, tchu! Jak długi może być ten przeklęty komin?!

Najlepiej byłoby strzelić za mną z kuszy.

Okropnie wyobrazić sobie, w jakie miejsce mógłby mnie trafić bełt…

Czy zdążą rozpalić ogień i zadusić mnie przy samym dachu?!

Zadufani głupcy. Ktoś poszedł w moje ślady i od jego dyszenia osypuje się sadza…

Czarne niebo. Pośrodku doskonałego kwadratu biała gwiazdka. Jeszcze jeden wysiłek…

Powietrze!

Uchwyciwszy za krawędzie komina, podciągnąłem się i wypadłem na dach. Dachówki zatrzeszczały pode mną. To wcale nie była „pluskwiarnia", jak kłamał tamten. Całkiem przyzwoity budynek. Właściciel będzie miał spore straty…

– Tam jest!

– Gdzie?

– Widzisz komin?

– Zestrzelcie go!

– Ma być żywy, łajdaki! Kto go zastrzeli, sam, sucza mać, trafi do lochu, jasne?

Posiedziałem chwilę, czekając, aż przestaną się trząść ręce i nogi. I kiedy pojawi się u szczytu komina głowa mego prześladowcy, abym mógł ją wepchnąć z powrotem…

Tamten jednak chyba się wycofał. Wystarczyło mu na to rozumu lub nie starczyło sił.

Rozejrzałem się. Tu i tam wystawały kominy. Dym wzbijał się tylko z kuchennego. Kto ogrzewa wiosną…

Przysadzisty budynek gospody otaczały rozliczne światła pochodni, zewsząd wdrapywali się i przystawiali drabiny. Przeturlałem się na drugą stronę dachu. Prześladowcy rozkrzyczeli się.

– Gdzie on jest?!

– Kto go widzi?

– Nie spuszczajcie go z oka! Zaraz go złapiemy, sucza mać!

– Tutaj, tutaj! – zakrzyknęli radośnie zabijacy zgromadzeni na tylnym dziedzińcu.

Zdawało się, że było ich więcej niż dwudziestu, chyba sotnia…

Przeczołgałem się do najbliższego komina. Na chropowatym boku tańczyły odblaski pochodni. Noc nie była dobrą przykrywką, ustępując przed ogniem.

Stłumiłem w sobie idiotyczną chęć, by znowu zanurkować w kominie. Zanim zdołam przeczołgać się w sadzach, tamci łajdacy na pewno zdążą zgotować mi odpowiednie powitanie.

W interesie oberżysty także jest, by niebezpieczni goście jak najszybciej wynieśli się z gospody ze swoją zdobyczą. I tak miałem dużo szczęścia.

W komin wbił się stalowy bełt. Wystrzelony wbrew rozkazowi księcia, a może strzelec był pewien, że zdoła tylko lekko mnie zranić. Tak, czy inaczej, pierwszy strzał chybił, jak najszybciej przeturlałem się na drugą stronę dachu. Tu także błyskały łuczywa i mogli być niecierpliwi strzelcy. Powinienem był uciekać po dachach przybudówek, lecz jakoś brakło mi sił. Kończyły mi się pomysły i odwaga. Alana i Tantala są bezpieczne. Jeśli książę mnie schwyta, raczej nie będzie ich szukał…

Ręce zaciśnięte na krawędzi dachu. Potem ciemna twarz z jaśniejszą smugą wąsów i kindżał w zaciśniętych zębach. Na mój widok wojak księcia Sotta wypluł swoją broń i wyszczerzył się radośnie.

– A-a-a! Za moimi plecami trzasnęła dachówka. Włazili ze wszystkich stron.

Czarne niebo z białą gwiazdką…

Strąciłem wąsacza. W mój rękaw zaplątało się ostrze kindżału, raniąc dla odmiany prawą rękę. Ktoś z jękiem spadł w dół. Nie zamierzałem tanio oddać życia. Żeby mnie dorwać, potrzebna im była jednak kusza…

– Strzelaj, wasza światłość! Ucieknie, sukinsyn!

Nie wrzeszcz, mały. Nigdzie stąd nie ucieknę. Zostałem otoczony i widmowy Sędzia pewnie będzie rwał resztki siwej peruki: jego Wyrok

nie spełnił się w terminie. Został mi jeszcze niecały miesiąc życia, a teraz zginę bezsensownie i głupio, w okolicznościach w ogóle nie związanych ze Sprawiedliwością.

Doprawdy? Jeśli oddam się w ręce księcia, mogę żyć jeszcze miesiąc. Rekotarsowie są żywotni, a jeśli oprawcy będą gorliwi i dokładni…

Do licha, włażą ze wszystkich stron. Jeszcze jeden spadł z dachu, ale zastąpiło go zaraz dwóch innych. Coraz bardziej zbliżały się ku mnie stalowe ostrza i ognie pochodni.

Tętent kopyt. A może tak tętni krew w uszach. Skąd wziąłby się tutaj konny oddział w środku nocy? Kiedy wszyscy porządni ludzie śpią, lub w ostateczności dobijają wrogów?

– Co tu się dzieje?

Głoś wydał mi się znajomy. Zanim połapałem się, skąd, już wiedziałem, że wiąże się z nim coś niemiłego.

Zabijaka, który już mnie prawie dosięgał, zawahał się chwilę. Na swoje nieszczęście.

– Nie wasza sprawa, dobry człowieku! Są tutaj ludzie księcia Sotta, więc spadaj!

Uchyliłem się przed ciosem. Chwyciłem czyjąś rękę i sam uderzyłem. Teraz uchylił się przeciwnik. Poczułem od tyłu uderzenie w głowę, lecz nie straciłem przytomności, tylko równowagę i padłem, strącając sporo dachówek. Miałem ostrze na gardle.

Czy to się dzieje naprawdę?

– Te ziemie podlegają miastu, mój panie. Pierwszy raz słyszę imię księcia Sotta. Macie jakieś papiery? Dokumenty?

– To moje dokumenty!

Bez wątpienia okazane zostało coś całkiem innego.

– Wynoś się, pókiś cały!

Leżąc na krawędzi dachu, nie miałem już dokąd uciekać. Widziałem za to cały dziedziniec. Brama była rozwarta, a uzbrojeni jeźdźcy wcale nie zamierzali się cofać. Jeden wydał mi się znajomy. Barczysty tak, że z trudem mieścił się w zbroi. Nie, miał tylko kurtkę mundurową, naszytą blaszkami, a nazywał się chyba…

– Mylisz się, mój miły – podjął lodowato znajomy głos. – Tutaj ja reprezentuję władzę i niesubordynacja będzie was drogo kosztować… Rozkaż swoim złożyć broń.

– Przejście dla pułkownika Solla! – zawołał barczysty.

Przypomniałem sobie jego imię: Agen.

Wielkie nieba! Przyszłyście mi z pomocą, czy też sprawiła to moc Sędziego, pilnującego, by jego autorytet nie ucierpiał i skazaniec nie zginął, zanim dopełni się Wyrok?

Nie widziałem twarzy księcia Sotta, toteż nie mogłem zorientować się, czy mówi mu coś nazwisko pułkownika Solla. Jeśli

się zmieszał, to tylko na chwilę.

– Takiego!…

Gest był zdecydowanie nieprzyzwoity, za to wykonany z rozmachem i smakiem. Tylko mi się zdawało, że książątko dorosło. Teraz był rozdokazywanym, bezczelnym szczeniakiem. Takim, co dręczy zwierzęta, a także ludzi na dziedzińcu ojcowskiego zamku…

Już miałem nadzieję, że smarkacz dostanie za swoje, kiedy poprzez zalewającą oczy krew zdołałem zobaczyć, że Soll miał ze sobą tylko pięciu, czy sześciu ludzi.

Walecznych zabijaków też nie było już dwudziestu. Straciłem po drodze rachubę, ale i tak było ich więcej. Wychowankowie Solla byli w końcu tylko młodzikami. Nawet Agen…

To znaczy, że znów jestem winny.

W swoje osobiste kłopoty wciągnąłem także Solla. Po jakie licho zjawił się akurat teraz, mógłby przyjechać rano, kiedy byłoby już po wszystkim.

Wcześniej, czy później, ale dlaczego zjawił się akurat teraz?!

Ciemność.

Chluśnięto mi wodą w twarz.

Nie leżałem już na dachówkach, tylko na deskach. Leżałem na podłodze, a wokół mnie tupotały buciory. Ludzie wydawali mi się ogromni, natomiast głowy schylone nade mną maleńkie. Nikogo nie mogłem rozpoznać.

Wpadłem żywcem w łapy księcia?!

Strach pomógł mi dojść do siebie. Zerwałem się, niemal siadając, lecz słabość wzięła górę. Uderzyłbym głową o ziemię, gdyby kilkoro rąk nie podtrzymało mnie za ramiona.

Bardzo miło ze strony zabijaków.

Buciory rozstąpiły się. Głosy huczały, boleśnie odbijając się echem pod czaszką. Sięgnąłem dłonią do pasa i naturalnie nie znalazłem żadnej broni.

Właściciel nowych, pojawiających się nie wiadomo skąd butów, klęknął przy mnie. Jego twarz nagle się powiększyła. Mokre czoło z przylepionymi pasmami jasnych włosów i szare oczy.

– Egert – powiedziałem ochryple.

Zapytało coś. Nie dosłyszałem przez szum w uszach, lecz domyśliłem się, o co chodzi. Bo o co mógł zapytać?

– Tawerna… na północy, prosta droga. Godzina jazdy. Tam…

Wydawało mi się, że mówię głośno i wyraźnie, lecz dopytywał trzy razy.

Parszywy los, gdzie się podział książę? Zadeptali go? Zapluli na śmierć? Zarzucili czapkami?

Podnieśli mnie i posadzili na fotelu. Dali wody. Opierając głowę na poduszce, zmagałem się z zawrotami i rozejrzałem się w sytuacji.

Otóż i książę! Siedział w kącie z dłońmi skrępowanymi za plecami, miał rozbity nos, całe zaś oblicze miało wyraz uciśnionej niewinności. Za oparciem fotela stał jeden z chłopaków Solla. Po jadalni miotali się w panice posługacze i kuchciki, goście i sam oberżysta, przez co traciłem jeńca chwilami z oczu.

Miał urażone spojrzenie. „Czego ode mnie chcecie?!"

Z trudem odwróciłem głowę. Stoły były zestawione, ktoś na nich leżał… żywy, gdyż wystraszone służki przewiązywały mu szyję i pierś, a nieboszczykowi nie byłoby to potrzebne.

Patrzyłem dalej.

Coś przykrytego płaszczem. Cztery nogi w zabłoconych butach. Sprawa zakończona.

Soll wydawał półgłosem rozkazy. Podszedł do niego Agen, dziwnie zgarbiony i blady. Pułkownik coś mu powiedział i młodzik przygarbił się jeszcze bardziej, jakby usłyszał zarzut.

Zapewne nadał miał za złe chłopakowi, że wypuścił w swoim czasie z rąk Alanę z mężem i Tantalą, pozwalając im odjechać z komediantami. Niby nie na długo, ale jednak z fatalnym skutkiem.

Do licha, jak zdołali pokonać taką bandę? Czyżby Egert stał się magiem? A może jednak mieszczanie słusznie uważali, że jest znakomitym dowódcą?

Soll dalej coś mówił. Agen wyprężył się, skinął na jednego ze swoich i ruszył do drzwi. Otworzyły się wcześniej, nim dotknął klamki.

W wejściu stała Tantala, a nad jej ramieniem pojawiła się główka Alany. Syknąłem przez zaciśnięte zęby. Nie wiem, co sobie pomyślały. Krzątanina, uzbrojeni ludzie, gadanina sług o jakimś pobojowisku i ja z krwią zakrzepłą na twarzy, siedzący w fotelu, jak poraniony król…

Pierwsze spojrzenie, przysiągłbym, szukało mnie, czy pozostałem wśród żywych. Drugie padło na młodzieńca, zagradzającego im drogę.

– Agen?!

Za trzecim spojrzeniem Alana zauważyła ojca, a Tantala przybranego teścia.

– A!…

W mgnieniu oka moja małżonka z damy zamieniła się w rozhisteryzowaną panienkę. Pobiegła, niemal zbijając z nóg oberżystę i zawisła na szyi Egerta. Chwilowe zamieszanie. Tantala obserwowała tę scenę spokojnie, nie rozczulając się. Zdążyłem stwierdzić, że półotwarte usta czynią jej twarz jednocześnie głupią i zagadkową. Jakby próbowała nowej roli…

– Gdzie Toria?

Wszyscy obecni jednocześnie spojrzeli na byłą aktorkę.

– Egercie, gdzie jest Toria? Zostawiłeś ją samą?!

Usłyszał Tantalę i zrozumiał, że jest to rozpaczliwe wołanie o

pomoc za pomocą magii. Tantala była w śmiertelnym niebezpieczeństwie i przywoływała go. Od wielu lat nie zostawiał Torii, lecz zdecydował się na to po chwili wahania.

Zostawił przy żonie służbę, pielęgniarki i strażników. Toria nie będzie miała żadnych potrzeb, tymczasem Tantala znalazła się być może na skraju przepaści.

Kiedy wróciło dwunastu ponurych ochroniarzy Tantali, nie wiedząc, gdzie się podziała ich pani, Egert nie mógł znaleźć sobie miejsca. Zawiedli go ludzie, którym najbardziej ufał. Osoby, które kochał, rodzona i przybrana córka, przepadły nie wiadomo gdzie. Agenowi ciężko było się przyznawać, lecz przemógł się i opowiedział wszystko dokładnie. Wyobraziwszy sobie Tantalę i Alanę w środku zimy w wozie komediantów, Egert w milczeniu poszedł do siebie i dwa dni nie chciał nikogo widzieć.

Właściwie nie do końca. Człowiek czynu, jakim był pułkownik, w pierwszym porywie kazał siodłać konie. Później jednak dał o sobie znać zdobyty przez lata doświadczeń rozsądek i zwyciężyła zimna krew, nabyta w trakcie wielu trudnych doświadczeń, jakich nie brakowało w jego życiu.

Tak, czy inaczej, było ich mniej niż sukcesów.

Ani Agen, ani nikt z powracającego oddziału, nie potrafił dokładnie wyjaśnić, skąd wziął się tajemniczy mag i czego chciał od jego córki i zięcia. Zabawa w komediantów od początku wydała mu się głupia i podejrzana. Stało się jednak i teraz pozostawała tylko cierpliwość.

Ćwiczenia w Korpusie zakończyły się. Soll rozesłał po okolicach niewielkie oddziały wychowanków. Drużyny więzły w zaspach i tonęły w wiosennych roztopach. Znaleźli tylko wędrowny cyrk z dziwolągami i teatrzyk marionetek, ale nigdzie nie było komediantów, jako że większość wędrownych zespołów wolała przezimować w miastach i większych osadach.

Soll czekał w domu jak pająk w centrum pajęczyny. Mnóstwo pieniędzy wyciekło do cudzych kieszeni, bo pułkownik płacił ludziom, aby mieli oczy i uszy szeroko otwarte. W odpowiedzi ściekały do niego tajemnice całego świata, nazbierał tyle sekretów, że mógłby zostać królem szantażystów. Docierały także fałszywe wieści o Alanie i Tantali, lecz pułkownik potrafił oddzielić ziarno od plew.

I nagle Tantala wezwała go na pomoc.

Wahanie było krótkie, lecz męczące. Po pierwsze musiał zostawić na dłużej Torię. Zdecydował się i wziął ze sobą oddział Agena. Wyruszył na pomoc córkom dokąd oczy poniosą, wiedziony wyłącznie intuicją.

Okazało się, że nie działał tak całkiem na ślepo.

Po pierwsze od dziesięciu lat śniła mu się po nocach mapa,

wyszyta na jedwabiu. Drogi wiły się jak nici, a Egert był przesuwającą się szpilką. Przed nim, za wypłowiałymi lasami, płonął jak kocie oko, ledwie widoczny cel.

Spieszył do przodu, rozsyłając zwiadowców na wszystkie strony. W jednej z wiosek dowiedział się, że tydzień wcześniej komedianci tędy przejeżdżali. Skoro wpadł na ślad, trzymał się go.

Znalazł komediantów, zabijaków i mnie.

Trzech towarzyszów Agena było rannych, jeden ciężko. Trzeba go było zostawić w gospodzie pod opieką służby, na odpowiedzialność oberżysty. Miejscowy starosta, dowiedziawszy się, kto wywołał krwawą bójkę w tawernie, przybieżał czym prędzej przed oblicze Solla. Gościnnie otworzył dla pojmanych zabijaków ciemny loch, przeznaczony dla złodziei i rozbójników. Smarkate książątko Sott wypuściło się zbyt daleko od swoich ziem. Żądza zemsty okazała się silniejsza niż zdrowy rozsądek, a książęca korona mogła teraz ześliznąć się z głowy i zacisnąć na szyi, zamieniając w obrożę katorżnika.

– Będzie wojna – oświadczyło płaczliwie książątko pułkownikowi.

Ten skrzywił się, jak od bólu i zwrócił się do starosty:

– Knutem. Na placu. Za gwałty i rozboje.

Książę Sott ostatecznie stracił odwagę. Miałbym z czego się cieszyć, gdybym miał więcej sił. Szkoda, bo złośliwa uciecha dodałaby mi sił…

Soll nie patrzył w moją stronę. Byłem dla niego nikim, fanfaronem, który z pompą poślubił młodą panienkę, by zaraz po chwili porzucić ją na pastwę losu. Niegodnym i niepoważnym.

Tantala siedziała obojętnie w kącie. Alana chodziła za ojcem, jak na sznurku. Poczułem ukłucie zazdrości. Dawniej między ojcem a córką jakoś nie było takiej czułości…

Początkowo chciałem ukryć przed Alaną, których znalazłem komediantów, lecz nie dało się tego przemilczeć. Nie mogłem kłamać, że był tutaj Barian ze swoją trupą i że wszyscy uciekli, gdy zrobiło się nieciekawie. Ci, których znalazłem, rzeczywiście uciekli. Wydaje się, że podczas, gdy zwiedzałem komin, zdążyli wyprowadzić swoje wozy i pojechać dokąd oczy poniosą. Wydawało się to niemożliwe, a jednak zdążyli!

Postanowiłem nie okłamywać Alany, pomijając to spotkanie. Nie chciałem też opowiadać, jak chciałem wciskać gębę z krzaczastymi brwiami w żar na kominku. Kiedy opadły emocje, ów zamiar nie wydał się już taki stosowny. Nie należało o nim mówić, nawet gdyby został spełniony.

Opowiedziałem za to Alanie, jak szef teatrzyku narobił ze strachu w spodnie. Opowiadałem bardzo sugestywnie, pomijając najbardziej drastyczne detale. Alana śmiała się i widziałem, jak moje kłamstewka

wyzwalają ją z szoku.

W „małej jadalni" uprzątnięto już ślady pobojowiska. Obmyto mnie z krwi i popiołu, obwiązali głowę czystym płótnem. Wciąż jednak nie mogłem ustać na nogach. Zaraz ciemniało mi przed oczami.

– Chcę wiedzieć wszystko o tym magu – powiedział Egert, kładąc nacisk na każde słowo.

Nie kontaktując się ze sobą, ja i Alana spojrzeliśmy na Tantalę.

– Egercie, Toria nie powinna być sama – powiedziała była aktorka, patrząc w bok. – Próbowałam ci przekazać, żebyś ją ochraniał!

Soll nachmurzył się.

– Wysłałem gońca. Naczelnik straży zatrzyma każdego obcego w bramie miejskiej, a nasz dom będzie strzeżony jak twierdza. Co mogę więcej zrobić?

Mówił powoli i wyraźnie. Zaczynałem po trosze rozumieć, jakim sposobem jego chłopcy wzięli górę nad przeważającymi siłami zabijaków. Kiedy wydawał rozkazy bojowe takim samym, stalowym głosem, jakby wbijał gwóźdź każdym słowem, nie można mu się było sprzeciwić.

I właściwie miał rację. To ja, nieszczęsny, w takiej sytuacji pewnie wskoczyłbym na koń i pędził ze wszystkich sił, będąc święcie przekonany, że nic się nie może zdarzyć beze mnie.

– Teraz chcę się dowiedzieć wszystkiego o magu.

Widać było, że pułkownik nie przywykł dwa razy powtarzać polecenia.

– Mów, Tantalo.

Sporo zataiła. Nie powiedziała na przykład o swojej dziwnej rozmowie z Czanotaksem, gdyż, jak sądziła, nikt nie był jej świadkiem. Nie wspomniała też o tym, jak mag ją „osłaniał" podczas wędrówki do Drzwi. Wiedziałem, dlaczego.

Pułkownik Soll był niesamowicie opanowanym człowiekiem. Nawet gdy była mowa o Luarze, Amulecie i Wrotach Wszechświata, czy o ciężkich przeżyciach Alany, nie drgnął na jego przystojnej twarzy ani jeden mięsień. Bezduszny posąg.

Tantala skończyła opowieść, wzdychając przeciągle. Alana usiadła blisko ojca, trzymając go za rękę. Rozłąka wyraźnie dobrze jej zrobiła. Kiedy była zbuntowanym podlotkiem, nie pozwalała sobie na takie gesty.

– Panie Rekotars…

Wiedziałem, że w końcu do tego dojdzie.

– Panie Rekotars, jest pan teraz ranny i być może, nieskory do rozmowy. A jednak nalegam na odpowiedź: jak to się stało, że moja córka, a pańska żona, tak łatwo wpadła w łapy tego… maga?

Mówił jak poprzednio, niegłośno. Bez nacisku. Nie powiedział

niczego szczególnego, a jednak wstrzymałem oddech. „Jak to się stało?"

Jak to się stało, że w ogóle przyszedłem na świat? Jak to się stało, że podpadłem pod Sąd? I jak to się stało, że dożyłem tego dnia, choć tyle razy chciano mnie zabić?!

Nie miałem się czego wstydzić. Dostawiłem Alanę ojcu… śmiałe określenie „dostawić", ale przecież tak jest: siedzą oboje przede mną, trzymając się za ręce i czule spoglądając na siebie.

Nie miałem się czego wstydzić. Zmęczyłem się swymi kłamstwami, dźwiganiem tajemnicy.

Ułożyłem wygodniej głowę i zacząłem własną opowieść.

O poborcy. O Sędzim. O cenie, jakiej zażądał Czarno za moje wyzwolenie. O tym, że chciałem żyć i zdecydowałem się ową cenę zapłacić. Jak wyruszyłem na poszukiwanie Alany i znalazłem ją, odbiłem komediantom, ożeniłem z nią, by zdobyć posag, który wcale nie okazał się cenny.

Potrzebowałem do tego całej swej odwagi.

Podczas mojej opowieści twarz Solla ożywiała się coraz bardziej. Oczy z szarych stały się czarne, zdolne obrócić w popiół każdego wroga. Strach pomyśleć, co może z człowiekiem zrobić ten, kto ma takie oczy…

Uratował mnie upór. Nie odwróciłem oczu na jedno mgnienie. Nawet nie mrugnąłem.

Alana odsunęła się od ojca i wtuliła głowę w ramiona. Jako jedyna znała moją historię w całości. Teraz wysłuchała jej na nowo, mimowolnie oglądając ją oczami Egerta i Tantali. Bez wątpienia, to widowisko mogło każdego wystraszyć.

Dostrzegłem kątem oka, że Tantala ma taki wyraz twarzy, jakbym na jej oczach porastał łuską.

Wreszcie skończyłem. Sczerniałe oczy Solla dławiły mnie tak, jak dławi ziemia kogoś chowanego żywcem.

– Na moją córkę spadły wszystkie możliwe nieszczęścia – powiedział po długiej chwili Egert.

Wstał. Jednym skokiem pokonał dzielącą nas przestrzeń, chwycił mnie za kołnierz i postawił na nogi. Pociemniało mi w oczach i przestałem widzieć pochyloną nade mną, zagniewaną twarz. Gdyby tylko zachować zmysły i nie zamienić się w bezwładną kukłę…

Palce Solla rozprostowały się. Opadłem z powrotem na fotel. Po chwili znów zobaczyłem światło. Przejrzawszy na oczy, ujrzałem, że u ramion pułkownika uwiesiły się dwie córki, rodzona i przybrana.

– Zostaw go, zostaw!

– Żałuję – wyrzęziłem – że dostarczyłem wam tak niemiłych chwil.

Soll przeszył mnie wzrokiem na wskroś, jakbym był ze szkła.

Ciągnąc lekko za sobą uczepione u ramion niewiasty, ruszył ku drzwiom.

– Alano, twoja matka tęskni. Tantalo, nasz dom ciebie potrzebuje… Kareta u bramy. Jedziemy.

Alana puściła ojcowskie ramię i odskoczyła do tyłu.

– Ja nie pojadę… bez Retano. Musi z nami jechać!

Soll obejrzał się szybko.

– Zbyt długo i nazbyt wiele ci pozwalałem. Teraz każę, a ty wykonasz. Do karety!

Ostatnie słowa prawie wykrzyknął. Ich siła była tak duża, że Alana, jak marionetka, zrobiła krok w stronę drzwi.

– Posłuchaj, Egercie! – wtrąciła się Tantala. – Musisz nas wysłuchać, przecież my…

Egert otworzył drzwi. Tantala ugryzła się w język ze względu na obcych świadków. Alana, oprzytomniawszy, znów się cofnęła.

– Agen! – ryknął Soll, wypychając na zewnątrz Tantalę. – Jedziemy!

– Nie pojadę – oznajmiła Alana.

Na chwilę zdawało mi się, że wróciły dawniejsze czasy i stoi przede mną zbuntowany podlotek.

Soll nic nie powiedział. Nie spojrzał, oczywiście, w moją stronę.

Wziął po prostu moją żonę wpół i wyniósł jak kociaka na dwór.

– Nie masz… pra…

Drzwi zatrzasnęły się za nim.

Tak zakończyła się historia mojego małżeństwa.

Skoro pozostał mi niecały miesiąc życia, nie powinienem złościć się na los. Raczej być wdzięczny Sollowi za właściwą decyzję. Zachował się jak dobry chirurg. Miłosierny i zarazem bezwzględny.

Tak myślałem w chwili słabości. Straciłem dużo krwi. Tymczasem minęły dwa dni i w moich żyłach zaczęła krążyć znów żywiej. Bierną zgodę z losem zmył nowy, gorący prąd.

Przebudził się we mnie urażony małżonek. Nikt nie miał prawa odbierać mi legalnie poślubionej, nawet rodzony ojciec.

Oberżystę ucieszył mój odjazd. Nie potrafił ukryć radości. Ostatnio miał same straty. Zmuszony troszczyć się o mnie, zgrzytał po cichu zębami. Zapewne chętnie wyrzuciłby mnie wcześniej, gdyby nie strach przed Sollem. Z tej wielkiej radości nawet się nie upomniał o zapłatę za paszę dla koni.

Po pierwsze pojechałem do konkurencyjnej gospody, gdzie została nasza kareta i próbowałem odnaleźć stangreta. Okazało się, że sprzedał ją i nawiał z pieniędzmi. Starszy syn z licznej rodziny postanowił najwyraźniej zacząć życie na własny rachunek. Z westchnieniem życzyłem mu złamania karku. Kupiłem prowiant i skierowałem wierzchowca na południe, w kierunku miasta.

Rozdział szesnasty

Wszyscy zdolni utrzymać w rękach choćby łopatę wyszli z wiosek w pole. Pracujący na roli spieszyli wydobyć z mokrych, ciemnych skib wszystkie dobrodziejstwa ziemi. Drogami wędrowali tylko posłańcy, włóczędzy i wielcy panowie, którzy nigdy nie tknęli pługa. Byłem posłańcem, włóczęgą i wielkim panem.

W głowie wciąż mi się strasznie kręciło. Nie wiem, jak zdołałem utrzymać się w siodle. Musiałem jechać bardzo wolno i pracujący na polach odprowadzali mnie zdumionymi spojrzeniami. Nie dość, że włóczęga, to jeszcze od samego rana pijany.

W samo południe droga była pusta. Słońce przypiekało prawie jak latem, błota dawno obeschły, zamieniając się w pył, dlatego też zobaczyłem najpierw tuman kurzu, a dopiero po chwili jeźdźca. Też się wydawał pijany. Koń co pewien czas przystawał, kręcąc łbem i robił nieśmiałe próby, by zrzucić irytujący ciężar.

Potem wydało mi się, że jest to mały chłopiec. Bielmo spadło mi z oczu dopiero wtedy, gdy się zrównaliśmy. Ściągnąłem wodze i zeskoczyłem z konia w samą porę, by chwycić w ramiona wyrzuconego z siodła niefortunnego jeźdźca.

– Retano…

Pięć minut spędziliśmy leżąc na rozpalonym słońcem poboczu. Mój koń potulnie pasł się obok, wierzchowca Alany trzeba będzie później złapać. Moja żona nigdy nie była utalentowaną amazonką. Był to z jej strony szczyt odwagi, dosiąść tak niesfornego stworzenia.

Jej włosy przeplatały się z niezakurzoną, niedawno wzrosłą w wiosennym słońcu, trawą. Jej palce gładziły szczecinę na moich zapadłych policzkach. Wielkie nieba, dlaczego wybrałem się w drogę nieogolony?!

Jakiś czas stopniowo nawzajem się przed sobą usprawiedliwialiśmy. Z rozkoszą prosiliśmy o wybaczenie wszystkich możliwych i niemożliwych grzechów. Nie wiem, czym by się zakończyła ta ekspiacyjna ekstaza, gdyby Alana nie namacała na mej potylicy świeżej rany i nie zapłakała przy tej okazji. Dwa głupiutkie gołębie na poboczu gościńca, choć poza tym ludzie na ogół rozumni i wytrwali.

Potem dał się słyszeć odległy tętent. Alana poderwała się.

– Ścigają mnie – oznajmiła prawie z dumą. – Może pognamy tak, żeby gonili nas tydzień, co?

Jeśli wziąć pod uwagę moją rozbitą głowę i umiejętności jeździeckie Alany, przedsięwzięcie było raczej trudne do wykonania.

– Alano – zacząłem ostrożnie – jesteś pewna, że naprawdę wybaczyłaś mi… tamto?

Spojrzała mi w oczy i nachmurzyła się.

– Chcesz powiedzieć, że prawdziwa dama by nie przebaczyła? Że czegoś takiego się nie wybacza? Że jestem głupią oślicą, ciągle chcąc być z tobą, bez względu na wszystko?

Okrutne słońce przesłoniła ciężka, puchata chmura.

– Niczego takiego nie chciałem! – zaprzeczyłem, wstając w ślad za nią. – Po co miałbym dożyć tego dnia, jeśli nie…

Jej twarz znowu się odmieniła. Tym razem pojawił się na niej strach.

– Alano – powiedziałem pospiesznie – czy ojciec… czy Tantala rozmawiała z nim w sprawie tego Tułacza?

Tupot kopyt był coraz wyraźniejszy. Traktem podążał niewielki oddział zbrojnych.

Tantala zaskoczyła mnie po raz kolejny. Jestem pewien, że gdyby nie ona, Egert Soll nie odezwałby się już do mnie nigdy nawet jednym słowem.

O czym mu trajkotała przez te trzy dni? Jak przekonywała? Sama przecież potrzebowała czasu, by dojść do ładu z nową wiedzą na mój temat. Pogodzić się z nią, jeśli już nie wybaczyć.

W obecności ojca Alana okazywała godność i niezależność, zadzierając nosa wyżej niż zwykle. Egert westchnął. Opodal drogi rozbity był namiot, trzaskał ogień, rozgrzewając zakopcony kociołek. Pułkownik z młodym wojskiem zainstalował się tam w warunkach polowych, bez luksusów.

W namiocie kazano mi usiąść. Soll, tak jak poprzednio, nie patrzył w moją stronę, lecz sam fakt, że zgodził się na mą obecność pod swoim płóciennym dachem świadczył o dużym ustępstwie z jego strony.

Alana usiadła ze mną, demonstracyjnie biorąc mnie za rękę. Gest nieprzyjęty w wytwornym towarzystwie, ale wymowny.

– Wrócił zwiadowca – oznajmił Soll, przechadzając się niespiesznie w tę i z powrotem. – Dziwne wieści. Rzeka wylała.

Milczeliśmy. Pułkownik nie był wieśniakiem, więc dziwne było to jego zainteresowanie powodzią.

– Rzeka całkowicie wylała – sprecyzował, widząc naszą dezorientację. – Zerwała most i zniszczyła prom. Nie można dotrzeć do miasta…

– To nie czas na powódź – zauważył Agen, obecny przy tej rozmowie.

Wolałbym, żeby przebywał za ścianą namiotu. Soll wzruszył ramionami.

– Mówią, że z gór spływa roztopiony śnieg. Wszystko może się zdarzyć, ale jak o tym pomyśleć…

– Agenie – powiedziała Tantala, uważnie oglądając zacieki na

płóciennym suficie – czy mógłbyś poprosić waszego kucharza, by przygotował dla mnie oddzielną porcję bez masła?

Agen nie zrozumiał od razu.

– Teraz – sprecyzowała z naciskiem.

Agen się zaczerwienił. Soll milczał, nie zamierzając potwierdzać polecenia. Chłopak zdobył się na przekorę.

– Całkiem bez masła kasza nie jest zbyt dobra – oświadczył, patrząc jej ponuro w oczy. – Nie chciałbym się narazić kucharzowi, chłopak robi dobrą robotę…

Nigdy bym nie pomyślał, że ten barczysty młodzik potrafi robić tak subtelne aluzje.

Tantala uśmiechnęła się słodko.

– Ja lubię bez masła, Agenie. Przyjmij to jako moją osobistą prośbę.

Nadęty młodzieniec wyglądał teraz jak szafa. Spojrzał pytająco na Solla i wyczytał w jego oczach milczące potwierdzenie. Skłonił głowę i wyszedł, zarzucając za sobą zasłonę mocniej, niż należało.

– Zamyka nam drogę – powiedziała szybko Tantala. – Czarno odzyskał moc… albo prawie. Egercie, tamta nasza rozmowa…

Pułkownik w końcu przestał się przechadzać. Przysiadł na niskim zydelku, przy czym spiczaste kolana znalazły się na wysokości oczu.

– To znaczy: półmisek z zupą? Przyjdzie pan, wyleje zupę i nałoży kaszy?

Nerwowo przełknąłem ślinę. Chciało mi się jeść.

– Odwrotnie – mruknęła poważnie Alana. – Wygrzebie kaszę i naleje zupy.

Na zewnątrz, w pewnym oddaleniu, wesoło droczyli się wychowankowie Solla. Tylko głos Agena dźwięczał ponuro i drażniąco. Smakowity zapach strawy przebijał się przez płócienną ścianę, wprawiając moje nozdrza w konwulsyjne drgawki.

– W ciągu mojego życia – rzekł w zadumie pułkownik – spotkałem tylko jednego maga: dziekana Łujana… Tułacza nie liczę.

– Dlaczego? – spytała posępnie Alana.

Do zapachu kaszy wmieszała się jakaś gorycz. Czyżby kucharz przypalił nasz smakołyk?!

Ech, Retanaarze Rekotarsie, do czego doszło, że wojskowa kasza zdaje ci się smakołykiem.

– Ponieważ Tułacz nie był magiem w potocznym rozumieniu – odrzekł pouczająco córce. – Natura jego mocy była poza granicą naszego rozumienia. Nie wiem dokładnie, lecz wydaje mi się, że natura waszego Czanotaksa…

– No właśnie – wtrąciła bystro Tantala.

Egert uniósł brwi.

– Ale dlaczego? Przecież Tułacz był naznaczony przez Trzecią

Siłę, Tego, Który Przychodzi Stamtąd, a Czanotaks…

– „Kiedy zostawiamy zimę za drzwiami, mały przeciąg i tak się przedostaje przez szparę…" – zacytowała głucho Tantala.

Nastąpiła chwila milczenia napiętego jak skóra na bębnie.

– „Mały przeciąg" – powtórzył Soll z uśmiechem. – Gdyby wszystko było takie proste. Po co Temu, Który Przychodzi Stamtąd w ogóle potrzebni byli Odźwierni? Znacznie prościej byłoby prześlizgnąć się przez szparę…

– I wcielić się w łysego maga – odważnie dokończyła Alana.

– Cicho bądź – osadziła ją Tantala.

Alana nadąsała się.

– Złoto nie rdzewieje! Nikogo nie ma tam, „za progiem".

Oczy Tantali pociemniały.

– Cicho bądź! Komplikujesz najprostsze rzeczy! Rdza na złocie to znak, omen… Najważniejsza jest rdza na Amulecie, którym Luar zapieczętował Drzwi. Kto wie, może pieczęć już dawno przerdzewiała?

– Tułacz mógłby wyrażać się jaśniej – powiedział ochryple Soll, patrząc ze zdziwieniem na Tantalę. – To mój problem, że niezbyt go dobrze rozumiem…

– Tułacz?! – krzyknęły razem Tantala i Alana.

– Nie widzieliśmy się dziesięć lat – wymamrotał Soll. – Potrzebna była ważna przyczyna, aby powrócił do moich snów.

Nastąpiła kolejna pauza. Twarz Tantali zbielała w jednej chwili, Alana siedziała z półotwartymi ustami. Soll przygarbił się. Jego oczy dziko błyskały w promieniach słońca, wpadających przez szpary w namiocie.

– Dlaczego milczałeś, Egercie? – zapytała ochryple Tantala.

Wzruszył ramionami.

– Czy jestem jasnowidzem?!

W namiocie zrobiło się nieco duszno. Tantala wstała i zrobiła niepewny krok do przodu. Nie mogła się za bardzo rozpędzać ze względu na brak miejsca.

– Sądziliśmy, Egercie, że Tułacz nam pomoże…

– Ochronić mamę – pomogła jej Alana.

– I zarazem cały świat – dodałem cierpko.

– Nie wiem – odparł Egert z krzywym uśmiechem – czy zdołam ocalić świat… ale twojej matki nikomu nie oddam. Chociaż…

Zaciął się na chwilę.

– Jeśli to prawda, że… „czai się za progiem"…

– „Stoi na progu" – podchwyciłem, wracając w pamięci do zimnej, zasypanej śniegiem chatynki.

Czanotaks Oro w swojej straszliwej szubie, bawiący się podrzucanym toporem. „Proroctwo ma tyle lat, a nadal jest aktualne".

Nie zawsze dobrze jest znaleźć się w centrum uwagi. Zwłaszcza,

kiedy spojrzenia obecnych przewiercają cię na wylot.

– Co? – spytał porywczo Soll.

– Czanotaks mówił, że proroctwa powinny się spełniać – odparłem, dziwiąc się swemu zapominalstwu. – „Proroctwa powinny się spełniać. To porządkuje wszechświat".

Moi rozmówcy spojrzeli po sobie. Potem Tantala głośno przełknęła ślinę, zatarła dłonie i wydeklamowała z pamięci, niezbyt często się zatrzymując.

– „Nadchodzi nieszczęście… Oto zielona równina i samotny wędrowiec. Ogniu, oświeć me oczy! Nieszczęście nieuniknione. Ziemia przyssała się do twych butów i wchłonie cię… Pękła zasłona niebios… Gdzie wędrowiec na zielonej równinie? Drzewa… e, e… wyciągają korzenie ku przepaści, gdzie dawniej świeciło słońce. Spójrz, woda zgęstniała i sczerniała jak krew. Spójrz, ostrze spłynęło łzami. Mglista pętla na martwej szyi. Oddech za naszymi plecami…"

– Co za pamięć – stwierdziła zawistnie Alana.

– Co to było? – zapytałem z drżeniem.

Tantala oblizała wargi.

– To z biografii Orwina Proroka. Z książki dziekana… proroctwo o nadejściu Tego, Który Przychodzi Stamtąd. Właściwie najpierw ten tekst był zapisany w Testamencie Pierwszego Wieszczbiarza, lecz nie ocalał ani jeden egzemplarz, dlatego dziekan Łujan odtworzył go przede wszystkim ze słów Larta Legiara…

– Nie pora na wykłady – powiedziałem, starając się okazać zimną krew, pod którą ukrywałem nerwowe drżenie, jakie ogarniało mnie na dźwięk wszystkich tych imion i nazw. – Jak rozumiem, chodzi o to… co stanie się ze światem po wtargnięciu Obcego?

Tantala odwróciła oczy.

– Nie wiem. Pani Toria mówiła, iż dziekan twierdził… że to w pewnym stopniu artystyczna metafora…

– Artystyczna?!

Tantala znowu przełknęła ślinę. Odwróciła się do Alany, jakby szukając pomocy. Spojrzała pytająco na Solla.

– Więc Tułacz pomoże? – zapytała rzeczowo jak poborca podatków.

– Powiedział, że nie może nam pomóc – odparł odwrócony pułkownik. – Żebyśmy nie liczyli na niego, bo on i bez tego…

Nowa pauza. Dłuższa niż poprzednie. Wątpię, by moich rozmówców obchodziły teraz losy świata.

Tantala przeżywała klęskę swoich nadziei, Alana lękała o matkę, a Egert Soll był w rozterce. Stan ducha nietypowy dla pułkownika, dlatego tym bardziej bolesny.

Ja zaś pocieszałem się dziwnym odkryciem. Okazało się, że nie mnie jednemu groziły ostatnie dni. Straszliwe frazy proroctwa nie

mogły mnie przestraszyć. Co mnie obchodziło, ze „pęknie zasłona niebios"? Jako tymczasowy przybysz, a raczej „uchodźca", spokojnie zamknę za sobą swoje własne drzwi, zanim proroctwo zacznie się spełniać.

Także wiele oczekiwałem od tajemniczego, wszechmocnego Tułacza. Jakie by to było piękne: Wyrok odwołany, a przede mną całe życie i mnóstwo czasu, który można poświęcić na co się chce, choćby na walkę o ratowanie świata…

Ach, jak wiele oczekiwałem.

Brzeg spokojnej dawniej rzeki przeobraził się w rozgrabiony jarmark lub obóz bogatych koczowników. Jadący do miasta kupcy, wędrowni rzemieślnicy i inni wędrowcy zgromadzili się po tej stronie rzeki, pomstując i skrobiąc się po głowie w poszukiwaniu wyjścia. Oblegali okoliczne gospody.

Wzburzona rzeka niosła rozmaite szczątki. Woda, wdzierając się w ziemię, poszerzała swoje koryto. Zupełnie jak szalony maruder, porywała wszystko to, czym się nie mogła posłużyć, wlokła ze sobą i niszczyła po drodze. Wozy wywrócone do góry kołami i cała masa trudnych do zidentyfikowania śmieci. Widać też było pnie wyrwane z korzeniami, wciąż pokryte zielonym listowiem, jakby próbowały nadal istnieć w zmienionych warunkach. Tylko wariat mógł pomyśleć o przeprawie. Na przeciwległym brzegu kłębili się ludzie, wśród których przebłyskiwały czerwono-białe mundury strażników i wkopane w ziemię powozy. Mieszczanie próbowali umocnić nadbrzeże.

Nie próbując zbliżyć się do rozszalałej rzeki, patrzyliśmy w milczeniu na groźnie przewalające się fale.

– Chłopaki znaleźli wróżbitę – mówił Agen do kogoś za moimi plecami. – Miejscowy czarownik, przepowiadający pogodę. Wieśniacy omal go nie zrzucili z urwiska, chociaż przysięgał, że nic podobnego się nie zapowiadało… Gdy go zapytać, skąd nastąpił atak, trzęsie się i milczy.

Krowie truchło płynęło z prądem. Kolebiąc na żółtawych falach wzdęty bok i sztywno rozstawione kopyta, powódź miotała padliną jak piłką.

– Widziałem, jak tak samo niosły człowieka – rzekł ochryple nieznajomy człowiek, kupiec z wyglądu. – Nie widziałem dokładnie, ale chyba babę…

– Pewnie czerpała wodę – zażartował ktoś ponuro.

Spojrzano nań z ukosa.

– Do licha! – denerwował się inny o arystokratycznym wyglądzie. – Pułkowniku, kiedy naprawią prom i zacznie działać przewoźnik?!

Obejrzałem się.

Blada, niezdrowa twarz. Szerokie rondo kapelusza, chroniące policzki od słońca.

Uparł się zachować szlachetną bladość? A może sądzi, że czarny strój czyni go bardziej zagadkowym?

Wielka zagadka…

Spotkaliśmy się oczami. Rozpoznał mnie.

Istny cud! Woskowe policzki, zamiast kompletnie posinieć, zaczęły się czerwienić, jakby podlane sokiem malinowym…

Człowiek w czerni, który zabił kiedyś w pojedynku Reggi Dera, a potem zeznawał przeciwko mnie w sądzie, teraz wyraźnie się bał. Nie wiedział, czego oczekiwać i nie rozumiał, dlaczego wciąż żyję. Pociły mu się dłonie. Moje spojrzenie paliło go mocniej niż południowe słońce.

Jakże wielką przewagę ma ten, który gardzi.

Patrzyłem na starego znajomego obojętnie, jak na kłodę drewna niesioną nurtem. Niepotrzebną, przegniłą, oślizgłą.

Nawet nie wzruszyłem ramionami. Odwróciłem się i odszedłem, żeby więcej go już nie widzieć.

I całkowicie zapomnieć.

Wróciłem do Alany i Tantali. Widok rozbuchanej rzeki nie sprawiał im radości i obie były mocno przygnębione.

– No i co? – spytała moja żona.

Wzruszyłem ramionami. Tantala niczego nie rzekła. Rankiem na jej oczach utonął chłopak, próbujący wyłowić z kipieli podskakujący na falach worek. Nie wiadomo, co zawierał, może tylko zgniłą słomę. Chłopak na próżno walczył z rwącym nurtem, wreszcie oberwał po głowie drewnianą kłodą i popłynął dalej bezwładnie plecami do góry.

– Mam niezbyt radosny wniosek – oznajmiłem, siadając obok. – Coraz bardziej mi się wydaje, że Czarno, pozwalając nam działać, wciąż się nami bawi. Możemy się miotać tylko w określonych granicach…

Dziesięć kroków dalej Egert rozmawiał z Agenem. Młodzik chmurzył się z zakłopotaniem, popatrując to na rzekę, to na przeciwny brzeg. Woda podlewała przedmieścia. Mieszkańcy, mali i duzi, znosili kamienie. Doskonale było widać z daleka, jak wolno wznosi się ich zapora i jak szybko podnosi się poziom wody.

Soll kiwnął głową. Agen wyprężył się służbiście, jakby przyjmując rozkaz, odwrócił się i pobiegł truchtem. Nie posiadałem się ze zdumienia. W tak beznadziejnej sytuacji pułkownik Soll wynajdywał jeszcze zadania dla swoich ludzi.

Podszedł do nas powoli. Tantala uśmiechnęła się krzywo.

– No i co? Siedzimy tutaj jak kołki?

– To mi odpowiada – odparł poważnie Soll. – Zgodzisz się chyba, że gdybyśmy nie mogli przeszkodzić magowi, nie traciłby drogocennej mocy, by nas powstrzymać…

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Jak mało znałem własnego

teścia…

– Teraz naprawdę nie możemy – stwierdziła Tantala z goryczą.

Soll skinął głową.

– Można by pójść dalej i spróbować się przeprawić. Myślę jednak, że gdzie byśmy nie poszli, rzeka przywita nas tym samym. Nie patrz tak, Tantalo. Zawsze jest jakaś szansa.

Pułkownik przemawiał z przekonaniem. W roztargnieniu położył dłoń na karku swej córki, drugą zaś na ramieniu Tantali. Jakby okrył je niezniszczalną osłoną swojego optymizmu. Natychmiast poczułem się zbędny.

Całkiem zbędny.

Szum rzeki zagłuszał ludzki gwar. Sam nie wiem kiedy wybrałem się do resztek sosnowego gaju, do połowy już zalanego. Część drzew była zrąbana na ogniska. Siadłem na mchu, zdjąłem buty i podwinąłem nogi pod siebie.

Może komuś te buty podarować?

Natrętna myśl pojawiła się nie wiedzieć skąd. Dobre, nowe buty… Może je podarować?

Drewniany kalendarzyk mocno się zniszczył podczas ostatnich beznadziejnych historii. Brzegi kruszyły się i obłamywały, ale brodate wiatry wciąż nadymały policzki, pękate chmury sypały śniegiem i słońce okrągłe jak meduza, przebierało złotymi wypustkami.

Prawie nic nie zostało. Nie rozumiem, co jeszcze robię nad brzegiem oszalałej rzeki. Piasek, odmierzony dla mnie prawie rok temu, przesypał się do dolnej części klepsydry. Zostało jeszcze kilka ziarenek. Potem zapytam sam siebie: jak umrę?

Jak ów staruszek, co się napalił na ulicznicę i nadział potylicą na gwóźdź?

Jak rozbójnik, który utonął według jednych w kałuży, a według innych w kloace?

Podważyłem paznokciem grudkę laku, gotową do usunięcia. Sczyściłem przypadkowe zanieczyszczenie na krągłym policzku narysowanego słońca. Przyjrzałem się uważnie rozpisce i nagle pokryłem potem. Czy na pewno prawidłowo zaznaczyłem Dzień? Być może coś przeoczyłem i nie czeka mnie jeszcze pięć nocy, a tylko cztery?

Ile długich dni odhaczyłem szpilką? Słońce zrobiło całe okrążenie. Ja także przeszedłem się po okręgu i wracam teraz do punktu wyjścia. Dzisiaj chce mi się umierać jeszcze mniej, niż rok temu…

Co mnie obchodzą losy świata?! Powinienem być uczciwy sam wobec siebie i powiedzieć: byłoby milej umierać, wiedząc, że niedługo po mnie cały świat się zawali. „Mglista pętla na martwej szyi…”. Może mam szczęście, że tego nie dożyję?

Wielkie nieba, ależ jestem bydlakiem. Mam szczęście, że nikt nie

czyta w moich myślach.

Podarować buty? Jeśli tak, to będzie oznaczało, że wierzę, iż świat ocaleje, słońce będzie jak dawniej przygrzewać ludzkie grzbiety, po lecie nadejdzie jesień, a moje obuwie przysłuży się jakiemuś włóczędze.

– Retano – usłyszałem głos Alany.

Wzdrygnąłem się, jak oparzony. Jakby żona potrafiła czytać w moich myślach. Nie chcę być przez nikogo widziany ani z nikim rozmawiać.

– Posłuchaj, Retano… po co ofiarowano ci rok życia?

Po co staremu dana była doba, a rozbójnikowi miesiąc? Sędzia nie jest katem. Sami sobie jesteśmy oprawcami…

– A jeśli to próba?

Próba wytrzymałości. Czy nie zwariujesz i nie powiesisz się przed czasem, lekceważąc Sprawiedliwość…

– Retano – podjęła ochryple – nie chcę, żebyś umarł. Zapowiada się chłodne lato…

– Odejdź, zaraz do ciebie przyjdę – odparłem, patrząc na rzekę. – Nie wypada się obuwać przy damach.

Ludzie Solla znaleźli gdzieś łódź. Całkiem dobrą, nasmołowaną i prawie nową. Podszedłem do nich szybko, niemal biegnąc.

Egert uśmiechał się, przemawiając do swych wychowanków. Stali ciasnym kręgiem wokół mistrza, nie zamierzając mnie dopuścić do kompanii. Jeśli jednak zechcę gdzieś wejść, przebiję się nawet przez ścianę.

– Nie powinno ją znieść na kamienie… Agen, zostaniesz tu jako starszy i dopilnujesz, żeby kobiety…

W tej chwili mnie zauważył i kąciki jego ust opadły.

– Panie Rekotars, byłbym wdzięczny, gdyby dał mi pan możliwość porozmawiać z moimi ludźmi.

– Do przeprawy – odpowiedziałem, starając się opanować przyspieszony oddech – potrzebna nam tratwa. Łódź może się przewrócić.

Naprawdę się rozgniewał, potrafił się jednak powstrzymać.

– Pozwoli pan, że to ja zdecyduję, co jest najlepsze. Proszę odejść.

– Drogi pułkowniku – odparłem, podniecając się swą arogancją – za parę dni i tak uwolnię pana od swego uciążliwego towarzystwa. Wybierze pan wtedy dla córki odpowiedniejszego męża. Dopóki jednak żyję, proszę mnie traktować poważnie!

Chłopaki Solla spojrzeli pytająco na dowódcę. Wyraźnie czekali na rozkaz, żeby wciąć mnie za kark i wrzucić do rzeki. Pułkownik milczał.

– Ja także coś znaczę – dodałem, zniżając głos.

Przystojna twarz pułkownika drgnęła ledwie zauważalnie. Egert

wątpił w moje słowa.

Jechaliśmy w milczeniu.

Czas uciekał nie tylko dla mnie. Tam, za ścianą wzburzonej wody bezmyślnie spoglądała na świat Toria Soll, której nigdy nie widziałem i która powinna doprowadzić Czanotaksa do Drzwi, Luara i Amuletu. Przyszłość świata niezbyt mnie zajmowała, los Torii przerażał, lecz czysto teoretycznie. Tylko dla mej żony Alany i byłej aktorki Tantali przedłużałem swój bezsensowny żywot.

Jechaliśmy w górę rzeki. Prąd powinien znieść tratwę ku miastu. Może zdołamy dobić do brzegu i zacumować w rzecznym zakolu, bo inaczej natkniemy się na gęste kamienie.

Jeśli tratwa będzie zbyt lekka, zakręci nią pierwszy napotkany wir. Jeśli za ciężka, nie zdołamy nią pokierować.

Wyprawę poprzedzało kilka krótkich, ale burzliwych scen. Nie wątpiłem, że Egertowi wystarczy siły, by zostawić kobiety na brzegu, nawet gdyby zaczęły buchać ogniem ze złości. Niewiele brakowało. Tantala powiedziała coś, co zachwiało na chwilę nie tylko moje zdecydowanie, lecz także Solla.

– Czy zdajesz sobie sprawę, kogo osłania ta powódź? Jesteś pewien, że przeprawiwszy się sam na drugi brzeg, zdołasz go powstrzymać? Chodzi o Torię i Luara. Nie przyszło ci do głowy, że rzeka wylała, aby nie przepuścić jej córki i jego żony?

– I jego siostry – dorzuciła ponuro Alana.

– A jeśli obie utoniecie – warknął Soll – czy to mu w czymś przeszkodzi?

– Wszyscy mamy jednakowe szanse utonąć! – oznajmiła hardo Alana.

Poczułem przeszywające kłucie w boku. Myśl o tym, że ciało Alany popłynie z nurtem i żółte wody będą igrać z nim, jak dopiero co z martwą krową…

– Zostaniecie – powiedziałem z wysiłkiem.

– Lekceważysz Czarno – stwierdziła ze znużeniem Tantala.

Egert ruszył ku niej i chwycił ją brutalnie za ramię.

– Znawczyni magicznych historii. Czy on kontroluje wyczarowaną przeszkodę? Śledzi nas, czy też wzburzywszy rzekę, spokojnie zajmuje się swoim dziełem?

Tantala zamrugała powiekami.

– To znaczy, czy nie palnie nas drewnianą kłodą, kiedy wejdziemy na tratwę?

Szkoda, że w swoim czasie nie przeczytałem magicznych ksiąg.

– Nie wiem – odparła Tantala z wahaniem. – Gdyby nie miał przed sobą głównego celu, pewnie by nas śledził. Ma jednak teraz ważniejszą sprawę i myślę…

– Tantala powinna być z nami – powiedziałem nieoczekiwanie dla

samego siebie.

Soll zwrócił na mnie ciężkie spojrzenie.

– Dlaczego?

– Dlatego, że Czanotaks jej nie utopi.

Mało nie przygryzłem języka, napotkawszy spojrzenie kobiety, lecz wystarczyło mi sił, by doprowadzić myśl do końca.

– Nie zechce jej uśmiercić.

– Dlaczego?!

Miała wielką ochotę uderzyć mnie w twarz. Alana spochmurniała. Widziałem, że się solidaryzowała ze mną, ale także współczuła tamtej. Dlatego milczała.

Nie wiem, co pomyślał w tej chwili Egert. Podziałała na niego argumentacja Tantali, czy też moja nieoczekiwana szczerość, lecz trudna decyzja została podjęta i wziął ją na siebie.

Chcąc mu pomóc, zapewniłem kobiety, że nie zamierzamy się topić, tylko przeprawić.

Teraz nastąpiła kolejna gwałtowna scena, ponieważ okazało się, że mnie również Soll nie zamierzał zabierać na tamten brzeg.

Tantala zacisnęła usta. Alana odprowadziła ojca na stronę. Słyszałem tylko wieloznaczne urywki: „nie znasz go", „całkiem wystarczająco", „nie pojadę bez niego", „no to zostań", „stanie za cały twój Korpus". Potem Alana zniżyła głos do szeptu, nie słyszałem więc ani słowa. Soll skrzywił się, odszedł w stronę rzeki, długo patrzył na fale, wrócił, spojrzał na mnie i odrazę w jego oczach wzbogaciło zaciekawienie.

– Umie pan wiosłować?

I teraz jechaliśmy wzdłuż brzegu, a czas upływał, jak mętna woda. Tantala i Alana wiozą naręcza korków, zebrane z okolicznych gospód. Agen z resztą chłopaków pogalopowali naprzód, do niewielkiego tartaku. Wątpię, czy jego właściciel kiedykolwiek spławiał drewno po tak burzliwych wodach.

Soll zawsze zachowywał zdrowy rozsądek. Jeśli uzna radę za sensowną, przyjmie ją nawet od takiego nędznego łotra, jak własny zięć.

Natychmiast wpadliśmy w wir. Niezdarnie odepchnęliśmy tratwę od brzegu, a wówczas zrobiła obrót wokół własnej osi. Przed oczami mignął przeciwległy brzeg, żółtawa powierzchnia wody, zdechły pies w krzakach przy tartaku, kolumny sosen w obręczach brudnej piany.

Egert Soll zakrzyknął. Nie słyszałem słów, lecz głos był gniewny i rozdrażniony.

Rzeka była niesamowicie rwąca. Nieomal wyrwała mi z dłoni wyślizgany wieloma dłońmi trzonek, jakby była nienasycona w zdobywaniu kolejnych trofeów.

Alana i Tantala zamarły pośrodku tratwy, trzymając się podków

przybitych do drewna. Początkowo chcieliśmy je przywiązać, co by się jednak stało, gdyby tratwa wywróciła się dnem do góry?

Obie miały na piersiach mokre naszyjniki z korków. Wszyscy okoliczni oberżyści zbiednieli przez to, lecz istniała słaba nadzieja, że kobiety nie utoną, jeśli wpadną do wody.

Wiosłowałem wspólnie z Sollem, dostosowując się do rytmu jego ruchów. Wielkie nieba, tyle siły po pięćdziesiątce…

Wyniosło nas na główny nurt i nie miałem czasu myśleć.

Rzeka ponosiła jak oszalały koń. Pędziła, wyszukując odpowiednie łożysko. Mogła nas równie dobrze zanieść obok miasta na czekające tam ostre kamienie…

Tantala i Alana otwierały usta, lecz nie słyszałem ich krzyków.

Brzegi zlewały się w pstre potoki. Świat przetaczał się obok nas, my zaś staliśmy nieruchomo, jak na ironię: patrzcie, co się z wami stanie. Szkliste oczy, zmierzwiona sierść, rogi, bezsilne wobec wodnej śmierci. Kolejna fala gęstej, żółtawej kipieli…

W mig wyobraziłem sobie, co się dzieje pod nami. Jak masa wody, dla której poprzednie koryto stało się za ciasne, wydziera sobie nową drogę, unosząc z dna kamienie i warstwę mułu, by uczynić odmęt jeszcze gęstszym i bardziej żółtawym.

Powinienem widzieć Egerta. Skoro nie widzę, chociaż wyczuwać. Nie jesteśmy bezwolnymi zabawkami w łapach żywiołu. Nasze wiosła potrafią rozorać jego brzuszysko i nawet jeśli rana zarośnie nową pianą, przesuwać się będziemy choć o włos, choć o palec w stronę brzegu. Brzegu, miasta, Torii i Czanotaksa.

Zabiję cię… Czarno.

Wiosło wyrywa się z rąk. Rękawice podarły się, skóra okaleczała, a jak tak dalej pójdzie, połamią się także kości…

Chciałbym, żeby moje stopy wypuściły korzenie i wrosły w śliskie drewno, muszę ustać na nogach, ustać na no…

Tratwa wzleciała nad grzywą piany. Straciłem od tego dech. Tratwa przechyliła się niebezpiecznie, zanurzając tym końcem, na którym zmagał się z falami Soll.

Nie słyszałem okrzyków kobiet. Być może zawodziły jednogłośnie. Czas rozciągnął się, tratwa stanęła dęba i znalazła wysoko nad wodą. Zobaczyłem nawet rozdziawione gęby ludzi, stojących na rozmytym podjeździe do głównej bramy miasta…

Tratwa zakołysała się do przodu, a potem znów przewaliła w tył, z całej siły waląc w twardą jak kamień, gliniastą powierzchnię wody. Uderzyłem twarzą o własne wiosło, ofiarowując mętnej wodzie kilkanaście kropel krwi.

Egert nie zwykł powtarzać dwa razy.

– Skoro mnie zmyje, nie zwlekaj, dokończ sprawę sam. Jeśli zmyje ciebie, nie będę cię ratował, kobiety są najważniejsze…

Jeśli faktycznie go zmyło, został gdzieś daleko z tyłu, pośród wzburzonych pian…

– Trzymajcie się! – krzyknąłem do kobiet, chociaż i tak mnie nie słyszały.

Żadna siła i tak nie rozewrze ich dłoni… Zauważyłem, że Tantala przytrzymuje kolanami wiosło Egerta.

Za stary, żeby walczyć ze zbuntowaną rzeką…

Chcę mieć nogi jak u muchy, niech podeszwy butów kleją się do drewna.

Wodny prąd odrywał jego ręce od zbawczej krawędzi tratwy. Palce Solla ześlizgiwały się jeden za drugim. Jedną dłonią chwyciłem jego nadgarstek, drugą… nie miałem za co uchwycić…

Dopóki nie natrafiłem na splecione palce Alany.

Cisza. Nie słyszę żadnego huku. Brzegi pędzą wciąż jak szalone, jakby ktoś obracał po obu stronach dwa wielkie bębny z wymalowanymi krajobrazami. Widziałem takie w jakimś teatrze…

Teatr. Śmieszna starucha, która…

Soll podciągnął się. Najpierw oparł na drwach łokcie, później wczołgał się całymi ramionami, a potem…

Nie słyszałem, co krzyczała Tantala. Zrozumiałem za to, co znaczy „przekrzywić twarz". Skóra twarzy była biała jak płótno, naciągnięte z całej siły na stelażu – przekrzywiona…

Niosło nas na płyciznę. Czekała tam zastygła, ogromna kłoda. Rzeka zamierzała zbić Egerta na krwisty befsztyk, a z nas zrobić mięsną miazgę.

Wiedziałem, że nie zdąży podciągnąć się wyżej. Ze wszystkich sił odepchnąłem go i przewaliłem się na drugą stronę. Być może pomyślał, że pragnę uwolnić tratwę od jego ciężaru…

Rzeka mnie usłuchała. Kłoda wbiła się w tratwę z przeraźliwym trzaskiem, przypominającym odgłos pękających kości. Wystarczyły nasza szybkość i ciężar, by zepchnąć kłodę z płycizny. Plusnęła w wodę, przewalając się i błyskając odartym bokiem jak wodny potwór. Tratwa omal się nie złożyła w harmonijkę, bierwiona się powykrzywiały, przejechaliśmy po zdradliwym dnie, lecz nie zatrzymując się, popłynęliśmy dalej.

Ocknąłem się w lodowatej wodzie. Uderzenie wyrzuciło mnie do przodu. Nie sądziłem, że woda będzie aż tak gęsta i lodowata.

Przez mgnienie pomyślałem, że rzeka chce mnie rozkawałkować i przetrawić jak ogromny żołądek. Wszystko, co stało się potem, nastąpiło w ciągu sekundy, lecz dla mnie czas ciągnął się niewyobrażalnie wolno, do tego stopnia, że zdążyłem zapamiętać najdrobniejsze szczegóły.

Przewalająca się tratwa wciągnęła mnie pod swoją drewnianą płaszczyznę. Przejechała po mym grzbiecie jak ogromne żelazko.

Widziałem przez mętną wodę przepływające nade mną bierwiona i niebo przebłyskujące przez szczeliny Potem pojąłem, co będzie dalej. Tratwa odpłynie z prądem. Dobrze by było, gdyby Sollowi udało się utrzymać, dojść do siebie i dopłynąć do brzegu. To całkiem niedaleko, można to zrobić w parę minut…

Zza chmur wyszło słonce. Promienie przebijające szczeliny nad moją głową, wbiły się jak ostrza w mętną topiel. Widziałem, jak kołysze się w górę i w dół krawędź tratwy, odsłaniając co chwila słońce i obiecując szybką śmierć.

Myśl o tym, że jednak pokonałem starego Sędziego okazała się niespodzianie przyjemna.

Wydaje się, że na jakiś czas straciłem przytomność. Chyba zahaczyło o mnie wiosło, jak o szmatę. Zobaczyłem, lecz nie usłyszałem, że Egert strasznie na mnie wrzeszczy, chwytając za kurtkę. Nie zdoła mnie wyciągnąć jak worek, jeśli mu nie pomogę…

Zostało tylko jedno wiosło. Egert wiosłował, a nasza trójka trzymała się belek, coraz mocniej się rozszczepiających.

Przemknął obok nas mały domek, porwany szalonym nurtem. Rzeka porwała go, lecz nie zdążyła rozwalić i przez wybite okno zobaczyłem przez chwilkę kawałek zasłony, fragment czyjegoś zniszczonego życia.

Powinniśmy byli teraz dotrzeć do brzegu, inaczej groziły nam skałki.

Byliśmy jak kruche trzcinki wobec wszechogarniającej siły. Wystarczyło nam wiary w siebie, by skoczyć w wodny wir. Teraz trzęśliśmy się ze strachu, wczepieni w siebie nawzajem, zdeterminowani jednak przeżyć.

Ze zdziwieniem dojrzałem żelazny hak, za trzecim razem wczepiający się w krawędź tratwy. Szalona gonitwa brzegów spowolniła, w końcu ustała. Teraz rzeka płynęła, a nasza tratwa podskakiwała, przytrzymywana liną i jeszcze czterema hakami.

Brzeg, do którego tak spieszyliśmy, wisiał teraz nad nami jak kapelusz wielkiego grzyba. Woda podmywała gliniastą ścianę, z góry obrywały się kamienie i grudy ziemi porosłej trawą. Czarna wrona, kręcąca się na skraju, wierciła się jak rozbiegane oko.

Cztery linki wyciągnęły nas spod niebezpiecznego zapadliska. Mieszczanie usiłowali powstrzymać ten proces stosami kamieni. Teraz biegli ze wszystkich stron, niektórzy w kiedyś czerwono-białych, a obecnie brunatno-szarych mundurach.

Miałem krótką lukę w świadomości. Ocknąłem się znów, kiedy gliniasty nawis w końcu się oberwał i runął do wody i zawalił nas błotnistą falą, kiedy już wypełzaliśmy na brzeg. Alana nie zdołała stanąć na nogi, lecz zdążyłem ją złapać. Woda spłynęła z nas bezsilnie, nie mając już nad nami władzy. Byłem przez chwilę wręcz upojony

faktem, że jednak zachowałem życie.

Żyję. Wyrwałem się znów sieci nieodwracalnej śmierci. Stoję na nasypie, mokry i okrwawiony, wyziębiony i ubłocony, lecz bez wątpienia żywy. Otaczający nas ludzie mówili coś ze wzburzeniem, lecz nie słyszałem ich dobrze. Byłem ogłuszony jak od uderzenia pałką.

Kupka piasku na dnie klepsydry. Drewniany kalendarzyk i biegnące dni, zaznaczone jeden po drugim. Jeszcze trzy długie dni wraz z połową nocy…

Jestem prawie martwy. Alana owdowieje wcześniej, niż zagoją się moje rany.

Przyprowadzono nam konie. Widziałem, jak Tantala pospiesznie wyciera włosy nie wiedzieć skąd wziętym płóciennym ręcznikiem. Jak Alana z rozpaczą na twarzy wyżyma połę sukni. Rzeka za naszymi plecami ciągle szalała, lecz jakby trochę słabiej, jakby po naszej przeprawie wszystko straciło sens.

Zaglądali mi w twarz. Było ich bardzo dużo, mieszczan o spracowanych dłoniach i strażników z kilofami i łopatami. Ten we wspaniałej peruce to pewnie sam burmistrz.

Wszyscy będą żyć jutro, pojutrze i cały następny tydzień.

Spuściłem głowę. Nie byłoby dobrze, gdyby zobaczył ktoś na mym licu małoduszną, bezsilną zawiść.

Rozdział siedemnasty

Nie poznawałem miasta. Nie mogłem sobie przypomnieć zaułków, którymi pułkownik Soll wiódł naszą kawalkadę. Przechodnie uskakiwali spod kopyt. Starałem się trzymać blisko Alany, znając jej umiejętności jeździeckie. Za trzy dni nie będę się już tym przejmował, ale póki żyję, nie spadnie jej włos z głowy.

Wszystko, co żyje, skazane jest na śmierć. Budujemy domy i płodzimy dzieci, wiedząc, że czeka je taki sam koniec. W niczym się nie różnię od innych. Czy chodzi o trzy dni, czy o trzydzieści lat, rezultat zawsze jest taki sam. Moje wyzwanie śmierci powinno być jak najbardziej śmiałe.

Mijaliśmy jedną za drugą wąskie uliczki. Prowadząca nas trójka strażników przezornie wyrywała do przodu. Egert gnał jak po głównej ulicy, Tantala za nim, nawet Alana mocno trzymała się w siodle, zaciskając zęby.

Nie umrzesz, powiedział łagodnie niewidzialny stróż, strzegący mego rozumu przed szaleństwem. Nie możesz umrzeć. To niemożliwe.

Powtarzało się to setki razy. W mym wnętrzu kołysało się ogromne wahadło: od skrajnej rozpaczy, poprzez uspokajającą filozofię, do gniewnego uporu, podtrzymywanego wiarą we własną nieśmiertelność. Tam i z powrotem…

Kopyta zatętniły na garbatym mostku, budzącym smutne wspomnienia. Jeszcze parę przecznic i zobaczyliśmy nasz cel.

Na ganku domostwa Sollów stali dwaj czerwono-biali strażnicy. Trzymali skrzyżowane piki przed wejściem. Wyglądało to nieco zbyt malowniczo, jak na mój gust. Stoją tak cały czas? Czy odgrywają spektakl, słysząc nadjeżdżającego pułkownika?

Tak, czy owak, na widok Egerta powinni zasalutować, lecz ani drgnęli. Żaden nie odwrócił głowy w jego stronę.

– Sarki! – krzyknął Soll, zeskakując z konia. – Dof!

Pomogłem zsiąść Alanie. Ciężko wsparła się na mym ramieniu. Słyszałem, jak Tantala mruczy do ucha swego rumaka:

– Nareszcie w domu…

Egert ruszył do przodu. Sarki i Dof, bo tak chyba się zwali, mocniej ścisnęli drzewce swoich pik.

– Nikomu nie wolno wejść. Wstęp wzbroniony. Zewsząd, z okolicznych podwórek i okien, ostrożnie wyglądali i powoli gromadzili się ciekawscy.

Trzeba przyznać, że Soll dosyć szybko się opanował.

– To ja! – ryknął prosto w twarz wyższego strażnika.

– W imieniu naczelnika straży rozkazuję zrobić przejście i podążać za mną!

Strażnicy uśmiechnęli się jednakowo, jak bracia. Nie były to wesołe uśmiechy. Zbierający się wokół tłum jęknął równocześnie.

– Egercie! – krzyknęła Tantala łamiącym się głosem.

– Cofnij się!

Soll odstąpił.

Strażnicy stali nadal, niemile przypominając kukły z porcelanowymi twarzami. Między grotami skrzyżowanych pik co chwila przeskakiwały niewielkie sine błyskawice. Zdawały się zimne i straszne. Ciżba hałasowała coraz głośniej.

Soll wyprostował się, odwrócił i chwycił za kołnierz pierwszego z brzegu gapia. Zaraz go jednak puścił, rozpoznając w nim swego najbliższego sąsiada.

– Co tu się dzieje, u licha?!

– Rano ich tutaj przysłali – wymamrotał sąsiad, poprawiając nerwowo kołnierzyk. – Wydawali się całkiem normalni… Godzinę temu z nimi rozmawiałem o powodzi… Mówili, że z panią Torią wszystko w porządku. Jeszcze godzinę temu… Poprosili o wodę. Ja bym gotów naszym strażnikom nieba przychylić… Przychodzę z wodą… Stoją, jak osłupiali.

Już nie chcieli wody. Straszne… Czary jakieś, panie pułkowniku, nic innego…

Wszyscy spojrzeli na Sarkiego i Dofa. Wyładowania przeskakujące między grotami pik i kukłowato uśmiechnięte twarze w całej pełni potwierdzały sugestie poczciwego mieszczucha.

– Czary – powtórzył sąsiad, oblizując wargi. – Od trzech dni kręcił się tu taki jeden, łysy jak kolano… Co wyprawiasz, łobuzie?!

Okrzyk odnosił się do chłopaczka, który ogarnięty ogólnym podnieceniem, wziął z jezdni kamień i rzucił nim w zastygłych przed gankiem strażników.

Malec miał niezłe oko. Kamień walnął z trzaskiem w kask. Strażnik, który oberwał, zachował jednak nieruchome oblicze i nie ruszył się z miejsca, nawet nie odwrócił wzroku, chociaż po mundurze posypały się drobne odłamki.

Wyobraziłem sobie, jak w uśmiechniętego strażnika wbija się bełt z kuszy. Jeden, drugi… Kukła nie zmienia wyrazu twarzy i stoi dalej, zalana krwią, naszpikowana strzałami, a między grotami wciąż przeskakują sine błyskawice…

– Sarki! – jęknął żałośnie jeden z towarzyszących nam strażników. – To przecież pułkownik Soll! Rzuć pikę, słyszysz?

Egert wymienił się długim spojrzeniem z Tantalą. Odwrócił się w stronę eskorty.

– Wziąć ich. Ostrożnie.

Trzy krótkie miecze bezszelestnie wyskoczyły z pochew. Zdezorientowani strażnicy ruszyli ku swym zaczarowanym

towarzyszom. Piki wyglądały groźnie, lecz były dość niepraktyczne w ulicznej walce…

Trzy miecze brzęknęły o jezdnię. Jeden z atakujących padł, nie zdążywszy uskoczyć przed trzaskającym iskrami grotem. Dwaj pozostali odskoczyli. Instynktowna reakcja ocaliła ich szybciej, nim zdołali połapać się, co się stało.

– Czary – zaszemrał przerażony tłum.

Soll rzucił się do przodu, nie bacząc na krzyk Tantali. Nie zamierzał powtarzać próby ataku. Skoczył pod rozmazanymi w powietrzu drzewcami, chwycił leżącego za pas i jednym zrywem odciągnął od ganku. Kobiety piszczały z zachwytu.

– Dajcie mi broń – rozkazał ponuro Soll.

Zerknął krótko w moją stronę.

– I temu… panu Rekotarsowi.

Niejednokrotnie zdarzyło mi się przełazić przez płoty. Nawet te bardzo wysokie i najeżone szpikulcami. Zdarzało się, że po drugiej stronie oczekiwała mnie zakochana dama, do której zwykłą drogę zagradzały przeszkody w postaci małżonka lub opiekuna.

Sollowie nie mieli się przed kim chronić. Żaden złodziej, będący przy zdrowych zmysłach, nie odważyłby się zakradać do domu pułkownika, nie mówiąc już o ewentualnych kochankach. Na podwórku nie było nawet psa. Soll przeskoczył jako pierwszy, odebrał z moich rąk najpierw Tantalę, a potem Alanę.

– Nie sądziłem, że będę musiał tak wchodzić do własnego domu.

– Życie jest pełne niespodzianek.

Owa głęboka myśl, jaką odziedziczyłem po rozlicznych domorosłych filozofach, uwięzła w zębach jak włóknista lepkość.

– Czekajcie na wezwanie – rzekł oschle Egert do kobiet.

– Bez tego ani kroku…

Tantala burknęła coś w rodzaju „lubi rozkazywać". Krótki miecz nie pasował do mojej dłoni. Niewygodna i nieporęczna broń. A zresztą, z kim zamierzałem walczyć?

– Diula! – zawołał Egert, otwierając drzwi wejściowe. – Klow! Jest tu kto?!

Szybciej wyczułem, niż zobaczyłem ruch za jego plecami.

– Soll!

Ciężki, zakopcony kocioł przeszył powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed sekundą była głowa pułkownika i gruchnął o ziemię. Egert strząsnął mnie z siebie i wstał. Miałem nadzieję, że tymczasem nauczył się mi ufać i nawet przez chwilę nie pomyślał, że zbiłem go z nóg zdradziecko i bez powodu. Nie miał zresztą czasu myśleć, ponieważ zza drzwi jadalni wynurzyła się rumiana pokojówka z nożem rzeźnickim w ręku.

Jakby lalkarz postanowił się zabawić, zmieniając charaktery

swych marionetek i powierzając rolę zabójcy uroczej, dobrze zbudowanej dzieweczce. Panna służąca uśmiechała się lalkowatym, porcelanowym uśmiechem.

Zabiję cię, Czarno!

– Cofnij się, Diulo – zaszeptał Soll, unosząc miecz. – Odejdź! Proszę cię, przestań!

Diula szła, dzierżąc profesjonalnie nóż w dłoni, jak zawodowy rzeźnik zabójca. Do fartuszka przylepiły się rybie łuski. Absurdu sytuacji dopełniała butla ze słoną oliwką, którą służąca ściskała w lewej dłoni.

Czy mi się zdawało, czy też po domu rozchodził się zapach smażonej ryby?

Za moimi plecami skrzypnęły drzwi, wiodące chyba do salonu. Odwróciłem się szybko. W wejściu stał lokaj o oczach nieokreślonego koloru. Także się uśmiechał, ściskając w dłoniach pogrzebacz.

Nie zdążyliśmy nawet z Sollem spojrzeć na siebie.

Z boku musiało to wyglądać co najmniej komicznie. Dwaj sławetni wojacy walczą z milutką służącą i tłustawym lokajem…

Diula szła wciąż sztywno w stronę pułkownika. Sługa z pogrzebaczem przypadł, jak widać na moją głowę…

Mam łatwiej. Jak Egert może walczyć z własną pokojówką?

Okazało się, że nie można było uniknąć starcia.

Diula zaatakowała. Nie krzyczała, nie bryzgała śliną, wykonywała po prostu wolę niewidocznego lalkarza. Już się nie uśmiechała, tylko zadawała mocne i celne ciosy. Soll zasłonił się mieczem. Zderzenie kling wywołało snop sinych iskier, od których robiło się zimno w sercu.

Rumiana służąca miała siłę równą przesławnemu pułkownikowi. Czułem, jak trudno Egertowi odtrącić ostrze noża.

Klow idący na mnie z pogrzebaczem, wydawał się zmaterializowaną śmiercią. Co za ironia: potomek Rekotarsów w ostatniej walce krzyżujący miecz z pogrzebaczem, ginący dzielnie z rąk lokajczyka mikrusa…

Nie zginę jednak w tak śmiesznych okolicznościach. Los chroni mnie zazdrośnie, jak gospodyni swój inwentarz, zachowany na święto…

Do licha, mam jeszcze trzy dni!

Pogrzebacz opadł ciężko, jak miecz karzący. Mikrus zebrał w sobie chyba siły wszystkich lokajów z całego miasta. Mógłby toczyć kamienie…

Omal nie przepuściłem następnego uderzenia. Pogrzebacz walnął w schodek, krusząc marmur i wzbijając lodowate iskierki.

„Pozwól mi się rozgrzać".

Czy Sollowie mają więcej służących? Jeśli tak, to czym

uzbrojonych? Gdzie jest, na przykład, stara niania? Czy pani Toria słyszy odgłosy walki? A może wyjdzie na schody, by zobaczyć, co się stało? Ach, przecież nie wychodzi z pokoju… Czy wciąż żyje? A może właśnie teraz prowadzi Czanotaksa ku Drzwiom?

Napad złości był tak silny, że gdyby na placu boju nie pojawiły się Alana i Tantala, zarąbałbym biednego Klowa, jak nic.

Powinny posłuchać Egerta i nie przychodzić bez wezwania. Nie wiem, która którą skłoniła do nieposłuszeństwa, ale tym bardziej nie wiem, czym skończyłaby się ta dziwna walka, gdyby obie zostały na miejscu.

Ich samowola uratowała życie co najmniej jednemu człowiekowi. Niezwyczajnie zręcznemu i silnemu zabójcy z ciężkim pogrzebaczem.

Z trudem parowałem kolejne uderzenia i robiłem uniki. Walnąłem przeciwnika płazem po głowie. Biedak się zachwiał, ale nie upadł. Na myśl, że będzie dalej walczył zakrwawiony, z nienaturalnie wytrzeszczonymi oczami, poczułem gęsią skórkę. Uderzyłem znów bez namysłu, pięścią w brzuch. Sługa upadł jak kłoda. Mimochodem pomyślałem, że mogłem być bardziej litościwy, skoro patrzą na nas damy. Egert?!

Cofał się, parując coraz mocniejsze ciosy Diuli, która poruszała się niewiarygodnie szybko. Przynajmniej raz go dosięgła, bo kurtka na jego ramieniu była rozcięta jak ostrzem topora. Zapewne już dziesięć razy mógł ją powalić, lecz nie chciał jej okaleczyć, miała więc nad nim przewagę…

Odepchnąłem Alanę, ślepo biegnącą na pomoc ojcu. Nigdy dotąd nie potraktowałem jej tak brutalnie, że aż upadła. Tantala tymczasem usiłowała zerwać portierę zasłaniającą wejście, lecz pierścienie trzymały mocno i nic jej z tego nie wychodziło. Doceniając jej pomysłowość, skoczyłem i zawisłem na kotarze całym ciężarem. Solidna tkanina rozdarła się w końcu i już po chwili, uzbrojeni ciężkim płatem zakurzonego aksamitu pobiegliśmy ukarać pokojówkę za niestaranne sprzątanie.

Malinowy aksamit okrył ją do pięt, rozkładając wokół ciężkie fałdy. Wątpię, czy kiedykolwiek pokojówka mogłaby sobie pozwolić na tak wytworną pelerynę. Ostrze rzeźnickiego noża zepsuło ją wprawdzie natychmiast, rozrywając od środka.

Miałem ochotę złamać jej rękę.

Związana jedwabnym sznurem z frędzlami, miotała się milcząc na marmurowej posadzce.

Egert niósł Alanę po schodach na górę, popychając przed sobą Tantalę, która dzierżyła w dłoni zdobyczną butlę z oliwą, co było o tyle fatalne, że po całym domu rozchodził się swąd spalonej ryby…

Nie wiem, jak zdołała się wydostać i dopaść noża rzuconego w kąt. Jedwabne sznury i aksamitny wór nie zatrzymały opętanej.

Podarty fartuszek zwisał w strzępach, potargana fryzura rozsypała się, rumieńce zamieniły w gorączkowe wypieki.

– Diula!!!

Nim ja i Egert zdołaliśmy chwycić za broń, Tantala cisnęła w dół butelkę. Grube szkło pękło, wypuszczając gęstą, aromatyczną ciecz. Oliwa ściekła w dół po marmurowych stopniach. Diula zamachała rękami, próbując zachować równowagę, lecz nogi jej rozjechały się we dwie strony i runęła w dół. Nawet Czarno nie zdołałby odmienić praw fizyki…

Dziewczyna, spadając, uderzyła głową o marmurowy stopień i więcej nie wstała. Soll ledwie przytrzymał córkę, rwącej się na pomoc służącej. Przezwyciężając się, ruszyliśmy do przodu korytarzem w stronę pokoju Torii. Zakazanej strefy, w której nie miałem okazji bywać.

– Chwileczkę…

Tantala potknęła się i ledwie zdołałem ją podtrzymać. Alana wpadła na Solla, który stanął jak wryty. Krótkie słowo padło nam kłodą pod nogi, jak drzewo rzucone przez zbójców pod koła dyliżansu.

– Chwileczkę… mili państwo.

Stał w końcu korytarza. Światło padające z wąskiego okna, pozwoliło nam ujrzeć gołogłową sylwetkę. Gotów byłem przysiąc, że jeszcze przed chwilą nie było tutaj nikogo, oprócz nas.

– Wyrażam uznanie dla waszej wytrwałości. Byłem pewien, że zobaczę was tutaj wszystkich. Nie spóźniliście się. Jestem rad.

Zrobił krok do przodu, jakby po to, byśmy mogli zobaczyć jego twarz. Wzdrygnęliśmy się, oprócz, chyba, Egerta.

Mag zrobił się naprawdę stary. Skóra zwisała z twarzy pożółkłymi fałdami. Nie poznałbym go, gdyby nie błyszcząca łysina i skośne, nieco szalone oczy.

– Nie za wcześnie się pan raduje, panie magu? – wycedził przez zęby Egert.

Czarno uśmiechnął się. Od tego uśmiechu zrobiło mi się niedobrze. Egert urwał, jakby nagle zaschło mu w gardle. Wciąż z tym strasznym uśmiechem Czanotaks zrobił kolejny krok. Dopiero teraz zauważyłem obite tkaniną drzwi z błyszczącą klamką. Egert Soll i Czarno Tak Skoro stali blisko nich w jednakowej odległości.

Pokój pani Torii?

– Drodzy państwo – zaczął Czarno, jakby szukając właściwych słów – zdołaliście pokonać wszelkie przeszkody, czego się jednak nie spodziewałem. I przyszliście tu. Dokładnie teraz. Wszyscy razem…

Zapach spalonej ryby, przed minutą osiągający zenit, teraz ulatywał i niknął. Dobrze, że z pojawieniem się maga przynajmniej znikła groźba pożaru…

– Witam pana, Egercie Soll, naznaczonego klątwą i zmiłowaniem

samego Tułacza. I pana, szlachetny Rekotarsie, któremu pozostało parę dni. Panią także, Alano, znajdującą swoje szczęście, aby je wkrótce utracić… I ciebie – ciągnął, dziwnie zmienionym głosem, od chwili gdy się spotkał oczami z Tantalą – która odmieniłaś mój los.

– Nieprawda! – odpowiedziała teatralnym szeptem.

– Prawda.

Stary Czarno przymknął powieki.

– Pięć lat temu pokochałem cię, lecz postanowiłaś być wierna przeszłości. Wybrałaś pamięć Następcy, Strażnika Luara. Pięć lat temu chciałem być z tobą, lecz zdecydowałaś inaczej. Od tego dnia, kiedy zamknąłem drzwi za tobą, ciągnie się długa nić, wiodąca nas wszystkich do drugich Drzwi.

Wyciągnął dłoń ku błyszczącej klamce. Egert wykonał szybki ruch. Czarno cofnął rękę z uśmiechem.

No cóż, pomyślałem, ściskając naprężone ramię żony. Teraz przynajmniej wiadomo, skąd…

– Więc to tak – powiedziała ochryple i nienawistnie Alana.

– Tak… panienko. Nie jesteśmy przypadkowymi ludźmi. Odźwierny powinien być nieszczęśliwy i odepchnięty przez innych. Ale ja nie jestem Odźwiernym.

– A kim? – zapytała ostro Alana.

Czarno nie odpowiedział, jego twarz pozostała nieruchoma, chociaż aż się prosiła o wieloznaczny grymas.

– Znamy się nie od dziś – powiedziałem z wysiłkiem. – Każdy z nas skrywał swój mały sekret… Myślisz, magu, że cała prawda cokolwiek zmieni?

Czanotaks podniósł na mnie gniewnie i młodzieńczo błyszczące oczy, jakby przez pomyłkę obramowane starczymi, obwisłymi powiekami.

– Nie powiedziałem ci wszystkiego, Retano. Nie można odwołać twego Wyroku na tym świecie, jedyne, co mógłbym zrobić, to odwlec go o jakiś tydzień, jak to zrobiłem ze złodziejaszkiem. A jednak cię nie okłamałem. Kiedy zawładnę Amuletem, w nowym świecie nie będzie miejsca dla Sędziego i jego Wyroków. Rozumiesz?

Rozumiałem.

Otoczenie straciło barwy i oddaliło się ode mnie. Jakby twarze mych towarzyszy namalowane zostały na płótnie i zamazywały się, gdy się od nich cofałem.

To znaczy, że od samego początku…

Miałem chęć usiąść. Odejść na bok. Niechaj ci ludzie sami wyjaśniają sobie wzajemne związki. Moja rola skończona.

Ktoś wziął mnie za rękę bardzo mocno zimnymi palcami. Moja żona.

– Alano – rzekł Czarno, znowu zmieniając głos – ile lat

chciałabyś… na jak długie życie chciałabyś zamienić te trzy dni, które ci pozostały do wdowieństwa?

Zapłakała.

Niezdarnie wodząc dłońmi po jej mokrych policzkach, powoli dochodziłem do siebie. Wciąż jestem jednak na tym zbiorowym portrecie i nikt mnie nie wypędza…

– Mając Amulet – kontynuował miękko Czanotaks – będę mógł rozporządzać życiem innych. Twój mąż, Alano, szlachetny Retanaar Rekotars będzie żyć długo i szczęśliwie. Rozumiesz?

Egert ruszył w stronę córki, jakby chcąc ją pocieszyć. Zatrzymał się, gdy spotkał się z moim wzrokiem.

– Panie Soll – ciągnął śmiertelnie znużony tonem mag – ile razy w samotności groziłeś Niebu pięścią? Ile razy przeklinałeś los za nieszczęścia, prześladujące twoją rodzinę? Czy pani Toria, córka dziekana Łujana, zasłużyła na swoje szaleństwo?

Szare oczy Solla pociemniały. Zdawało się, że za chwilę z czarnych źrenic wystrzelą pioruny.

– Wszystko wróci – oznajmił słodko czarownik. – Dostanie ją pan z powrotem. Ona pana rozpozna. Wszystko wróci, rozumie pan?

Soll nadal spoglądał gniewnie, lecz jakby na ślepo. W ciągu naszej krótkiej znajomości widziałem go w różnych opałach, nie widziałem jednak jeszcze takiego wyrazu twarzy u nikogo z ludzi…

– Nie kłamię – zapewnił Czanotaks.

Nikomu nie przyszło do głowy zaprzeczyć.

Ponieważ to była prawda.

– A ty…

Czarno odwrócił się do Tantali i jakby zmieszał się na chwilę, choć oczy mu nadal błyszczały.

– Widzisz…

Nastąpiła bardzo długa pauza. Nie widziałem twarzy Tantali, lecz mogłem spostrzec, jak jej białe uszko stopniowo stawało się rubinowe. Widziałem też fizjonomię Czarno z wygiętymi w dół starczymi ustami.

– Otrzymasz… możność… wyboru. Zrzucisz brzemię dawnej klątwy. Spotkasz się z nim twarzą w twarz i sama zdecydujesz, kto jest ci bliższy, on czy…

– Milcz.

Jakiś czas cała nasza piątka spełniała polecenie byłej aktorki. Milczeliśmy. Zdawało się, że w zamkniętym pokoju cichutko skrzypiał fotel.

– Popełniasz błąd, magu – głucho odezwał się Soll. – Tak samo jak Szalony Łasz i jego naśladowca, Fagirra pchasz się tam na próżno. Tam nie ma już Drzwi i nikt nie stoi na progu…

– Doprawdy?

Zwiędły staruszek, który pół roku temu był moim rówieśnikiem.

Teraz znów się uśmiechał, oczywiście jeśli ten grymas można było nazwać…

Cała nasza czwórka zrobiła krok wstecz.

Tamto patrzyło na nas z jego źrenic. Nie kryjąc się więcej. Z ciekawością nowego pana. Czarna pustynia bez dna, miliony oczu. Główki gwoździ, podtrzymujących aksamitną zasłonę wszechświata…

Jeśli nam się przywidziało, to wszystkim w jednej chwili to samo.

Sekundę później stał przed nami ten sam łysy, przygarbiony staruszek. Żadne z nas nie mogło wydusić słowa.

Za zamkniętymi drzwiami pani Toria czekała na swój los. A właściwie, nie czekała. O niczym nie myślała, niczego się nie bała, poddana swej doli, bezwolna jak przedmiot.

Mój słuch się wyostrzył.

Słyszałem jak na dole schodów obraca się, dochodząc do siebie, okrwawiona służąca.

Jak wiatr przewraca papiery na czyimś biurku. Jak potrzaskują ostygające węgielki w piecu. Czanotaks Oro uśmiechnął się smutno.

– Retano, Tantalo, Alano i pan, pułkowniku… Wszystko idzie, jak powinno. Teraz wszyscy pobłogosławicie mój następny krok. Wejdę tam… i wszystko będzie dobrze. Tak?

Przesunął spojrzeniem po naszych twarzach. Nawet Soll nie zdzierżył i spuścił głowę.

– Tyle honoru – wykrztusiłem z niemiłym uśmieszkiem – tak wspaniały cel, a błogosławić go mają takie nędzne istoty, jak my?

Czarno uniósł kąciki ust swojej strasznej maski.

– Ach, Retano… Kwestia nie polega na proporcjach. Nic w świecie nie zdarza się przypadkowo. Możecie niczego nie mówić. Po prostu dajcie mi…

– I co się stanie? – ledwie słyszalnie zapytała Alana.

– Będzie lepiej, niż teraz – odparł mag bez cienia uśmiechu. – Przyszliście mnie powstrzymać… teraz pobłogosławcie. Milczeniem.

Dłoń Alany ześlizgnęła się z mego ramienia. Chwilę potem ujrzałem jej rozszerzone źrenice.

– Retano…

Cała się trzęsła. Nic dziwnego, ja też drżałem. Cały świat jest być może w gorączce…

Jak ona się zmieniała. Z uroczego podlotka wystraszona niewiasta, a potem piękna, doświadczona kobieta, wiedząca wszystko o miłości i znów zrozpaczona dziewczynka, tak podobna do swego ojca.

– Retano… On ma rację! Niech nastanie ten jego nowy świat… jeśli będzie w nim miejsce dla ciebie. Dla nas obojga. Nie chcę, żebyś umierał. Co wart będzie ten stary świat bez ciebie? Czy warto go cenić, skoro jest w nim możliwe… To wredny, ohydny świat i nie ma

człowieka, który nie przeklinałby go chociaż raz w życiu. Niech będzie po nowemu… tylko, żebyś żył!

Nogi ugięły się pod nią i padła na kolana. Trudno orzec: przede mną, czy przed Czanotaksem.

– Alano!

Tantala chwyciła ją za ramiona. Alana odwróciła się konwulsyjnie do przybranej siostry.

– A ty?! Ile razy mówiłaś o Luarze, że lepiej, by otworzył Drzwi! Lepiej, żeby wrócił, choć odmieniony… A ty, ojcze?!

Egert milczał.

– Retano!

Alana chwyciła mnie za ręce.

– Dlaczego mamy cię tracić? Jeśli mama przeżyje i znów będzie z nami, jak dawniej, wszyscy wrócimy do siebie. To przecież nie dom wariatów, byliśmy kiedyś normalną, szczęśliwą rodziną…

– Nie mów tak – powiedział bezbarwnie Soll. – Milcz.

– Dziewczyna ma rację – zauważył mag, patrząc w bok. – Odźwierni usprawiedliwiali swoją słabość humanitaryzmem. Wmawiali sobie, że podoba im się ten świat. Ale pan chyba nie chce widzieć swej córki wdową, pułkowniku? A swoją żonę szaloną?

Soll milczał.

Czanotaks przygarbił się jeszcze bardziej, choć zdawało się to niemożliwe.

– Tantalo, powiedz im.

– Co? – odparła beznamiętnie była komediantka.

– O czym rozmawialiśmy tam, w lesie…

Nabrała powietrze w płuca, jakby rzeczywiście miała coś powiedzieć, lecz nie wydała żadnego dźwięku.

Długo przeciągające się milczenie.

Soll patrzy błędnie. Czym jest dla niego Toria? Całym światem. Bezpowrotnie utraconym. Czym dla niego jest świat?

Tantala patrzy w dół. Za kimś innym mogłaby pójść, kto dorównywałby Luarowi. Lecz zatrzymała się wpół drogi, czyniąc człowieka nieszczęśliwym…

Chciałem się uśmiechnąć, lecz zdobyłem się tylko na nędzny grymas.

Alana wciąż klęczy. Trzęsie moimi dłońmi i czeka.

Na co?

Spadają w dół ostatnie ziarenka piasku. Obraca się drewniany kalendarzyk. Oni milczą.

– Wstań – powiedziałem cicho, lecz od razu mnie posłuchała.

Widocznie w moim głosie było coś, co uniemożliwiało sprzeciw.

– Posłuchaj, moja żono – powiedziałem, usiłując przezwyciężyć chrypkę przy ostatnim słowie – lepiej ci zostać wdową, niż wygnanką

przy żywym mężu.

Nie od razu pojęła. Uniosłem podbródek, trochę zapomnianym, rasowym gestem Rekotarsów.

– Jeśli pójdziesz za tym łysym potworem i zaprzedasz się mu, wyrzeknę się ciebie, Alano. Sam rzucę się w przepaść, żeby nie żyć za cenę… nieszczęścia innych ludzi.

Jaka ogłuszająca cisza. Oszałamiająca. Wstrząsająca.

– Egoista – stwierdził z uśmieszkiem Czanotaks – ale w najlepszym gatunku…

Oczy Alany całkiem pociemniały. Znowu była podlotkiem na granicy histerii.

– To wszystko – powiedziałem czule. – Nie mam nic do dodania.

Pauza. Tantala i Egert milczeli, patrząc w podłogę… Nie, jednak zerkali na mnie ze strachem. Przeraziła ich moja decyzja?

Czy boją się samych siebie. Przecież przed chwilką byli o włos od tego, żeby „błogosławić milczeniem"… Alana długo szlochała.

– Szkoda – stwierdził Oro. – Jaka szkoda. Chodźmy.

Słabo pamiętam, co zdarzyło się później.

Soll ruszył do przodu, unosząc miecz, ale obite tkaniną drzwi otwarły się same z siebie i skrzydło okazało się ciężkie jak brama twierdzy. Pchnęło Egerta na mnie i ledwie zdołałem przytrzymać go i nie upaść. Po domu przeszedł podmuch wiatru, zafalowały zasłony, trzaskały drzwi… Pokój otworzył usta i zrobił wdech. Pofrunęliśmy jak muszki niesione prądem powietrza.

Na chwilę przypomniała się rozszalała, żółtawa rzeka.

Potem drzwi zatrzasnęły się za naszymi plecami. Z charakterystycznym dźwiękiem zatrzaskującej się pułapki.

– Torio! – rozległ się zrozpaczony głos pułkownika Solla.

Miękki dywan złagodził upadek, lecz niedawno rozbita głowa odezwała się bólem i mrokiem w oczach. Jakiś czas widziałem tylko swoją rękę i dłoń Alany, splecioną z moją palcami.

– I ciekawa rozmowa skróciła nasze oczekiwanie…

Nieznany głos. Czyj? W pokoju nie mogło być nikogo oprócz Torii, Czanotaksa i nas, bezsilnych, niezdolnych go powstrzymać…

Parę kroków od mojej twarzy tonęły w dywanie mocno zakurzone i sfatygowane buty.

– Będziemy kontynuować niemą scenę?

Drugi głos. Swarliwy i kwaśny. Jego właściciel siedział na poręczy niskiego fotela, a jego głowa spoczywała na szerokiej marszczonej kryzie, jak na półmisku.

Usiadłem, przyciskając do siebie Alanę. Podniosłem się na jedno kolano i odpełzłem ku ścianie. Nikt na nas nie zwracał uwagi.

Zwariowałem?

– A… ach – słabo wykrztusił Czarno Tak Skoro.

Stał, wsparty o wielkie biurko. Wydawał się najstarszy ze wszystkich, chociaż większość zebranych także była wiekowa. Trzymał się za pierś, dysząc ciężko.

– Ach… Oczywiście, jak mogłem sądzić, że panowie zjawy przepuszczą ostatni akt. Ostatnią scenę naszego małego spektaklu? Pod tytułem: Puk, puk… Kto tam?… Otwórzcie!

– Nie bój się – szepnąłem do Alany.

Wciąż drżała.

– Cieszę się, że was widzę.

Czarno skłonił się przed właścicielem zakurzonych butów.

– Pana, wielki magu Larcie Legiarze, pogromcę Czarnego Moru i Walczącego z Obcym…

– Wspaniały gobelin – odpowiedział tamten, patrząc na ścianę. – Miałem może ze trzy dzieła takiej klasy, nie więcej…

Połowa jego twarzy była pokryta skomplikowaną siecią blizn, jedno oko zdawało się ślepe, drugie pobłyskiwało szyderczo, jakby skrywało osie żądło.

Czy to jest Lart Legiar?!

– Boję się, Retano – szepnęła Alana.

– Wspaniały gobelin – powtórzył z satysfakcją wielki mag. – Pamiętasz, Marranie?

Od okna odwrócił się wysoki starzec… chociaż w obecnej sytuacji nie nazwałbym go już takim starym. Dokładniej mówiąc, człowiek w nieokreślonym wieku.

Czarno pokłonił się jeszcze niżej.

– Witam pana, Tułaczu. Raul Ilmarranien, zwany Odźwiernym, choć najczęściej Marranem…

Wpatrzyłem się z całej mocy w Tułacza.

– Ten gobelin – odezwał się jeszcze jeden głos, cichy i kojący – należał w swoim czasie do mojego mentora Orlana…

– Pana też witam!

Czarno wykonał błazeński pokłon niemal do samej ziemi.

– Sławny dziekan Łujan, także pogromca Moru, autor słynnego dzieła z biografiami…

Podniosłem się, rozglądając po pokoju. Po raz pierwszy zobaczyłem Torię.

Matka Alany była niesamowicie piękna. Upływające lata nie zniszczyły krągłej twarzyczki, szyja nie straciła kształtu, a rój pieprzyków tylko ją upiększał. Toria spała w fotelu. Twarz była rozluźniona, a opuszczone rzęsy ciemniały jak dwa półksiężyce. Pamiątką po torturach, stratach i szaleństwie były dwie bruzdy wokół ust.

Potem zobaczyłem czyjeś dłonie na jej ramionach. Podniosłem oczy.

Dziekan Łujan, ojciec Torii i dziadek Alany, stał za oparciem fotela. Jego pomarszczona twarz była nieprzenikniona jak maska. Od razu miało się pewność, że dopóki za nią stoi, nie trzeba się obawiać o jej bezpieczeństwo.

Czarno Tak Skoro zaśmiał się, zachłystując nerwowo.

– Wszyscy są tutaj! Proszę się nie odwracać, panie Orwinie, poprzedni Wieszczbiarzu, bo chcę pana także przywitać!

Orwin siedział w kącie, za stolikiem do toalety. Patrzyłem z niedowierzaniem na lustrzane odbicie: ciemnowłosy, nerwowy, pełen wdzięku. Jego dłoń co pewien czas przesuwała się po szyi, jakby w poszukiwaniu utraconego medalionu.

– Zapomniałeś mnie przywitać – cierpko zaskrzypiał ten, którego głowa spoczywała na wielkiej kryzie.

– Proszę o wybaczenie!

Czanotaks pokłonił się z demonstracyjną skruchą.

– Witam wielkiego maga, Baltazara Esta, nie mniej sławnego, a może nawet bardziej od niejednego tutaj…

W przeciwległym kącie ciężko poruszył się pułkownik Soll. Z trudem stanął na nogach. Być może miałem wyraz twarzy podobny do niego. Kompletnie bezrozumny.

Zauważyłem, że w pokoju panuje niezwykła cisza. Żadnego dźwięku z zewnątrz ani wycia wiatru, ani stukotu drzwi. I wszyscy na coś czekają.

Czarno Tak Skoro zachwiał się i oparł ciężko o biurko, tracąc przy tym całą swoją wesołość.

– Jesteście widmami – powiedział głucho. – Nie możecie mnie powstrzymać… nawet ty, Łajanie. Od dawna nie masz władzy nad Torią…

– Nigdy jej nie miałem – odparł dziekan. – Odkąd Toria nauczyła się samodzielnie ubierać i myć ręce.

– Jesteście widmami – powtórzył z uporem Czanotaks. – Rozprawiłem się z żywymi, więc tym bardziej nie boję się was.

– Co? Wcale się nie rozprawiłeś z żywymi – usłyszałem własny, oburzony głos. – Już przegrałeś…

Oczy Czanotaksa zabłysły.

– Z drogi, szczeniaku, który wybrał śmierć! Z drogi, Legiarze, chyba że chcesz stracić drugie oko?!

Tułacz rzucił się w jego stronę. Wzmianka o utraconym oku Legiara poruszyła go bardziej, niż zagrożenie dla świata.

– Raulu – rzekł cicho jednooki – stój.

Nie sądziłem, że Tułacz go posłucha, ale zamarł natychmiast. Lart Legiar zwrócił się w stronę Czanotaksa.

– No, dobrze… Czanotaksie, skoro tak wolisz. Jeśli jest sens nazywać cię ludzkim imieniem. Próbuj…

Wszyscy wstali.

Wstał Orlan, siedzący przed lustrem. Podniósł się Baltazar Est, dziekan Łujan niechętnie zdjął dłonie z ramion córki i cofnął się do okna. Tam, gdzie stał Tułacz ze skrzyżowanymi rękami.

Zgrzytając zębami, z wielkim trudem także się rozprostowałem. Wstałem z podłogi, podnosząc Alanę, a naprzeciwko wyprostował się Soll i pomógł ustać na nogach kruchej jak gałązka Tantali.

Tylko Toria się nie poruszyła. Nieruchoma kobieta w centrum nieregularnego ludzkiego kręgu.

– Spróbuj! – rzekł Legiar mało dyplomatycznym tonem.

– Popróbuj! No?!

Czanotaks obejrzał się na Torię.

Baltazar Est zatrzymał Egerta, rzucającego się przez pokój. Mnie trzymał Legiar i jego palce były jak stal.

Czanotaks Oro, straszliwy starzec, przez nikogo nie powstrzymany…

Czy mogliśmy go powstrzymać?!

Ruszył ku Torii Soll.

Powietrze w pokoju zgęstniało jak miód. Wcale niesłodki. Gorzki, ciężki, dławiący.

– Nie szarp się. On cię zabije.

Pokryta bliznami twarz Legiara była tuż obok.

A niech tam… Nie mogę dopuścić, żeby…

– Torio – powiedział Czanotaks odrażająco triumfalnie – chodźmy.

Wyciągnięta ręka…

Widziałem, jak unoszą się rzęsy Torii.

Powoli, po troszeczku.

I od razu przestałem się wyrywać z trzymających mnie pęt.

Nigdy przedtem nie widziałem Torii, lecz w jej oczach było coś obcego. To naprawdę straszne, kiedy czyjeś oczy patrzą cudzym spojrzeniem…

– Ty?! – spytały jej piękne, z trudem poruszające się usta.

To był obcy głos. Na pewno nie jej.

– Ty?! – powtórzył jak echo Czanotaks.

Zaskoczony, zbity z tropu, zły i gotów do walki.

– Jestem tutaj – rzekł obojętnie patrzący oczami Torii.

– Nie będziesz dalej szedł i szukał mnie. Zdjąłem zasuwę i zamknąłem Drzwi Amuletem. Odejdź.

– Nie mam dokąd iść – głucho odparł ten, który do niedawna był Czanotaksem. – Muszę wziąć Amulet, nie mam wyboru.

– Tym gorzej – powiedział obcy głos. – Nie ma Drzwi dla ciebie, w całym świecie ich nie ma. Jestem ostatnim Odźwiernym. A także ostatnim Wieszczbiarzem. Nie będzie następnych…

Czarno wyszczerzył się.

Legiar chwycił mnie za kołnierz i wepchnął twarzą w dywan.

Oślepiający błysk.

Nie miałem możliwości zobaczyć. Świat skurczył się jak skórka rzucona w ogień. Mogłem tylko kurczowo przyciskać do siebie Alanę, w chwili, gdy stalowa ręka Legiara coraz mocniej wciskała moją głowę we włosie, aż niemal zacząłem się dusić.

Zimny pokój. Białe światło bijące z trzech ogromnych zwierciadeł zaczęło gasnąć, zamigotało, wybuchło ponownie i w tym momencie jedna tafla pękła i rozlazła się jak zetlała tkanina. Strzępki zwinęły się w rurki, a w otworze stanął ktoś… Ciemna postać z długim, białym ostrzem w dłoni.

I z gorejącą, złotą iskrą na piersi.

Kto tak krzyczy na cały świat łamiącym się głosem? Tantala?!

Precz, czarodzieju! Jeszcze krok i twoja moc cię nie obroni!

Stojący w przejściu uniósł klingę i pozostałe lustra rozpadły się od środka na miriady maleńkich okruchów. Białe światło zrobiło się złote. Barwa starego złota.

Ślepe ściany straciły swoją biel i stały się przejrzyste. Widziałem ich twarze na pociemniałym tle. Zeszpecone wysiłkiem. Raul Ilmarranien, Nie Otwierający Drzwi, Lart Legiar, Walczący z Obcym, Zabity w Przedsionku, dziekan Łujan, Pogromca Moru i jeszcze inni…

Ten, który stał w przejściu zrobił szeroki krok do przodu. Po klindze biegła błyskawica.

Puść mnie! Przepuść mnie, nędzniku! Daj mi się ogrzać!

Deski podłogi stanęły dęba. Zaświszczało długie białe ostrze. Powietrze stało się podobne suchemu piaskowi, który utrudniał oddychanie.

Nad głowami wiły się żółte i czerwone linie, zapętlając się o siebie, rwały się z niegłośnym trzaskiem, który jednak ogłuszał. Pojawiła się szarawa wrona, wściekle się kręcąca, która poszła pochłaniać odłamki luster, wszystkie, co do jednego… Osypały się pokryte popiołem zbocza. Walczyłem jak mrówka w piaskowej jamce, kiedy wrona wywróciła się na nice, zmieniając w górę, stożek. Ten, który stał w przejściu odrąbał swym gasnącym już ostrzem czarną przyssawkę na jego szczycie…

Muszka na szali wszechświata. Czy mogłem cokolwiek zmienić?

Wszyscy Odźwierni i Strażnicy decydowali o losach świata sami, bez podpowiedzi. Czy cokolwiek zależało od moich marnych decyzji?

W każdym razie miałem czyste sumienie. Wiedziałem, że gdybym był Odźwiernym…

Ten ciężar mnie jednak ominął. Jestem tylko awanturnikiem, dumnym ze swego wątpliwego pochodzenia, a właściwie bezrozumnym włóczęgą.

Nic nie ważąca muszka na szali wszechświata.

Rażące światło zgasło. Uchwyt Legiara osłabł. Pozwoliłem sobie unieść głowę.

Pani Toria siedziała wciąż w fotelu. Jej powieki powoli opadały. Tantala szła, potykając się, przez pokój. W końcu dotarła do celu, upadła przed Torią na kolana, zaglądając w zamykające się oczy.

– Luarze?!

Powieki Torii opuszczały się powoli, po troszeczku.

– Luarze! Luarze!… To ja!

Ręka pani Soll, spoczywająca na podłokietniku, uniosła się sztywnym, drewnianym ruchem. Jakby na nitce.

Na moment opuściła się na głowę byłej komediantki.

– Luarze!!!

Oczy Torii zamknęły się. Dłoń opadła bezwładnie. Mocniej przytuliłem Alanę do siebie. Wyprostowałem się. Ten, którego nazywano Baltazarem, stał już u drzwi. Jego palce gładziły polerowany pierścień na drewnianej klamce.

– Wybaczcie, moi państwo, że naruszyliśmy wasz spokój. I wyszedł, uśmiechając się zjadliwie.

Za nim pospieszył Orwin, pobladły i wychudły. Obejrzał się w progu.

– Lart… Marran… Już czas.

– Zdążymy – wycedził przez zęby Tułacz.

Dziekan Łujan ostrożnie pogładził włosy śpiącej córki. Pochylił się nad Tantalą, mimochodem muskając jej ramię.

– Nigdy nie mów „nigdy". Ani tak nie myśl.

Rzucił ostatnie spojrzenie na Torię, uśmiechnął się do Egerta, odszukał oczami Alanę i więcej się nie oglądając, poszedł ku drzwiom.

– Bardzo ryzykowaliśmy – syknął przez zęby Legiar.

– A co mogliśmy zrobić innego? – rzekł Tułacz, wzruszając ramionami. – Tu i bez nas znajdą się… obrońcy.

Obaj spojrzeli na mnie. Cofnąłem się, wtapiając w ścianę.

– Ty, Retano – powiedział Legiar z niezrozumiałym dla mnie zadowoleniem. – Miło mi cię poinformować, że twój przodek, Damir, był najlepszym ze sług… chciałem rzec, z ludzi. A ty… Co za szkoda, że podpadłeś pod Wyrok.

– Wszyscy od czasu do czasu czemuś podpadamy – zauważył z westchnieniem Tułacz.

I obaj spojrzeli teraz na Egerta, zastygłego przy fotelu żony w tej samej pozie, w jakiej wcześniej stał dziekan Łujan.

– Żegnaj – powiedział Tułacz.

– Do zobaczenia – rzekł Legiar z uśmiechem. Obaj wyszli.

Rozejrzałem się. Pokój był pusty, tylko Egert stał z dłońmi na ramionach żony, Tantala skuliła się na podłodze u nóg Torii, tylko

Alana kurczowo czepiała się mojej dłoni…

Gdzie?!

Gdzie jest Czanotaks Oro?!

Alana krzyknęła, pokazując palcem na okno.

Szyby pokryły się mroźnymi wzorami. Od wewnątrz. W plątaninie lodowych łodyg wyraźnie odznaczał się kształt wielkich dłoni, przymarzniętych do szkła…

Lód się rozpuszczał. Szron tajał w oczach, spływając mętnymi strugami. Skurczone palce pękały, traciły kształt, znikały.

Z jakiegoś powodu bałem się deptać zacieki na dywanie.

– Zima? – spytał ktoś ze zdziwieniem za moimi plecami.

Odwróciłem się jak użądlony.

Pani Toria siedziała wciąż w fotelu. Przenosiła zdumione, coraz bardziej przytomne spojrzenie ze mnie na Alanę, z Alany na Tantalę. W końcu spotkała się oczami z Sollem i uśmiechnęła się niepewnie.

– Wołałeś mnie, Egercie? No to jestem…

Epilog

Na powierzchni czarnego nieba kołyszą się jeszcze ciemniejsze łodygi sitowia. Przez ten rozchwiany płot przebłyskują ognie. Te, które płoną na brzegu i te, które odbijają się w rzece. Nadal mętna, lecz już znacznie spokojniejsza, nie atakuje teraz wzburzoną falą, jak szaleniec, co oprzytomniał i zawstydził wcześniejszych poczynań.

Rozmyte brzegi osypały się i wyłysiały i tylko tu, w zakolu zdołały odrosnąć niezniszczone nurtem szuwary. Przewalam się na próżniaczym łożu z naniesionych wodą odpadków: sznurów, desek, małych kawałków. Na trzeźwo nie uleżałbym na nich długo, lecz tej nocy jestem kompletnie pijany.

Tam, w dole usypia duże miasto i tylko w domu pułkownika Solla (wiem o tym) światła nie zgasną do świtu. Przemywają rany służącej Diuli i lokajowi Klowowi, cucą starą nianię, nieprzytomną z nadmiaru wrażeń. Pani Toria Soll ze zdumieniem wpatruje się w postarzałą twarz męża, nakręcając na palce własny siwy lok. Ponuro błąka się po pokoju zrezygnowana Tantala, a moja żona Alana miota się między pragnieniem pocieszenia przybranej siostry a chęcią zapłakania na piersi cudem odzyskanej matki.

Jestem tam dzisiaj zbędny. Tym lepiej. Moja jest ta noc, uparte trzciny wyrastające z mułu i ognie na brzegu.

Chwilami wydaje mi się, że między rozkołysanymi łodygami stoi nieruchomo szczupły człowiek z płonącymi, krótkowzrocznie zmrużonymi oczami. Chcę zawołać ducha Damira, lecz powstrzymuję się, ponieważ tak naprawdę nikogo nie ma w szuwarach. To tylko ciemnieje zaczepiony o sęk drzewa czyjś płaszcz, porwany przez wodę.

I tak wkrótce zobaczę się z Damirem.

Chcę w to wierzyć. Nie proszę o inną laskę, tylko bym mógł po śmierci błąkać się po rodowym zamku, wzdychać, strasząc biednego Itera i niesłyszalnie rozmawiać z własnym pradziadkiem.

Lecz jeszcze daleko do tego.

Mokra ziemia mlaska pod czyimiś nogami. Rozchyla się ściana sitowia. Widzę sylwetkę. To nie upiorny krótkowidz, to kobieta… Ile sił i czasu straciła Alana, żeby mnie odnaleźć?

Śmieję się bezmyślnie, patrząc w rozgwieżdżone niebo. Jestem szczęśliwy, a wszyscy szczęśliwcy to głupcy…

Dzisiaj przede mną wieczność. Przede mną długie, szczęśliwe, upojne życie.

Całe dwadzieścia cztery godziny.

Wiele jeszcze zdążę zrobić.

Marina i Siergiej Diaczenko

***